Etgar Keret:
W Izraelu dostaję groźby śmierci ▸12



Trump i J.D. Vance.
I ty, Brutusie?
▸18



WYSOKIE OBCASY
Najgorsza, najbrzydsza, bez znajomości.
Syndrom oszustki



FOT. LIELLE SAND/WYDAWNICTWO AGORA, REUTERS/KEVIN LAMARQUE

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jak uratować nastolatka, nim sięgnie po nóż ▸4

• **USA, ćwiczenia w jednym z przedszkoli na wypadek zagrożenia, np. wtargnięcia strzelca** FOT. PHIL MISLINSKI/GETTY IMAGES

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 43>

Salman Rushdie:
Nie bierzcie Pana Cogito tak dosłownie
▸2

Rosjanie zapomnieli,
jak budować samoloty
▸16

Amerykanie
wracają do XIX wieku
▸22

Analfabetyzm
uratował ukraińskich chłopów
▸35

PRL – ZSRR
Czołgi już ruszyły na Warszawę
▸38

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 24-29 października 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 249.11348, 1 Nakład 70 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl c7fd6aa309



Agnieszka Kublik

Kobiety wiedzą i pamiętają

Marta Nawrocka, pierwsza dama, niedawno rzuciła, że sprawa aborcji to „temat spopularyzowany, a w rzeczywistości kobiety mają inne problemy". I że matki dzieci z niepełnosprawnościami „w ogóle nie rozmawiają o aborcji".

Ma rację – matki, które opiekują się dziećmi z niepełnosprawnościami mają inne problemy niż aborcja.

I się myli – kobiety rozmawiają o aborcji, bo dotyczy ich życia i śmierci. Zapomniała o Czarnych Protestach, kiedy tysiące kobiet w całej Polsce wykrzykiwało, że nie godzi się na kupczenie ich godnością? Kobiety wiedzą i pamiętają.

Nie godzą się na takie traktowanie, jakby ciąża odbierała kobiecie rozum, jakby ciężarna musiała zostać ubezwłasnowolniona, by nie mogła sama o sobie decydować, bo potrzebuje do tego polityków, prokuratorów i policji. A przecież wystarczy tylko lekarz, choć nie każdy, bo taki nieobarczony sumieniem, które zakazuje mu pomocy pacjentom.

Czy prezydentowi nie pasuje kobieta z przywróconą godnością?

Koalicja 15 Października, po 8 latach cięcia praw kobiet przez prawicę, dała kobietom poczucie, że zwróci im godność, przywracając jakieś (bo nie pełne) prawo do decydowania o swojej ciąży.

Trzy lata sporów i kłótni zakończyło się we wtorek uchwaleniem projektu o dekryminalizacji aborcji i dopuszczeniu jej ze względu na ciężkie wady płodu. Trybunał Konstytucyjny sześć lat temu uznał tę przesłankę za niekonstytucyjną.

Kobiety to widzą i może... zapamiętają. Czy to może mieć wpływ na notowania partii tworzących rządową koalicję? Bo przecież taka kalkulacja ma tu miejsce.

No to spójrzmy, jak głosują kobiety. Częściej niż mężczyźni wybierają bowiem partie o profilu liberalno-lewicowym, mężczyźni prawicowo-nacjonalistycznym. Widać to było wiosną 2023 r. w naszym wielkim sondażu obywatelskim: kobiety częściej popierały ówczesną opozycję demokratyczną.

A w wyborach z 2023 r. 2,6 razy częściej wybierały Lewicę niż Konfederację; mężczyźni 1,6 razy częściej Konfederację niż Lewicę. To miara oczekiwań kobiet wobec rządzących po 2023 roku. Były ogromne, więc rozczarowanie tym głębsze.

Gdyby to się stało przed wyborami prezydenckimi... Gdyby decydowały kobiety, Rafał Trzaskowski pokonałby Nawrockiego. W II turze wedle sondażu Ipsos, na prezydenta Warszawy zagłosowało 52,8 proc. kobiet, na Nawrockiego – 47,2 proc. A różnica była malutka.

Dlatego teraz demokratom sen z powiek powinna spędzać słabnąca mobilizacja wyborcza kobiet.

Uchwalenie tych dwóch ustaw może mieć znaczenie. Pokazuje sprawczość władzy, a weto Nawrockiego będzie dowodem, że prezydentowi ta sprawczość władzy nie pasuje. Nie pasuje mu kobieta z przywróconą godnością. ●

Liczba dnia

3

TYS. ZŁ

będzie wkrótce – o ile prezydent podpisze – wynosił limit transakcji, powyżej którego trzeba zapłacić PCC. 2-proc. podatek nazywany 'VAT-em dla dla osób prywatnych" musi odprowadzić każdy, kto kupuje używany przedmiot droższy niż 1000 zł, wszystko jedno, samochód, komputer czy iPhone. PCC płaci się też od darowizn czy pożyczek. więcej ▶ Wyborcza.biz

Cytat dnia

Weszliśmy w nowy etap rozwoju AI – taki, w którym właściwe podejście do kwestii bezpieczeństwa musi stać się absolutnym priorytetem



PROF. ALEKSANDER MĄDRY
o powodach powrotu do OpenAI. Jeden z głównych naukowców firmy rzucił niedawno papierami, przerażony niekontrolowanym rozwojem sztucznej inteligencji

Najważnie

Jesteśmy w bardzo niebezpiecznym momencie **– gdy język przestaje służyć łączeniu ludzi.**

Z PISARZEM **SALMANEM RUSHDIEM**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Wspominałeś, że jako dziecko miałeś powracający sen. Unosisz się w nim na dywanie nad Bombajem. Pamiętasz, kiedy te sny się skończyły?
– Nie, ale cieszę się, że się skończyły. Zawsze wolę, jak sny są nudne. Mam nadzieję, że swoją wyobraźnię zużywam na jawie.

Cztery lat temu, gdy zostałeś zaatakowany nożem, mówiłeś jednak, że to właśnie sny sprawiły, że wróciłeś do fikcji.
– Zawsze uważałem siebie za twórcę fikcji, a nie autora esejów czy autobiografii. Powrót do opowiadania historii był odświeżającym doświadczeniem.

W „The Eleventh Hour", najnowszym zbiorze opowiadań, piszesz o trzech ważnych dla siebie miastach – Bombaju, Cambridge i Nowym Jorku. W opowiadaniu „Oklahoma" bohaterem jest młody adept pisania. Pisałeś coś w rodzaju listu do siebie z czasów młodości?
– Nie musiałem, bo te trzy miasta nigdy nie stały się dla mnie przeszłością. Nawet Bombaj, choć nie mieszkam w nim od dekad. Mogę zamknąć oczy i poruszać się po nim z niezłą biegłością. Oczywiście nie znam wielu nowych miejsc, budynków, ulic, ale to mi nie przeszkadza.

Ten młody pisarz jest tylko częściowo ze mną spokrewniony. Rzeczywiście jego przeżycia są podobne do moich z czasu, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Ale człowiek, którego spotyka, starszy pisarz zwany Wujkiem K., nie jest portretem jakiegoś konkretnego pisarza. Jest w nim coś z Philipa Rotha, może coś z Jamesa Saltera. I wielu innych, którzy w latach 70. mieszkali w Nowym Jorku i byli dla mnie bardzo łaskawi.

Jakie były Stany Zjednoczone w latach 70. dla młodego chłopaka po Cambridge?
– O wiele ciekawsze niż dzisiaj.

Pracowałeś już wtedy nad swoją monumentalną powieścią, „Dzieci północy". To historia dzieci, które przychodzą na świat w dniu, gdy Indie ogłaszają niepodległość. Wszystkie dostają list od premiera, który zaczyna się od słów: „Twoje życie stanie się w pewnym sensie zwierciadłem narodu". Twoja biografia stała się zwierciadłem naszych czasów.
– Masz rację. Tylko że dzisiaj najbardziej interesuje mnie opowiadanie historii, a nie wielka historia, w którą zostałem zaplątany. „Szatańskie wersety" były moją piątą książką. Dzisiaj mam ich na koncie ponad dwadzieścia. Nie rozważam już tego, co się wydarzyło w 1989 roku, ani tego, co się stało przed czterema laty. Myślę o swojej pracy, którą chcę wykonywać najlepiej, jak potrafię.

Wracając zatem do książki, w opowiadaniu „Oklahoma" młody, początkujący pisarz rozmawia z Wujkiem K., który prosi go, by opowiedział o swojej ulubionej poezji. Wtedy młody pisarz cytuje Zbigniewa Herberta: „Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze/ ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych".
Reakcja Wujka K. jest ciekawa. Mówi: „A więc chcesz wypowiadać się o sprawach publicznych, wielkich rzeczach. (...) Pewnie poniesiesz porażkę. Jak większość pisarzy". Czy twoim zdaniem jest ktoś, kto nie poniósł porażki?
– Zawsze podziwiałem Herberta. W ogóle Polska dała światu naprawdę wspaniałych poetów i wybitną poezję. Przyjaźniłem się z Adamem Zagajewskim, miałem przyjemność spotkać się kilka razy z Miłoszem. Nigdy nie spotkałem Szymborskiej, ale podziwiam jej wiersze.

Odpowiadając na twoje pytanie... Rzeczywiście uważam, że zdecydowana większość twórców, którzy postanowili zostać trybunami, przegrała. Przegrała w sensie literackim, bo ich książki przestały opowiadać historie, a zaczęły suflować programy społeczne, polityczne. Czy jest ktoś, komu się udało? Może Grassowi. Pisał o nazizmie w trudnych czasach podziałów i udało mu się stworzyć wybitne dzieła, które bronią się niezależnie od daty wydania.

Dobrze poradzili sobie pisarze z Ameryki Łacińskiej – García Márquez czy Vargas Llosa. Przyznaję, nie zawsze taki pisarz ponosi porażkę. Ale radziłbym, żeby wszyscy się jej spodziewali. Bo wtedy sukces będzie jeszcze przyjemniejszą niespodzianką.

Wiesz, zawsze uważałem, że literatura nie powinna być dydaktyczna. Nie powinna przekazywać konkretnego komunikatu ani mieć jednego, wyraźnego przekazu. Idee polityczne najlepiej wyrażać w artykułach, esejach czy reportażu. Fikcja niech pozostanie fikcją.

Myślę, że wszystkie moje dzieła pokazują potęgę swobody wypowiedzi. I myślę, że najlepszy sposób na obronę wolności wypowiedzi to korzystanie z fikcji w tak swobodny sposób, jak to tylko możliwe. Wtedy i tylko wtedy uświadomimy sobie, jak wielką wartość może nieść ze sobą opowiadanie zmyślonych historii.

1 RP

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl



eprasa.pl c7fd6aa309

jszym słowem jest „miłość”

W pewnym momencie Wujek K. znika. Być może ginie. Zostawia młodemu pisarzowi dwa maszynopisy. W jednym z nich, choć nazywa siebie „człowiekiem prozy”, zwierza się, że zaczyna lubić Pana Cogito. Podoba mu się to, że bohater wierszy Herberta mówi wprost: rób to, a tamtego nie.
– Jest u Herberta sporo dydaktyzmu, który sprawia, że można nabrać do niego dystansu. Ale ja widzę Pana Cogito jeszcze inaczej niż bohaterowie mojego opowiadania. Dla mnie to postać komiczna, a może bardziej komiczno-ironiczna. Może nie powinniśmy rozumieć go tak bardzo dosłownie? Może Pan Cogito używa patosu, byśmy potrafili zobaczyć, że chodzi tu nie tylko o „wielkie” prawdy?

Cytowany przez ciebie Saul Bellow w „Herzogu” mówi, że nie lubi ludzi, którzy są „nauczycielami rzeczywistości”. Bellow pisze o nich tak: „Chcą cię nauczyć – i ukarać – lekcjami rzeczywistości”.
– To jedna z niewielu rzeczy, które mnie z Bellowem łączą. Jako pisarze jesteśmy bardzo odmienni. Jego dzieła są bardziej naturalistyczne i filozoficzne. Jego postaci ciągle znajdują czas na rozważanie jakichś dylematów filozoficznych. Moi bohaterowie są ciągle w ruchu, a u niego myślą przez dwadzieścia czy trzydzieści stron.

Wiem, co masz na myśli. Nie lubię, gdy bohater powieści nagle się zatrzymuje i przez trzy strony o czymś myśli. A wracając do zbioru „The Eleventh Hour”... W opowiadaniu „The Old Man in the Piazza” tytułowy bohater siada w kawiarni na włoskim placu, który rozbrzmiewa kłótniami. Na rogu placu przysiada ktoś jeszcze, sam język pod postacią kobiety.
– Myślałem, jak pokazać, że jesteśmy w bardzo niebezpiecznym momencie – gdy język przestaje służyć łączeniu ludzi.

Jesteśmy teraz tak podzieleni, że przestaliśmy się słuchać. I choć mówimy często tym samym językiem, nie usłyszymy się. To niezwykle niebezpieczne dla naszej przyszłości.

Jest z tego jakieś wyjście?
– Przekornie odpowiem: wciąż używać języka.

Ci ludzie na placu mówią tylko po to, by wypełnić ciszę. Prawdziwy język zostaje zapomniany.

Musimy pamiętać o mocy języka. O tym, że gdy korzystamy z niego bez żadnych ograniczeń, objawia się nam z całą swoją mocą, ale też z niezwykłą gamą subtelności. Zatem – więcej języka! I może będzie dobrze.

W „Autokorekcie” Etgara Kereta (rozmowa z pisarzem – s.10) przeczytałem krótkie opowiadanie, w którym ludzie dowiadują się, że mogą tylko raz użyć danego słowa. Niektórzy zaczynają nimi szafować. Inni szybko muszą zamilknąć. Jakie słowo zostawiłbyś sobie na koniec?
– Prawdopodobnie najważniejszym słowem jest „miłość”. To najtrudniejsze ze słów. I z jednej strony trudno sobie wyobrazić, że czekałbym miesiące czy lata, by je użyć, a z drugiej chciałbym je zachować do końca. Tak, to najcenniejsze słowo.

W „kwestionariuszu Prousta” napisałeś kiedyś, że gdybyś się reinkarnował, to chciałbyś zostać ulicą w wielkim mieście. To aktualne?
– Oczywiście. Uwielbiam metropolie, ich różnorodność. Chodziliby po mnie ludzie mówiący w wielu językach, niosący ze sobą niezliczone historie. Ktoś by się potykał, mężczyzna wpadał na kobietę i to by mogło być początkiem pięknej historii, ale... Zatem tak, to wcielenie wciąż wydaje mi się bardzo atrakcyjne.

Nie wiem, czy chciałbym słuchać tych wszystkich strasznych ludzi. Przecież po tej ulicy będą chodzili też naprawdę źli ludzie.
– I bardzo dobrze. Żeby było ciekawie, muszą być też źli ludzie. Zresztą wierzę, że ludzie nie są jednowymiarowi. Nawet zły człowiek musi mieć jakieś cnoty. Jako pisarz nie mógłbym słuchać opowieści tylko „tych dobrych”. Świat pełen samego zła, podobnie jak świat wypełniony wyłącznie dobrem, byłby zbyt banalny.

Jednocześnie wszyscy możemy inaczej rozumieć to „zło”. W każdym z bliskich ci krajów inaczej rozumie się takie idee jak „poprawność polityczna” czy „wolność słowa”.
– Rzeczywiście są to słowa, które mają inne znaczenie w zależności od tego, kto z nich korzysta. Zwłaszcza „poprawność polityczna” to sformułowanie, po które nigdy nie sięgam.

Ciekawe, że wszystkie te trzy kraje aktualnie przechodzą przez potężne kryzysy. W Indiach są olbrzymie napięcia społeczne związane z dyskryminacją społeczności muzułmańskiej. Wielka Brytania jeszcze nie podniosła się po błędzie, jakim było wyjście z Unii Europejskiej. Wzrost znaczenia prawicy, ale też problemy gospodarcze – to wszystko przez brexit. A Stany Zjednoczone... nie rozmawiajmy o tym, bo nikt nie mówi o niczym innym, tylko o Ameryce. Powiem tylko, że spodziewam się, że najbliższe wybory [”połówkowe” do Kongresu] mogą być początkiem zmian.

Gdy Amerykanin mówi „wolność słowa”, myśli jednak o czymś innym niż większość Europejczyków.
– Kiedy mieszkałem w Europie, w Wielkiej Brytanii obowiązywał Race Relations Act 1965, który penalizował między innymi to, co dzisiaj byśmy nazwali „mową nienawiści”. Są kraje, w których negacja Holokaustu jest karana. Są takie, w których można to robić.

J.D. Vance podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w 2025 .r krytykował europejskie podejście do wolności słowa, wskazując m.in. na Niemcy i zakaz głoszenia niektórych poglądów. Nie wspomniał, że chodzi o poglądy nazistowskie.
– Uważam, że wolność słowa powinniśmy traktować najszerzej, jak to możliwe. Ona zaczyna się w momencie, gdy ktoś mówi rzeczy, z którymi się nie zgadzam. Nietrudno bronić wolności wypowiedzi osób, które popieramy. Dla mnie obrońcą wolności wypowiedzi jest ten, kto potrafi bronić swojego przeciwnika. Wiele osób nie zdaje tego testu.

W Polsce publiczna negacja Zagłady jest karana. Moim zdaniem słusznie, że Grzegorz Braun jest ścigany za mówienie, że „Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fejk”.
– I co nam to daje? W efekcie mamy jednego publicznego męczennika więcej. Oczywiście ten człowiek jest kretynem i takich idiotów trzeba publicznie demaskować. Ale czy musimy im wkładać do ręki palmę męczeństwa?

Za to muszę ci powiedzieć, że mam bardzo dobre wspomnienia z Polski. Po raz pierwszy do Polski zaprosił mnie Adam Michnik. Spotkałem się wtedy z Adamem Zagajewskim i poznałem Ryszarda Kapuścińskiego.

To skoro jesteśmy przy Polsce. Dawnym polskim zwyczajem, który wciąż utrzymuje się w niektórych domach, było całowanie chleba. W twojej rodzinie całowało się chleb i...
–...książki. To są wyjątkowe przedmioty. Zawierają radość i mądrość ludzkiego gatunku, więc trzeba je traktować z szacunkiem. Jak widzisz, za mną jest całkiem sporo książek. A to tylko jeden z wielu pokoi, które wypełniłem literaturą. Nie umiem wyrzucać książek. Lepiej je komuś oddać.

Co mi podpowiada, że chyba dawno się nie przeprowadzałeś.
– Rzeczywiście, mieszkam tu już od 25 lat. I już się nie przeprowadzę. Przez książki.

Jakie panują reguły w tym chaosie?
– Mam dwa pokoje tylko dla fikcji. Książki są poukładane alfabetycznie według autorów. Mam pokój z poezją i pokój, w którym trzymam reportaże i biografie. Tylko że ciągle dochodzą nowe książki, które burzą ten porządek.

W tym roku rozmawiałem z Alberto Manguelem, wybitnym autorem. Oddał do biblioteki kilkadziesiąt tysięcy książek. Zostawił sobie trzydzieści. Gdybyś miał kiedyś powtórzyć jego gest, jakie tytuły byś zostawił?
– Świetne zadanie!

Na pewno zostawiłbym „Iliadę” i „Odyseję” Homera. „Metamorfozy” Apulejusza i „Eneidę” Wergiliusza... To już mamy cztery.

„Wojnę i pokój”. „Zbrodnię i karę”. Poezje Zbigniewa Herberta, zwłaszcza „Pana Cogito”. Ile już mam?

Siedem.
– To jeszcze dołóżmy „Ulissesa” Jamesa Joyce’a. I „Niewidzialne miasta” Italo Calvino.

Sami faceci...
– Wiem, ale mówię, co mi przychodzi do głowy. Ale tak, „Panią Dalloway” Woolf bym zostawił. Edith Wharton, „Wiek niewinności”... Obowiązkowo coś Anity Desai. Może „Clear Light of Day”? „Sto lat samotności”... To już chyba ci coś mówi o mnie, co nie?

„Nie ma kto pisać do pułkownika” Garcíi Márqueza. I może „Śmierć w Wenecji”. Wielki klasyk!

Poza Calvino i Mannem same wielkie księgi.
– Dorzućmy jeszcze jedną, cienką.

Gdy wydałem „Dzieci północy”, pojechałem do mojego wydawcy w Londynie. Na jego biurku leżała książeczka. „Wiesz, to jest najlepsza książka, jaką w przyszłym roku wydamy”, powiedział. Ucieszyłem się, że w tym roku była nią moja – a przynajmniej tak chciałem myśleć.

A o jaką książkę chodziło? O „Cesarza” Ryszarda Kapuścińskiego. To wielka książka. ●

• *Cytaty z „Herzoga” Bellowa podaję za przekładem Krystyny Tarnowskiej. „Dzieci północy” cytuję w przekładzie Anny Kołyszko. „Nóż” w przekładzie Jerzego Kozłowskiego.
Cytaty z „The Eleventh Hour” podaję w moim przekładzie. Pomoc w przekładzie wywiadu: Wojciech Capała.



FOT. DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

Salman Rushdie na Igrzyskach Wolności

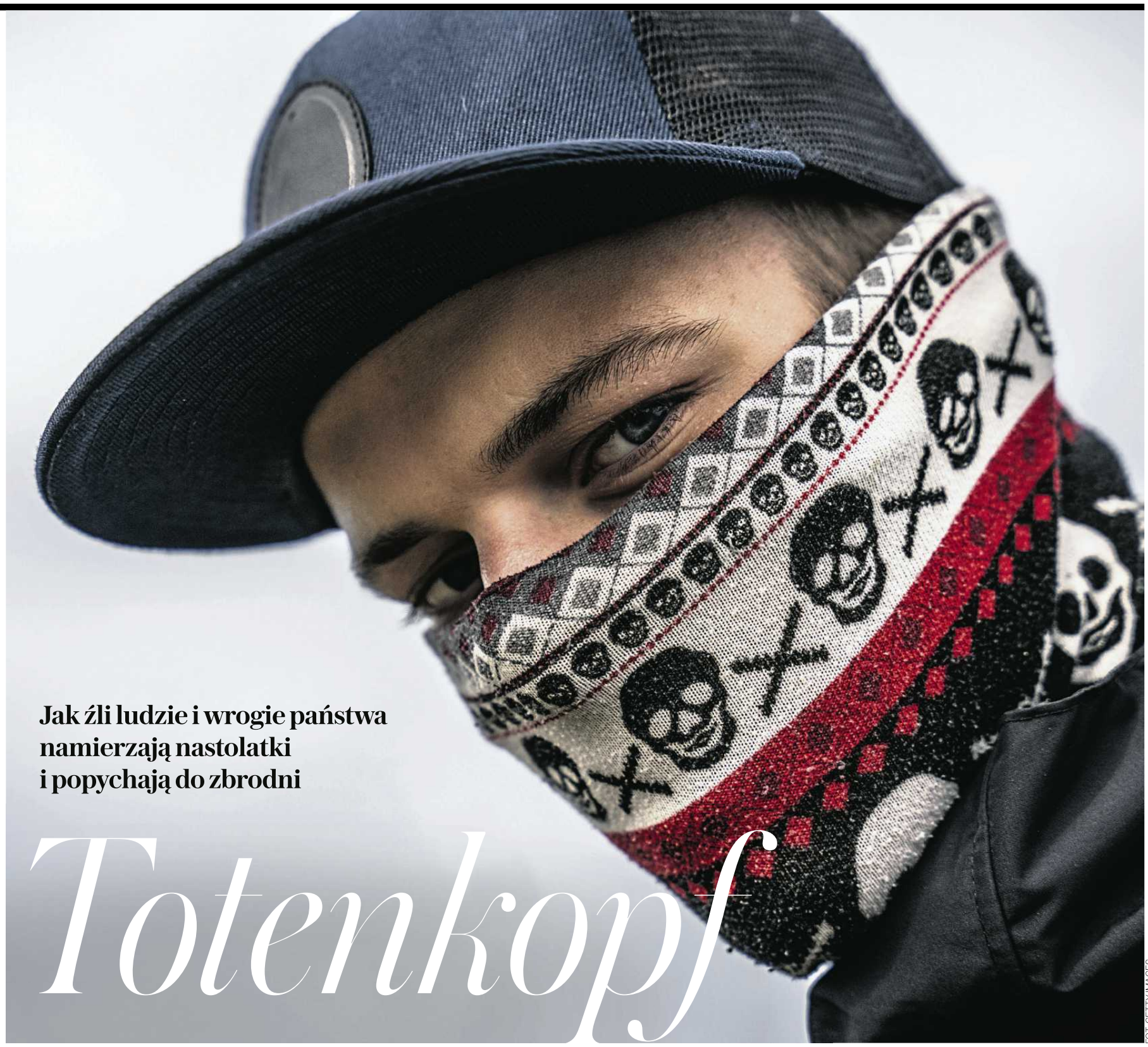
• Od 12 lat Igrzyska Wolności odwiedzają ludzie ciekawi świata i głodni nowych idei. W tym roku pod hasłem „Tech for Humanity” spotkają się z państwem poza Salmanem Rushiem m.in. Adam Michnik, Anne Applebaum, Radosław Sikorski, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, Etgar Keret, Ivan Krastew, Wilhelm Sasnal, Małgorzata Rozenek-Majdan .

• **Zapraszamy do Łodzi od piątku do niedzieli 23-25 października.**

Salman Rushdie: Grzegorz Braun jest kretynem i takich idiotów trzeba demaskować. Ale nie wkładajcie im do ręki palmy męczeństwa

eprasa.pl c7fd6aa309

TEMAT WAŻNY



FOT. GETTY IMAGES

Jak źli ludzie i wrogie państwa namierzają nastolatki i popychają do zbrodni

Totenkopf NA BEJSBOLÓWCE

Z **JACKIEM PURSKIM*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Po atakach w szkołach, podczas warsztatu o radykalizacji dla nauczycieli i rodziców, powiedział pan: „Od tygodnia dostaję telefony od ludzi, którzy mówią: – Panie Jacku, już 10 lat temu miał pan rację". W czym miał pan tę rację?

– Kiedy mówiłem, że takie rzeczy będą się wydarzały.

Nie chciałem mieć tej racji wtedy i nie chcę jej mieć teraz, ale niestety podtrzymuję, że takich sytuacji będzie więcej.

Takich, czyli jakich?

– Aktów terroryzmu w szkołach czy w ogóle w przestrzeni publicznej oraz innych form działania osób związanych z ugrupowaniami ekstremistycznymi: skutecznej propagandy, werbunku, dotarcia z ideologią ekstremistyczną do młodych ludzi poprzez internet.

Póki co nie wiemy, czy wydarzenia w Ostrołęce i Leszczydole-Nowinach były inspirowane ideologią.

– Wiemy na sto procent. Można to było poznać chociażby po profilach w serwisach społecznościowych osób, które dokonały tych ataków. Retoryce i symbolice w nich obecnej.

Za każdym razem, gdy mamy do czynienia z tego typu wydarzeniem – czy to zabójstwo prezydenta Adamowicza, czy atak na synagogę w Warszawie – w naszym Instytucie Bezpieczeństwa Społecznego odpowiednio przygotowani ludzie momentalnie przeglądają profile sprawców na platformach społecznościowych. I bardzo często dowiadują się dużo wcześniej, niż dziennikarze, a czasem wcześniej niż organy ścigania, jaki jest ich profil i z kim byli związani. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Po tym drugim ataku mieliśmy namierzonych w serwisach społecznościowych czterdziestu naśladowców. Oczywiście, po odsianiu okazało się, że duża część z nich to goście, którzy robili sobie żarty w bardzo kiepskim stylu, ale nie wszyscy.

Pamiętam SMS-a od współpracownika: „Mam dwóch takich, co do których jestem przerażony". Ich aktywność, a także przekaz wskazywały na prawdziwe przywiązanie do ideologii ekstremistycznej, nie udawane.

Jaka symbolika pojawia się na tego typu profilach?

– Na przykład neonazistowska. Ale ostatnio bardzo często trafiają się nam też odwołania do znanych zamachowców, takich jak Anders Breivik czy Brenton Tarant, skrajnie prawicowy terrorysta, który w 2019 roku dokonał ataków na meczety w Christchurch w Nowej Zelandii.

Przewijają się też elementy związane z takimi ugrupowaniami jak Atomwaffen czy Sonnenkrieg Division, fascynujących się neonazistowskim nihilizmem.

Często to ludzie, którzy chcą siać strach i chaos. Przyspieszyć koniec „status quo".

Mówi pan teraz o tak zwanym akceleracjonizmie?

– Można to i tak nazwać. Warto jednak pamiętać, że to nie są nowe zjawiska.

Pierwsze osoby z Polski powiązane z tymi organizacjami, które zostały zresztą skazane za przygotowywanie ataku w Wielkiej Brytanii, pojawiły się już ponad siedem lat temu.

Zwykle mamy do czynienia z małymi, niezależnymi grupami. One w warstwie ideologicznej mogą się różnić, ale jeżeli wizualnie posługują się tym samym elementem, na przykład symbolem SS Totenkopf, czyli trupią czaszką noszoną przez SS-manów na czapkach, to czy oni będą bardziej akceleracjonistyczni, czy bardziej klasycznie neonazistowscy, nie ma większego znaczenia. Bo to są nadal formy radykalizacji, które mamy już dość dobrze rozpracowane.

Kilkanaście lat temu dużo się u nas mówiło o Autonomicznych Nacjonalistach, dziś mówi się o tak zwanym nihilistycznych ekstremizmie, choć moim zdaniem powinniśmy już rozmawiać o Active Clubs, czyli zdecentralizowanej, międzynarodowej sieci ugrupowań ekstremistycznych...

...które pod płaszczykiem propagowania zdrowego stylu życia i dbałości o kondycję fizyczną w zamkniętych grupach odwołują się do symboliki III Rzeszy,

eprasa.pl c7fd6aa309

Ku Klux Klanu, publikują treści antysemickie, rasistowskie.
– I robią dokładnie to samo, co neonaziści 30 lat temu: planują działania propagandowe, werbunkowe, i tak dalej.

Trendy się zmieniają, pojawiają się nowe formy dotarcia do „followersów" czy nowe formy narracji, w gruncie rzeczy jednak to wszystko już przerabialiśmy.

Gdzie pana współpracownicy namierzyli potencjalnych naśladowców tych chłopców, którzy dokonali niedawno ataków?
– W różnych serwisach społecznościowych oraz platformach komunikacyjnych.

Na przykład w jakich?
– Wymienienie ich z nazwy nie przyczyni się do tego, że będą skuteczniej usuwać takie treści. Może natomiast sprawić, że jutro kolejne 15 dzieciaków tam pójdzie.

Ważne jest to, że platformy społecznościowe, które ludzie w naszym wieku uważają za główne, nie są takimi miejscami.

Ten przekaz odbywa się głównie w alternatywnych kanałach, których jest piekielnie dużo.

Niektórzy specjaliści wymieniają takie kanały jak Telegram, Discord, Twitch. Może ważne, żeby rodzice o tym wiedzieli?
– Moim zdaniem podawanie listy takich platform – te tak, tamte nie – prowadzi do myślenia, z którym się ciągle spotykam na przestrzeni ostatnich tygodni, kiedy to dzwoni do mnie na przykład prezydent jednego albo drugiego miasta i mówi: „Pan nam prześle PDF-a z tego szkolenia, które mieliśmy rok temu".

To niczego nie rozwiązuje, bo wciąż nie mamy systemu do walki z radykalizacją. A przez to tkwimy w sytuacji, w której wszyscy myślą, a szczególnie decydenci, że prostymi ruchami, takimi, przepraszam za określenie: dupokryjkami, są w stanie zmienić rzeczywistość. Nie, nie są.

Co to są te „dupokryjki"?
– „Zróbmy wykład na temat mowy nienawiści dla nauczycieli" na przykład. Albo „ustawmy bramki do wykrywania metali przy wejściu do szkół". Albo „postawmy tam policjanta na jeden dzień".

Teraz nagminnie wysyła się nauczycielom artykuły, w których pojawiają się „nowe", „nieznane wcześniej" sformułowania, na które powinni być szczególnie wyczuleni. No jasne, bo kolejny sprawca na pewno będzie miał napisane na czole: „Jestem nihilistycznym neonazistą".

Rozumiem, że mówi pan też trochę o tym, że jak się dzieje coś tak drastycznego, to nagle wszyscy odkrywają Amerykę?
– I szukają prostych odpowiedzi.

„Skończmy z hejtem w sieci!". Teksty i kampanie wokół tego tematu przetoczyły się przez polskie media prawie 15 lat temu. „To wszystko przez patologię w sieci". Dyskusja na temat „patostreamingu" to z kolei rok 2016, kiedy nastolatkowie inspirowani różnymi patoinfluencerami zaczęli nagrywać pobicia lub prześladowania kolegów albo osób bezdomnych. „Musimy rozmawiać z dziećmi!". Od 20 lat eksperci, z którymi rozmawiam, powtarzają jakie to ważne. Też się zastanawiam, czy musimy to koło wynajdować wciąż na nowo, czy jednak możemy się czegoś nauczyć raz a dobrze?
– Totalnie jestem z panią w temacie: „rozmawiajmy z dziećmi", to jest super ważne. Natomiast na pewno nie wystarczy. I fajnie byłoby, gdyby do takiej rozmowy rodzice i nauczyciele byli systemowo przygotowywani. Dostali wiedzę oraz wsparcie. To wydaje mi się kluczowe.

Problem jest na tyle poważny, że nigdy nie zostanie rozwiązany pojedynczymi strzałami. I kiedy mówię o systemowym rozwiązaniu, to mam na myśli państwową strategię prewencji i przeciwdziałania radykalizacji do ekstremizmu, czyli o połączonych działaniach zarówno na poziomie edukacyjnym, miękkim, jak i na poziomie prawnym czy policyjnym, twardym.

Do tego powinien dojść jeszcze komponent naukowy, czyli badanie tych ruchów oraz jakaś działalność lokalna.

Czy gdzieś istnieją takie rozwiązania?
– Mamy na przykład wzór duński, tak zwany Model Aarhus, który opiera się na ścisłej współpracy policji, szkół, organizacji lokalnych, opieki społecznej i służy

W ostatnich tygodniach dzwoni do mnie prezydent jednego albo drugiego miasta i mówi: „Pan nam prześle PDF-a z tego szkolenia, które mieliśmy rok temu"

wczesnemu wykrywaniu zagrożeń. W ramach tego modelu przydziela się na przykład osobom już zradykalizowanym psychologa albo kogoś z podobnym doświadczeniem, kto pomaga im wyjść z tego środowiska. Jest wsparcie dla rodziców.

W Niemczech mamy rządowy program „Demokratie leben!", w Wielkiej Brytanii – „Prevent". Jest model kanadyjski. To wszystko są strategie państwowe.

Działania mogą wyglądać różnie. Choćby tak, że w każdym regionie, dzięki międzyministerialnej współpracy, powstaje zespół złożony z policjanta, nauczyciela, pracownika socjalnego i jakiegoś naukowca znającego temat. Ten zespół spotyka się raz w miesiącu i monitoruje sytuację. I jak się pojawia pomysł, żeby szkolić nauczycieli z przeciwdziałania radykalizacji, to zespół decyduje, że jednak na przykład większy sens będzie mieć szkolenie nauczycieli razem z policjantami.

Bo wtedy taki nauczyciel, w razie podejrzeń, mógłby poprosić tego konkretnego policjanta o wsparcie?
– I razem mogą ocenić, czy z klasą ucznia, u którego widać pewne oznaki radykalizacji, lepiej pojechać na wycieczkę do Auschwitz, czy raczej trzeba mu już „wejść" na jego „socjale". Zobaczyć, na jakim jest etapie i co planuje. Czy to jest jeszcze moment na prewencję, czy już na twarde działania.

Oczywiście samo pojechanie do Auschwitz niczego nie załatwia, trzeba o tym jeszcze później pogadać. Przypominam o tym, bo nie zawsze się tak dzieje.

Nie mówiąc o tym, że niektóre szkoły organizują wyjazdy łączone: jednego dnia Auschwitz, drugiego – park rozrywki Energylandia...
– Z ramienia międzynarodowej organizacji Counter Extremism Project uruchamiamy teraz w dawnej willi Rudolfa Hössa, komendanta obozu, centrum badawcze i edukacyjne do walki z radykalizacją i ekstremizmem. Więc mam nadzieję, że w przyszłości zmieni się to, o czym pani mówi. I że ci młodzi ludzie po wizycie w Auschwitz będą mogli przyjść do nas i znaleźć to połączenie pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Dowiedzieć się, jak nienawiść i ekstremizm wyglądają dziś. I że są to te same ścieżki radykalizacji, które znamy z historii.

To będzie też miejsce edukacyjne dla służb, nauczycieli, samorządowców z całego świata, nie tylko z Polski. Zależy nam, żeby poznali dobre praktyki, wymieniali się doświadczeniami, ale przede wszystkim, żeby poczuli, jak ważną rolę odgrywają w przerwaniu procesu radykalizacji.

A poczuć to można na różne sposoby: czasem przez muzykę, czasem przez sztuki wizualne, a czasem dzięki technice VR.



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak można to poczuć poprzez sztukę albo muzykę?
– W tej chwili mamy ostatnie lata z ocalałymi z II wojny światowej pośród nas. Pytanie, jak będziemy opowiadali tę historię bez tych świadków? No więc ja wiem jak – przy pomocy sztucznej inteligencji. A stworzenie filmiku z Ocalałym, który będzie mówił w filmie AI-owym, że Holokaustu nie było, zajmuje pięć minut. Dlatego musimy szukać nowych form dotarcia do młodych.

Dam przykład, jeden z wielu. Współpracujemy teraz z Francesco Lotoro, włoskim kompozytorem i muzykologiem, który zrekonstruował kilka tysięcy utworów skomponowanych w takich miejscach jak Auschwitz. Chcielibyśmy poprosić współczesnych artystów, żeby nagrali swoje interpretacje tych utworów i w ten sposób przemówić do młodych ludzi. Z przekazem bardziej opartym na przeżywaniu niż na samej wiedzy.

Takie inicjatywy są bardzo pomocne, ale jeszcze raz podkreślę: póki nie będzie państwowej strategii, nie wygramy z radykalizacją.

Wiem, że przegnę teraz u nauczycieli, ale wolałbym, żeby moje dzieci uczyły się w szkole takiego przedmiotu jak „nauka czytania mediów", niż miały godzinę więcej geografii czy biologii.

Chciałbym też, żeby miały zajęcia z prowadzenia dialogu. Bo to jest jedna z podstawowych kompetencji, jakie powinniśmy dziś posiadać.

Myśli pan, że takie zajęcia coś dadzą? Jeśli nauczyciele, dzieci i rodzice nie będą praktykować dialogu na co dzień, to on pozostanie tylko teorią.
– Zgoda, ale jakąś ramę merytoryczną musimy mieć. Bo nie każdy dialog jest wartościowy.

Ale to nie wszystko. Kilkadziesiąt lat temu – co okupiliśmy ciężką walką – dostaliśmy demokrację. Raz na zawsze? Nie. Trzeba ją pielęgnować. Niestety ostatnie dekady pokazują, że to zostało totalnie zaniedbane. Widać to chociażby po tym, ilu ludzi w Polsce wierzy w teorie spiskowe, jak popularne są ruchy populistyczne.

Marzy mi się więc, żeby w programie szkolnym pojawiła się też „nauka o demokracji". Być może ten przedmiot mógłby zawierać te poprzednie elementy, o których mówiliśmy.

Próbujemy szybkimi ruchami rozwiązać problem, którego wiele osób wciąż nie rozumie.

To proszę powiedzieć, czym w ogóle jest radykalizacja?
– Jest to przemocowy proces oparty na ideologii, w którym dana osoba lub grupa osób przyjmuje skrajne ekstremistyczne ideały i posługuje się nim w celu zmiany „status quo".

Ta przemoc może mieć różne oblicza: to może być mowa nienawiści, czyli nienawiść skierowana na grupy mniejszościowe, jak i chęć napadania na kogoś.

Jeśli chodzi o podglebie, czyli o ideologie, one współcześnie mogą się mieszać. W jednej grupie możemy mieć elementy religijne, skrajnie prawicowe albo skrajnie lewicowe. Możemy mieć też fokus na konkretną sprawę jak pandemia, szczepionki czy sieć 5G.

Na marginesie, ciekawe jest to, że osoby, które załapują się na tego typu narracje, potrafią przejść płynnie z jednej do drugiej. Na przykład w pandemii wiele forów poświęconych sieci 5G przerzuciło się na szczepionki. Po wybuchu wojny w Ukrainie – na narrację antyukraińską, a potem zajęły się Gazą. Osobami, które w nich uczestniczą, często łatwo się steruje i manipuluje.

Wracając do radykalizacji – w tym złożonym procesie muszą być obecne dwa komponenty: przemoc i ideologia. Jeśli nie ma jednego albo drugiego, to nie jest radykalizacja.

Mówię o tym, bo zdarzyło mi się usłyszeć od fenomenalnego skądinąd nauczyciela, że lubi taką „radykalną" młodzież. A kiedy go spytałem, co ma na myśli, usłyszałem o „młodych ludziach, którzy na murach malują sztukę". Gdzie tam jest przemoc i ideologia?

Słyszałem też, jak inne osoby radykalizacją nazywały sytuację, kiedy to w debacie publicznej każdy pozostawał okopany na swoim stanowisku. To czym w ta-

*Jacek Purski

• Politolog, edukator i ekspert zajmujący się radykalizacją, ekstremizmem, antysemityzmem i przemocą motywowaną nienawiścią. Od ponad 20 lat działa na rzecz przeciwdziałania ekstremizmowi i radykalizacji, współpracując ze służbami, nauczycielami, samorządami i organizacjami społecznymi w Polsce i za granicą.

• Był zaangażowany w prace Radicalisation Awareness Network (RAN) Komisji Europejskiej, jest także Ashoka Fellow (międzynarodowa sieć Ashoka zrzesza liderów innowacji społecznych). Przez wiele lat zajmował się problematyką rasizmu i ekstremizmu w sporcie, współpracując m.in. z UEFA i FIFA. Współzałożyciel i prezes Instytutu Bezpieczeństwa Społecznego.

• Obecnie kieruje rozwojem ARCHER w Oświęcimiu – międzynarodowego centrum przeciwdziałania antysemityzmowi, nienawiści, ekstremizmowi i radykalizacji, powstającego w dawnym domu komendanta Auschwitz Rudolfa Hössa.

eprasa.pl c7fd6aa309

kim razie jest polaryzacja? Owszem, ona jest żyznym gruntem dla radykalizacji, jednak jest czymś innym.

Jak się tworzy taki żyzny grunt?
– Odwołam się do pani zawodu. Dziennikarze na szkoleniach często mówią: „Przecież jeśli zaproszę jedną i drugą stronę sporu, to wtedy jestem obiektywny". „Nie"- odpowiadam. „Wtedy właśnie przyczynia się pan, pani do budowania polaryzacji".

Holenderski filozof i badacz Bart Brandsma, od lat opisujący te zjawiska, twierdzi, że dobra dyskusja jest wtedy, kiedy są minimum trzy głosy. To wszystko zostało zbadane i opisane!

Jak proces radykalizacji może wyglądać w praktyce?
– Może się zacząć od strony w Internecie, demonstracji, koncertu, meczu piłkarskiego. Młody człowiek napotyka tam na nienawistne hasła, ekstremistyczną symbolikę, dostaje jakieś materiały do poczytania, zachłystuje się tym i uruchamia się u niego dość skomplikowany proces prowadzący do przemiany.

Nie wiem, czy jest sens, żeby w to szczegółowo wchodzić, bo dla nas najważniejszy jest moment, w którym ten człowiek przechodzi od kwestionowania zastanego „status quo" – co samo w sobie jest pożądaną i fajną rzeczą w wieku lat nastu – i przez dyskusje z innymi, a być może też jakieś zaangażowanie aktywistyczne, idzie do działania wymierzonego przeciwko komuś.

Na tym etapie mówimy już o skłonności do ekstremizmu.

Co się może dziać dalej?
– Taki człowiek może zerwać relacje z dotychczasowym otoczeniem. Może zmieniać siebie pod kątem tej ideologii – zarówno jeśli chodzi o ubiór, słownictwo, jak i sposób spędzania wolnego czasu.

A później może zacząć szerzyć te treści i w końcu werbować innych czy sieciować się. I to już jest poziom ekstremistyczny.

Czasem ten proces zatrzymuje się na obrażeniu kogoś w internecie czy namalowaniu jakiegoś symbolu na murze. Jeśli jednak zostanie pozostawiony sam sobie, może postępować dalej. I prowadzić do przestępstw – a przede wszystkim do wykształcenia poczucia przynależności do jakiejś struktury, w której ten młody człowiek będzie się uważał za „żołnierza" idei. A jaka ta idea będzie, to jest już drugorzędne.

Często tłumaczę to podczas szkoleń w miejscach, gdzie mamy odbiorców, nazwijmy to – motywowanych politycznie. Kiedy słyszę: „A dlaczego opowiada pan tylko o tej stronie radykalizacji, a nie o tamtej?"- odpowiadam: „Kiedy pięć metrów od pana albo pani wybuchnie bomba, będzie bez znaczenia, czy podłożył ją fundamentalista islamski, skrajnie prawicowy czy skrajnie lewicowy".

Dlaczego te programy, o których mówiliśmy, jak model duński czy niemiecki działają?

Bo w tych państwach zarówno prawica, jak i liberalne centrum, jak i lewica zgodziły się co do tego, że ekstremizm jest pogwałceniem demokracji.

I niezależnie od tego, skąd pochodzi, w naszym interesie – jako państwa demokratycznego- jest to, żeby struktury prewencji były w nim obecne.

Niestety, w Polsce temat radykalizacji jest cały czas politycznie rozgrywany. To jest bardzo niebezpieczne.

Czyli skrajna lewica uważa, że jeśli ekstremizm, to tylko skrajnie prawicowy, a skrajna prawica uważa, że to tylko skrajna lewica?
– Gdyby jeszcze tylko ci skrajni tak uważali, to może byłaby szansa na budowanie czegoś, co nazywamy „Dare to be grey", „odważ się być szarym", czyli tego środka, w którym w ramach jednej debaty mieszczą się różne poglądy.



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Leszczydół-Nowiny k/Wyszkowa, 8 października br. 15-letni były uczeń szkoły zranił nożem trzy osoby, w tym dyrektora i woźną. Kobieta zmarła. Dyrektor obezwładnił napastnika. Zatrzymała go policja.

Problem w tym – i tak jest nie tylko w Polsce – że partie, które są przywiązane do wartości demokratycznych, korzystają z narracji ekstremistycznych, co sprawia, że narracje te przechodzą do głównego nurtu.

Na przykład?
– Nienawiść do uchodźców. Nienawiść do grup mniejszościowych. Przedstawianie haseł używanych przez organizacje terrorystyczne jako wartości pro-ludzkich, kiedy to nagle takimi hasłami jak „From the river to the sea" posługują się obrońcy praw człowieka, często nie zdając sobie sprawy, że jest w nim zawarta idea, która głosi, że jedno państwo, czyli Izrael, ma zniknąć.

To jest naprawdę niebezpieczne. Podobnie jak to, że symbol czerwonego trójkąta, którym Hamas oznaczał cele ataków, pojawia się na transparentach wyrażających solidarność z Palestyńczykami. To jest właśnie ten moment przesunięcia ekstremistycznej narracji do mainstreamu.

Podam jeszcze jeden przykład, bo wiele osób go skojarzy. Otóż kilka lat temu na polskich stadionach pojawiły się hasła w stylu „Precz z komuną". Pamiętam, jak podczas meczu siedzący obok mnie kibic powiedział: „O co chodzi? Przecież 30 lat temu walczyliśmy z komuną, teraz już tego nie ma". Ten sam kibic miesiąc później zwrócił mi uwagę, że dokładnie w tym samym miejscu, w którym wisiał transparent „Precz z komuną", wisi teraz krzyż celtycki, czyli symbol White Power.

Trochę teraz zaryzykuję. Gdybym miał tych chłopaków, którzy zostali zatrzymani, na chwilę przed sobą, to podejrzewam, że mogłoby się okazać, że oni nie są jakoś super ideologicznie zbudowani.

Co ma pan na myśli?
– Że prześlizgnęli się po tych ideach na zasadzie pewnej atrakcyjności. Owszem, byli zaangażowani w proces radykalizacji, bo popełnili te przestępstwa, ale to nie są goście, którzy spędzili ostatnie kilka lat na zgłębianiu teorii rasowych.

Specjaliści zwracają uwagę, że dziś procesy radykalizacji, między innymi dzięki nowym mediom, przyspieszają. Już nie trzeba lat ani miesięcy. Wystarczy kilka tygodni.
– Racja, przyspieszają, ale to nie oznacza, że nie można ich powstrzymać.

Znamy czynniki, które stoją za radykalizacją. Jesteśmy w stanie ocenić, na jakim etapie jest dana osoba oraz dopasować reakcję do narracji, jaką się posługuje. Bo inaczej będziemy rozmawiać z człowiekiem, który obwinia Ukraińców za problemy na rynku pracy, inaczej z tym, który twierdzi, że biała rasa jest wyższa, a inaczej z takim, który mówi, że chce zabijać ludzi.

Dlatego tak ważne jest, żebyśmy umieli rozpoznawać procesy radykalizacji. Bez tego nie będziemy potrafili skutecznie im zapobiegać.

W krajach Europy Zachodniej, gdzie te systemy państwowe działają, niektórzy są obserwowani przez 10 lat. To często goście, którzy są cały czas gdzieś na granicy.

Obejmuje się ich miękkimi działaniami – spotkania z psychologiem, warsztaty edukacyjne. Jednak w momencie, gdy dochodzi do przekroczenia tej granicy – na przykład zaczynają w sieci wyrażać chęć walki o sprawiedliwość, czemu towarzyszy zdjęcie noża – policjant działający w takiej grupie prewencyjnej mówi: „Szanowni Państwo, bardzo doceniam wasze starania, ale już nie będziecie wiedzieli, co się dzieje z tym człowiekiem, bo teraz wkraczamy my".

Z najnowszego raportu brytyjskiego programu „Prevent" wynika, że ostatnio było nim objętych siedem tysięcy osób. Część zakwalifikowano jako wyznawców ekstremizmu islamskiego, część jako wyznawców ekstremizmu incelowskiego, ale ponad połowa nie wyznawała żadnej ideologii. Poza tym, że wyrażała chęć czynienia czystej przemocy.
– Niektórzy naukowcy na przykład nazywają inceli bezideologicznymi. Inni mówią o „salad bar extremism", czyli o ideologiach, które się mieszają i z których się wybiera to, co komu pasuje. Jeszcze inni powiedzą na te przemieszane ideologie, że tak naprawdę nie ma tam żadnej, tak jest ich dużo. Moja perspektywa jest taka, że praktycznie zawsze znajdzie się jakieś ideologiczne podglebie.

Dam przykład: zabójstwo dwóch policjantów we Wrocławiu, zastrzelonych z broni czarnoprochowej kilka lat temu. Wielu ekspertów powiedziałoby, że to ekstremizm antysystemowy, co by podpadało pod kategorię „bez ideologii". A ja skądinąd wiem, że sprawca był związany ze skrajnie prawicowym, nacjonalistycznym i prorosyjskim ruchem kamrackim.

Treści przemocowych, skrajnych jest w internecie mnóstwo. Algorytmy same je podsuwają. Jak to jest, że jeden nastolatek przejdzie obok tego obojętnie, a drugi się w to wciągnie?
– Trzeba od razu zaznaczyć jedną ważną rzecz. Osoby, które są podatne na radykalizację, które wchodzą w ten proces, w naszym postrzeganiu są ofiarami. Dopiero później, gdy radykalizacja postępuje, z ofiar mogą stać się sprawcami.

Nie ma jednego profilu młodego ekstremisty. Czasem u podłoża mogą być doświadczenia przemocy albo różnego rodzaju upokorzeń. Czasem to jest samotność, poszukiwanie przynależności. Innym razem – głębokie poczucie niesprawiedliwości, kryzys tożsamości, kryzys zdrowia psychicznego. Ale też zwykła podatność na manipulacje, jedne dzieci po prostu bardziej jej ulegają, inne mniej.

Przy tym trzeba pamiętać, że zawsze jest ta druga strona. Zawsze musi być ktoś, kto chce manipulować. Żeby proces radykalizacji mógł postępować, potrzebne jest jedno i drugie – i podatność, i ten, kto wciąga. Co oznacza, że z jednej strony musimy pracować nad ograniczaniem dostępności, a z drugiej – wzmacniać odporność.

I tu, znów, dotykamy takich tematów, jak dialog, wartości demokratyczne, umiejętność odróżniania faktów od dezinformacji.

W jednej radykalnej grupie możemy mieć elementy religijne, skrajnie prawicowe i skrajnie lewicowe

eprasa.pl c7fd6aa309

Bo wzmacnianie ich sprawi, że gdy przyjdzie manipulator, ten młody człowiek powie: „Nie idę w to". Albo: „Pójdę na mecz, ale nie będę krzyczał: »Nasza święta rzecz. Żydzi z Polski precz«". Albo: „Identyfikuję się z tradycyjnymi wartościami, ale nie będę uczestniczył w demonstracji, na której wyraża się nienawiść do innych".

Wspomniał pan o ograniczaniu dostępności do takich treści. Rozumiem, że apeluje pan w tym miejscu do wielkich firm technologicznych, które umożliwiają ich szerzenie, a nawet mają w tym swój interes?
– Oczywiście.

A czy po tej drugiej stronie naprawdę zawsze musi być ktoś? Czy nie wystarczy sama ekspozycja na takie treści?
– Gdy kończę czterogodzinne szkolenie dla nauczycieli albo policjantów, pytam ich: „Czy wiecie, ile w trakcie tych czterech godzin młodzi ludzie »skonsumowali« treści, o których tu rozmawialiśmy?".

Rzeczywiście jest ich mnóstwo i wyobrażam sobie proces, w którym ktoś nieodporny trafia na coś takiego, a poprzez kopanie głębiej i głębiej styka się z coraz bardziej radykalnym przekazem i trudno zidentyfikować jedną osobę, czy grupę, która mu w tym towarzyszy.

Trudno mi sobie jednak wyobrazić, że bez jakiejś struktury ten człowiek mógłby przejść do działania. Tam zwykle musi być jakiś lider albo chociaż współwyznawca.

Dziś sporo się mówi o sieciach The Com, o grupach takich jak 764. To rozproszone sieci, w których zwykle pojedynczy ludzie, nierzadko 16-17-latki rekrutują inne dzieci. Często używają szantażu, na przykład wyłudzają nagie zdjęcia, a potem żądają od ofiar, żeby dawały im dowody na popełnienie kolejnych aktów przemocy. Zaczyna się na przykład od zranienia domowego zwierzęcia czy młodszego rodzeństwa, a kończy na podpaleniu szkoły. To nie jest ustrukturyzowane czy zideologizowane, chodzi o czystą przemoc. Opowiadała mi o tym Katarzyna Staciwa, była podinspektor policji, ekspertka w dziedzinie zwalczania i zapobiegania seksualnemu wykorzystaniu dzieci.
– Przyjmuję, że istnieje czysta fascynacja przemocą oraz że młodzi ludzie, a już szczególnie ci, którzy zostali zaszantażowani, mogą robić tego typu rzeczy. Lub się samookaleczać czy narkotyzować, bo i takie żądania się pojawiają ze strony rekruterów. Jednak te zjawiska nie podpadają pod proces radykalizacji.

Niemniej, ilekroć o nich słyszę, zanim odrzucę temat, trzy razy się mu przyjrzę. Bo czasem okazuje się, że taki „siewca" nie wprowadza ideologii frontowymi drzwiami, tylko tylnymi. I coś, co z pozoru wydaje się jej pozbawione, zaraz okaże się mocno ideologicznie zabarwione.

Tu warto dodać, że mamy też aktorów państwowych, którzy wpływają na destabilizację.

Według raportu Global Terrorism Index 2026 radykalizacja nieletnich stała się jednym z najważniejszych trendów globalnych. W zeszłym roku dzieci i nastolatki odpowiadały za 42 proc. wszystkich dochodzeń o charakterze terrorystycznym w Europie i Ameryce Północnej. Wiemy też, że agenci państwowi werbują młode osoby do siania tej destabilizacji.
– No właśnie. I jeśli spojrzeć, kto jest wykonawcą głośnych medialnie działań, to można się przekonać, że często są to osoby bardzo młode.

Gdyby temu 16-latkowi udało się sprawniej rzucić koktajlem Mołotowa w warszawską synagogę, to dym byłoby widać z całego świata. Musimy mieć tego pełną świadomość.

Natomiast, znów, świat nie jest czarno-biały i źle się dzieje, kiedy oceniający tego typu zdarzenia z góry zakładają: „A, to na pewno Rosja", w związku z tym „nie mamy na to wpływu, niech służby się tym zajmą". Łatwo wpaść w pułapkę takiego myślenia, dlatego przed nią przestrzegam, bo nawet jeśli proces radykalizacji zaczyna się od jakiegoś aktora zewnętrznego, to wszystko dzieje się w naszym otoczeniu.

Co ma pan na myśli?
– Łatwo powiedzieć: „To Rosja tego człowieka zradykalizowała". A co w takim razie z setkami komentarzy podburzającymi Polaków wobec Ukraińców typu „to nie nasza wojna"? Przecież to jest dokładnie ta sama strefa wpływów!

Rosja sieje naprawdę szeroko, więc nie dziwmy się, że jeśli w domu mówi się, że „Ukraińcy to Wołyń" i „to nie nasza sprawa", to taki młody człowiek pójdzie o krok dalej.

Zacznie się od nienawiści do koleżanki czy kolegi w klasie, którzy pochodzą z Ukrainy, a chwilę później będzie nienawiść do każdego „innego".

Narracje terrorystyczne, destabilizujące kierowane ze strony rosyjskiej w różne środowiska są nieustannie dostarczane do Polski. Pytanie, które będą mieć charakter polaryzujący, a które trafią różnymi kanałami bezpośrednio do kogoś, kto później wyjdzie z nożem na innych albo zniszczy jakąś infrastrukturę? To są dwa różne poziomy, ale powiązane. W interesie Rosji jest słaba demokracja w państwach europejskich, więc inwestuje we wszystkie działania siejące chaos.

Mówi pan o wspólnocie, tymczasem z „Diagnozy Młodzieży" wiemy, że dla 70 proc. polskich uczniów szkoła jest źródłem codziennego stresu. 3/4 z nich z różnych przyczyn nie czuje się w niej bezpiecznie. Przeważająca większość doświadczyła jakiegoś rodzaju przemocy rówieśniczej.
– Doskonale zdaję sobie sprawę z kryzysu polskiej szkoły i pewnie byłbym laureatem pokojowej nagrody Nobla, gdybym miał odpowiedzi na wszystkie pytania, wydaje mi się jednak, że szkoła, w której się więcej dialoguje i więcej mówi o wyzwaniach współczesności, to dobry kierunek. Bo te wyzwania na pewno są inne niż 10 czy 20 lat temu.

Pytanie, w którą stronę chcemy iść? Czy chcemy, żeby nasze dzieci lepiej sobie radziły w świecie, który mamy?

Spójrzmy, ile z nich ma dodatkowe lekcje angielskiego. Dlaczego? Bo rodzice mówią: „Angielski ci się przyda". Umiejętność czytania mediów, prowadzenia dialogu i ochrony wartości demokratycznych też się przyda.

No ale to jest też kwestia świadomości. A rola szkoły w jej budowaniu jest nieoceniona. Bo wiedzę o tym, czym jest na przykład radykalizacja i jak wpływa na nasze codzienne bezpieczeństwo, dziecko może też przynieść ze szkoły do domu.

Po czym poznać, że nasze dziecko się radykalizuje? Często słyszy się po fakcie: „On taki cichy był. Nic nie było po nim widać".
– Sygnały zawsze są. Trochę już o tym mówiliśmy: to może być zmiana zachowania, ubioru, grupy rówieśniczej. Ale to może być też jakieś poczucie odrzucenia, osamotnienie, gniew. Choć tu trzeba być ostrożnym, bo mówimy o nastolatkach i to, że młody człowieka szuka nowej przestrzeni czy tożsamości, nie oznacza od razu, że ma kontakt z tak zwanym Państwem Islamskim.

Na pewno ważną wskazówką może być normalizacja nienawiści. Żarty, memy, pogardliwe określenia, które odczłowieczają innych. Albo oswajają brutalne treści, które nagle przestają szokować. A dalej – usprawiedliwianie przemocy, kiedy ona zaczyna być przedstawiana na przykład jako samoobrona lub zemsta czy obowiązek wobec czegoś.

Wyobrażam sobie, że będzie to coraz trudniejsze do ustalenia, bo nasz codzienny język i sposób, w jaki się do siebie odnosimy, brutalizują się. Powiedzenie „nienawidzę kogoś", „niech zdechnie" przestają już robić wrażenie.
– Zgadzam się. I tym bardziej powinniśmy znać schemat radykalizacji i mieć system – będę to powtarzał w kółko – żeby rodzic ze wsparciem nauczyciela czy posterunkowego mógł to umiejętnie zdiagnozować.

Inna rzecz jest taka, że w Polsce są politycy, którzy uprawiają rosyjską propagandę, rozpowszechniają treści skrajne, są antysemiccy, agresywni, używają retoryki ekstremistycznej i mają kontakty z międzynarodowymi sieciami ekstremistycznymi, a mimo to chodzą wolni.

Są dwie możliwości, dlaczego tak się dzieje: albo polskie prawo nie działa...

...albo?
– Jest to rachunek polityczny. Jedno i drugie źle świadczy o rządzących.

Zna pan osoby, które były na ścieżce radykalizacji, ale udało im się z niej zejść?
– Znam mnóstwo takich osób, zarówno skrajnie prawicowych, jak i skrajnie lewicowych. Z niektórymi chodzimy na spotkania do szkół i z policją. Proszę mi uwierzyć, że efekt jest piorunujący. Szczególnie na młodych ludziach takie spotkania robią wrażenie.

Tylko znów, ja mogę z takim byłym ekstremistą pójść do jednej czy drugiej szkoły, ale byłoby znacznie lepiej, gdyby na przykład na każdym przystanku autobusowym był kod QR, pod którym znajduje się filmik, na którym taki były ekstremista zrozumiałym dla młodych językiem opowiada o swoim doświadczeniu. My też moglibyśmy „siać" szeroko.

Dlaczego w sumie nie mamy takich przystanków?
– Ponieważ radykalizacja wciąż nie została rozpoznana jako bardzo ważny problem społeczny.

To może teraz już zostanie?
– Wątpię, a wie pani dlaczego? Kilka lat temu, jeszcze za poprzednich rządów, Instytut Bezpieczeństwa Społecznego przedstawił przedstawicielom partii politycznych koncepcję rozwiązania systemowego wzorowanego na najlepszych przykładach zagranicznych. Najlepszy odbiór, jaki mieliśmy, brzmiał: „Czy mogę o tym twittnąć?".

Nie wierzę.
– Cytuję dosłownie. To był głos z ówczesnej opozycji. Po zmianie władzy dostałem propozycję pracy w dwóch instytucjach państwowych, gdzie teoretycznie miałbym wpływ na tworzenie takiego systemu.

Jednak bardzo szybko się zorientowałem, że jedyne co bym tam robił, to budował narrację przeciwko politycznym wrogom.

Wtedy postanowiłem zmienić metody działania.

Miał pan dość?
– Zaangażowałem się w budowanie w Oświęcimiu międzynarodowego instytutu zajmującego się badaniem i przeciwdziałaniem radykalizacji, ekstremizmowi i terroryzmowi, bo to mi się wydało sensowniejsze.

I powiem pani szczerze, że zamiast występować na kolejnej konferencji, po której po wszystkich spłynie to, co zostało powiedziane, wolę pójść do tej jednej szkoły, czy tej jednej instytucji i tam zrobić jakąś zmianę.

Słyszę to od wielu społeczników. Mają po dziurki w nosie konferencji, webinarów, warsztatów, paneli i tak dalej.
– To skandaliczne, że w Polsce wciąż nie przyjęto strategii do walki z antysemityzmem. Tyl-

Badacz radykalizacji młodzieży:

Źle się dzieje, kiedy oceniający zdarzenia takie, jak ostatnie ataki w szkołach, z góry zakładają: „A, to na pewno Rosja". Bo za tym idzie: „Nie mam na to wpływu, niech służby się tym zajmą"

Weźmy wydarzenia z marca, kiedy podpalono zakład produkujący broń w Czechach, w czym uczestniczyli również młodzi polscy ekstremiści lewicowi. Zrobili to, bo byli przekonani, że zakłady produkują broń dla Izraela, używaną między innymi w Gazie. Tymczasem okazało się, że owszem, zakład produkuje broń, ale dla Ukraińców. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w tym zmyleniu sprawców miały udział rosyjskie służby.

Proszę zobaczyć, co się dzieje. Zaczęliśmy od szkoły i młodych ludzi, a kończymy na polityce globalnej. Dlatego powtarzam, że proces radykalizacji jest procesem skomplikowanym, wielowątkowym, wymagającym wielosektorowych działań.

Bo na końcu może się okazać, że jedno działanie takiego zradykalizowanego młodego człowieka doprowadzi do jakiegoś poważnego kryzysu międzynarodowego.

Konsekwencje mogą być gigantyczne.

Powiedział pan o tym, co może sprzyjać radykalizacji, a czy jest coś, co chroni przed nią? Działa na zasadzie szczepionki?
– Zaufanie. I wspólnota. Budowanie takiej społeczności, w której dzieci mają poczucie, że w razie zagrożenia, niepewności mają się do kogo zwrócić. To może być dom, szkoła, miejscowość, w której żyjemy.

Warto dbać o ten grunt, na którym wszyscy możemy się spotkać, jako społeczeństwo obywatelskie demokratycznego państwa prawa, niezależnie od poglądów.

eprasa.pl c7fd6aa309

ko wyłącznie z chłodnego politycznego wyrachowania.

Dokument jest przygotowany, spełnia wymogi organizacji międzynarodowych, ale my jako jedyny kraj europejski, w sytuacji, kiedy mamy wzrost antysemityzmu porównywalny z czasami przedwojennymi, go nie podpisujemy. Dlaczego? Bo jeszcze stracimy trochę głosów.

Jeżeli działania o charakterze prewencyjnym, de-radykalizacyjnym, mają być umotywowane politycznie, to nie mamy żadnych szans na ich skuteczność. To powinien być konsensus pomiędzy wszystkimi partiami.

Chcę jeszcze wrócić do tych młodych mężczyzn, którym udało się porzucić ekstremizm. Jak bardzo byli w nim zaawansowani?

– Działali w międzynarodowych albo lokalnych strukturach o charakterze ekstremistycznym, choć nie mieli takich zapędów terrorystycznych. Jeszcze.

Czasami tym ludziom udaje się wyjść przez wiedzę. Mamy takiego chłopaka w Poznaniu, który zaczął dużo czytać różnych rzeczy i nagle ta jego ideologia przestała mu się kleić. To był taki ekstremista-intelektualista.

Czasami to jest jakieś silne przeżycie, na przykład uczestniczenie w pobiciu kogoś. Sporo osób się zakochuje i dzięki temu schodzą z tej drogi. Ale wie pani, w co idzie najwięcej ekstremistów?

Nie wiem... w Kościół?

– O, też! Dużo! Ale jeszcze więcej idzie w biznesy, mniej lub bardziej legalne. Bo, jeśli mam do wyboru – pójść na akcję, w której znów komuś przyłożę albo iść zarobić, to wolę zarobić. Niestety, akurat oni są bardzo mało chętni do opowiadania o swoich doświadczeniach.

Mnie w tym wszystkim najbardziej kręci to, jak tego procesu wychodzenia nie pozostawiać losowi. Jak dotrzeć do tych ludzi i ich z tej drogi zawrócić. Bo nie możemy liczyć na to, że nagle wszyscy się zakochają.

I tu mamy bardzo fajne pomysły na przykład z Wielkiej Brytanii. W jednym z programów wytypowano na platformach społecznościowych setkę osób radykalizujących się i pracowano z nimi bezpośrednio – nie nad totalnym zawróceniem, ale nad osłabieniem ich tendencji. W wielu przypadkach te osoby nie wiedziały nawet, że rozmawiają z kimś, kto próbuje ich deradykalizować.

Mamy wzór duński, tak zwany Model Aarhus, który opiera się na ścisłej współpracy policji, szkół, organizacji lokalnych, opieki społecznej i służy wczesnemu wykrywaniu zagrożeń. Osobom już zradykalizowanym przydziela się psychologa albo kogoś z podobnym doświadczeniem. Jest wsparcie dla rodziców

Oprócz tego są też działania „exitowe", czyli aktywna praca nad wychodzeniem z grup ekstremistycznych. To może być telefon pomocowy, na który przeważnie dzwonią bliscy i mówią: „Mamy ekstremistę w rodzinie. Czy możecie pomóc?".

Ale to może być inny rodzaj kontaktu. Na przykład koledzy z Niemiec na neonazistowskim koncercie sprzedawali w bardzo przystępnej cenie koszulki z wizerunkami zespołów, które tam grały. Po upraniu oryginalny obrazek się spierał, a w jego miejscu pojawiał się napis: „Ta koszulka się zmieniła, możesz i ty. I numer linii pomocowej".

Świetne!

– Prawda? Ale zmartwię panią, znam też gości, którzy wrócili. To jest dopiero porażka... Może nie wrócili już do tych skrajnych ugrupowań, to były jakieś pośrednie środowiska, no ale na pewno nie-demokratyczne.

Dlaczego wrócili?

– Mam wrażenie, że cały czas zalegało w nich jakieś poczucie krzywdy, niesprawiedliwości. Czuli też, że wykonali jakąś pracę, opowiadają o swoich doświadczeniach, ale to nie jest doceniane.

A tam ich doceniano.

– Doceniano, wysłuchano, akceptowano.

Krzywda jest częstym elementem w procesie radykalizacji. I gdy nie zostanie jakoś zaadresowana, to nawet jeśli ktoś wyjdzie z ekstremizmu, może przy nim zostać.

Zdarza mi się słyszeć: „Wiem, że dla tych, którzy teraz są moimi przyjaciółmi, zawsze będę tym, który stamtąd wyszedł".

Dlaczego ta przemoc jest dziś tak atrakcyjna dla wielu młodych ludzi? Przecież ci dwaj chłopcy zniszczyli życie też sobie.

– Nie ma na to dobrej odpowiedzi. Rozmawiałem kiedyś z rodzicami chłopaka, któremu prawie udało się popełnić akt terroru motywowany nienawiścią.

Powiedziałem im tak: „Mam taki pomysł, że ja jako znający proces radykalizacji wezmę do pomocy psychologa i zaczniemy z państwa synem rozmawiać. Być może dzięki temu za jakieś dwa lata on stanie naprzeciwko potencjalnej ofiary oraz społeczności, którą też by skrzywdził, zmierzy się z prawdą, ale będzie miał życie. Dokończy je.

Jeśli natomiast zdecydują się państwo tylko i wyłącznie na to, co proponują wasi prawnicy, to wasz syn nie pójdzie siedzieć pojutrze, albo pójdzie i wyjdzie za dwa miesiące, ale życia to on nie będzie miał nigdy. Bo proces radykalizacji w ogóle nie zostanie ruszony".

Na czym stanęło?

– Rodzice wybrali opcję prawników. Syn dostał zarzuty, odbył jakąś karę, ale nadal jest ekstremistą. Cały czas widzę jego aktywność w sieci.

Wie pan, dlaczego ci rodzice tak zdecydowali?

– Nie, bo zerwali kontakt. Myślę, że rodziców też czasem kuszą proste rozwiązania.

Wrócę jeszcze do pani pytania, dlaczego przemoc jest dziś taka atrakcyjna. Ona, mam wrażenie, zawsze dla niektórych była atrakcyjna. I uciekałbym od myślenia, że mamy do czynienia z czymś zupełnie nowym. Właśnie na tym polega dramat: „Panie Jacku, 10 czy 20 lat temu miał pan rację".

Mało tego, mieliśmy wcześniej do czynienia z atakami terroru w Polsce, tyle że niekoniecznie nazywano je ideologicznie inspirowaną działalnością zradykalizowanych osób. Jeżeli małżeństwo przynosi bombę na Paradę Równości, to jest próba zamachu terrorystycznego. Jeżeli człowiek związany ze skrajną prawicą wnosi bombę do autobusu we Wrocławiu, to jest próba zamachu terrorystycznego.

Przed tymi dwoma atakami w szkołach, w połowie września, ABW zatrzymało na Śląsku dwóch zradykalizowanych 16-latków związanych ze środowiskiem neonazistowskim, którzy byli zainteresowani zamachami terrorystycznymi. Kilka dni później aresztowano kolejnego, powiązanego z nimi, 17-latka, który już planował zamachy między innymi na szkołę oraz meczet.

– Trzeba przyznać, że w całym tym instytucjonalnym pejzażu akurat ABW się broni. Od pewnego czasu przejmuje się tym tematem, ma swoje ekspertyzy, edukuje i komunikuje się. Ale nie oszukujmy się, że ABW rozwiąże wszystkie nasze problemy. Ona właśnie dlatego się komunikuje, żeby zdobyć sojuszników do swoich działań.

Na pewno w służbach jest wielu ekspertów, którzy po ostatnich wydarzeniach chcą się dokształcić z tych tematów.

Ale jeszcze kilka lat temu statystyki wyglądały tak: w każdym landzie niemieckim było 20 policjantów przypisanych do walki z zagrożeniami dla demokracji, my na całą Polskę mieliśmy dwóch.

Nie sądzę, żeby od tamtego czasu to się jakoś znacząco zmieniło.

Przez wiele lat na pytanie: czy jesteśmy bardziej zradykalizowani, czy mniej, bardziej rasistowscy, czy może bardziej faszystowscy? – odpowiadałem, że powinno brzmieć ono inaczej- czy robimy wystarczająco dużo, żeby z tym wszystkim walczyć? I na tak postawione pytanie moja odpowiedź brzmi: „Zdecydowanie nie". ●

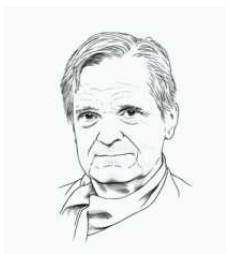
#NieMaMnieTutaj

• Tekst powstał w ramach akcji #NieMaMnieTutaj. Zaczęliśmy ją z niepokoju o świat, w którym dorastają dzieci i młodzież: o to, kto kształtuje ich emocje, relacje i sposób myślenia. Przyglądamy się samotności, kondycji psychicznej, szkodliwym treściom i odpowiedzialności Big Techów, a także temu, co naprawdę dzieje się po drugiej stronie ekranu

• Czytaj tu: **#NieMaMnieTutaj**

Ucieczka od wolności

Zapytałem młodzieńca, czy rozumie coś z serii nastoletnich zamachów w szkole



Jarosław Mikołajewski

Fortunny zbieg okoliczności sprawił ostatnio, że znalazłem się w bezpośredniej bliskości kogoś młodego, czyją prawdziwość mogłem zweryfikować okiem i uchem. Boję się podróbek. Kiedy wchodzę do internetu, zwykłem już wątpić, czy obraz człowieka na monitorze odpowiada rzeczywistości. Czy nie został mi podsunięty przez kogoś o intencjach oszukańczych, prześmiewczych, badawczych – w każdym razie pokrętnych.

Wspomniany młodzieniec został usadowiony blisko, przez godzinę zamknięte miał drogi ucieczki, skorzystałem więc ze sposobności, by spytać u źródła, czy rozumie coś z serii nastoletnich zamachów na szkolną społeczność.

Odpowiedział rzeczowo, że nie zna konkretnych sytuacji, nie może więc wypowiadać się o ich bohaterach, lecz że dalekie mu jest zdziwienie. Na moją wzmiankę o odstraszającej perspektywie pozbawienia wolności dodał, że perspektywa więzienia nie musi być wcale odstraszająca dla kogoś, kto przecież – jak teraz często się zdarza – może nie chcieć podejmować decyzji.

Może być tak – zrozumiałem jego słowa w ten sposób – że więzienie jest nie tylko sytuacją wliczoną w ryzyko, lecz wręcz przywołaną, pożądaną. I dodał, że brak wolności w pewnych okolicznościach jest najwyższą formą wolności.

Kiedy jeszcze tego samego dnia zobaczyłem relacje z protestów i akcji przemocowych na ulicach miast francuskich i włoskich, wspomniałem słowa mojego rozmówcy z podziwem – bo oto spotkałem kogoś, kto myślał filozoficznie, z czym nie spotkałem się już od dawna.

Lecz również z poczuciem, że świat, który uważam za mój, nie jest popękaną jednością. Że jest poprzełamywany, i jeśli nawet uda mi się zrozumieć tę jego część, która znalazła się poza jedną z rozpadlin, to nie zdołam go w sobie pojednać, zszyć, zintegrować. Muszę przyjąć, że dryfuję na krze, i mogę tylko patrzeć z rosnącego dystansu.

Z drugiej strony wciąż łapię się na tym, że powinienem interweniować, zapobiegać upominać się. Napominać. Że jeśli nie zareaguję na krzywdę lub zło, to ktoś w końcu (lecz czym jest ten koniec?) spyta „gdzie byłeś? dlaczego nic nie zrobiłeś?".

Taki nakaz wytworzył we mnie świat, który mnie ukształtował – ten spod znaku Simone Weil i Alberta Camusa. Czuć się odpowiedzialnym nawet wtedy, gdy nie jestem w mocy zaradzić. I nie pozostawić bez adekwatnego słowa.

W rzece takich mniej więcej myśli natrafiłem na obrazki z bliskiej rzeczywistości: ten sprzed Trybunału, z Pałacu, z Sejmu, z ulicy. I ten z sondaży, które widzą co najmniej stałe poparcie dla antysemity – pomimo wrogości, jaką praktykuje także wobec wszystkich, którzy go popierają.

Bo przecież – chce mi się krzyczeć – swoją nienawiścią dla tego, co indywidualne, prywatne, zagraża każdym indywidualnościom i prywatnościom. Chce mi się pytać, dlaczego on (nie chcę nawet wymieniać go z nazwiska) nie siedzi w więzieniu. Dlaczego chodzi i poraża? Mami do tego stopnia, że nawet jego obrzydliwy, prasujący, obsesyjny język bywa nazywany wspaniałym.

W odpowiedzi na własne pytania, patrząc na obecność kompromitujących się polityków pod Trybunałem, wracam do pojęć i zasad dawnych, szlachetnie spłowiałych. Takich jak odpowiedzialność za wspólnotę. Zmysł granicy, której nie można przekroczyć. Wyczucie nikczemności nie do wypowiedzenia. Podłości, które powinny strącać w przepaść, a windują na szczyty wspólnego krajobrazu.

I we własnej śmieszności, żałosnej nienowoczesności, nie potrafię znaleźć innych rozwiązań. Tylko to, by podejmować rozumienie ludzi młodych i trwać po tej stronie starego świata, którą uważam za słuszną.

A jeśli przyjdzie walczyć o wolność, proszę tylko o hasło. ●

eprasa.pl c7fd6aa309

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WE WTOREK 27 PAŹDZIERNIKA W „WYBORCZEJ”



Kalendarz astronomiczny na 2027 rok

Zaćmienie Słońca, Droga Mleczna, zorze polarne, roje meteorów, obłoki srebrzyste...

- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

GAZETA wyborcza

eprasa.pl c7fd6aa309

KRAJ

Czy Mateusz się przestraszy



Morawiecki nie ma dobrych kart w ręku. Odkrywa, że w 2026 roku nie da się przyciągać wyborców, publikując raporty, rzucając ciekawe propozycje programowe, ściągając ekspertów i organizując merytoryczne konwencje

Arkadiusz Gruszczyński

Nasz największy lęk? Że ulegniemy szantażowi Telewizji Republika – mówi mi jeden z ważniejszych polityków Rozwoju Plus, stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego.

Do ludzi byłego premiera dochodzą sygnały od Tomasza Sakiewicza, szefa najważniejszej telewizji na prawicy, że Republika będzie grała na PiS i starała się przekonać Morawieckiego do porzucenia image'u narodowego technokraty pragmatyka, zaostrzenia prawicowego kursu i zawarcia porozumienia z Jarosławem Kaczyńskim.

Sakiewicz – choć z „Naczelnikiem" ma na pieńku, bo uważa, że skoro sprawuje taki rząd dusz, powinien mieć status równy prezesowi PiS – w wielkiej wojnie na prawicy stawia na Jacka Sasina, który był architektem rozwodu Morawieckiego z PiS.

A jednocześnie czy wręcz przede wszystkim – człowiekiem od dekad bliskim uchu Kaczyńskiego oraz dysponującym publicznymi pieniędzmi ministrem aktywów w rządzie Zjednoczonej Prawicy, co sprawia, że opłaca się być jego kumplem na wypadek powrotu PiS do władzy.

– I dlatego „Sakiewka" będzie chciał przekonać swoich widzów, a więc naszych wyborców, że Morawiecki zdradził, jest miękką prawicą i szykuje się na koalicję z Donaldem Tuskiem. Obawiam się, że Mateusz przestraszy się i zacznie mówić językiem Czarnka, Ziobry i Brauna. A wtedy nasza przygoda z polityką się skończy – słyszę od współpracownika byłego premiera.

●

Porozplątujmy nieco lęki, o których w wielkiej konspiracji opowiadają mi posłowie Rozwoju Plus.

Morawiecki odszedł z Prawa i Sprawiedliwości – lub jak lubią mówić ludzie byłego premiera: został wyrzucony w wyniku intrygi Sasina, który przekonał Kaczyńskiego o jego nielojalności – ponieważ nie zgadzał się z obecną linią partii.

Oficjalnie ekspremier twierdził, że Przemysław Czarnek, były minister edukacji, charyzmatyczny mówca i kandydat PiS na premiera, czołowy przedstawiciel frakcji bogoojczyźnianej, oraz politycy związani ze Zbigniewem Ziobrą przejęli partię, przez co zaostrzyła kurs wobec Unii Europejskiej, Ukrainy czy wymiaru sprawiedliwości.

A tymczasem, uważa Morawiecki, rezerwuar wyborców jest gdzie indziej, czyli w centrum. W aspirujących i cieszących się obecną prosperity małych miasteczkach, wśród średnich przedsiębiorców oraz w nowej klasie średniej, którą zniechęca ciągłe bujanie łajbą, w czym wyspecjalizował się Kaczyński.

Natomiast „Prezes" wybrał ostry kurs: radykalizując język, chce odbić wyborców, którzy do 2023 roku głosowali na PiS, lecz po oddaniu władzy przez prawicę przerzucili głosy na Grzegorza Brauna. A on czerpie pełnymi garściami w prawicowym elektoracie, któremu nie przeszkadza antysemityzm, jawnie prorosyjska narracja czy z upodobaniem demonstrowana antyunijność lidera Konfederacji Korony Polskiej, bo każdy wybiera z szerokiej oferty „frontu gaśnicowego", co mu pasuje, przekonując siebie, że z niewygodną dlań resztą jakoś to będzie.

Lecz strategia Kaczyńskiego się nie powiodła: sondażowo PiS ma się z miesiąca na miesiąc coraz gorzej, a Braun umacnia się na pozycji czwartej siły politycznej w kraju. „Naczelnik" dawno tak się nie pomylił. Zapomniał, że hegemonię buduje się szerokimi skrzydłami, co zgrabnie udowadnia Tusk trzymający na pokładzie konserwatywnego ultrakatolika Romana Giertycha i lewicową działaczkę Dorotę Łobodę.

Nieoficjalnie na Nowogrodzkiej o rozwodzie z ludźmi Morawieckiego mówi się nieco inaczej. – Sasin i otoczenie Ziobry musiało pozbyć się byłego premiera i 40 posłów, ponieważ dokładnie o taką liczbę może zmniejszyć się liczba naszego klubu w przyszłej kadencji parlamentu. Żeśmy się napracowali przy tej operacji jak mało kiedy – przyznaje polityk PiS.

Nie chodziło więc o idee, kurs partii, dokumenty strategiczne, grę na wielu fortepianach czy „dwa płuca", tylko o świadome wycięcie konkurentów z gry o dobre miejsca na listach wyborczych.

A ludzie Morawieckiego udowodnili w 2024 roku w wyborach do europarlamentu, że mimo dalszych pozycji potrafią wykręcać dobre wyniki. Waldemar

eprasa.pl c7fd6aa309

Buda, Michał Dworczyk czy Piotr Müller poradzili sobie lepiej niż „jedynki" wskazane przez Kaczyńskiego. – Nawet gdyby pan prezes dał im najbardziej niebiorące miejsca, i tak przegoniliby innych i za rok okazałoby się, że frakcja Morawieckiego miałaby większość w klubie parlamentarnym – słyszę na korytarzu sejmowym.

Morawiecki musiał odejść, ponieważ był zagrożeniem dla zbyt wielu frakcji – Jacka Sasina, Zbigniewa Ziobry i Tobiasza Bocheńskiego, ambitnego europosła zyskującego ostatnio w oczach prezesa.

A obecne podchody Sakiewicza to kolejny etap operacji „Wykończyć bankstera". Tłumaczy mi to jeden z posłów, którzy wspólnie z Morawieckim opuścili PiS w wakacje. – Republika zacznie sączyć narrację o rozłamowcach, którzy atakują Kaczyńskiego, ponieważ są dogadani z postkomunistami. Cel jest jasny: mamy się przestraszyć i mówić językiem Czarnka, żeby się zradykalizować i w rzeczywistości wrócić pod skrzydła PiS.

Brzmi nieco absurdalnie: bo po co Morawiecki miałby wracać do macierzystego ugrupowania, skoro zagraża byłym kolegom? I dlaczego Sakiewicz miałby wziąć udział w intrydze? – Dlatego, że chce rozdawać karty na prawicy – słyszę.

Ale to, co pasuje Kaczyńskiemu, nie pasuje jego żołnierzom. – Skutecznie blokujemy takie ruchy – przyznaje polityk PiS.

●

Mądrość etapu może jednak zmusić obie strony do pomieszczenia się na wspólnej liście.

„Maślarze", a więc zwolennicy twardego kursu PiS, mogą bruździć i fukać, ale koniec końców nie sprzeciwią się woli prezesa, do którego docierają precyzyjne badania sondażowe i wciąż ma niezły słuch społeczny. A kiedy dojdzie do mijanki z Konfederacją, która ma już tylko kilka punktów procentowych mniej, zapanuje atmosfera „wróg naszego wroga chwilowo nie jest naszym wrogiem".

Kręcący nosem na powrót frondystów w końcu wyciągną też wnioski z sytuacji Platformy Obywatelskiej i reszty opozycji z lat 2015-23, która – zajęta sama sobą – przegrała wszystkie możliwe wybory. I dopiero jej taktyczne zjednoczenie przed głosowaniem ostatniej szansy w październiku 2023 przyniosło zwycięstwo. A dzisiaj Kaczyński ma własne Nowoczesną i Polskę 2050, czyli dwie Konfederacje i Rozwój Plus. I – podobnie jak Grzegorz Schetyna i Borys Budka, czyli byli liderzy PO – wykonuje nerwowe ruchy.

Co nie znaczy, że Morawiecki ma dobre karty w ręku. Odkrywa, że w 2026 roku nie da się przyciągać wyborców, publikując raporty, rzucając ciekawe propozycje programowe, ściągając ekspertów czy organizując merytoryczne konwencje. Rozwój Plus chciałoby zbudować prawicową Unię Wolności – elitarną partię wyrosłą po Okrągłym Stole i upadku PRL z inteligenckiego skrzydła antykomunistycznej „Solidarności" – a więc ugrupowanie technokratycznych ideowców, którzy mają pełne szuflady reform.

Spójrzmy na ostatnie działania Mateusza Morawieckiego, które mogą imponować ekspertom, lecz nie wywołują momentu politycznego, a więc nie mają realnej szansy na realizację.

• Były premier organizuje na Pradze w Warszawie wakacyjne spotkanie ze zwolennikami, w trakcie którego ogłasza założenia polityki migracyjnej. Czyli nic nowego – ale nie do końca, bo ma być prowadzona nie z pomocą nalotów i przemocy, lecz „inteligentnie", z użyciem aplikacji i technologii śledzących uchodźców.

• Następnie Morawiecki objeżdża kraj, spotyka się z samorządowcami, przeciąga kilku radnych na swoją stronę.

• Po drodze ogłasza kilka gospodarczych pomysłów, takich jak pensja rodzicielska w wysokości 4800 złotych brutto miesięcznie wypłacana jednemu z rodziców do trzecich urodzin dziecka. Czy reforma Trybunału Konstytucyjnego, zakładająca wybór nowych sędziów na 12-letnie kadencje ponad podziałami politycznymi.

• W połowie października Morawiecki ściąga do Warszawy swoich zwolenników na konwencję programową.

• Jeszcze w tym roku ma wyjść jego książka „Wielka strategia państwa polskiego".

Coś, co łączy te wszystkie wydarzenia, a więc merytoryczne przygotowanie – mniejsza, realne czy deklarowane – do zarządzania państwem, okazuje się największą pułapką Mateusza Morawieckiego.

• Weźmy pensję rodzicielską, o której nawet prominentni posłowie Nowej Lewicy w kuluarach wypowiadają się z uznaniem.

Kaczyński grał na dwa fronty: miał szufladę pełną planów, a jednocześnie – jak nikt inny – polaryzował społeczeństwo. Tusk działa podobnie: zaplecze ekspercie dostarcza premierowi duże projekty np. inwestycje w połączenia kolejowe, program zbrojeniowy SAFE czy pakiet lewicowych projektów socjalnych, a w tym samym czasie gra na emocjach antyimigranckich

◀ Przewodniczący KP Rozwój Plus podczas prezentacji raportu „Założenia nowej polityki obronnej Polski." Warszawa, strzelnica na ul. Bema 60, 22 września br.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pieniądze miałyby zastąpić 800 plus wypłacane wszystkim dzieciom, również top menedżerów czy informatyków na optymalizującym podatki samozatrudnieniu. Byłyby również oskładkowane podobnie jak pensja, co w konsekwencji dałoby wyższą emeryturę kobietom, które najczęściej zostają w domu, zajmują się niemowlakami i nawet jeśli robią później kariery, to wypada im ładnych parę składkowych miesięcy, jeśli nie lat.

Problem w tym, że Morawiecki i jego ludzie nie potrafią przebić się z tym postulatem do wyborców w atrakcyjny, zwięzły sposób. Używają wielu -izmów i zdań wielokrotnie złożonych naszpikowanych ekonomicznym słownictwem, więc o pomyśle wiedzą tylko eksperci i dziennikarze zajmujący się polityką.

To samo wydarzyło się z propozycją resetu konstytucyjnego. Pomysły polityków Rozwoju Plus zakładają publikowanie wyroków TK samodzielnie przez instytucje, a nie jak, jak obecnie oraz za rządów PiS, przez Kancelarię Premiera. Dalej: 12 sędziów wybierałby Sejm większością 2/3 głosów, co w polskim systemie parlamentarnym zakłada zawiązanie ponadpartyjnego porozumienia. Jeśli posłowie przez 100 dni nie obsadziliby wakatów, prezydent mógłby rozwiązać parlament. Kadencja sędziego miałaby trwać aż 12 lat, by uniezależnić go od szantażu typu „wyrokuj po naszej myśli, bo nowa ekipa cię posunie". A osoba pracująca dla rządu – co jest wyraźną aluzją do Macieja Berka, byłego superministra Donalda Tuska, nowego sędziego TK – musiałaby odczekać cztery lata poza polityką, żeby kandydować na stanowisko sędziego.

●

Prawda o Morawieckim jest banalna: były premier i jego współpracownicy nie wiedzą, na czym opiera się współczesna polityki. Czyli nie wywołują emocji, nie budują polaryzującego przekazu i nie wskazują wyraźnego wroga.

Jasne: w warszawskich czy wrocławskich kawiarniach czekamy na polityków, którzy przed objęciem władzy przygotują precyzyjne raporty, przedyskutują propozycje programowe, opracują plan reformy państwa. Marzymy o liderach, którzy słuchają ekspertów, konsultują decyzje ze środowiskiem akademickim, ograniczają koszty społeczne trudnych reform i są na bieżąco z wynikami badań. Powiem więcej: po cichu wyczekujemy premiera, który zajmie się naprawą opieki zdrowia, zredukuje wykluczenie komunikacyjne, wprowadzi sprawiedliwy system podatkowy i raz na zawsze ochroni przyrodę przed myśliwymi i deweloperami.

Te wielkomiejskie marzenia nie mają dzisiaj większego znaczenia. Dzisiejsza polityka opiera się na skrajnej polaryzacji, mobilizacji wyborców za pomocą lęku przed przeciwnikiem i obietnicami socjalnymi oraz „zaorywaniem" i ośmieszaniem na bieżąco „tamtych" w serwisach społecznościowych. Poważna rozmowa o państwie nie jest dzisiaj po prostu w modzie.

Morawiecki zdaje się tego nie rozumieć. Od jego współpracowników słyszę, że Rozwój Plus chce postawić na emocję antypolaryzacyjną, przekonywanie mieszkańców mniejszych miast do reform i „ciężką pracę aż do wyborów". Morawczycy liczą, że społeczeństwo znudzone 20-letnią bitwą między Koalicją Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością zaufa technokratom.

– To my będziemy prawdziwą Trzecią Drogą, która krytykuje zarówno rząd Tuska, jak i strategię Kaczyńskiego. Dzięki temu wejdziemy samodzielnie do Sejmu w 2027 roku – próbują mnie przekonać moi rozmówcy z Sejmu.

– Szczerze wątpię – odpowiadam im. Ponieważ nie ma dzisiaj innych emocji politycznych niż te związane z polaryzacją. Między Tuskiem, który po kilku miesiącach przestoju wraca do wielkiej formy, a szeroko rozumianą prawicą, której liderzy wpadają w pułapki lub zaliczają wizerunkowe wtopy, ale są „jacyś", nie ma miejsca dla trzeciego gracza bez właściwości.

Morawiecki nie potrafi odnaleźć się w tym towarzystwie. – My trochę nie wiemy, do kogo tak naprawdę Mateusz adresuje przekaz. Bo atakuje Tuska, a potem wychodzi i wali w Kaczyńskiego. Jednego dnia mówi o reformie Trybunału Konstytucyjnego, ale potem nie dołącza do naszej manifestacji w jego obronie – uśmiecha się dawny kolega z PiS.

„Harcerze" widzą to inaczej. – Po pierwsze, nie będziemy częścią cyrku spod Trybunału Konstytucyjnego, nie będziemy podgrzewać atmosfery wokół instytucji, którą żeśmy zniszczyli. Po drugie, nie będziemy wykonywać żadnych nerwowych ruchów, ponieważ z badań nam wychodzi, że możemy spokojnie łowić w kilku elektoratach – mówi poseł od Morawieckiego.

W tych tajnych badaniach – o ile wierzyć w to, co przekazuje mój rozmówca – widać dwie rzeczy.

Z jednej strony Rozwój Plus jest partią drugiego wyboru dla sympatyków PiS i Konfederacji. A z drugiej strony morawczycy mogą liczyć na nowych wyborców.

– Coś panu opowiem: jeździmy cały czas po Polsce, spotykamy się z mieszkańcami w małych miasteczkach i większych miastach. Przychodzą do nas ludzie, którzy nigdy nie wybraliby się na wiec PiS, ponieważ przeszkadzało im partyjne logo. Zadają nam masę pytań, są ciekawi naszych rozwiązań, wchodzą w dyskusje. Ta energia daje nam nadzieję – słyszę w Sejmie.

Problem w tym, że jestem uodporniony na podobne spiny, które dostaję od polityków co drugi dzień. Przykład pierwszy z brzegu: w piątek słyszałem dokładnie taką samą opowieść od człowieka Nowej Lewicy, który nie mógł się nachwalić „setek ludzi spotykających się z Włodkiem Czarzastym". Rzecz jasna dyskutowali z marszałkiem Sejmu, pytali o szczegóły, zachęcali do ambitniejszej i sprawczej polityki.

●

Skomplikujemy ten obraz jeszcze bardziej, dodając dwa kolejne wątki.

Spece od politycznej kuchni przekonują od lat liderów mniejszych partii, że istnieje coś takiego jak kręgi polaryzacji. W pierwszym znajdują się Koalicja Obywatelska i PiS, a drugi nadal jest niezagospodarowany. Więc szefowie małych ugrupowań popełniają błąd, myśląc, że tylko atakowanie dużych partii przyniesie im korzyści polityczne. W rzeczywistości tylko odróżnianie się od innych maluchów może zakończyć się sukcesem, czyli wejściem do Sejmu – przekonują analitycy wynajmowani za ciężkie pieniądze.

Idąc tym tropem, Morawiecki powinien skupiać się nie na krytyce Tuska, tylko przerzucić uwagę na resztki po Trzeciej Drodze, która nie spełniła obietnicy rozbicia duopolu, a w rządzie nie może pochwalić się znaczącą reformą.

Ta zasada działa w obie strony: Władysław Kosiniak-Kamysz oraz Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, odróżniając się od Morawieckiego, za którym ciągnie się pamięć aferalnych rządów, łamania konstytucji, przejęcia i sprymityzowania mediów publicznych, konfliktu z Unią i antykobiecej polityki, mogą odbudować poparcie swoich partii.

To raz. Dwa – Prawo i Sprawiedliwość wygrywało wybory, ponieważ łączyło technokratyczną wiedzą dostarczaną przez ambitnych posłów od Morawieckiego z rozniecaniem społecznych emocji wokół sądów, praw mniejszości seksualnych, kobiet, edukacji czy przyrody, w jakich specjalizowali się reakcyjni ludowi trybuni i ziobryści. Kaczyński grał na dwa fronty: miał szufladę pełną planów, a jednocześnie – jak nikt inny – polaryzował społeczeństwo.

Tusk działa podobnie: zaplecze ekspercie dostarcza premierowi duże projekty, takie jak inwestycje w połączenia kolejowe, program zbrojeniowy SAFE wymyślony przez ekipę Adama Szłapki czy cały pakiet lewicowych projektów na czele z rentą wdowią, reformą Państwowej Inspekcji Pracy, budową mieszkań komunalnych. W tym samym czasie premier straszy elektorat liberalny przyszłą koalicją Kaczyńskiego z Braunem, gra na emocjach antyimigranckich i próbuje wywołać efekt flagi, przestrzegając przed eskalacją wojny hybrydowej, jaką prowadzi z Polską Federacja Rosyjska. I wszystko podlewa sosem obietnic finansowych, z podwyższeniem progów podatkowych na czele, na czym skorzysta klasa średnia.

Morawiecki jeszcze nie zrozumiał, że polityka polega na połączeniu tych trzech elementów. ●

eprasa.pl c7fd6aa309

ŚWIAT



Fantazja o szkolnej pielęgniarce

Z PISARZEM **ETGAREM KERETEM*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

FOT. ANTO MAGZAN/ZUMA WIRE/ALAMY/BEW

Jedynym sposobem, by przetrwać, jest stanie się kimś znacznie skromniejszym.

Mogę panu pokazać, co mam w kieszeni?
Pewnie! Kasztan?

Czytając pana opowiadanie sprzed kilkunastu lat „Co mamy w kieszeniach", ze smutkiem odkryłam, że te małe przedmioty, które pomagają nam czasem zbudować most do drugiego człowieka, powoli znikają: znaczek pocztowy, pióro, zapalniczka...
– ...monety. Niestety, nie noszę przy sobie już nic, co by mnie jakoś określało, pocieszało czy pozwoliło nawiązać rozmowę.

Jestem teraz w Nowym Jorku, gdzie prowadzę warsztaty z pisania dla studentów, i mam w kieszeniach tylko to, co służy przetrwaniu: telefon. Oraz dwa paszporty – izraelski i polski. Od rodziców wiem, że posiadanie dwóch tożsamości może nas czasem uratować.

Przejmuje się pan stanem ludzkości? Miałam takie wrażenie, czytając „Autokorektę", najnowszy zbiór pańskich opowiadań poświęconych w dużej mierze naszym relacjom z nowymi technologiami.
– Bardzo. Ale zanim powiem więcej, mały przypis.

Kiedy byłem młody, studiowałem matematykę, miałem zostać inżynierem. Potem fantazjowałem o filozofii nauki, daleko mi więc do technofoba. Nie boję się nowych technologii i dość dobrze rozumiem, jak działa sztuczna inteligencja. Niedawno brałem nawet udział w badaniach na Uniwersytecie w Tel Awiwie poświęconych kreatywności AI.

Ale?
– To, czego naprawdę się obawiam, to wykorzystywanie technologii w niewłaściwy sposób.

Kiedy byliśmy mali, z moim starszym bratem bawiliśmy się w „kolację w przyszłości". Ja byłem gościem restauracji, a on kelnerem – robotem, który mnie obsługiwał. Serwował mi, dajmy na to, jajecznicę i pytał tym swoim robotycznym głosem: „Czy pa-nu sma-ku-je? Czy ży-czy pan so-bie wię-cej so-li?". A potem zabierał mój talerz i zmywał go w taki mechaniczny sposób.

Nie mogliśmy się doczekać przyszłości.

Tymczasem kilka dni temu wstąpiłem do McDonalda. Całą żmudną robotę odwalają tam ludzie. Myją podłogi, przygotowują jedzenie, obsługują kasę. A automaty przyjmują zamówienia. Tylko że w „gotowcach" nie ma na przykład opcji „hamburgera bez sałaty". Jak ktoś jej nie znosi i tak musi wziąć to, co jest.

Jako dziecko wyobrażałem sobie więc, że w pierwszej kolejności przerzucimy na technologię czynności, których nie lubimy. W końcu słowo „robot" pochodzi od czeskiego „robota". Jednak w miarę postępu technologii okazało się, że pierwszą rzeczą, którą na nią delegujemy, jest podejmowanie decyzji. Jakichkolwiek.

Wyobraźmy sobie, że pani synek wygrywa zawody pływackie.

Niech będzie.
– Staje na podium w kąpielówkach i pozuje do zdjęć ze złotym medalem. Wybiera pani to najładniejsze i tworzy wpis na Facebooka, starając się jak najuważniej dobrać słowa, bo chce mu pani pogratulować, a nie chce go pani zawstydzić. Pisze więc pani i poprawia, aż w końcu ma pani post idealny. Wstawia go pani na swój profil, tak żeby wszyscy mogli go zobaczyć, ale co robi Facebook? Decyduje, że nie będzie go wyświetlał babci czy wujkowi, bo to nie generuje ruchu. Wyświetli go za to pedofilom, którzy chętnie popatrzą sobie na półnagiego chłopca.

I jeszcze podzielą się tym zdjęciem z kolegami.
– Inny przykład. Wchodzi pani na Instagrama i widzi: słodkiego pieska na łódce, wytatuowanego mężczyznę pokazującego, jak upiec sernik, potem kogoś, kto tonie w rzece w Chinach. Nic z tego sama pani nie wybrała. Jedyne, co pani może, to przesunąć te obrazy palcem.

Przekonujemy siebie, że dzięki technologiom jesteśmy bardziej wydajni. Cały świat mówi o optymalizacji, mniej już jednak mówi o tym, co przez to tracimy.

A co tracimy?
– Nasz niepowtarzalny charakter, na przykład. Kiedyś ludzie robili różne rzeczy po swojemu. Dziś, jak ma pani dojechać z punktu A do punktu B, to Google Maps czy inna „apka" pokaże pani tę samą trasę, co tysiącom innych osób. Nie korzystam z tych aplikacji. Owszem, ktoś inny przybędzie dzięki nim 10 minut przede mną, ale ja w tym czasie skręcę nie tam, gdzie trzeba, i trafię na kota, który spojrzy na mnie nienawistnie. A potem spotkam kogoś mówiącego z dziwnym akcentem i spytam go o drogę. Co przez te 10 minut będzie najprawdopodobniej robić osoba, która na mnie czeka?

Skrolować?
– I być może w swoim telefonie nawet zobaczy innego fascynującego kota albo człowieka, który śmiesznie mówi. Ale ten kot i ten człowiek, których ja spotkałem, będą tylko moi! Wierzymy, że nasze myśli, uczucia, marzenia są nasze, podczas gdy coraz częściej zostają nam one narzucone. Nazywam to pornografizacją życia.

Załóżmy, że jestem nastolatkiem i romantycznie fantazjuję o szkolnej pielęgniarce. Wyobrażam sobie, że uderzam się mocno w kolano, idę do jej gabinetu, ona schyla się, żeby opatrzyć mi ranę. Czuję zapach jej włosów, patrzymy sobie w oczy. I coś się między nami wydarza. Być może ta fantazja jest głupia, ale jest moja.

A jeśli wejdę na stronę pornograficzną i wpiszę: „pielęgniarki", zobaczę coś, co widziało już milion nych osób.

Taką fantazję z supermarketu.
– Tak! I jestem przekonany, że tak jak pornografia zmienia nasze pożądanie, tak sposób, w jaki korzystamy z nowych technologii, w ogóle zmienia nasze doświadczanie życia.

Wydaje się nam, że jesteśmy częścią czegoś, podczas gdy tak naprawdę nie jesteśmy.

Spójrzmy na współczesny aktywizm. Jeśli jest pani aktywistką, „lajkuje" pani pewne posty, dzieli się treściami, o których rozpowszechnienie panią poproszono, i stawia się we wskazanym miejscu na demonstracje. Tylko że w gruncie rzeczy wszystkie te czynności są pasywne. Tracimy zdolność do decydowania o sobie. A wraz z nią – tożsamość i coś jeszcze ważnego: własną opowieść.

Co pan przez to rozumie?
– Gdyby Raskolnikow zdecydował, że jednak nie zabije starszej kobiety, tylko na przykład będzie jadł mnóstwo lodów, to zamiast „Zbrodni i kary" mielibyśmy, nie wiem... „Zbrodnie i tycie"!

Nasza opowieść jest sumą naszych decyzji i wyborów. A dziś, mam wrażenie, między innymi przez to, że technologie ograniczają naszą decyzyjność, zmierzamy ku światu bez opowieści.

Kiedy korzystamy z cyfrowych narzędzi, stajemy się przede wszystkim użytkownikami.
– Otóż to. A pomiędzy byciem człowiekiem a byciem użytkownikiem jest zasadnicza różnica. Jako człowiek

eprasa.pl c7fd6aa309



może pani pomyśleć i zrobić praktycznie wszystko. Weźmy ten nasz wywiad. Mogę zaraz powiedzieć: „Proszę chwilkę poczekać”, i wyskoczyć przez okno. Mogę zacząć stukać palcem w ekran komputera. Mogę mnóstwo innych rzeczy.

A nowe technologie są jak tunel. W chwili, w której do niego wchodzimy, nie możemy skręcić tam, gdzie chcemy. Zostajemy uwięzieni. Również w tym, jak myślimy o innych i o świecie.

Gdybym napisał teraz na Facebooku: „Beniamin Netanjahu jest najgorszym przywódcą XXI wieku i powinien pójść do więzienia, choć trzeba mu oddać, że bardzo dobrze mówi po angielsku”, to taki post nigdy nie stałby się wiralem, bo algorytm nie zrozumiałby, o co mi chodzi. Ale jeśli napisałabym: „Beniamin Netanjahu jest wspaniały” albo „jest wcieleniem zła” – to rozniosłoby się natychmiast.

Jesteśmy stale indoktrynowani, by wyzbyć się wszelkich niejasności i ambiwalencji z naszych umysłów. Przez to nasz świat się kurczy. A wraz z nim zasób słów.

Korzysta pani z WhatsAppa?

Tak.

– Ja też. I codziennie dostaję dziesiątki wiadomości: od znajomych, studentów, dziennikarzy.

Któregoś dnia syn nauczył mnie, jak szybciej na nie odpowiadać: „emotką”. Teraz używam głównie trzech z nich: kciuka do góry, gestu złożonych dłoni oznaczających „dziękuję” i czerwonego serduszka. Z ich pomocą jestem w stanie odpowiedzieć na jakieś 90 proc. wiadomości. W sumie to na większość wiadomości odpowiadam tym serduszkiem.

Posmutniał pan.

– Kiedyś byłem pisarzem, który miał nieskończoną liczbę sposobów na wyrażenie emocji. Teraz za pomocą tych trzech emotikonów realizuję połowę swojej komunikacji ze światem.

Stałem się użytkownikiem języka, a nie jego twórcą. To smutne.

Nie wiem, czy pani wie, ale w San Francisco mają taksówki autonomiczne. Kiedyś stałem przed hotelem i zobaczyłem taką scenę: podjechała taksówka, a kiedy miała już skręcać, nagle stanęła, więc jadący za nią mężczyzna też się zatrzymał i zaczął trąbić. To nic nie dało, więc wkurzony wysiadł z samochodu i podszedł do niej z nadzieją – jak się domyślam – na konfrontację. Ale w środku nikogo nie było!

Wrócił do siebie, usiadł, pochylił głowę i zakrył ją rękoma.

I co pan sobie wtedy pomyślał?

– Że gdyby w tej taksówce był kierowca, mężczyzna mógłby go zwyzywać. Zaszantażować. Przekupić. Uwieść. Zaproponować mu: „Zamieńmy się na samochody”. Mógłby opowiedzieć mu sprośny żart. Przywiązać się do dachu taksówki.

Mógłby wiele, ale ponieważ w taksówce nikogo nie było, tylko maszyna, on też przestał być niejako człowiekiem. Pojął, nawet jeśli nie do końca świadomie, w jakim świecie żyje. W świecie, który stale pozbawia go sprawczości oraz spójnej, zmierzającej dokądś, narracji.

Powiedzmy, że pani i ja zbudowaliśmy maszynę czasu i przenosimy się do czasów drugiej wojny światowej, do sypialni Winstona Churchilla.

Dlaczego akurat tam?

– Bo chcemy zrobić mu takiego psikusa – jak to się mówi „pranka” – że codziennie w nocy będziemy go budzić i pytać: „Winstonie, Winstonie, powiedz nam, o co chodzi w tym popieprzonym świecie?”. Na co on: „Chodzi o to, że Hitler wraz z nazistami chcą przejąć świat i jeśli przegramy, to cała ludzkość znajdzie się pod nazistowskim butem”. I odpowiada tak, niezależnie od tego, czy jest to rok 1942, 1943, luty czy marzec.

Teraz, jeśli takiego samego „pranka” zrobilibyśmy Donaldowi Trumpowi i spytali go: „Donaldzie, Donaldzie, o co chodzi z tym cholernym światem?”, to jednego dnia usłyszelibyśmy, że „to przez Wenezuelę”, drugiego – „to przez Iran”, trzeciego: „Zbudujemy Riwierę w Gazie”, a czwartego – „Imigranci jedzą koty”.

I tak jak opowieść Churchilla w jej spójności można by przyrównać do powieści literackiej, tak opowieść Trumpa bardziej przypomina garść instagramowych rolek.

Na marginesie, nie znoszę wielu współczesnych przywódców. Netanjahu, Putina, Trumpa. Ale tak, jak kiedyś można było sądzić, że to jakaś postać sprawuje władzę nad ludzkością, tak dziś mam wrażenie, że tę władzę sprawuje czysty chaos, który wystawia tylko kolejne pacynki.

Ucieszę się, jeśli Netanjahu, Trump czy Putin znikną, jednak wydaje mi się, że nie ma specjalnie znaczenia, kto ich zastąpi. Znaczenie ma to, że utraciliśmy kontrolę nad tworzeniem tej spójnej opowieści. I kolejny przywódca nie będzie miał ani takich umiejętności, ani możliwości, żeby nam ją przywrócić. Świat mu na to nie pozwoli.

Ludzkość została zepchnięta na tylne siedzenie samochodu.

Ponura wizja.

– W powieści Vonneguta „Syreny z Tytana” żołnierze mieli w swoich statkach kosmicznych zainstalowane dwa przyciski: „start”, który pozwalał im odlecieć na pole bitwy, gdzie mieli walczyć, aż zginą, oraz „stop”, po wciśnięciu którego absolutnie nic się nie działo. Bo inżynierowie stwierdzili, iż ludzie czują się lepiej, kiedy wydaje im się, że kontrolują sytuację.

Mam poczucie, że dziś żyjemy właśnie w takiej rzeczywistości. Technologia daje nam tylko złudzenie wolności, podczas gdy stajemy się częścią jakiejś zmechanizowanej struktury.

W jednym z wywiadów wyznał pan, że czuje się tak, jakby pisał opowiadania dla ludzkości, która właśnie spada ze schodów. Nie ma pan czasem poczucia, że język jako forma komunikacji traci powoli swoją moc?

– Uważam, że i język, i opowieści wciąż mają kluczowe znaczenie, ale ich rolę po 7 października widzę już inaczej.

Jeśli przed 7 października uważałem, że jako pisarz jestem kimś w rodzaju badacza ludzkości, powiedzmy: naukowcem, który szuka lekarstwa na raka, tak teraz widzę siebie bardziej jako ratownika medycznego. Kogoś, kto za pomocą opowieści opatruje różne ludzkie rany. Opowiadanie historii stało się dla mnie niezbędną umiejętnością życiową, a nie formą sztuki czy elementem kultury.

Jak wspomniałem, prowadzę teraz kurs pisania w Nowym Jorku. Studenci nie mają go ukończyć z gotową książką. Mają stać się biegli w opowiadaniu swoich historii. To może być opowiadanie, scenariusz filmowy, poezja, ale też przekaz ustny.

Powie pan coś więcej o tej zmianie, która nastąpiła w panu po 7 października?

– Pamiętam nawet dokładny moment, w którym to się stało.

Po 7 października odwiedzałem społeczności ocalałych z zaatakowanych kibuców. Zaoferowałem, że mogę czytać książki, na przykład dzieciom, żeby je czymś zająć, ale na początku panował zbyt duży chaos. Ostatecznie zdarzało mi się pilnować dzieci, których rodzice zo-

Etgar Keret (ur.1967)

• izraelsko-polski pisarz, scenarzysta i reżyser uznawany za mistrza krótkiej formy literackiej. Jego bestsellerowe zbiory opowiadań zostały przetłumaczone na ponad 40 języków. Publikuje w „The New York Times”, „Le Monde”, „The New Yorker”, „The Guardian” i w „Gazecie Wyborczej”. Na podstawie jego opowiadań powstało ponad sto krótkometrażowych i kilka pełnometrażowych filmów. Obecnie Keret kieruje nowym programem MFA (Master of Fine Arts) w Żydowskim Seminarium Teologicznym w Nowym Jorku. Od 2021 roku prowadzi cotygodniowy newsletter na Substacku zatytułowany „Alphabet Soup”.

• Jego najnowszy zbiór opowiadań **„Autokorekta”** w tłumaczeniu Agnieszki Maciejowskiej ukaże się 28 października nakładem wyd. AGORA



eprasa.pl c7fd6aa309

stali zamordowani, albo pomagać starszym osobom w ogarnięciu ich spraw itd.

Któregoś dnia pojechałem na północ Izraela, dokąd ewakuowano kilka tych wspólnot. Miałem się tam spotkać z ocalałymi, którzy mieli 75 i więcej lat. Po moim wystąpieniu wszyscy klaskali, sala zaczęła pustoszeć, ale zobaczyłem, że jedna pani wciąż siedzi na krześle i wpatruje się we mnie ze złością. „Wszystko w porządku?" – spytałem. Prychnęła: „Ta, jasne, że w porządku! Przyjeżdża pan tu, opowiada te swoje historie i dowcipy. Wszystko niby pięknie, ale nie powiedział pan nam najważniejszego: co mamy teraz robić?!".

I co pan jej odpowiedział?
– Miałem pustkę w głowie. Ale ojciec nauczył mnie, że jeśli chcę sobie kupić trochę czasu, to muszę powtórzyć pytanie, które mi zadano. Spytałem ją więc: „Aha, rozumiem, że chce pani, żebym powiedział, co ma pani teraz robić?".

W tym momencie zauważyłem, że przez uchylone drzwi naszej rozmowie przysłuchuje się mężczyzna, który krzyczy za wychodzącymi: „Wracajcie! On nam teraz powie, co mamy robić!". I nagle wszyscy zrobili w tył zwrot. Wielu z nich poruszało się o kulach, za pomocą chodzików, na wózkach...

...a do tego mieli takie oczekiwania wobec pana!
– No, właśnie! Ale kiedy się boję i jestem niepewny, myślę o mojej mamie, bo ona zawsze dodawała mi otuchy. Zwróciłem się więc do nich: „Opowiem wam pewną historyjkę z mojego dzieciństwa, której nigdy wcześniej nie uważałem za specjalnie istotną, aż do dziś".

Ta historia stała się później mottem mojego programu pisarskiego.

To proszę ją opowiedzieć.
– Wychowałem się w Ramat Ganie. Miasteczku, w którym żyło niewielu ocalałych z Holokaustu. Pewnego dnia mama zabrała mnie do pediatry. W poczekalni stały tylko dwa krzesła, które były zajęte przez inną matkę oraz chłopca w moim wieku, pewnie ośmio-, dziewięcioletniego.

Kiedy weszliśmy, tamta matka szturchnęła syna łokciem: „Wstań i ustąp pani miejsce. Ona jest ocalałą z Holokaustu". Chłopiec posłusznie wstał. Moja mama zaskoczona tym, bo w końcu była młodą, zdrową kobietą, spytała go: „Jakie masz dobre maniery, ale powiedz, dlaczego właściwie chcesz mi oddać swoje krzesło?". „Bo jest pani ocalałą z Holokaustu" – odpowiedział chłopiec. „A co to dla ciebie znaczy?" – dociekała mama. „To, że zabito pani bliskich, że była pani głodna, brudna, że musiała się pani bardzo bać. Jedyne, co mogę zrobić, żeby choć trochę to pani zrekompensować, to ustąpić pani miejsce" – odpowiedział rezolutnie chłopiec.

Mama pogłaskała go po głowie i westchnęła: „Nie dość, że jesteś bardzo dobrze wychowany, to jeszcze umiesz pięknie przemawiać. Ale pozwól, że zaoferuję ci inne wyjaśnienie tego, co oznacza, że jestem ocalałą z Holokaustu. Dla mnie oznacza to to, że jeśli ty, twoja mama i ja będziemy musieli stać w tej poczekalni bez jedzenia i wody nie wiadomo, ile czasu, to wy padniecie na długo przede mną. Proponuję ci więc, żebyś pozostał na swoim krześle, bo może ci się ono jeszcze przydać". I chłopiec usiadł.

Jako dziecko czułem, że coś tu się wydarzyło, ale nie bardzo rozumiałem co.

„Dziś już wiem, co moja mama usiłowała mi przekazać – powiedziałem tym starszym ludziom. – Że jeśli nie będę umiał opowiedzieć własnej historii, to inni opowiedzą ją za mnie". I dodałem: „Na świecie krąży mnóstwo kiepskich opowieści, więc proponuję wam, żebyście się teraz zastanowili, kim jesteście i przez co przeszliście, zanim ktoś inny przyklei wam na czołowo naklejkę z napisem »ofiara« albo »bohater« i powie wam, jak macie o sobie myśleć".

Wierzę, że człowiek, który potrafi opowiedzieć swoją historię, będzie w stanie zachować swoją tożsamość.

A jeśli tego nie potrafi?
– To znajdzie ją na Facebooku albo na Instagramie. I dowie się na przykład, że „wszyscy Rosjanie są źli, a wszyscy Ukraińcy dobrzy". Albo, że „wszyscy Izraelczycy są źli, a wszyscy Palestyńczycy dobrzy" itd. I stanie się takim, jakim chcą go widzieć inni.

Sami też tworzymy historie o innych, które są często nieprawdziwe i niesprawiedliwe.
– Problem w tym, że najczęściej nie tworzymy ich sami. Bierzemy je skądś i albo się z nimi w pełni zgadzamy, albo je całkowicie odrzucamy. Ale one rzadko pochodzą z naszego wnętrza.

W Izraelu na przykład strach przed Palestyńczykami częściej bierze się z ciągłego czytania postów na Facebooku, które mówią: „Ci ludzie chcą nas pozabijać!". Z oglądania nagrań wideo, z których część jest prawdziwa, ale część to „fejki", niż z realnego doświadczenia.

Dziś strach i nienawiść najczęściej nie rodzą się w naszych sercach czy umysłach, tylko na ekranie. I tą drogą infekują nasz odbiór świata.

W Izraelu jestem zdrajcą. A kiedy wyjeżdżam za granicę, jestem „mordercą dzieci"

Atmosfera przypomina sytuację, w której wszyscy zbieramy się na rynku gotowi, by kogoś ukamienować, i tylko czekamy na sygnał, kto to ma być.

Mimo że najczęściej nie znamy tych osób, nie mamy ich pełnego obrazu.

Żyjemy w świecie, który staje się coraz bardziej moralizatorski, ale coraz mniej moralny.
– Zgadzam się.

Tamci są źli, ci są dobrzy. My oczywiście zawsze jesteśmy wśród tych dobrych.
– Problem w tym, że można być już tylko albo jednym, albo drugim.

Opowiem coś pani. Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy sąsiada, który zawsze opowiadał okropne, szowinistyczne żarty i nigdy nie używał dezodorantu, więc śmierdział. Nie znosiłem go za to. Jednocześnie, kiedy nasi rodzice wyjeżdżali, opiekował się nami i karmił nas. Za to go lubiłem.

Jeśli więc zapytałaby mnie pani, co o nim myślę, odpowiedziałbym, że to skomplikowane. Ale dziś nic nie jest skomplikowane!

I wydaje się, że wszyscy znają się na wszystkim.
– To mi przypomina moją niedawną podróż taksówką na lotnisko w Izraelu. Kierowca spojrzał na mnie i powiedział: „Jest pan dziennikarzem" (to prawda, kiedyś nim byłem). „To powiem panu, co musi zrobić Donald Trump, żeby zaprowadzić pokój na świecie". I zaczął swój monolog: że Trump powinien zastraszyć Iran, potem wziąć się za taki kraj, a potem za inny.

Kiedy dojechaliśmy, spytał mnie: „I co pan sądzi o mojej teorii?". Odpowiedziałem: „Przede wszystkim, jak tu jechaliśmy, przejechał pan na czerwonym świetle i prawie nas zabił. A poza tym Donald Trump i tak nie zrobi tego, co by pan chciał. Sugeruję więc, żeby najpierw patrzył pan na drogę, a potem może pan fantazjować, ile wlezie, o swoim wpływie na świat. W tej kolejności".

Tyle dziś dyskutujemy o tym, w jakim kierunku powinniśmy pójść, co powinni zrobić przywódcy, że ważna jest ekologia, zwalczenie nierówności, i tak dalej. Jednocześnie, dyskutując o tym, mijamy bezdomnych na ulicach, głodne zwierzęta, czasem zaniedbujemy własne dzieci.

Mam poczucie, że tracimy umiejętność rozeznania, co jest w naszym życiu ważne, co się tak naprawdę liczy i gdzie możemy mieć realny wpływ.

Pewnie pani wie, że zarówno ja, jak i moja żona od dawna otwarcie krytykujemy nasz rząd.

Wiem.
– Z tego powodu regularnie dostajemy groźby śmierci. A kilka miast i instytucji w Izraelu mnie bojkotuje, w tym Uniwersytet Ben Guriona w Beer Szewie, gdzie przez wiele lat wykładałem.

Burmistrz Beer Szewy zabronił mi występować publicznie. Uznał mnie za „zdrajcę", gdy podpisałem petycję, która stwierdzała, że Izrael popełnia zbrodnie wojenne w Gazie i wzywała żołnierzy, by nie słuchali dowódców, jeśli ci nakazują im zrobić coś niezgodnego z prawem.

No więc tak, w Izraelu jestem zdrajcą. A kiedy wyjeżdżam za granicę, jestem „mordercą dzieci". Nawet w Polsce trudno było znaleźć miejsce, które by mnie przyjęło w związku z premierą mojej książki.

A festiwal, na którym występowałem wielokrotnie wcześniej, załatwił to po cichu – po prostu przestali odpisywać na maile.

Sytuacja jest więc taka: kultura w Izraelu traci na znaczeniu, ponieważ rząd jest jej przeciwny, a na zewnątrz wiele państw ją bojkotuje. Za to izraelski przemysł zbrojeniowy ma się wyśmienicie!

Chodzi mi o to, że jest naprawdę wiele spraw, w których imieniu należy protestować. Uważam, że Netanjahu powinien stanąć przed Trybunałem w Hadze, że europejskie kraje nie powinny kupować broni od Izraela, ale prawda jest taka, że gdyby ludzie stanęli przed Ministerstwem Obrony albo przed firmą zbrojeniową, nie czuliby, że robią coś istotnego. Jeśli natomiast zwyzywają Rosjanina, którego mijają na ulicy: „Ty gnojku, jak możesz zabijać Ukraińców!", od razu poczują się mocniejsi, prawda?

Jak się pan czuje z tym, że jest pan bojkotowany zarówno w Izraelu, jak i za granicą?
– Przede wszystkim nie ja tu jestem ofiarą. A mój los, izraelskiego pisarza, ma się nijak do bycia palestyńskim pisarzem.

W gruncie rzeczy w tym, co dziś nazywamy aktywizmem, jest często coś narcystycznego. Jest on reaktywny i dość przewidywalny.

W Izraelu na przykład po 7 października wiele osób domagało się tego, żeby stacje radiowe przestały puszczać piosenki Pink Floyd, bo współzałożyciel zespołu Roger Waters kwestionował rozmiar masakry dokonanej przez Hamas. Napisałem o tym tekst, zapytałem: „Kiedy bojkotujesz dzieło sztuki, kogo tak naprawdę tym karzesz?". I odpowiedziałem: „Przede wszystkim siebie".

W młodości byłem pod dużym wpływem Céline'a i Pounda. Wychowałem się, słuchając Wagnera. Gdybym znalazł się z nimi w jednym pokoju, nie poczęstowałbym ich herbatą. Najprawdopodobniej bardzo bym ich nie lubił, a jednocześnie mogę czerpać przyjemność z tego, co wnieśli do świata.

Czuję się wtedy trochę tak, jakbym robił im na złość: „Ha, ha, ha, nigdy by wam nie przyszło do głowy, że kiedyś jakiś Żyd przeczyta waszą książkę albo posłucha waszej muzyki i sprawi mu to tyle radości, co?".

W tym naszym superstechnicyzowanym, przeoranym przez media społecznościowe świecie rola artysty w społeczeństwie też ulega degradacji. Staje się on jeszcze jednym dostarczycielem usług. Jak się pani nie podoba, jakie poglądy głosi i jak się zachowuje, weźmie sobie pani innego.

Coś się w panu przez to zmieniło?
– Tak, jak kiedyś chciałem siedzieć w swoim pokoju i pisać kolejną książkę, która wpłynęłaby na świat, bo cierpię na manię wielkości, tak dziś rozglądam się wokół siebie i szukam przede wszystkim prawdziwych, fizycznych rozmów.

Dlatego też tak cenię sobie spotkania na żywo ze studentami. Cenię to, że mogę z nimi porozmawiać, powąchać ich, oni mogą powąchać mnie. Być może mogę im też w czymś pomóc, a oni mogą pomóc mnie.

Jedynym sposobem, by przetrwać, jest stanie się kimś znacznie skromniejszym.

W latach 90. ubiegłego wieku wierzyłem, że technologia sprawi, że moje idee będą trafiać do większego grona i tworzyć dialog między ludźmi. Dziś już wiem, że większość z tego, co chcę przekazać, zostanie przez technologię zredukowane. A ostatecznie stanie się klipem, emotikonem, ikonką.

Muszę przyznać, że mam z tym kłopot jako nauczyciel.

Z tą redukcją wszystkiego?
– I fragmentaryzacją. Kiedyś dawałem studentom przykłady z filmowej i literackiej klasyki. Przywoływałem „Przygody Tomka Sawyera", „Annę Kareninę", „Taksówkarza", „Titanica".

Dziś nieważne, jak inteligentna i dobrze wykształcona jest grupa studentów, 30 proc. z nich nie ma o tych utworach pojęcia. I nie chodzi o to, że są ignorantami. Po prostu mają inny kanon. Znają książki i filmy, których ja nie znam. Problem w tym, że nie mamy wspólnej opowieści.

I kiedy staram się jakąś znaleźć, to pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to jakiś popularny mem albo klip z tym CEO, który przyszedł na koncert Cold Play z kobietą, która nie była jego żoną. To jest „Anna Karenina" naszych czasów.

Jeśli nie macie tej wspólnej kulturowej płaszczyzny, to jak nawiązuje pan kontakt ze studentami?
– Czytamy wybrane teksty razem, a potem się nad nimi zastanawiamy.

Tłumaczę im: „Wyobraźcie sobie, że znajdujemy się w Arce Noego. Na zewnątrz szaleje powódź, a my próbujemy zbudować naszą małą wspólnotę. Żeby mogła ona trwać, potrzebujemy jakiegoś spoiwa. Wy wniesiecie coś od siebie, ja coś od siebie i będziemy mieli o czym rozmawiać".

Na początku proszę studentów, żeby przynieśli jakieś zdjęcie z dzieciństwa i napisali do niego krótki tekst. Najpierw każdy pokazuje tylko zdjęcie, a inni mówią, co widzą. Potem, każdy czyta swój tekst i wtedy reszta odkrywa, jak bardzo się pomyliła w swoich sądach.

Jedna ze studentek przyniosła fotografię, na której widać, jak razem z ojcem przygląda się jakiemuś żółwiowi. Niewinne, prawda? Po czym odczytała tekst, z którego wynikało, że w bardzo młodym wieku dowiedziała się, że jej ojciec był płatnym mordercą.

Rozumiem, że te historie są prawdziwe?
– Jak najbardziej. Inna osoba pokazała zdjęcie, które przedstawiało ją pięcioletnią razem z mamą. Obie uśmiechnięte. Okazało się, że

eprasa.pl c7fd6aa309

jest to jej ostatnie zdjęcie z matką, która niedługo potem zmarła na raka.

Kiedy odkrywa pani, że osoba siedząca obok, przez całe życie właściwie szuka zastępczej matki, to może pani powiedzieć, że naprawdę coś o niej wie. Ludzie już rzadko się poznają w taki sposób.

Żona mi mówi: „Miesiącami siedzisz w tych Stanach. Mógłbyś w tym czasie robić inne, bardziej intratne rzeczy. Na przykład skończyć książkę o swojej mamie, z czym zwlekasz. Dlaczego to robisz? Dla tych 18 czy 20 osób?".

Co pan odpowiada?

– Że mamy różne ambicje w zależności od okoliczności i od naszego wieku.

Rzeczywiście, w latach 80. czy 90. byłaby to dla mnie strata czasu. A teraz? Wydaje mi się, że nic lepszego nie mogło mnie spotkać.

Jestem głęboko przekonany, że jest w nas olbrzymia potrzeba powrotu do czegoś bardzo prostego. Tak, aby naszym punktem odniesienia nie była „zmiana ludzkości", „zmiana narodu żydowskiego" czy „narodu polskiego", tylko zmiana nas samych oraz ludzi, którzy siedzą z nami w jednym pokoju.

W zeszłym tygodniu pojechałem na Uniwersytet Michigan, gdzie miałem gościnnie poprowadzić zajęcia. Kiedy przyjechałem, odpowiedzialna za nie pani profesor poinformowała mnie, że był jakiś problem z ciepłą wodą w akademiku, więc część studentów nie przyjdzie, gdyż „czuje się niekomfortowo" z tym, że się nie umyła. W sali było ze mną pięcioro studentów, a 50 dołączyło na Zoomie. Tylko dwie włączyły kamerki.

Zanim zaczęliśmy, profesor uprzedziła mnie, że wszyscy mają przygotowane pytania, nad którymi pracowali cały semestr. Powiedziałem jej, że chętnie na nie odpowiem, o ile też będę mógł im zadać jakieś.

I jak wam poszło?

– Wyglądało to mniej więcej tak. Powiedzmy, że ten chłopak miał na imię Winston. No więc Winston wystartował pierwszy: „Woli pan pisać książki czy scenariusze?". Odpowiedziałem mu, po czym zadałem swoje pytanie: „Czy mogę spytać, co ukrywasz? Masz bałagan w pokoju czy może fryzjer źle cię obciął? Dlaczego masz wyłączoną kamerkę?". I Winston ją włączył.

Potem przyszła kolej na Klarę: „Powiedz Klaro, czy czujesz, że jesteś jakoś lepsza ode mnie? Dlaczego ty możesz mnie widzieć, a ja ciebie nie?" – i Klara też włączyła kamerkę.

Po trzeciej osobie pozostałe – 45 – włączyły swoje. Pewnie nie chcieli, żebym się ich czepiał. Kiedy wszyscy już się widzieliśmy, było naprawdę super.

Po zajęciach ta profesor wyznała mi, że niektórych swoich studentów widziała po raz pierwszy. Po całym semestrze nauki!

A przecież potrzeba, żeby widzieć osobę, z którą rozmawiamy, jest jedną z podstawowych ludzkich potrzeb. Dlaczego więc posłusznie się na to zgadzamy? Jak roboty? Dlaczego tego nie kwestionujemy?

Patrzę dziś na mojego syna, młodego człowieka... Kiedy ja dorastałem, popełniałem masę błędów. Robiłem rzeczy, które były ewidentnie złe, i byłem za nie karany. W ten sposób uczyłem się życia.

Mój syn wie, że jak powie jedno niewłaściwe słowo, to już będzie po nim. Porusza się więc po świecie tak, żeby nie rzucać się w oczy. I też nie włącza kamerki na Zoomie.

Nie sądzi pan, że mamy coraz większy kłopot z wybaczaniem?

– Zgadzam się. Karze się za niewłaściwie pytanie, za ciekawość, za eksperymenty. Także za autentyczność.

Wychowujemy ludzi, którzy będą wiedzieli tylko to, jak się dostosować i nie wychylać. Czy to nie jest straszne?

Pomyślałam o pana bohaterach, którzy właściwie cali zbudowani są z porażek, niewłaściwych decyzji, kiepskich zachowań, niefortunnych wypowiedzi. Dziś jest tak, jak pan mówi – młodzi mają niewiele przestrzeni, żeby zawalić, a potem przeprosić i zadośćuczynić. Bo nawet jeśli przeproszą, okazuje się, że zrobili to źle, nie tak, za późno.

– Życie w takich warunkach jest sterowane głównie przez niepokój i przekonanie, że im mniej jesteś obecny, tym mniej ci zagraża. Im mniej czegoś pragniesz, im mniej za czymś tęsknisz, tym lepiej.

Tylko że to jest trochę tak, jakbyś zgasił w sobie światło. Na zewnątrz trwa pogrom, a ty siedzisz po ciemku i masz nadzieję, że nikt cię nie znajdzie i nie skrzywdzi. Jak w czymś takim żyć? Rozwijać się?

Jak się pana zdaniem zmieniło izraelskie społeczeństwo w ciągu tych ostatnich trzech lat?

– Jest to społeczeństwo dotknięte zespołem stresu pourazowego.

Według najnowszych statystyk siedem procent Izraelczyków doświadcza jego ostrej postaci. To oznacza, że mniej więcej co 12. spotkany przez panią policjant, policjantka, lekarz, lekarka, nauczyciel, nauczycielka ma takie objawy.

> Ucieszę się, jeśli Netanjahu, Trump czy Putin znikną, jednak wydaje mi się, że nie ma specjalnie znaczenia, kto ich zastąpi.

Ale mam też przekonanie, że i nasz rząd, i media usiłują zrobić wszystko, żebyśmy mieli poczucie, że 7 października wciąż trwa.

Izraelska telewizja praktycznie dzień w dzień od trzech lat epatuje nagraniami z 7 października. Niektórzy byli zakładnicy Hamasu występują w śniadaniówkach, musicalach, stają się twarzami funduszu inwestycyjnego.

Tego typu treści angażują silne emocje, a przede wszystkim podtrzymują wiarę w to, że to, co zrobił Hamas 7 października, może się w każdej chwili powtórzyć. Tak jakby mgła wojny nigdy nie opadła.

Przez te trzy lata Izrael dopuścił się potwornych zbrodni. Wydaje mi się jednak, że większość żołnierzy, która brała w tym udział, znalazła się w sytuacji człowieka, który walczy o przetrwanie, więc nie może dopuścić do siebie refleksji. Ten mechanizm najmocniej chyba pokazał ostatnio film „Naza".

Niesamowite dla mnie jest to, że krytyka tego filmu w Izraelu nie pochodzi wyłącznie z prawicowych kręgów w rządzie, ale również ze strony opozycji.

Co się mu zarzuca?

– Że przedstawia Izrael w złym świetle, że go demonizuje, oczernia.

Naszemu premierowi grozi Trybunał w Hadze. Ministrowie obecnego rządu twierdzili, że powinniśmy zrzucić bombę atomową na Gazę i zagłodzić jej mieszkańców na śmierć. Zniszczyliśmy 90 procent budynków mieszkalnych w Gazie. Naprawdę przy tym wszystkim film jest w stanie skompromitować nas bardziej?

Teraz Netanjahu wraz z ministrem kultury chcą twórcom „Nazy" odebrać obywatelstwo.

Napisał pan, że ten film to jedynie lustro.

– A całe to zachowanie sterowane histerią, gniewem i nienawiścią świadczy tylko o tym, że nie chcemy w nie spojrzeć. Reżyserzy „Nazy" dostają groźby śmierci, muszą się ukrywać. Za co? Za to, że zrobili film?

Moja żona razem z dziećmi, które ocalały z masakry 7 października, przez długi czas pracowała nad opowiadaniami. Wiele z nich jest pełna nadziei, więc przy okazji kolejnej rocznicy chciała się nimi podzielić w jednej ze szkół, jednak wydarzenie odwołano. Dyrektor i nauczyciele uznali, że nie może przynieść uczniom pocieszenia, ponieważ razem zaprotestowaliśmy przeciwko pomysłowi odbierania obywatelstwa twórcom „Nazy".

Wie pani, ten dyrektor i ci nauczyciele nie są Netanjahu. To zwykli ludzie, tacy jak pani i ja. Wydaje się tylko, że utknęli w tej nieustającej, szalonej narracji, która mówi, że musimy wciąż walczyć o przeżycie. A więc nie wolno nam się przyglądać temu, co sami robimy, a już na pewno nie wolno tego krytykować.

Jedno ze zdań, które najczęściej słyszę w Izraelu, brzmi: „Izraelskie Siły Obronne to najbardziej moralna armia na świecie". Niektórzy powtarzają je jak mantrę. Jeśli najbardziej moralną armią na świecie jest armia, która zabiła ponad 20 tysięcy dzieci, to w jakim my świecie żyjemy? I co to za świat, w którym, kiedy chcesz porozmawiać z kimś o faktach, dostajesz w zamian puste frazesy, jak z ciasteczka z wróżbą?

Przyznam, że odczuwam duże osamotnienie...

Słyszę.

– Artysta według mnie powinien odgrywać w społeczeństwie taką rolę, jaką w dawnych sztukach teatralnych odgrywał błazen. Czyli kogoś, kto zadaje trudne pytania, konfrontuje, odsłania nieprawdy. Tylko że dziś oczekują od nas, że będziemy tylko przytakiwali – królowi, ministrowi wojny.

Czasem pytam ludzi: „Dlaczego obawiacie się moich słów? Przecież ja nie mam żadnej władzy". Jakie niebezpieczeństwo wynika z tego, że powiem: „Mylicie się. Mylimy się. Robimy rzeczy, których nie powinniśmy robić. W kółko powołujecie się na żydowskie wartości, ale wszystko, co robicie, im zaprzecza"?

Wie pani, jaka jest najważniejsza żydowska reguła, historycznie rzecz ujmując?

Nie.

– Mówi ona m.in. o tym, że jeśli ktoś z twojej społeczności zostaje porwany, to zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby uwolniono go jeszcze tego samego dnia.

Tymczasem, patrząc na to, co robią Netanjahu czy Ben-Gwir, można odnieść wrażenie, że najważniejszą żydowską zasadą moralną jest zemsta.

Rozmawiałem niedawno z pewnym aktorem teatralnym, który 10 lat temu stracił syna w Gazie. Opowiadał mi, że jakieś dwa lata po tym zadzwonił do niego pewien generał i powiedział mu: „Mam dla pana dobrą wiadomość. Dziś zabiliśmy człowieka, który zabił pana syna!". Na co ten ojciec odpowiedział: „Rozumiem. Do widzenia". Potem dostał wściekły list, w którym generał zarzucał mu, że nawet mu nie podziękował!

Odpisał?

– Owszem! Napisał mu, że jeśli następnym razem do niego zadzwoni i powie mu, że zaprowadził pokój na Bliskim Wschodzie, to nie tylko mu podziękuje, ale jeszcze upiecze ciasto. Jednak na razie świadomość, że zabójca został zgładzony, nie czyni jego syna w żaden sposób bardziej żywym.

Niedawno w Stanach Zjednoczonych jechałem Uberem. Kierowca, który pochodził z Dominikany, spytał mnie, skąd jestem. Zawahałem się, bo nie wiedziałem, jakie ma intencje, ale odpowiedziałem, że z Izraela. „O rany, jak ja was podziwiam!" – krzyknął. -

„Jacy wy jesteście niesamowici! Jacy dobrzy!". „Mogę spytać, w czym jesteśmy tacy dobrzy?" – zaciekawiłem się. „No, jesteście dobrzy w zabijaniu ludzi żyjących w odległych miejscach." – usłyszałem.

Oto, czym się staliśmy. Naród, który przyczynił się do rozwoju wszystkiego, co duchowe, literatury, sztuki, który miał wkład w postęp nauki, dziś staje się znany z tego, że potrafi zabić, kogo chce, gdzie chce. To straszne.

Jest coś, co daje panu nadzieję?

– 25 lat temu, podczas Drugiej Intifady, gdy naokoło wybuchały bomby, powiedziałem mojej mamie: „Nie mam odwagi mieć dziecka. Bo jak mam sprowadzić je na świat, skoro nie mam co do tego świata żadnej nadziei?". Uśmiechnęła się: „Jeśli ja mogłam zachować nadzieję po tym, jak cała moja rodzina została wymordowana, i sprowadzić ciebie na ten świat, to radzę ci, żebyś spojrzał głęboko w siebie i obiecuję, że odnajdziesz tam nadzieję".

Dziś wiem, że moim obowiązkiem jest pamiętać, że jeśli moja mama mogła się odrodzić z popiołów, to znaczy, że każdy może.

Nie mogę obiecać, że dożyję starości w kraju, który był dla moich rodziców czymś najważniejszym. Być może znajdę się na wygnaniu? Być może w ogóle tego nie przeżyję? Zostanę na przykład zaatakowany za granicą przez ludzi nienawidzących Izraela albo w Izraelu przez ludzi nienawidzących moich liberalnych poglądów? Nie wiem.

Na razie nadzieję czerpię ze wsparcia moich studentów. Ale też ze swojej wiary w to, że jeśli miałbym spędzić godzinę w jednym pomieszczeniu z obcym człowiekiem, to niezależnie od tego, kim on jest, wciąż potrafiłbym odnaleźć w nim człowieczeństwo.

Może więc to jest nasze najważniejsze zadanie na dziś? Szukać tego, co ludzkie, w drugiej osobie?

– I to najlepiej w tej, która jest blisko nas. Chcesz komuś pomóc? Pomóż najpierw bezdomnemu, który żyje na progu twojego domu, a dopiero później komuś na drugim końcu świata. Zatroszcz się najpierw o swoje dziecko, partnera, partnerkę, zamiast angażować całą swoją energię w jakąś płonną walkę.

Znam ludzi, których do tego stopnia pochłonęła walka ze zmianami klimatycznymi, że kompletnie przestali mieć czas dla swoich dzieci, a one straciły przez to azymut.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o ważnym dla mnie opowiadaniu z tego najnowszego zbioru, o tytułowej „Autokorekcie". To opowieść o tym, jak istotne jest to, żebyśmy ciągle zadawali sobie pytanie, co moglibyśmy zrobić inaczej.

Albo lepiej.

– Albo lepiej. Dzięki temu opowiadaniu, kiedy znów znajduję się w sytuacji, która wydaje się bez wyjścia, zamiast walić głową w mur albo uciekać, pytam siebie: Co zrobiłem źle? Jak mógłbym to zrobić lepiej?

Ojciec powiedział mi kiedyś: „Życie jest jak pies. Jeśli będziesz się go bał, rozerwie cię na kawałki. Ale jeśli się pochylisz, spojrzysz mu w oczy i znajdziesz sposób na to, by go pokochać, poliże cię po twarzy".

W tych trudnych chwilach staram się nie bać życia, choć jest ono przerażające. I nie żywić urazy do otaczającego mnie świata ani ludzi wokół, bo wierzę, że jeśli spojrzę im w oczy i dostrzegę w nich człowieczeństwo, to niezależnie od tego, co się dzieje, jacy są, być może uda mi się przetrwać. ●

eprasa.pl c7fd6aa309



• **Uczennice Moskiewskiej Szkoła Kadetów nr 9 dla dziewcząt, uczą się obsługi ładowarki nabojów do karabinu Kałasznikowa. Poza przedmiotami ściśle wojskowymi szkoła kładzie nacisk na dyscyplinę i patriotyzm**
FOT. STRINGER/PAP/EPA

MIAŁ BYĆ ODKURZACZ, WYSZEDŁ KAŁASZNIKOW

Czemu Rosjanie umieją zbudować innowacyjnego drona, a nie potrafią poskładać jak należy SUV-a na chińskiej licencji

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Silnik Antka, legendarnego „gniotsia nie łamiotsia" samolotu An-2, można obejrzeć w krakowskim Muzeum Lotnictwa Polskiego. 9 cylindrów w gwiazdę. Rodowód konstrukcji prowadzi do amerykańskiego Wrighta R-1820 Cyclone z lat 30. Na jego licencji powstał sowiecki M-25. WSK PZL-Kalisz wytwarza takie silniki od początku lat 60.

Prosty, niezawodny, wytrzymały An-2 wciąż służy na lokalnych trasach, choć od jego pierwszego lotu minęło prawie 80 lat. Ale nie będzie latał wiecznie. A próby przedłużenia mu życia wychodzą średnio.

Wydawałoby się – wystarczy rozebrać co do śrubki i zrekonstruować motor któregoś z muzealnych egzemplarzy. Ale nie ma komu – i nikt nie ma dobrego wytłumaczenia, czemu. Bo to, że sowieckie linie produkcyjne i dokumentacja przepadły, a technicy poumierali, to część wyjaśnienia. Przecież indywidualni pasjonaci potrafią zbudować od podstaw repliki cenionych na wpół zabytkowych silników samochodowych BMW czy Mercedesa. Niepomiernie bardziej skomplikowanych od motoru „Antka".

Rosja próbuje zastąpić go w części zadań samolotem LMS-901 Bajkał, mającym zabierać do dziewięciu pasażerów i obsługiwać odległe rejony kraju. Nowa maszyna ma napęd turbośmigłowy, a nie tłokowy jak An-2. Prototyp wzbił się w powietrze w 2022 roku, początkowo z zagranicznym silnikiem. Lot z rosyjskim WK-800SM i śmigłem AW-901 odbył się dopiero 24 grudnia 2025 roku.

W czerwcu 2026 roku wicepremier Denis Manturow informował o przejściu do prób certyfikacyjnych. Pierwsze seryjne maszyny mają służyć do ochrony lasów. Przewozy pasażerskie przewidziano na później, po sprawdzeniu niezawodności podczas codziennej pracy.

W 2019 r. zakładano, że Bajkał nie będzie kosztował więcej niż 120 mln rubli, 5,6 mln zł. Pięć lat później nabywcom przedstawiono ofertę na 455 mln rubli (21,4 mln zł). Po interwencji władz metka zmieniła się na 260 mln.

Przewoźnik musi płacić za paliwo, przeglądy i naprawy, za bilety nie może żądać, ile mu się podoba. Tymczasem nie wie, ile będzie kosztował samolot, który wciąż nie wszedł do regularnych przewozów. Jak żyć, panie Putin?

Kiedy Bajkał czeka na pasażerów, rosyjskie fabryki wprowadzają coraz to nowsze rodzaje uzbrojenia używanego przeciw Ukrainie.

•

Latem 1944 roku amerykańskie bombowce B-29 Superfortress, wykonujące misje przeciw Japonii, kilkukrotnie lądowały awaryjnie w sojuszniczym ZSRR. Sowieci internowali lotników i zatrzymali maszyny. W czerwcu 1945 roku Stalin zlecił Andriejowi Tupolewowi zbudowanie ich radzieckiego odpowiednika. Dwa lata później Tu-4 już latał.

Przygotowanie bombowca wymagało jednak znacznie więcej niż rozkręcenia pierwowzoru na śrubki.

Leonid Kerber, współpracownik Tupolewa i autor wspomnień o jego biurze, opisał, jak wykorzystano trzy zatrzymane B-29. Jeden rozebrano, drugi przeznaczono do prób i szkolenia, trzeci służył za wzorzec. Wyposażenie fotografowano, ważono i wpisywano do rejestrów. Zanim wymontowano przewód, ustalano, dokąd prowadzi i co łączy. Dopiero z takich danych można było przygotować rysunki i specyfikacje techniczne.

Brzmi prosto, ale wówczas „superforteca" była szczytowym osiągnięciem techniki lotniczej i wojskowej, włącznie ze zdalnym sterowaniem karabinami maszynowymi i mechanicznym automatycznym celownikiem.

A jeszcze dla każdej części trzeba było znaleźć wykonawcę. Tupolew zabiegał o wyznaczenie w ministerstwach osób odpowiedzialnych za dostawy. W sowieckich warunkach poszczególne elementy produkowały przedsiębiorstwa podlegające różnym resortom, a konstruktorzy nie mogli przy każdej zmianie czekać na urzędową korespondencję. Potrzebowali bezpośredniego kontaktu, by uzgadniać wymiary i terminy.

Kerber zapamiętał też kłopoty z blachą. Amerykanie podawali jej grubość w ułamkach cala, a po przeliczeniu na milimetry otrzymywano wartości nietypowe dla radzieckich hut. Wybór grubszej blachy zwiększał masę samolotu, cieńszej budził obawy konstruktorów o wytrzymałość. Czy Stalin mógł zmusić radzieckie huty, żeby nagle zaczęły wytwarzać blachę o określonych parametrach? Tu potrzebny był ktoś jeszcze.

•

Tupolew zaczynał w przedrewolucyjnej Moskwie pod kierunkiem Nikołaja Żukowskiego, pioniera aerodynamiki. Jeszcze jako student prowadził doświadczenia z szybowcem i pracował nad tunelem aerodynamicznym.

Carska gospodarka pozostawała zacofana, ale miała nowoczesne uczelnie, laboratoria i przedsiębiorstwa techniczne. I doskonałych inżynierów.

Tu na myśl przychodzi Igor Sikorski, który w 1913 roku – Blériot pokonał aeroplanem Kanał La Manche, dokonując wyczynu na miarę lotu na Księżyc, raptem 4 lata wcześniej – skonstruował w Petersburgu pierwszy na świecie czterosilnikowy samolot, „Russkij Witiaź".

Nazwisko brzmi swojsko, i nic dziwnego, ród wywodził się z podolskiej szlachty zagrodowej, lecz jego ojciec – wybitny psychiatra – był zagorzałym rosyjskim nacjonalistą. Polacy również mieli niemały udział w rozwoju carskiej techniki. Na przykład w 1850 roku Stanisław Kierbedź zbudował w Petersburgu pierwszy stały most przez Newę. Car Mikołaj I był tak zadowolony, że awansował go na generała-majora. Nomen omen – prosto z mostu.

Bolszewicy potrafili wykorzystać ten dorobek. W 1918 roku poparli inicjatywę Żukowskiego i utworzyli Centralny Instytut Aerohydrodynamiczny. CAGI stał się jednym z filarów radzieckiego lotnictwa, a Tupolew kierował tam pracami nad samolotami. I tam zaznał zarówno bolszewickiej marchewki, jak i knuta.

Aresztowano go podczas fali czystek w 1937 roku. Trafił do *szaraszki*, więziennego

eprasa.pl c7fd6aa309

biura konstrukcyjnego nadzorowanego przez NKWD; nazwa pochodzi od określenia podejrzanej firmy, „szaraszkinej kontory". Pomysł w swej prostocie genialny: władza oskarżała wybitnych fachowców o szkodnictwo, zamykała ich, a potem kazała projektować broń.

Pierwsza siedziba biura, w którym więziono Tupolewa, znajdowała się w Bolszewie pod Moskwą. Za ogrodzeniem z drutem kolczastym trzy baraki. W jednym spali więźniowie i przebywała straż, w drugim kuchnia i stołówka, w trzecim stoły i deski kreślarskie. W dzień więźniowie projektowali samoloty, nocą wracali na prycze. Później część prac przeniesiono do Moskwy, do Centralnego Biura Konstrukcyjnego nr 29.

Warunki były znacznie lepsze niż w łagrach. Więźniowie mieli narzędzia, zagraniczną literaturę techniczną. Kerber wspominał, jak po przeniesieniu z obozu wszedł do moskiewskiej stołówki i zobaczył stoły przykryte białymi obrusami. Podano mięso z makaronem, padło pytanie: herbata czy kakao. Jeden ze starszych więźniów zirytował się, bo kakao znów było zimne. Kerber odruchowo schował do kieszeni kilka kawałków chleba.

Ale inżynier, nie inżynier, może i ma cenne kompetencje, niemniej *ludiej u nas mnogo*. Wystarczyło przewinienie, by trafić na Butyrki, a niektórzy po prostu zniknęli.

Z więziennego biura wyszedł udany bombowiec Tu-2. Zbudowali go jednak ludzie, którzy zdobyli wiedzę i doświadczenie długo przed aresztowaniem.

•

Po kilku dekadach do radzieckiej zbrojeniówki prowadziła już bardziej przewidywalna droga. Siergiej Koniew, autor wspomnień o studiach w latach 70., w 1974 roku rozpoczął naukę w krasnojarskiej uczelni technicznej związanej z zakładami Krasmasz, produkującymi między innymi rakiety balistyczne dla okrętów podwodnych. Ale o tym, że będzie projektować silniki rakietowe, dowiadywał się stopniowo.

Na początku studiów otrzymał książeczkę robotnika Krasmaszu, a od drugiego semestru łączył naukę z pracą w fabryce. Część zajęć była tajna i notatek nie wolno było zabierać do domu; po wykładzie odkładano je do specjalnej szafy. Koniew zapamiętał również wysokość stypendium: 63 ruble i 25 kopiejek miesięcznie, wobec około 40 rubli zwykłego stypendium. Do tego dochodziły zarobki za pracę w zakładzie.

Wyższe stypendium i dostęp do tajnych urządzeń nie usuwały bałaganu. W tajnej kreślarni zdarzały się godziny bezczynności i wtedy grano w karty, bo studentom nie przydzielano zajęć.

Dziś podobny podział zasobów opisuje Julian Cooper, emerytowany profesor Uniwersytetu w Birmingham, od lat badający radziecką i rosyjską zbrojeniówkę. Przywołuje koncepcję ekonomisty Jurija Jariomienki, odnosząc ją do dzisiejszej Rosji. „Tak jak w gospodarce radzieckiej, znów do przemysłu obronnego kierowane są zasoby najwyższej jakości i najhojniejsze finansowanie, a także oferowane są tam najlepsze stawki wynagrodzeń" – mówi nam Cooper. Lotnictwo cywilne i stocznie muszą zadowalać się gorszym wyposażeniem i materiałami.

Jego zdaniem problemem pozostają też zacofanie mikroelektroniki i ograniczona chłonność rosyjskiego rynku krajowego.

Znaliśmy osobiście inżyniera z wrocławskiego Elwro – czegoś na kształt peerelowskiego IBM – który w latach 70. przez pewien czas pracował w Moskwie. Był specjalistą wysokiej klasy i zarabiał tam tyle, że kupił mieszkania nie tylko w Polsce, ale i w Paryżu na Montparnassie. Śmiał się, że takich możliwości nie miałby w wyśnionej Zachodniej Europie.

A jak wygląda portfel rosyjskiego inżyniera dzisiaj?

W październiku 2026 roku serwis rekrutacyjny HeadHunter podawał, że mediana wynagrodzeń oferowanych początkującym konstruktorom w Moskwie wynosiła 110 tys. rubli miesięcznie, czyli 5,2 tys. zł. Specjaliści z kilkuletnim doświadczeniem mogli liczyć na 179 tys. – 8,4 tys. zł.

Ile daje wojsko? Jedna z petersburskich firm pracujących dla przemysłu obronnego – dokładnie STC, produkujący m.in. drony Orłan – proponowała konstruktorowi od 150 do 200 tys. rubli na rękę, czyli od 7 do 9,4 tys. zł.

Tymczasem wynajęcie jednopokojowego mieszkania w Moskwie kosztuje średnio 71 tys. rubli miesięcznie – 3,3 tys. zł.

A w Polsce? Według Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń młodszy konstruktor zarabia przeciętnie 7,4 tys. zł brutto, a starszy specjalista 10,8 tys. zł. W zbrojeniówce można zarobić więcej. Jeden z konstruktorów-mechaników WB Electronics, największej prywatnej firmie zbrojeniowej zajmującej się między innymi systemami dowodzenia, dronami, deklarował 14 tys. zł brutto miesięcznie i premię roczną w wysokości 40 tys. zł. A wynajęcie kawalerki w Warszawie kosztuje 2,6-2,7 tys. zł miesięcznie.

A życie towarzyskie? W barze Podkop, niedaleko Kitaj-gorodu, wśród starych kamienic, trochę jak w bocznych uliczkach warszawskiego Nowego Światu, w niedzielę pół litra piwa to 350 rubli, przeszło 16 złotych. Osiem piw per capita, bo inżynier może, dla czworga, do tego quesadilla, suszona wołowina, pistacje i paczka papierosów. Rachunek 13,2 tys. rubli, czyli 618 zł.

•

O źródła radzieckich sukcesów technicznych zapytaliśmy również Asifa Siddiqiego, historyka nauki i techniki z amerykańskiego Fordham University. Przypomniał, że podczas zimnej wojny duże biura konstrukcyjne mogły równolegle rozwijać kilka projektów i testować prototypy w zakładach doświadczalnych. Młodsi inżynierowie przedstawiali własne pomysły przełożonym, czasem także kierowali listy i odwołania do wyższych instancji.

Tajność – z rosyjska *siekrietnost'* – chroniła konstruktorów przed zewnętrzną kontrolą niepowodzeń, pozwalała też obserwować zachodnie osiągnięcia bez ujawniania własnych planów. Pieniądze i zdobyte przez agenturę dokumentacje techniczne najnowszych amerykańskich czy brytyjskich wynalazków płynęły szeroką strugą. A jednocześnie „tajność stwarzała warunki do dublowania prac i marnotrawstwa: wiele biur konstrukcyjnych pracowało nad podobnymi projektami, nic nie wiedząc o pracy pozostałych" – podsumowuje Siddiqi.

Inżynier mógł proponować rozwiązania, ale o tym, co trafi do produkcji, decydowało państwo. Peter Rutland, profesor Wesleyan University, zwraca uwagę na konsekwencje tego systemu dla produkcji cywilnej. „Nie było elastyczności pozwalającej na oddolne innowacje odpowiadające potrzebom konsumentów".

Ale jego również zastanawia różnica między osiągnięciami wojskowej i cywilnej awiacji: „Ale naprawdę zagadkowe jest to, dlaczego potrafią produkować skuteczne samoloty wojskowe, a nie potrafią produkować cywilnych samolotów pasażerskich".

Władimir Putin wielokrotnie ogłaszał, że priorytetem jest budowa własnych odrzutowców pasażerskich, lecz seryjne dostawy Superjeta i większego MS-21 wciąż się opóźniają. Pierwszy korzystał z francusko-rosyjskich silników SaM146, a drugi projektowano z silnikami amerykańskiej firmy Pratt & Whitney.

Po wprowadzeniu sankcji w przypadku MS-21 trzeba było zastępować rosyjskimi odpowiednikami około osiemdziesięciu systemów i urządzeń. Samolot przytył, zasięg spadł. Sukcesy jednak są: rosyjski silnik PD-8 do Superjeta otrzymał w czerwcu 2026 roku certyfikat, MS-21 lata już z rosyjskim PD-14. Tyle że na początku października Superjet miał za sobą 233 z 294 lotów certyfikacyjnych, a MS-21 zaledwie 115 z 301. Pierwsze dostawy obu maszyn przewidziano dopiero na drugą połowę 2027 roku.

A przecież znakomita baza – dopracowana, sprawdzona wojskowa awionika, silniki, elektronika – jest. I w zasadzie nikt nie ma dobrego wytłumaczenia, dlaczego nie można zaordynować przeszczepienia jej do cywila.

•

Bodaj najlepszym przykładem triumfu radzieckiej myśli inżynierskiej jest kałasznikow. A właściwie cała rodzina kałasznikowów. Karabinki te trafiały do armii wielu państw, produkowano je na różnych kontynentach i do dziś krążą poza legalnym obrotem bronią. Radzieckie fabryki opanowały ich produkcję w ogromnych seriach.

Biuro projektowe Antonowa, zakłady silnikowe Iwczenko-Progress i Motor Sicz – po rozpadzie ZSRR znaczna część radzieckiego potencjału inżynierskiego pozostała poza Rosją, zwłaszcza w Ukrainie i Białorusi oraz w Kazachstanie i Armenii

Oficjalna biografia Michaiła Kałasznikowa opowiada o rannym czołgiście, w przedwojennym cywilnym życiu zwykłym kolejarzu, który stał się inżynierem samoukiem i dał armii znakomitą broń. To pół, albo i ćwierć prawdy. Przy powstaniu i doskonaleniu „kałacha" pracował cały sztab konstruktorów i technologów. Podczas konkursów i prób poligonowych wychodziły na jaw wady, które poprawiano długo po przyjęciu pierwszej wersji do służby. W 1959 roku pojawił się lżejszy AKM, potem kolejne odmiany.

Sam Kałasznikow wspominał pokaz dla żołnierzy: rozkładano kilka karabinków, mieszano części, a następnie składano broń. Żołnierze mogli się przekonać, że części z różnych egzemplarzy pasują do siebie. Aby było to możliwe, fabryczni technolodzy i robotnicy musieli pilnować jednakowych wymiarów w kolejnych seriach. Zmiana nawet drobnego elementu oznaczała nieraz wymianę całego oprzyrządowania i maszyn w fabryce.

Ludzie, którzy nauczyli się produkować uzbrojenie w ogromnych seriach, mogli wykorzystywać swoje umiejętności w przemyśle cywilnym. Krasmasz, w którym pracował Koniew, produkował także lodówki Biriusa; w połowie lat 70. powstawało ich około 750 tys. rocznie. Choć o tym, jakie modele rozwijać, decydowali przede wszystkim urzędnicy odpowiedzialni za plany produkcji, a nie klienci.

O tej bliskości produkcji wojskowej i cywilnej opowiadano w ZSRR dowcip. Otóż pracownicę fabryki odkurzaczy zapytano, co chciałaby dostać na pożegnanie z zakładem. Poprosiła o odkurzacz, który przez tyle lat produkowała. Zdumiony dyrektor spytał, czy naprawdę nie mogła sobie przez ten czas wynieść go w częściach. Odpowiedziała, że próbowała, a jakże, ale ilekroć składała w domu, zawsze wychodził kałasznikow. Jaki kraj, takie Lego.

•

Nie wszyscy wybitni konstruktorzy pracowali dla armii. Świetnym przykładem jest nasz ulubiony radziecki wynalazca, Władimir Demichow. Pochodził z chłopskiej rodziny znad Donu. Zanim rozpoczął studia biologiczne w Woroneżu, uczył się ślusarstwa i pracował w stalingradzkiej fabryce traktorów. W 1937 roku własnymi rękami zbudował urządzenie wielkości psiego serca, złożone z dwóch pomp membranowych napędzanych silnikiem elektrycznym.

Z pomocą asystenta przeprowadził eksperymentalną operację: po usunięciu psu komór serca wszczepił aparat do jego klatki piersiowej. Zwierzę przeżyło około dwóch i pół godziny. Historycy medycyny zaliczają ten eksperyment do pionierskich prac nad wszczepialnym sztucznym sercem.

Demichow miał niezwykły talent do majsterkowania, a wiedzę zdobywaną na uczelni uzupełniał sam. Nie był lekarzem, ale po wojnie zajął się eksperymentalnym przeszczepianiem zwierzętom serc i płuc. Osobiście zajmował się też operowanymi psami. Jego córka wspominała, że po śmierci jednego ze zwierząt trzymanych w instytucie ojciec zaczął zabierać psy do domu.

Największy rozgłos przyniosły mu jednak doświadczenia z przeszczepianiem psom drugiej głowy. Od 1954 roku przeprowadził około dwudziestu takich zabiegów. Zwierzęta potrafiły poruszać obiema, a nawet niezależnie jeść i pić, lecz żadne nie przeżyło dłużej niż miesiąc. Zdjęcia obiegły świat, budząc sensację i oburzenie. Demichow chciał w ten sposób dowieść, że nawet tak złożony narząd jak mózg może funkcjonować po przeszczepieniu, jeśli uda się zapewnić mu krążenie krwi. Ale dla przyszłości transplantologii znacznie większe znaczenie miały jego prace nad łączeniem naczyń krwionośnych oraz właśnie przeszczepianiem serc i płuc.

Tymczasem w ZSRR przez lata zmagał się z niechęcią środowiska medycznego. Pracował w trudnych warunkach, jego laboratorium w Instytucie Sklifosowskiego mieściło się w wilgotnej piwnicy. Miał wprawdzie współpracowników i wpływowych obrońców, ale jego pomysły napotykały opór przełożonych. Ostatecznie, po zagranicznych pokazach operacyjnych w 1959 roku zabroniono mu kolejnych wyjazdów.

Minął rok i jego pracownię odwiedził Christiaan Barnard, południowoafrykański chirurg, który siedem lat później przeprowadził pierwszy przeszczep ludzkiego serca. W liście do chirurga Igora Konstantinowa Barnard pisał: „Gdybyśmy mieli wybrać ojca transplantacji serca i płuc, postawiłbym na doktora Demichowa".

•

No i Łada – jej dzieje pokazują jeszcze inny sposób rozwoju radzieckiej techniki: można przecież kupić gotową konstrukcję i technologię produkcji. A potem ją ulepszyć.

W 1966 roku władze ZSRR zawarły porozumienie z Fiatem. Wielka fabryka powstała w Togliatti, mieście nazwanym na cześć włoskiego komunisty Palmiro Togliattiego. Pierwsze sześć samochodów WAZ-2101 zmontowano 19 kwietnia 1970 roku, trzy dni przed setną rocznicą urodzin Lenina.

Punktem wyjścia był Fiat 124, ale podczas prób na radzieckich drogach Włosi i Rosjanie przekonali się, że samochód wymaga gruntownych zmian. Wprowadzono ich ponad osiemset: wzmocniono nadwozie i zawieszenie, zwiększono prześwit, tylne hamulce tarczowe zastąpiono bębnowymi, a silnik otrzymał wałek rozrządu w głowicy. Pierwsze Łady można było nawet uruchamiać korbą, gdy na syberyjskim mrozie zawiódł akumulator.

Samochody okazały się na tyle udane, że eksportowano je również do Europy Zachodniej, od 1974 roku choćby do Wielkiej Brytanii i nawet Kanady. Przy czym w ZSRR nazwano je żiguli, od Gór Żygulowskich, a zagranicę trafiały jako Łady, bo „żiguli" zanadto kojarzyła się z „żigolo".

Z dokumentów Fiata wynika, że zakład miał wytwarzać większość części, a od zewnętrznych dostawców otrzymywać między innymi opony i szkło. Docelowo planowano ponad 600 tys. samochodów rocznie. Włosi dostarczyli projekt, wyposażenie i wiedzę potrzebną do zorganizowania produkcji. I tak Łady wytwarzano przez dziesięciolecia, także na eksport. Przyciągały klientów niską ceną, choć z czasem coraz bardziej odstawały od nowszych samochodów. Jeszcze w 2025 roku w Niemczech zarejestrowano trzy nowe Nivy – kultowe terenówki. Prymitywne w porównaniu z jeepem czy Toyotą Landcruiserem: sie-

eprasa.pl c7fd6aa309

dzenia z dermy, dwa zegary, silnik pamiętający rozpad ZSRR, ale znacznie dzielniejsze – lecz w 2026 roku tamtejszy importer zakończył działalność.

Po latach AwtoWAZ nawiązał współpracę z Renault, zyskując dostęp do nowych technologii. Po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę Francuzi ogłosili sprzedaż udziałów rosyjskiemu instytutowi NAMI, a moskiewską fabrykę przekazali władzom miasta.

AwtoWAZ wznowił produkcję uproszczonej Granty, bez ABS i poduszek powietrznych. Brakowało też elektroniki – nie jakichś tam czujników pasa ruchu czy odczytu znaków drogowych, ale dziś podstawowej, jak system automatycznego powiadamiania służb ratunkowych ERA-GLONASS – sprowadzanej wcześniej od zagranicznych partnerów.

W dawnej moskiewskiej fabryce Renault wznowiono produkcję. Pod starą radziecką marką Moskwicz powstają samochody oparte na chińskich konstrukcjach. Rosyjscy nabywcy bywają jednak mniej wyrozumiali niż piarowcy. „Wyjątkowe gówno", pisze Anna na portalu Drom.ru, największym rosyjskojęzycznym portalu motoryzacyjnym, kiedy oryginalny sworzeń wahacza okazuje się o milimetr różnić od zamontowanego fabrycznie w jej Moskwiczu. Właściciel z Tambowa, oglądając spawy nadwozia, żartuje, że musiał je robić fachowiec z Uralwagonzawodu, gdzie produkuje się czołgi. A ideowy kierowca z Rostowa ma dość „plagiatowania chińskich półproduktów".

Ale we wrześniu 2026 r. ruszyła .również seryjna produkcja Atoma, samochodu elektrycznego opracowanego przez rosyjską spółkę Kama na własnej platformie. Według producenta udział rosyjskich komponentów miał sięgać 70 proc. Na ten i przyszły rok zapowiedziano wyprodukowanie do 10 tys. egzemplarzy, jednak według danych z 9 października zarejestrowano w Rosji zaledwie 54 Atomy, w tym czternaście we wrześniu.

Jak się zdaje, Atom nie jest kolejną chińską konstrukcją z rosyjskim znaczkiem. Według producenta nad własną platformą pracowało ponad tysiąc specjalistów. 204 konie mechaniczne i deklarowany zasięg 500 kilometrów.

Ale oryginalność – czy też odkrywanie ergonomii na własną rękę – bywa kłopotliwa: tylne drzwi można otworzyć dopiero po uchyleniu przednich, wyświetlacz obraca się razem z kierownicą, a do regulacji fotela pasażera przewidziano smartfon. Większym problemem jest cena: prawie cztery miliony rubli, około 190 tys. zł, choć dostępna jest państwowa dopłata.

W kwietniu Drom nazwał Atoma najdroższym przedsięwzięciem rosyjskiej motoryzacji, a w październiku Harald Grübel, pochodzący z Niemiec dyrektor wykonawczy projektu i główny konstruktor samochodu, przyznał, że trzeba korygować plany produkcji, a zapewnienie dostaw części „pozostaje trudne".

Rosyjski napęd trafia do wybranych pojazdów, a bateria opracowana we współpracy z Rosatomem wciąż czeka na zakończenie prób. Więc na dwoje babka wróżyła.

●

Dzisiejsza zależność od zagranicy rosyjskiego przemysłu – zwłaszcza cywilnego, choć zbrojeniówka po inwazji na Ukrainę też obchodziła sankcje, sprowadzając przez pośredników, między innymi w Turcji, układy scalone, tranzystory, kondensatory, łożyska, urządzenia radionawigacyjne i obrabiarki sterowane komputerowo – miała jeszcze jedno źródło: rozpad ZSRR.

Biura konstrukcyjne, fabryki i ich dostawcy znaleźli się w różnych państwach. Siddiqi przypomina, że znaczna część radzieckiego potencjału inżynierskiego pozostała poza Rosją: zwłaszcza w Ukrainie i Białorusi oraz w Kazachstanie i Armenii. Kijowskie biuro Antonowa tworzyło znakomite samoloty transportowe, a zaporoskie Iwczenko-Progress i Motor Sicz należały do najważniejszych ośrodków projektowania i produkcji silników lotniczych.

Przedsiębiorstwa po obu stronach nowych granic nadal ze sobą współpracowały. Jeszcze w czerwcu 2014 roku Siergiej Czemiezow, szef państwowego koncernu przemysłowego Rostec, przyznawał, że Rosja wytwarza około pięćdziesięciu silników śmigłowcowych rocznie, a potrzebuje 300-350. Znaczną część dostaw zapewniała ukraińska Motor Sicz. Zerwanie współpracy po agresji na Ukrainę w 2014 roku zmusiło Moskwę do rozwijania produkcji własnych zamienników.

Z czasem zanikały także mniej widoczne powiązania. Gdy fabryki traciły zamówienia, a doświadczeni pracownicy odchodzili, młodsi nie zawsze mieli od kogo nauczyć się, jak nastawiać obrabiarki, utrzymywać wymagane tolerancje wymiarowe i wykrywać wady części.

Na Ukrainie pozostały nie tylko zakłady przemysłowe, lecz także znakomite szkoły naukowe, które przez dziesięciolecia stanowiły zaplecze radzieckiej techniki. Jedna z nich powstała w Charkowie jeszcze przed II wojną światową.

10 października 1932 roku w tamtejszym Instytucie Fizyko-Technicznym uczeni rozbili jądra litu za pomocą przyspieszonych protonów. Było to pierwsze takie doświadczenie w ZSRR. Ledwie pół roku wcześniej dokonali tego w Cambridge John Cockcroft i Ernest Walton. Charków należał wówczas do czołowych światowych ośrodków fizyki. Pracował tam późniejszy noblista Lew Landau, z instytutem był związany Piotr Kapica, również przyszły laureat Nobla.

Profesor Ksenia Minakowa ukończyła fizykę teoretyczną na tamtejszym Uniwersytecie imienia Karazina, na wydziale, na którym wcześniej wykładał Landau. Pamięta, że jej rocznik odbierał dyplomy magisterskie przy pomniku poświęconym doświadczeniu z 1932 roku. Dziś jest profesorem Katedry Mikro- i Nanoelektroniki Politechniki Charkowskiej i uczestniczy w pracach nad Foresight One, systemem ostrzegania przed dronami.

Ataki uszkadzają laboratoria i sieć energetyczną. Minakowa opowiada nam o urządzaniu pracowni w schronach. Pytamy ją, jak w takich warunkach prowadzi się prace nad nowymi urządzeniami i dlaczego tak trudno przejść od prototypu do produkcji seryjnej.

„W inżynierii między znakomitym prototypem laboratoryjnym a produktem seryjnym rozpościera się przepaść, którą codziennie widzę podczas prób terenowych" – odpisuje. W laboratorium konstruktor może ręcznie dostroić czujnik lub dopasować konkretną część. Przy produkcji seryjnej każdy egzemplarz powinien działać bez takich zabiegów, wytrzymywać pył, drgania, skrajne temperatury i zakłócenia elektroniczne. Na froncie liczy się też możliwość naprawy urządzenia daleko od warsztatu.

Minakowa zwraca także uwagę na dawny radziecki sposób reagowania na usterki. Zgłoszenie usterki oznaczało dla przełożonych kłopot: trzeba było przyznać w sprawozdaniu, że urządzenie ma wadę, zamiast pochwalić się wykonaniem zadania. Natomiast „współczesna ukraińska inżynieria działa jak zdecentralizowana sieć o niezwykle krótkim cyklu informacji zwrotnej". Wiadomości z prób w terenie trafiają do projektantów w ciągu godzin, a poprawki sprzętowe i programowe powstają w ciągu dni lub tygodni.

Badaczka podkreśla przy tym, że jej zespół prowadzi prace laboratoryjne i opracowuje prototypy, nie wytwarza gotowych produktów przemysłowych. Przejście do produkcji seryjnej pozostaje osobnym wyzwaniem, zwłaszcza pod ostrzałem, przy niedoborach części i konieczności rozpraszania prac.

●

Pełnoskalowa wojna zmieniła tempo pracy rosyjskiej zbrojeniówki. Fabryki muszą uzupełniać sprzęt tracony na froncie, a konstruktorzy szybko reagować na ukraińskie sposoby obrony. Jednocześnie sankcje utrudniają dostęp do części i technologii.

Stefan Meister z Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej wskazuje jednak na stare słabości rosyjskiego przemysłu: dominację państwa, niedostatek konkurencji, korupcję oraz zależność od importu. „Rosyjski system nie jest zdolny do innowacji; kopiuje, a następnie potrafi przede wszystkim produkować masowo" – mówi. „Państwo zawsze chce nowej cudownej broni, która ma umieć wszystko, natomiast zbyt mało uwagi poświęca niezbyt efektownym, ale praktyczniejszym mniejszym, niedrogim innowacjom".

Meister dostrzega jednak potencjał w mniejszych prywatnych przedsiębiorstwach, między innymi tych zajmujących się dronami. „Przełomy następują tam, gdzie Rosja kupuje nowe technologie i modernizuje się z pomocą zagranicy".

Rosja ma kłopot nawet z rowerami. W 2025 r. aż 62 proc. sprzedanych pochodziło z zagranicy. A w marcu 2026 r. jeden z największych krajowych producentów rowerów, Forward, przeszedł pod kontrolę chińskiej firmy

Przykładem Gierań-2. Rosjanie wykorzystali irańskiego Shaheda-136, uruchomili produkcję własnej odmiany i zaczęli ją rozwijać. W lipcu 2023 roku badacze Conflict Armament Research (CAR) obejrzeli w Ukrainie szczątki dwóch rosyjskich aparatów i porównali je z wcześniej badanymi Shahedami. Znaleźli cechy wskazujące na rozpoczęcie produkcji w Rosji. Odkryli też, że rosyjscy konstruktorzy wprowadzali coraz odporniejsze na zagłuszanie systemy nawigacji, a niektóre wersje wyposażyli w kamery i łączność umożliwiającą operatorowi korygowanie lotu. Obok głowic ważących około pięćdziesięciu kilogramów pojawiły się termobaryczne i cięższe, nawet dziewięćdziesięciokilogramowe. W 2026 roku doszły kolejne modele z napędem odrzutowym, Gierań-4 i Gierań-5.

Z drugiej strony – wszystko to nadal z wykorzystaniem zagranicznych podzespołów, w tym chińskiej elektroniki.

Badacze CAR znajdowali w rosyjskim uzbrojeniu także zagraniczne części dostępne na rynku cywilnym. Korzystanie z importowanych podzespołów nie wyklucza jednak własnej pracy konstruktorów. Pozwala im skupić się na innych elementach urządzenia i tu przykładem będzie opracowany w Wielkim Nowogrodzie dron, którym można sterować nawet wtedy, gdy przeciwnik zagłusza łączność radiową.

●

Dronowi opracowanemu w nowogrodzkim ośrodku naukowo-produkcyjnym Uszkujnik nadano nazwę „Kniaź Wandal Nowogrodzki". Wandal to legendarny słowiański książę wspomniany przez osiemnastowiecznego historyka Tatiszczewa w tak zwanym Latopisie Joachimowskim, którego wiarygodność jest dziś kwestionowana. Sam Tatiszczew podejrzewał zresztą, że kronikarz pomylił plemię Wandalów z imieniem księcia.

Ale taka nazwa ma również podtekst: skrót KWN to akronim Klubu Wesołych i Zaradnych (Nachodczywych) i nawiązuje do popularnego telewizyjnego programu kabaretowego, który zapoczątkował w całej „postsowiecji" showbiznesową karierę młodego komika Wołodymyra Zełenskiego. Wyjaśnił to sam szef Uszkujnika, Aleksiej Czadajew.

Rosyjskie wojsko zaczęło używać tych aparatów w sierpniu 2024 roku. Ich osobliwość polega na sposobie sterowania: sygnały i obraz z kamery przesyłane są cienkim światłowodem rozwijanym ze szpuli. Dzięki temu operator może kierować dronem mimo zagłuszania łączności radiowej. Rozwój produkcji był imponujący, przynajmniej według jej organizatorów. Czadajew twierdził, że w sierpniu 2024 roku jego zakład mógł wytwarzać najwyżej pięćset dronów miesięcznie. We wrześniu 2025 roku mówił już o ponad 50 tys., a rok później o milionach aparatów dostarczonych wojsku.

Aby zwiększyć produkcję, Uszkujnik zaczął współpracować z większymi przedsiębiorstwami. 20 czerwca 2025 roku jego przedstawiciele i kierownictwo koncernu Kałasznikow podpisali porozumienie o utworzeniu wspólnego zakładu. Nowogrodzcy konstruktorzy mieli wnieść doświadczenie zdobyte przy szybkim opracowywaniu dronów, a koncern wiedzę o organizowaniu dużych serii. Czadajew przyznawał jednak, że znaczna część rosyjskiej produkcji bezzałogowców nadal przypomina manufakturę. W niewielkich warsztatach urządzenia składane są ręcznie, a rosnące zamówienia wymagają coraz lepszej organizacji dostaw i kontroli jakości.

Jest jeszcze problem podzespołów. W styczniu 2025 roku Czadajew zapowiadał zastąpienie importowanych części rosyjskimi. Tymczasem ukraiński wywiad rozpoznał w szczątkach „Kniazia Wandala" między innymi układy chińskich firm Sigmastar i Puya. Z Chin pochodziły także materiały potrzebne do produkcji światłowodu.

W marcu 2026 roku Czadajew powiedział „Fontance", że fabryka w Sarańsku wytwarzała włókno z importowanych preform, czyli szklanych półfabrykatów. Po ataku ukraińskich dronów wiosną 2025 roku zakład wstrzymał pracę, a rosyjscy odbiorcy musieli sprowadzać gotowy światłowód, coraz droższy z powodu rosnącego światowego popytu.

Minakowa z Charkowa i Czadajew z Nowogrodu mówią więc o podobnych trudnościach: zbieraniu uwag od użytkowników, poprawianiu konstrukcji i wytwarzaniu kolejnych egzemplarzy z zachowaniem wymaganych parametrów. Ale ich praca służy radykalnie różnym celom. Minakowa pomaga bronić się przed rosyjskimi atakami, Czadajew rozwija śmiercionośne uzbrojenie armii napastnika.

●

I na koniec – znów Bajkał. Jego kłopoty, choć budzą satysfakcję zachodnich komentatorów, nie zapowiadają upadku rosyjskiej inżynierii. W innych zakładach konstruktorzy doskonalą uzbrojenie, a fabryki zwiększają produkcję, choć nadal potrzebują zagranicznych podzespołów. Rosja może więc w najbliższych latach dysponować coraz bardziej zaawansowaną techniką wojskową, nie rozwiązując problemów przemysłu cywilnego.

Putin chciałby oczywiście pogodzić jedno z drugim. W maju 2024 roku mówił o „armatach i maśle", których wzajemne relacje trzeba „organicznie wpisać" w strategię rozwoju państwa. Tyle że wojsko potrzebuje nowych dronów już dziś, a pasażerowie Bajkała mogą poczekać.

Nietrudno wyobrazić sobie zatem, że gdy za rok czy dwa patriarcha moskiewski i całej Rusi będzie błogosławił nowy rosyjski laser bojowy, część zgromadzonych przyjedzie na uroczystość rowerami, bo dla obywateli znów zabraknie benzyny.

Choć z rowerami Rosja też ma kłopot. W 2025 roku aż 62 proc. sprzedanych pochodziło z zagranicy. Kiedy założyciela rosyjskiej marki Hagen zapytano, gdzie produkuje swoje maszyny, odpowiedział krótko: „W Chinach". A w marcu 2026 roku jeden z największych rosyjskich producentów rowerów, Forward, przeszedł pod kontrolę chińskiego przedsiębiorcy.

Ale przecież nie wszyscy muszą przyjechać na chińskich. Znajdzie się wśród nich niejeden starej marki Ukraina. Produkowano je w Charkowie, który Rosja dziś bombarduje. ●

eprasa.pl c7fd6aa309

TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO ZARABIA OSTATNI

I co z tego, że w amerykańskich wyborach połówkowych wygrają ci kandydaci, **którzy zwalczają centra danych.**



• **Ogólnokrajowy protest przeciwko rozbudowie centrów danych sztucznej inteligencji przed Peace Hall w New Port Richey na Florydzie, 18 lipca 2026 r.** FOT. THOMAS SIMONETTI / AFP

Mateusz Mazzini

Amerykańskie społeczeństwo jest dziś podzielone jak nigdy wcześniej. Do tego stopnia, że obywateli USA łączą już właściwie tylko dwie rzeczy: wiara w istnienie boga oraz niechęć do sztucznej inteligencji.

Według badania „Religious Landscape Study" opublikowanego przez centrum analityczne Pew Research Centre na początku drugiej kadencji Donalda Trumpa, 83 proc. Amerykanów deklaruje wiarę „w istnienie boga, siły wyższej lub czegoś duchowego, co wykracza poza widzialny świat fizyczny".

Bardzo podobny odsetek respondentów – 86 proc. – twierdzi też, że „oprócz fizycznego ciała ludzie mają duszę, ducha lub coś nieuchwytnego". Badanie obejmowało statystycznie reprezentatywną grupę tamtejszego społeczeństwa, wychodzi więc poza jakąkolwiek pojedynczą grupę czy wspólnotę religijną.

Amerykanie różnią się coraz bardziej pod względem poglądów politycznych, stosunku do mniejszości, podejścia do doktryn gospodarczych – ale bóg, jakkolwiek go nie nazywają, pozostaje powszechnym oraz immanentnym elementem ich życia.

Co więcej, nie zmienia się to specjalnie od wielu dekad. Jeśli spojrzeć na dane historyczne z Pew Research, Gallupa i wielu innych pracowni, widać jedynie lekki trend schyłkowy, od którego zdarzają się odbicia.

W latach 1940-60 odsetek pozytywnych odpowiedzi na pytanie o istnienie boga wahał się od 91 do nawet 98 proc., potem spadł do mniej więcej 85 proc. i tu się utrzymuje. Najniższy odczyt miał miejsce w 2022 roku, wynosił 81 proc., ale amerykańska wiara później znowu się wzmocniła.

Co zresztą widać także na dowodach empirycznych i anegdotycznych – powrót Trumpa do głównego nurtu możliwy był również dzięki niesamowitemu rozrostowi ruchów religijnych, ekspansywnych zwłaszcza na platformach internetowych oraz wśród coraz bardziej rozczarowanej współczesnością amerykańskiej młodzieży.

Dodając do tego para-sakralne narracje istniejące wokół samej prezydentury Trumpa, łatwo zrozumieć, dlaczego Amerykanie wierzą dzisiaj tak mocno, jak za czasów Nixona czy Reagana.

Tym ciekawsze jest nowe sąsiedztwo tej duchowości: niechęć do sztucznej inteligencji i inwestycji z nią związanych.

●

Opublikowany 19 sierpnia sondaż przeprowadzony przez firmę Embold Research na zlecenie portalu Heatmap News pokazał niewiarygodną wręcz skalę sprzeciwu społecznego wobec rozwoju tej technologii w obecnym kształcie.

To naprawdę unifikujące zjawisko: 75 proc. Amerykanów sprzeciwia się budowie kolejnych centrów danych. Nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie własnego miejsca zamieszkania, ale ogólnie – w ich hrabstwie, stanie czy po prostu w całym kraju.

Oznacza to, że rosnący i ruch społeczny wykracza daleko poza tak zwany NIMBYISM – dobrze znane zjawisko paraliżujące demokracje liberalne od środka, czyli blokowanie jakichkolwiek zmian „na moim podwórku". Nazwa pochodzi od pierwszych liter angielskiej frazy „not in my backyard" i używana była dotychczas względem wszystkich newralgicznych obszarów wielkiej i małej, lokalnej polityki – od relokacji imigrantów przez budowę dróg czy spalarni odpadów aż po stawianie centrów pomocy osobom uzależnionym od narkotyków.

W USA jeszcze niedawno istniało przekonanie, że coraz głośniejsza opozycja wobec centrów danych też wynika po prostu z lokalnych pobudek. Komuś przeszkadza hałas turbin gazowych, które je napędzają. Ktoś woli mieć widok na las, a nie na wielką białą ścianę z metalu. Komuś brakuje wody w kranie, a innym skokowo wzrosły rachunki za energię.

Lecz widać już, że to fenomen na skalę krajową, przyjmujący znamiona ruchu politycznego. Mało tego, z danych socjologicznych i sondażowych jasno wynika, że niechęć do infrastruktury technologicznej przekłada się na sceptycyzm wobec samej technologii.

I że idzie w poprzek tożsamości płciowych, partyjnych i grup wiekowych.

Niechęć do budowy centrów danych deklaruje ponad 80 proc. wyborców niezrzeszonych oraz zarejestrowanych Demokratów. U Republikanów to dwie trzecie elektoratu.

eprasa.pl c7fd6aa309

Uchwały na poziomie stanowym ograniczające, wstrzymujące albo całkowicie blokujące budowę tych obiektów przyjęli tak różni politycy, jak radykalnie konserwatywny gubernator Teksasu Greg Abbott, kierująca ultraliberalnym stanem Nowy Jork Kathy Hochul, typowany na kandydata na prezydenta po stronie Demokratów Josh Shapiro z Pensylwanii oraz niedoszły dziedzic MAGA, odchodzący gubernator Florydy Ron DeSantis.

A nestor amerykańskiej lewicy Bernie Sanders przedstawił w Kongresie dwie głośno komentowane propozycje. Pierwsza chce moratorium w sprawie budowy centrów danych na poziomie federalnym. Druga miałaby przynieść częściową nacjonalizację Doliny Krzemowej. Senator z Vermont chciałby, żeby rząd federalny przejął połowę udziałów w największych firmach, jak OpenAI.

●

Jeszcze niedawno takie pomysły istniały tylko w sferze politycznej komedii. Joshua Cittarella, autor programu „Doomscrool" i jeden z najważniejszych lewicowych influencerów, mówił na TikToku, że „Facebook powinien zostać znacjonalizowany i wcielony do U.S. Postal Service", czyli publicznej poczty. Wypowiadał te słowa zaledwie dwa lata temu. Dzisiaj jednak rzeczywistość ostro przyspieszyła.

Sanders organizuje wspólne wiece ze Stevem Bannonem, naczelnym ideologiem ruchu MAGA, jednym z najważniejszych amerykańskich polityków, współtwórcą sukcesu wyborczego Trumpa w 2016 roku i dawnym przyjacielem Jeffreya Epsteina. Razem stają na scenie, bo obaj domagają się maksymalnych ograniczeń i regulacji wobec firm technologicznych, większej roli państwa we wdrażaniu sztucznej inteligencji na rynku pracy i osłon dla pracowników, którzy stracą przychód i siłę nabywczą.

Sanders pozycjonuje się nawet na ogólnoświatowego lidera ruchu anty-AI, o nadchodzącym kryzysie pisze w kategoriach cywilizacyjnych. Na łamach magazynu „The Atlantic" opublikował esej opisujący liderów Doliny Krzemowej jako postaci antyludzkie, chcące doprowadzić do zniszczenia społeczeństw i zastąpienia obywateli robotami.

Tym samym 85-letni senator ustawił się w jednym szeregu z coraz liczniejszą i bardziej popularną grupą byłych i obecnych polityków, dziennikarzy, pisarzy i filozofów, którzy w swoich książkach i tekstach ostrzegają przed sztuczną inteligencją. Astrofizyk i popularyzator nauki Adam Becker, dziennikarka śledcza Karen Hao, badacz Doliny Krzemowej Gil Duran, eseista – celebryta z „New Yorkera" Andrew Marantz, krytyk technologiczny Paris Marx czy były grecki minister finansów Janis Varufakis od lat figurują na listach bestsellerów w USA. Tylko kwestią czasu jest, kiedy z podobnym antytechnologicznym manifestem pojawi się tam jakiś polityk.

Jeszcze w ubiegłym roku Nate Silver, najbardziej znany w USA statystyk i autor prognoz wyborczych, twierdził na swoim blogu „The Silver Bulletin", że wprawdzie rewolucja technologiczna postępuje w bezprecedensowym tempie, ale życie polityczne toczy się wolniej. Innymi słowy, potrzeba czasu, żeby rzeczywistość partyjna doszła do miejsca, w którym od jakiegoś czasu znajduje się rzeczywistość gospodarcza i coraz bardziej – rzeczywistość społeczna.

Sierpniowe badanie Pew Reserarch pokazało, że jedynie 9 proc. Amerykanów ma „całkowicie pozytywną" opinię na temat sztucznej inteligencji. Aż 91 proc. uważa, że jej rozwój przyniesie przynajmniej częściowe lub miejscowe pogorszenie jakości życia, a aż 56 proc. widzi zdecydowanie więcej szkód niż potencjalnych zysków.

Takie dane trzeba zawsze interpretować w sposób zniuansowany, bo mogą wynikać z różnych czynników. Nie można na przykład ignorować faktu, że cały sektor technologiczny ma teraz fatalną prasę. Zwłaszcza wśród Demokratów Dolina Krzemowa jest bijącym sercem autorytaryzmu, a czasami nawet „faszyzmu czasów końca", jak nazywa go w swojej najnowszej książce znana kanadyjska eseistka i reporterka, swego czasu ikona alterglobalizmu, Naomi Klein.

Nie zmienia to jednak faktu, że liderzy Big Techów nie robią specjalnie dużo, by Amerykanów do sztucznej inteligencji przekonać – więc mało kto słyszał o mierzalnych, konkretnych korzyściach, wychodzących poza bzdury Elona Muska o „opcjonalnej pracy i nieistniejących pieniądzach" w kolejnej dekadzie.

• We wrześniu dziennik „Los Angeles Times" poinformował, że w USA istnieją już 843 sformalizowane grupy oporu wobec budowy centrów danych, działające w 49 stanach.

• Z kolei według wyliczeń portalu Axios w pierwszej połowie 2026 roku zablokowano lub wstrzymano w celu dalszej analizy prawnej dokumentów aż 120 projektów takich jednostek, wartych łącznie 198 miliardów dolarów.

• Legislacje – stworzone na wniosek polityków z obu partii – wprowadzające restrykcje dla centrów danych istnieją w 14 stanach.

• W całym kraju przedstawiono już pod obrady 375 aktów prawnych poświęconych temu celowi.

Gdzie nie spojrzeć, dobrych wiadomości dla Doliny Krzemowej brak.

• Według badań Gallupa z maja 2026 roku tylko 27 proc. Amerykanów „bardzo lub trochę" wierzy, że biznesmeni będą wprowadzić sztuczną inteligencję w swoich firmach w sposób odpowiedzialny.

• 79 proc. uważa, że ogólna liczba miejsc pracy znacząco zmaleje z powodu rozwoju AI w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

Jedyną grupą wiekową, w której pozytywne odczucia względem tej technologii dominują – choć nieznacznie – nad negatywnymi, są millenialsi. Starsze pokolenia obawiają się wysokich kosztów energetycznych, młodzi – wpływu na rynek pracy, klimat i zdrowie psychiczne.

• Aż 31 proc. respondentów z badania Gallupa w wieku 14-29 lat twierdzi, że AI wyzwala u nich złość, zaledwie 22 proc. odczuwa podekscytowanie.

• Co ciekawe, deklarowane używanie najbardziej popularnych chatobotów, jak ChatGPT od OpenAI, Claude od Anthropica czy Gemini od Google'a, rośnie z roku na rok. Korzysta z nich już około 55-58 proc. obywateli.

A jednocześnie Amerykanie stają się coraz bardziej sceptyczni wobec skutków sięgania po te narzędzia.

Innymi słowy, coraz więcej czasu poświęcają na aktywność, którą uznają za szkodliwą dla siebie i otoczenia.

●

Pytanie o wagę wyborczą i konsekwencje tych nastrojów społecznych jest teraz najważniejszym w amerykańskiej polityce.

Z jednej strony bowiem niechęć do AI jako technologii i kosztów z nią związanych jest wyraźna, rosnąca i powszechna. Z drugiej – nie ma dowodów, że przełoży się to na decyzje przy urnie czy na zmianę kontraktu społecznego pomiędzy zubożałym obywatelem i zadłużonym państwem w późnym kapitalizmie.

Wprawdzie David Wallace-Wells, jeden z najważniejszych eseistów „The New York Timesa", triumfalnie ogłosił sprzeciw wobec centrów danych „pierwszym przykładem masowej polityki w USA od czasów opozycji względem wojny w Wietnamie" – ale może się to okazać myśleniem życzeniowym, tezą bez pokrycia. Wszystko zależy od wyników listopadowych wyborów połówkowych. A następnie od tego, co nowy Kongres zrobi – i czy zrobi, mimo obecnego wyścigu, który kandydat ostrzej skrytykuje sztuczną inteligencję – z całkowicie nieuregulowanym sektorem nowych technologii.

Na razie bardziej prawdopodobne jest, że ruchy anty-AI i przeciwko *data center* są przykładem tego, co Anton Jaeger, oksfordzki filozof i największa obecnie intelektualna gwiazda europejskiej lewicy, nazywa hiperpolityką.

Belgijski autor w książce zatytułowanej właśnie „Hyperpolitics" oferuje zaskakująco prosty i trafny opis polityki naszych czasów. Stwierdza bowiem, że po czasach polityki masowej w powojniu – wielkich partii podbudowanych ogromnymi, licznymi związkami zawodowymi, Kościołami, organizacjami charytatywnymi – społeczeństwa Zachodu przeszły najpierw do anty-polityki, czyli do zindywidualizowanego skupienia na kwestiach gospodarczych, a potem do postpolityki, kiedy miała ona nie odgrywać żadnej roli.

Dzisiaj natomiast mamy hiperpolitykę. Wszystko jest polityczne, od seksu i ubioru po jedzenie i używanie technologii. Jednak nie przekłada się to na trwałe zmiany społeczne, bo jesteśmy rozpolitykowani, ale pozbawieni zbiorowych form wyrażania wspólnych interesów. Bez związków zawodowych, tradycyjnych mediów czy przykościelnych fundacji nie ma znaczenia, że wszyscy interesujemy się polityką.

Dostępne dane nie dają jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o wagę AI w najbliższych wyborach. Nate Silver jakiś czas temu napisał, że pierwsze „wybory skupione na AI" będą miały miejsce w 2028 roku, mianowicie przedenckie. Wtedy stawka będzie najwyższa, a technologia już tak bardzo obecna w codziennym życiu Amerykanów, że da się ignorować jej wpływu na dosłownie wszystkie obszary polityki, gospodarki i społeczeństwa.

Statystyk celebryta podtrzymuje swoje zdanie do dziś, cytując w ostatnim eseju comiesięczne badania Gallupa o znaczeniu poszczególnych tematów dla wyborców. Od początku 2026 roku odsetek głosujących, którzy wskazują, iż przy urnie kwestia nowych technologii będzie najważniejsza przy wyborze kandydata, waha się od 0,5 do 1 proc.

Z tego punktu widzenia jest to więc absolutny margines. Jednak jeśli spojrzeć poszczególne sondaże i badania dotyczące samej sztucznej inteligencji w ujęciu politycznym – wyniki są jednoznacznie negatywne dla Republikanów.

Niedawny sondaż opublikowany przez portal Politico pokazał, że średnio około 60 proc. Amerykanów postrzega AI jako technologię obarczoną znaczącymi ryzykami dla całej ludzkości. I, co ciekawe, odsetki tych odpowiedzi prawie nie różnią się wśród wyborców Trumpa i Kamali Harris z 2024 roku.

Oznacza to, że może jeszcze dzisiaj obywatele USA patrzą bardziej na jakość rządzenia (30 proc. w badaniu Gallupa), wysokie koszty życia (13 proc.) czy imigrację (10 proc.), ale jeśli już interesują się AI, to zdecydowanie dominuje strach, a nie fascynacja.

●

Nawet jeśli Silver ma rację i AI jeszcze nie zdominowało na dobre polityki, to pierwszych jaskółek tej nadchodzącej rewolucji szybko przybywa. Niemal każdy wiodący „kandydat na kandydata" w wyborach 2028 roku, może z wyjątkiem sekretarza stanu Marco Rubio, próbuje już zarysować grubą kreską swoje poglądy na przyszłość technologiczną.

Ze strategicznego punktu widzenia najciekawiej wygląda pod tym względem sytuacja J.D. Vance'a, obecnego wiceprezydenta i do niedawna oczywistego delfina tronu MAGA, gotowego odziedziczyć potężny populistyczny ruch po Trumpie, coraz starszym, zniechęconym do rządzenia i skupionym wyłącznie na korupcji.

Żeby jednak zrozumieć, co w kwestii sztucznej inteligencji chce zrobić Vance, trzeba najpierw opisać jego bieżącą polityczną pozycję – a ta jest nie do pozazdroszczenia. Krótko mówiąc, wiceprezydent tonie, bo na dno pociąga go za sobą coraz bardziej niepopularny, zradykalizowany i reaktywny wobec rzeczywistości Trump.

1 RP

80 proc.

• wyborców niezrzeszonych oraz Demokratów i 2/3 Republikanów deklaruje niechęć do budowy centrów danych

9 proc.

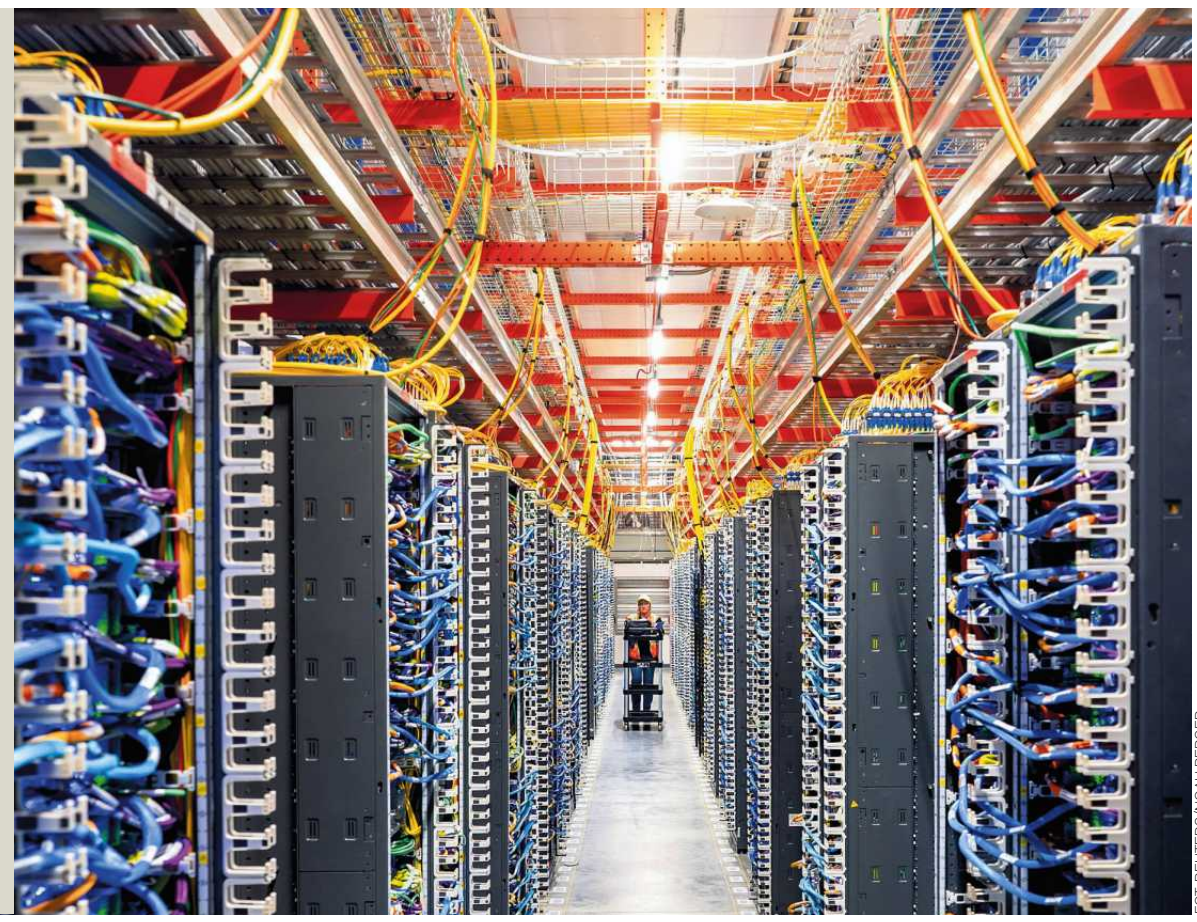
• Amerykanów ma „całkowicie pozytywną" opinię na temat AI. 91 proc. uważa, że jej rozwój przyniesie przynajmniej częściowe lub miejscowe pogorszenie jakości życia

843

• sformalizowane grupy oporu wobec budowy centrów danych działają już w USA

14 stanów

• wprowadziło – na wniosek polityków obu partii – restrykcje dla centrów danych



FOT. REUTERS/NOAH BERGER

eprasa.pl c7fd6aa309

Vance ma swoje defekty: nie jest nawet w ułamku tak charyzmatyczny jak jego szef, dla wielu uchodzi za zbyt radykalnego religijnego fundamentalistę, brakuje mu zmitologizowanej aury antyestablishmentowego mesjasza, który przeżył zamach na własne życie i poświęca swoje ostatnie lata na walkę z elitami. Ale te problemy nikną przy kłopotach, które ściąga na niego Trump.

Nie jest tajemnicą, że Vance i jego ludzie robią wszystko, by publicznie zdystansować się od prezydenta. Liberalni dziennikarze ze Wschodniego Wybrzeża świetnie znają – i wykorzystują – tendencję współpracowników wiceprezydenta, a nawet jego samego, do wypuszczania olbrzymich przecieków do liberalnych mediów. Właśnie z obozu „wice" pochodzi sensacyjny zapis słynnego lutowego spotkania w Białym Domu z lutego, na które Benjamin Netanjahu i jego najbliższy współpracownik zajmujący się bezpieczeństwem, Ron Dermer, przywieźli prezentację w Power Poincie z dowodami na zaawansowanie irańskiego programu nuklearnego.

Nikt z obecnych przy stole oficjeli – a byli tam Rubio, ceniona i słuchana przez Trumpa surowa szefowa personelu Susie Wiles, przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów generał Dan Caine i szef CIA John Ratcliffe – nie powiedzieli prezydentowi wprost, że atak na Iran to zły pomysł. Nawet jeśli Caine dokładnie tak myślał, nie odezwał się ani słowem. Według relacji Maggie Haberman i Jonathana Swana w „New York Timesie", otwarcie „sceptyczny" był jedynie Vance.

W bestsellerze „Regime Change" dwójka politycznych reporterów „NYT" przytacza masę innych historii pokazujących, że jeśli chodzi o głupie decyzje Trumpa, to „jakby co, Vance był przeciw". Podobne artykuły zaczęły ukazywać się ostatnio w „The Atlantic", na portalu Axios oraz w „New Yorkerze". A wśród darczyńców i doradców politycznych Partii Demokratycznej zaczęła krążyć teoria spiskowa, która po głębszej analizie nie wygląda wcale na spiskową.

●

Jeżeli wierzyć dzisiejszym sondażom i modelom wyborczym, Demokraci od stycznia przejmą kontrolę nad obiema izbami Kongresu. W Senacie mają szanse nawet na przewagę w stosunku 54-46, co dawałoby im komfortową większość bez względu na zachowania polityków niezależnych bądź chybotliwych, jak John Fetterman, senator z Pensylwanii, który zaraz prawdopodobnie przejdzie na stronę Republikanów.

Na pewno pojawi się więc pokusa impeachmentu Trumpa, już trzeciego w historii jego prezydentur. Tego domagać się będzie twardy elektorat Demokratów, ale według części doradców partii to zła strategia.

– W najlepszym wypadku przeprowadzisz impeachment w Izbie Reprezentantów, trzeci raz go ukrzyżujesz, ale w Senacie zabraknie ci wymaganych dwóch trzecich i po prostu zrobisz z niego męczennika – mówi mi wieloletni doradca Democratic National Committee, instytucjonalnego ramienia partii.

– A w najgorszym scenariuszu do impeachmentu dołączy kilkoro Republikanów i naprawdę go usuniemy ze stanowiska. Dlaczego w najgorszym? Bo masz wtedy dwa lata prezydentury Vance'a. Wystarczająco, żeby się uratował i dał radę wygrać w 2028 roku bez bagażu szefa. Kamala Harris nie miała takiego luksusu.

Zdaniem mojego rozmówcy istnieje poważne ryzyko, że niektórzy Republikanie zechcą zrzucić Trumpa z tronu już teraz. Im dłużej on rządzi, tym rosną szanse Demokratów na olbrzymią większość w Kongresie i prezydenturę w 2028 roku. A to oznaczałoby między innymi społeczną presję na regulacje sektora technologicznego. Czyli odcięcie od olbrzymich pieniędzy wydatkowanych przez „tech bro" na polityków.

Dlatego liderzy z Doliny Krzemowej, swoje polityczne nadzieje lokujący od dawna w osobie Vance'a, mogą być skłonni do podcięcia gałęzi, na której obecnie siedzi Trump.

I dlatego impeachment prezydenta to pułapka, w którą Demokraci nie powinni wchodzić. Zdaniem niektórych, w tym mojego rozmówcy, lepiej zasadzić się na takich prominentnych trumpistów, których nie chce już na stanowiskach większość wyborców, ale którzy nie wywrócą do góry nogami całego układu sił w amerykańskiej polityce.

W tym kontekście najczęściej wymieniany jest sekretarz wojny Pete Hegseth, czasami pojawia się też nazwisko sekretarza zdrowia Roberta Kennedy'ego Juniora. Wśród Demokratów tworzy się konsensus, by Vance'owi nie pomagać przed kolejnymi wyborami prezydenckimi.

On próbuje więc radzić sobie sam, ale ma spory problem, związany właśnie ze sztuczną inteligencją.

●

Z ekonomicznego punktu widzenia jest bowiem klasycznym populistą, chciałby sporych bezpośrednich transferów socjalnych, zwłaszcza dla rodzin wielodzietnych, kosztem singli, młodych, a nawet samotnych matek.

Deklaruje się też jako obrońca interesu amerykańskiej klasy pracującej, chciałby ograniczyć rolę uniwersytetów, elit, beneficjentów gospodarki sprzyjającej tak zwanej *professional managerial class*, czyli białych kołnierzyków.

Jednocześnie jednak ten „bidok" z Appalachów jest wychowankiem techno-miliardera Petera Thiela, jednego z intelektualnych liderów Doliny Krzemowej, wyznawcy transhumanizmu i akceleracjonizmu – dwóch doktryn prących do rozwoju maszyn kosztem dobrostanu, a wręcz istnienia gatunku ludzkiego.

Kariera polityczna Vance'a jest uzależniona od pieniędzy i wsparcia Big Techu, więc nie może jasno opowiedzieć się za regulacjami federalnymi – na przykład określającymi, w jakich zawodach nie powinno się ludzi zastępować robotami, czego domaga się na przykład inny miliarder, współzałożyciel Microsoftu Bill Gates.

Tyle tylko, że bez regulacji na poziomie federalnym nie ma mowy o ochronie praw pracowniczych, a przy szybkim wdrożeniu sztuczna inteligencja zabierze miejsca pracy nie tylko białym, ale i niebieskim kołnierzykom. W ten sposób Vance doprowadziłby do jeszcze większej gospodarczej apokalipsy niż zmiany czasów globalizacji, które zniszczyły tkankę społeczną w jego rodzinnym Middletown u podnóża Appalachów.

Na pierwszy rzut oka te pozycje są więc niemożliwe do pogodzenia – a mimo to Vance próbuje.

Angażuje się w prace prawicowo-populistycznego think-tanku American Compass, gdzie brylują również Rubio i znany konserwatywny komentator Oren Cass. Jednocześnie stara się uspokoić liberałów – w niedawnej rozmowie z Vivian Salamą z „The Atlantic" przyznał, że „jest optymistą w sprawie AI", choć obawia się „nieproporcjonalnej koncentracji kapitału i zysków w rękach kilku firm".

Nie mówił jednak, jak chciałby rozwiązać ten problem – co akurat oczywiste, bo redystrybucja zysków z rewolucji technologicznej oznaczałaby ograniczenie wpływów wielkich korporacji, czyli jego kampanijnych sponsorów.

Zamiast tego Vance na razie znajduje inne kozły ofiarne – i nie będzie to dla nikogo zaskoczeniem, że są nimi imigranci. Tylko nieco inni niż ci, na których poluje tyleż niekompetentna, co brutalna policja migracyjna ICE pod wodzą białego suprematysty Stephena Millera.

Wiceprezydent ma za złe amerykańskim spółkom technologicznym, że swoje imperium sztucznej inteligencji budują rękami najlepszych specjalistów z innych krajów, głównie z Chin, Indii i Europy. Chciałby więc znacznego ograniczenia wydawania wiz pracowniczych H-1B, przeznaczonych dla wysoko wykwalifikowanych ekspertów – jak właśnie pracownicy sektora technologicznego.

Innymi słowy, sztuczna inteligencja ma się rozwijać, dawać korzyści, pomagać pracownikom – ale wyłącznie amerykańskim, w Ameryce, i dzięki amerykańskiemu talentowi. Brzmi dobrze, lecz, jak zauważa Salama, J.D. Vance chce „przypodobać się wszystkim, przez co ryzykuje, że nie przypodoba się nikomu".

●

Problem w tym, że podobny dylemat mają wszyscy liczący się politycy po stronie Demokratów.

Z całego peletonu jedynie Alexandria Ocasio-Cortez chciałaby, w duchu ostatniego eseju Sandersa, i regulacji, i wstrzymania rozwoju AI. Popularny i charyzmatyczny, zwalczający trumpistów ich własnymi metodami gubernator Kalifornii Gavin Newsom chce mocnych regulacji, zwłaszcza w kwestii budowy centrów danych, ale nie ma nic przeciwko nowym, silniejszym modelom, podobnie jak senator Jon Ossoff z Georgii. Umiarkowane poglądy ma w tej kwestii Josh Shapiro, gubernator Pensylwanii, który raz pozwala, a raz zakazuje budowy centrów danych, w zależności od aktualnych nastrojów w jego stanie.

Prawdziwa tragedia amerykańskiej polityki polega jednak nie na tym, że jej liderzy nie wiedzą, co zrobić z AI – tylko na wspieraniu walki, która jest głośna w mediach, ale mało znacząca dla całego zjawiska.

Powstrzymywanie budowy centrów danych nic nie zmienia w samym rozwoju AI. Jak wyliczył niedawno prof. Arvind Narayanan z Princeton, nawet gdyby każdy z 50 stanów USA wprowadził całkowite moratorium na budowę nowych centrów przez rok, spowolniłoby to rozwój zdolności nowych modeli sztucznej inteligencji... o kilka godzin.

Sednem problemu nie jest to, czy obok nas wyrośnie wielki biały hangar, który huczy, zasysa naszą wodę pitną i zużywa tyle prądu, co średniej wielkości miasto.

Problemem jest to, kto te hangary stawia, wypełnia komputerami i kontroluje – a tej kwestii nie jest gotów w Ameryce poruszyć żaden polityk liczący się w walce o prezydenturę. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
34458212

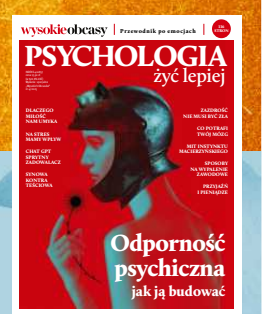
W SPRZEDAŻY

Temat numeru:
Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?

Herstoria:
Dla Mary Cassatt niezależność była jak Gwiazda Polarna, która prowadziła ją przez życie

Psychologia:
Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może

Zamów na prenumerata24.pl z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu





wysokieobcasy extra

Numer dostępny **z książką** lub magazynem **„Psychologia. Żyć lepiej"**

1 RP

eprasa.pl c7fd6aa309



• Starcia policji z demonstrantami przed Kongresem Narodowym w Buenos Aires, 11 lutego 2025. Ludzie wyszli na ulice w całym kraju, aby protestować przeciwko reformom (np. prawa pracy) prezydenta Argentyny Javiera Mileia

YANKEE GO HOME

Kolejny sukces Trumpa w polityce zagranicznej: obudził uśpiony antyamerykanizm od Ciudad Juarez po Ziemię Ognistą.

Z **CARLOSEM MALAMUDEM***
ROZMAWIA
MACIEJ STASIŃSKI

Prezydent Javier Milei oświadcza, że wyspy Falklandy/Malwiny to „święta sprawa narodowa". 44 lata temu junta argentyńska najechała wyspy, by je odbić Wielkiej Brytanii. Wojnę przegrała z kretesem. Po co ta awantura prezydentowi i Argentynie?

– Najpierw to Donald Trump napomknął, że USA „może zrewidują" stanowisko wobec wysp. Prezydent USA głównie chciał pogrozić Wielkiej Brytanii, że nie dość łoży na NATO i nie daje używać baz w wojnie z Iranem – a prezydent Argentyny podchwycił temat. Kiedy potem Trump wrócił do tego, Milei poszedł na całego i wygłosił orędzie do narodu o „świętej sprawie" Malwinów. Powody są dwa.

Po pierwsze, prezydent Argentyny ma chorobliwą potrzebę przypodobania się prezydentowi USA.

Po drugie, po prawie 2,5 latach skutki jego drakońskich reform gospodarczych nie są zadowalające. Prezydent uznał, że „samą gospodarką nie damy rady" – jak mu podpowiada główny minister doradca – wygrać kolejnych wyborów, które są już za rok. Więc trzeba uderzyć w strunę nacjonalizmu.

A Malwiny zawsze świetnie się do tego nadają. Takie slogany wybrzmiewają nawet wśród peronistów i kirchnerystów, mimo że Milei jest dla nich diabłem wcielonym z wzajemnością, bo i dla nich Malwiny zawsze były sztandarem. Dla wszystkich to bez znaczenia, że roszczenia Argentyny do tych wysp są tyle samo warte co Brytyjczyków.

No i co, udało się prezydentowi poderwać naród?

– Nie bardzo jak dotąd. Opinia publiczna nie ruszyła z owacją dla prezydenta. Według niektórych badań opinii jego notowania wzrosły, ale nieznacznie, o 4 procent.

Ale i peroniści nie zaczęli propagandowej „Operacji krzyk", Operacion Clamor, jak to robili zawsze, gdy chcieli zewrzeć szeregi wokół jakiejś sprawy, którą uznawali za świętą.

Po pierwsze dlatego, że to ich najgorszy wróg ukradł im sztandar. A po drugie i ważniejsze, sprawa Malwinów wywołuje nadal, po pół wieku, mieszanie uczucia u Argentyńczyków. Z jednej strony, to poczucie klęski wojennej. Z drugiej upokorzenie i wstyd, że dali się uwieść wówczas dyktaturze wojskowej, która wojnę rozpętała: – Dlaczegośmy się tak dali oszukać? Dokąd nas generałowie zaprowadzili?

A jeszcze dochodzi do tego wstyd za to, jak Argentyna traktowała potem weteranów i poległych. Bo grobami i ekshumacjami zajęli się Brytyjczycy, nie państwo argentyńskie. Wstyd i hańba.

eprasa.pl c7fd6aa309



FOT. ANADOLU/GETTY IMAGES

Czy wobec tego rząd wycofa się z tej kampanii „Malwiny to Argentyna”?
– Raczej nie może. Będzie usiłował doić tę krowę dalej, trąbić o suwerenności narodowej i o ropie naftowej, którą „nam kradną”. Pretekst ma, bo koncerny naftowe brytyjsko-izraelskie wkrótce zaczną eksploatować złoża Sea Lion nieopodal Falklandów.

Ale to donikąd nie doprowadzi. Drastyczne reformy przeprowadzane przez rząd Milei kosztują Argentyńczyków ciężkie wyrzeczenia. I teraz im każe zaciskać pasa, zwiększając wydatki na armię?

Bo siły zbrojne Argentyny są w rozsypce, to jest żałosny złom. Modernizacja i przezbrojenie to projekt na długie lata i za kolosalne pieniądze – nawet jeśliby miał służyć nie prawdziwej wojnie, tylko jako środek nacisku w negocjacjach z Wielką Brytanią.

Stawka nacjonalistyczna, antybrytyjska w polityce zagranicznej w oparciu o raczej koniunkturalne wsparcie prezydenta USA też nie rokuje dobrze.

Ale nacjonalizm zawsze popłaca. Na tej nucie grają wszyscy populiści, w Ameryce Łacińskiej i wszędzie indziej.
– Owszem, jakoś się opłaca. Bo ogarnia całe spektrum polityczne i ideologicznie łączy nawet skrajne siły, od lewa do prawa. Tyle że nacjonalizm potrzebuje wroga. A tradycyjnie w Argentynie i innych krajach kontynentu nacjonalizm był antyimperialistyczny – czyli antyamerykański.

I tu zaczynają się schody. Bo jak Javier Milei ma grać kartą antyimperialistyczną, czyli antyamerykańską, skoro to emocja większości społeczeństwa, a na pewno peronistów – ale nie Javiera Milei. Donald Trump i Margaret Thatcher to jego idole, bohaterowie jego bajki! Ten sam Trump, który w oczach Argentyńczyków jest imperialistą i chętnie to potwierdza swoją polityką wobec Wenezueli czy Kuby. Tymczasem rząd Milei lansuje nowe prawo o własności ziemi, które dopuszcza szeroko inwestycje zagraniczne. Przecież to ustawa anty-nacjonalistyczna, wręcz można ją uznać za kapitulację przed obcym kapitałem.

Dlatego ta nacjonalistyczna wolta rządu Argentyny nie jest wiarygodna dla rządzonych. Wszędzie w Ameryce Łacińskiej nacjonalizm to antyimperializm i wszędzie oznaczał i wciąż oznacza antyamerykanizm. Zarówno lewica, jak i prawica jest antyamerykańska. Więc nacjonalizm Milei jest niekonsekwentny, wręcz wewnętrznie sprzeczny.

A czy postępowanie Trumpa na zachodniej półkuli to nie jest nowa wersja niesławnej Doktryny Monroe z XIX wieku, w myśl której USA traktują tę część globu jako swoją wyłączną strefę wpływów, wręcz podwórko?
– Jest. I może wydawać się dziwne, że latynoski antyamerykanizm jest jak na razie uśpiony. Jeszcze niedawno porwanie Nicolasa Maduro z Caracas czy polityka duszenia Kuby rozpaliłaby ulice miast Ameryki Łacińskiej do czerwoności. Ale to nie znaczy, że antyamerykańskie nastroje cudownie wygasły. Po prostu nie ma partii czy ruchów, które by wzięły te sprawy na sztandar. Nikt nie wstawia się za dyktaturą na Kubie czy w Wenezueli. Ale już ostentacyjne poparcie, jakie w Brazylii demonstrował Trumpowi za jego pierwszej kadencji prezydent Jair Bolsonaro, wzmocniło pozycję nestora lewicy Inacio Luli da Silvy, który wygrał kolejne wybory prezydenckie.

Owszem, wsparcie Trumpa dla skrajnie prawicowych partii czy kandydatów w Kolumbii, Hondurasie, Chile, wzmocniło jego popleczników i zarazem ulubieńców. Ale na krótką metę. Jeżeli ten amerykański hegemonizm na kontynencie utrzyma się albo zaostrzy, zaszkodzi im.

Idea Tarczy Ameryk, lansowana przez Trumpa jako broń przeciw narkobiznesowi, może liczyć na poparcie, jeśli sprowadza się do zatapiania łodzi szmuglujących narkotyki. Ale jeśli wojna z narkobiznesem miałaby oznaczać militarne operacje lądowe w krajach eksportujących narkotyki, czym grozi Waszyngton, wszystko może się zmienić.

Amerykański minister wojny Pete Hegseth zapowiada, że „zrobimy krzywdę złym ludziom”. Jeśli Amerykanie przejdą od słów do czynów i zaczną bombardować terytorium Meksyku czy Kolumbii, obudzą bestię.

Na razie militarna operacja USA w Meksyku przeciw kartelom wydaje się niewyobrażalna.
– A dodatkowo poprzedni prezydent Meksyku Andres Manuel Lopez Obrador i jego następczyni Claudia Sheinbaum umiejętnie przekierowują meksykański nacjonalizm z USA na Hiszpanię, domagając się przeprosin za podbój imperium Azteków w XVI wieku.

Udaje im się, mimo że Trump chciał wypędzać miliony meksykańskich imigrantów, wyklinał Meksykanów jako bandytów i złych ludzi. I mimo że to Stany Zjednoczone w połowie XIX wieku zagarnęły połowę terytorium Meksyku.
– No właśnie. Ale teraz, gdy Trump zwalcza Meksyk jako narkopaństwo i chce rewidować NAFTA, czyli amerykańsko-meksykańsko-kanadyjski traktat o wolnym handlu, przeciwko komu innemu miałby się obudzić nacjonalizm Meksykanów?

Prezydent Ekwadoru właśnie był w Pekinie. Minister spraw zagranicznych Chile właśnie stamtąd wrócił. Amerykanie nie wypchną Chin z Ameryki Łacińskiej

Zresztą także w sprawie Wenezueli i Kuby rzeczy mają się dla Amerykanów wizerunkowo nienajlepiej. Po trzęsieniu ziemi w Wenezueli USA obiecały ogromną pomoc w odbudowie. I gdzie jest ta pomoc?! Gdzie te miliony? Zamiast tego Trump bezczelnie zapowiada, że zagarnie wenezuelską ropę. Demonstracyjnie ma gdzieś główną demokratyczną opozycjonistkę i pokojową noblistkę Marię Corinę Machado. Stara się wepchnąć amerykańskie koncerny petrochemiczne do Wenezueli.

Akurat to idzie mu z oporami, bo naftciarze nie mają pewności, gdyż nie dostali prawnych gwarancji inwestycji. Boją się, że to jest na krótką metę i jutro wszystko może się zmienić. Niemniej sama próba imperialnego skoku na wenezuelskie surowce jest tak symboliczna, jak tylko się da, budzi najgorsze skojarzenia z XIX i początkami XX wieku.

Dlatego to wszystko nie podoba się nawet poplecznikom i sojusznikom Trumpa na kontynencie. I jeśli on dociśnie gaz w swoim wydaniu Doktryny Monroe, będzie miał kłopot.

Owszem, nikt nie broni Nicolasa Maduro, ale diaspora wenezuelska w Miami, która głosowała na Trumpa, teraz raczej już nie będzie.

Nikt nie broni Raula Castro, ale skutki nękania samej Kuby mogą być dla Białego Domu jeszcze gorsze. Lobby kubańskie w Miami jest kilkumilionowe, o wiele liczniejsze niż wenezuelskie, i potężne politycznie. Ma senatorów, deputowanych i gubernatorów. Nie mówiąc o sekretarzu stanu Marco Rubio.

I owszem, ta diaspora domaga się obalenia dyktatury. Lecz Trump od 8 miesięcy dusi Kubę i próbuje pertraktować z dyktaturą. Bez skutku, za to na wyspie zaczynają panować nędza, głód i rozpacz. A jeśli dojdzie do interwencji, to wywoła nawałę uciekinierów, którzy zaleje Florydę. Takiej „stabilizacji” na Kubie nikt nie chce.

Jest jeszcze Nikaragua pod dyktaturą Daniela Ortegi i Rosario Murillo.
– Ale na całe szczęście dla dwugłowego smoka Ortega-Murillo, Trump nie chce chyba otwierać kolejnego frontu.

Strategicznym zamysłem Trumpa w jego wersji Doktryny Monroe jest także wypchnięcie lub przynajmniej ograniczenie wpływów w Ameryce Łacińskiej innych silnych graczy, jak Chiny czy Europa.
– Na to nie ma żadnych szans. USA nie wypchną Chin.

Kraje Ameryki Łacińskiej połapały się, że ich strategia musi być dwutorowa. W sprawach bezpieczeństwa narodowego muszą dbać o sojusz z USA, ale jeśli idzie o gospodarkę, i muszą, i chcą zabiegać o Chiny. Prezydent Ekwadoru właśnie był w Pekinie. Minister spraw zagranicznych Chile właśnie stamtąd wrócił. Ameryka Łacińska będzie żyć w tym napięciu między Chinami i USA. Tylko wielkie kraje jak Brazylia czy Meksyk mogą próbować negocjować jak równy z równym na obu kierunkach.

Jednocześnie Chiny, Indie i Europa mają oczywisty interes w związaniu się z krajami Ameryki Łacińskiej i postrzegają to jako wielką szansę. Dla tych ostatnich z kolei to niebywała okazja – mogą mianowicie po bardzo długim czasie wybierać sojuszników i partnerów gospodarczych.

Trump może sobie chcieć archipelagu rządów podległych, uległych czy klientelistycznych, ale te kraje nie mogą całkiem obejść się bez chińskich pieniędzy i inwestycji. Inwestycje amerykańskie na kontynencie są póki co większe niż chińskie, stwarzają więcej miejsc pracy, ale chińskie rosną gwałtownie i systematycznie.

Jair Bolsonaro obnosił się z antychińską postawą i głośno popierał niepodległy Tajwan, a nawet tam pojechał w 2019 r. Ale kiedy Chiny zaprotestowały, lobby wielkich hodowców bydła i plantatorów soi – czyli jego naturalnych popleczników – musiało go przywołać do porządku, bo brazylijski eksport mięsa, soi i innych płodów rolnych idzie niemal cały do Chin.

A jak się miewa demokracja liberalna w Ameryce Łacińskiej? W wyborach zwyciężają falami skrajności. Raz prezydenci i partie lewicowe – kilka lat temu kolejno w Chile, Kolumbii czy Peru, a raz – ostatnio w Chile, Kolumbii, Peru czy Ekwadorze – prawicowe.
– Póki co broni się. Według Latinobarometru cieszy się poparciem. Co potwierdza fakt, że w Gwatemali czy w Chile skrajna autorytarna prawica przegrała wybory. Javier Milei mimo całej swojej piromańskiej retoryki też jest krępowany instytucjami. Lecz przed nami kolejne testy – teraz druga tura wyborów prezydenckich w Brazylii, a za rok głosowanie w Argentynie. ●



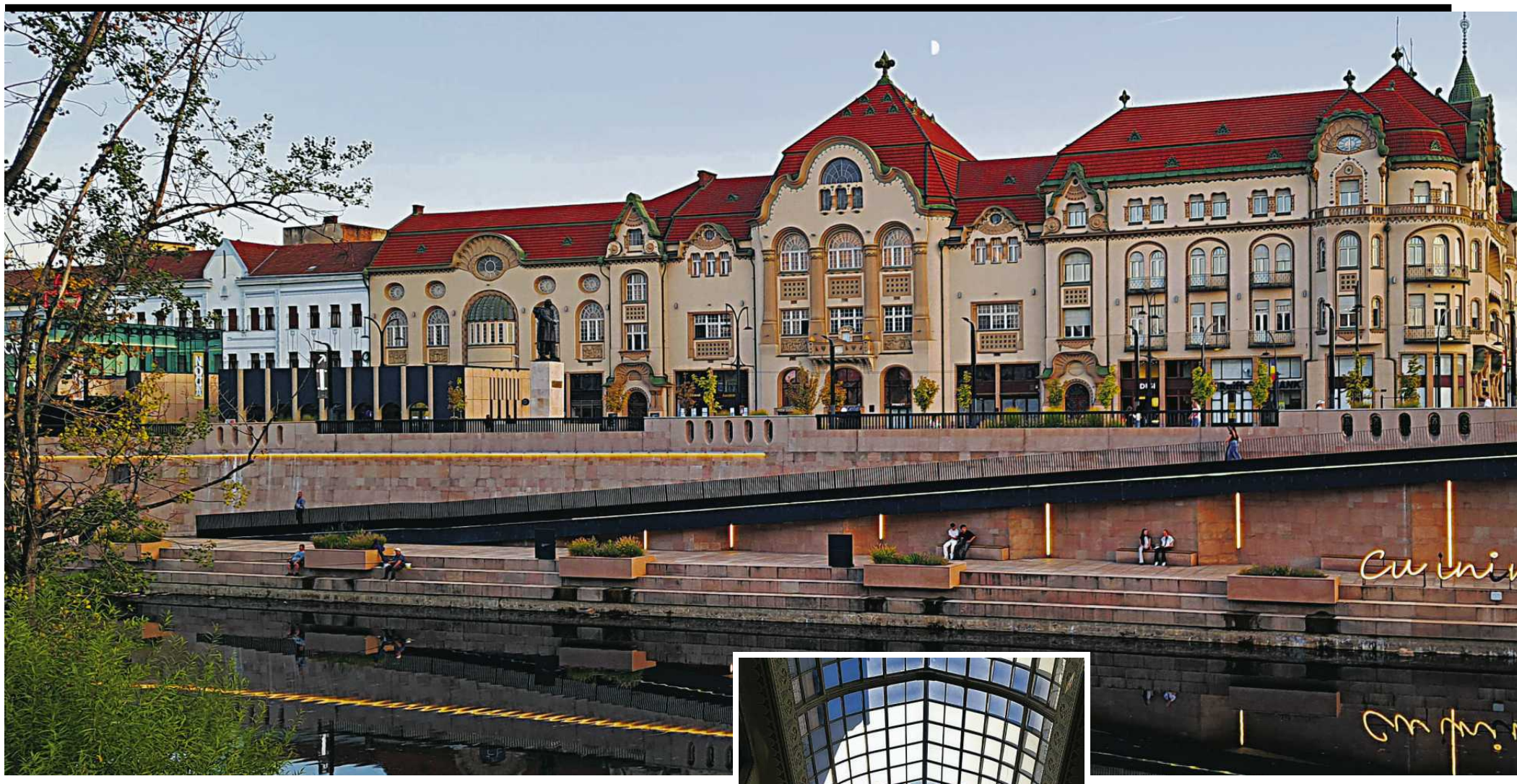
***Carlos Malamud**

• Rocznik 1951, profesor historii na uniwersytecie UNED, senior fellow w Królewskim Instytucie Elcano w Madrycie. Autor m.in. „Populismos Lationamericanos”, „Historia de America” i „Golpe Militar y Dictadura en Argentina” („Zamach wojskowy i Dyktatura w Argentynie”).

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych
IZBA WYDAWCÓW PRASY NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl c7fd6aa309





RUMUŃSKA

STOLICA SECESJI

Wielokulturowa i wielokolorowa Oradea to architektoniczna perełka. Żywy dowód na to, jak można dobrze zainwestować unijne środki w renowację zabytków.

Tekst i zdjecia **Anna Żabińska**

Lot trwa krótko, nieco ponad godzinę. Lotnisko w rumuńskiej Oradei jest małe i spokojne, poza połączeniami z Warszawy obsługuje jeszcze max. 4-5 tras. Kolejki się tu raczej nie zdarzają.

I chociaż na pierwszy rzut oka wylądowaliśmy w szczerym polu, niezbyt punktualny, ale szybki autobus nr 28 zaraz dowiezie nas do miasta. Wysiadam na monumentalnym Placu Unii, to ścisłe centrum miasta. Zwiedzanie można zacząć właściwie natychmiast.

To moja pierwsza wizyta w Rumunii, chociaż od dawna miałam ten kraj na swojej liście. Oradea, nazywana rumuńską perłą secesji, wydawała mi się idealna na start.

Wędrująca granica

Oradea leży w okręgu Bihor, przy granicy z Węgrami nad rzeką Szybki Keresz (Crişul Repede). Ta granica wielokrotnie się przesuwała, czemu miasto zawdzięcza swój wielokulturowy charakter.

Ślady osadnictwa na tym terenie sięgają neolitu, ale pierwsza wzmianka w dokumentach to 1113 r. Znane wówczas pod łacińską nazwą Varadinum, w 1093 r. dzięki królowi Władysławowi I Świętemu dorobiło się ufortyfikowanego klasztoru wraz z katedrą i zostało stolicą biskupstwa. Legenda mówi, że polującemu w tej okolicy węgierskiemu władcy przyśniła się Matka Boska i wskazała dokładne miejsce budowy świątyni, która później stała się miejscem jego spoczynku.

Rozwój miasta zahamował w 1241 r. najazd Tatarów. 300 lat później włączono je do Królestwa Wschodnich Węgier, przekształconego później w Księstwo Siedmiogrodu – państwo zależne od Imperium Osmańskiego.

Od XVIII w., już w granicach monarchii habsburskiej – znane wówczas pod węgierską nazwą Nagyvárad – zaczęło znów nabierać znaczenia (leżało na przecięciu ważnych szlaków han-



• Sekret słodkich papanaşi to kontrast temperatur i smaków. Gorące, chrupiące pączki podaje się z zimną śmietaną i kwaśnym dżemem

dlowych). Zostało też przebudowane w stylu barokowym przez wiedeńskiego architekta Franza Antona Hillebrandta. Wiek XIX to czas rozkwitu – miasto stało się ważnym ośrodkiem gospodarczym i kulturalnym.

I wojna światowa i rozpad Austro-Węgier przyniosły kolejne zmiany. Na mocy traktatu podpisanego w Trianon (1920 r.), Oradea (rumuńska nazwa) została przyznana Królestwu Rumunii. Mimo że wówczas aż 90 proc. mieszkańców stanowili Węgrzy. Drugi arbitraż wiedeński z 1940 r. przywrócił ją Węgrom. Ale nie na długo, bo po przegranej w II wojnie światowej musieli znowu Oradeę oddać (Traktat paryski, 1947 r.).

Dziś miasto ma 183 tys. mieszkańców (ostatnie dane pochodzą z 2021 r.), a mniejszość węgierska stanowi 20 proc. Wszystko jest dwujęzyczne, w restauracjach serwuje się sąsiedzką kuchnię, a co roku w drugiej połowie sierpnia hucznie obchodzi się Dni Kultury Węgierskiej.

Celebrowane są też święta mniejszych społeczności (m.in. Romów, Niemców, Słowaków i Żydów) – ja trafiłam akurat na Dni Kultury Słowackiej.

Muzeum pod gołym niebem

Wróćmy zatem na Plac Unii (Piaţa Unirii), który dzięki nagromadzeniu zabytkowej architektury, często bywa nazywany „muzeum pod gołym niebem".

Najważniejszym rangą budynkiem jest potężny, neoklasycystyczny ratusz wybudowany na początku XX w. Z jego 50-metrowej wieży zegarowej rozciąga się widok na miasto i rzekę. Warto się tam wdrapać.

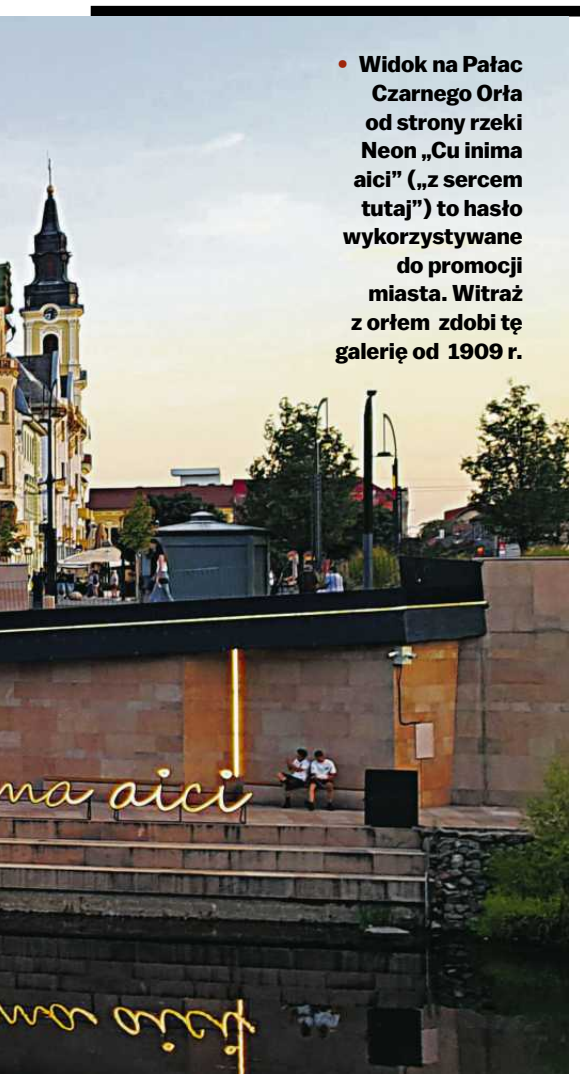
Naprzeciwko stoi barokowy, rzymskokatolicki Kościół św. Władysława (zbudowany w latach 1721-41), w którym znajduje się najstarszy ołtarz w mieście (z 1730 r.). W czasach reżimu komunistycznego w 1964 r. planowano wyburzyć świątynię i zmodernizować plac. Mieszkańcy zaprotestowali, otoczyli kościół i zablokowali dostęp. Akcja trwała kilka dni i ostatecznie władze zrezygnowały z pomysłu.

Obok zobaczymy pierwszy zastrzyk koloru, czyli greckokatolicki Pałac Biskupi (1903-05). Eklektyczną, pomarańczową fasadę i wnętrza zaprojektował znany lokalny architekt Kálmán Rimanóczy Jr. Niestety chwilowo można go podziwiać tylko z zewnątrz – w 2018 r. wnętrza i dach strawił pożar i od tego czasu trwa renowacja.

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl c7fd6aa309



• Widok na Pałac Czarnego Orła od strony rzeki Neon „Cu inima aici" („z sercem tutaj") to hasło wykorzystywane do promocji miasta. Witraż z orłem zdobi tę galerię od 1909 r.



• Pałac Moskovitsa (1904–05). Fasada jest pełna symboli nawiązujących do żydowskich korzeni i pracy pierwszego właściciela – inżyniera i przemysłowca Miksa Moskovitsa

Po lewej stronie – kolejny kościół, tym razem potężna greckokatolicka Katedra św. Mikołaja (z 1800 r.) z pięknym ikonostasem. Świątynia nie miała szczęścia, często niszczyły ją pożary i wichury, a gdy w 1948 r. komuniści zdelegalizowali kościół greckokatolicki, przekazali budynek hierarchom prawosławnym. Zwrot nastąpił dopiero w 2005 r. po długich negocjacjach i procesie sądowym. Wychodząc, zerknijcie na Liceum greckokatolickie im. Iuliu Maniu – ma przepiękną fasadę w stylu neorumuńskim (elementy bizantyjskie i lokalny folklor) projektu Antona Szallerbecka.

Księżyc i orzeł

Po drugiej stronie placu czekają na nas kolejne skarby. Pierwszy to Cerkiew Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny (zbudowany w latach 1784–90), nazywana Kościółem z Księżycem, bo na wieży ma wyjątkowy zegar astronomiczny – mechanizm skonstruowanemu w 1793 r. przez Georga Rüppego, pokazuje aktualne fazy Księżyca.

Wnętrze barokowej świątyni zdobią przepiękne polichromie przedstawiające świętych i sceny biblijne. Wrażenie robi imponujący, rzeźbiony w drewnie i złocony ikonostas, który ma ponad 150 lat. Potrzeba dłuższej chwili, by ogarnąć całość. Wyjątkowe miejsce.

Tylko na tym jednym placu znajdują się trzy świątynie. W całym mieście jest ich ponad 100. Stojąc przy jednej, na pewno od razu zobaczymy kolejną. Gdy w południe rozbrzmiewają dzwony, efekt jest wręcz ogłuszający. Podobnie jest w niedzielny poranek, kiedy dzwony na przemian wzywają na nabożeństwa. Ale wielokulturowość Oradei zawsze oznaczała też jej wielowyznaniowość.

Odchodząca od placu, ulica Vasile Alecsandri to gwarny pasaż pełen restauracji i kawiarni. Warto zatrzymać się przy niebieskim budynku, w którym kiedyś był sklep Karla Ignaza Deutscha (zbudowany w latach 1906-10), gdzie sprzedawano eleganckie lampy, szkło i porcelanę. Fasada miała przyciągać klientów, dlatego dekoracja elewacji opiera się na motywach koronki ludowej. Trochę szkoda, że teraz na parterze jest tu fast food.

Największą ozdobą placu Unii i jednym z symboli miasta jest Pałac Czarnego Orła (z 1907 r.), czyli ogromna galeria handlowa w stylu secesyjnym, z przeszklonymi pasażami i charakterystycznymi witrażami z orłem (projekt duetu Marcell Komor i Dezso Jakab). W tej chwili nie jest całkiem zagospodarowana (wyższe piętra to mieszkania i apartamenty na wynajem), ale nadal bardzo efektowna.

Architekturę placu zamyka nowoczesny, przeszklony gmach centrum kultury i sztuki nowoczesnej NOCA (New Oradea Contemporary Art). To nowy nabytek miasta, otwarty jesienią 2025 r.

Trzy synagogi

Pozostając ciągle na lewym brzegu rzeki, warto też odwiedzić miejsca związane z kulturą żydowską. W tej chwili są tu tylko trzy synagogi, ale kiedyś było ich około 20.

Historia społeczności żydowskiej w mieście sięga XV w., ale pierwsza zorganizowana gmina powstała ok. 1722 r. W XIX i na początku XX w. Żydzi należeli do finansowej i intelektualnej elity Oradei – działali w bankowości, handlu, przemyśle oraz prowadzili wydawnictwa. Mieli też fundamentalny wkład w kształtowanie secesyjnej architektury miasta, zarówno jako architekci, jak i fundatorzy spektakularnych pałaców.

W 1944 r. w Oradei mieszkało 90 tys. osób, w tym ok. 30 tys. Żydów. W ciągu zaledwie kilku dni – do pierwszego tygodnia maja 1944 r. – węgierskie władze stłoczyły żydowskich mieszkańców w getcie utworzonym w ubogiej dzielnicy. Sprowadzono tam również ok. 8 tys. Żydów z reszty okręgu i umieszczono w oddzielnym getcie, pod gołym niebem. Getto w Oradei stało się drugim co do wielkości na Węgrzech – zaraz po Budapeszcie. Później wszystkich przewieziono do obozu w Auschwitz-Birkenau.

Po zakończeniu wojny do miasta powróciło ok. 2 tys. ocalałych. Rządy komunistyczne i presja polityczna spowodowały, że większość z nich, gdy tylko była taka możliwość, wyemigrowała do USA i Izraela. Obecnie w Oradei mieszka tylko kilkuset Żydów.

Jedyną synagogą, w której nadal odprawia się nabożeństwa, jest Wielka Synagoga Ortodoksyjna wzniesiona w 1890 r. Można ją zwiedzać, ale wymaga to wylegitymowania się u strażnika i uiszczenia drobnej opłaty. Ma bogato zdobioną fasadę i niezwykle kolorowe wnętrze, pełne misternych detali, geometrycznych malowideł i witraży. Kilka lat temu została gruntownie odnowiona.

W pobliżu znajduje się także Synagoga Neologiczna Syjon (z 1878 r.) zbudowana w stylu mauretańskim przez społeczność Żydów reformowanych, którzy odłączyli się od ortodoksów w latach 70. XIX w. Przestronny budynek służy teraz jako miejsce wydarzeń kulturalnych. Zobaczymy tam też ciekawą, interaktywną wystawę „Mała encyklopedia judaizmu" – dostępne przedmioty, które można obejrzeć i dotknąć, przybliżają nam tradycję i kulturę żydowską (wszystkie są dokładnie opisane).

Ostatnim gmachem tego rodzaju jest dawna Synagoga Ortodoksyjna Aachvas Rein (z 1926 r.), w której obecnie mieści się Muzeum Historii Żydów w Oradei.



• Pałac Sztarilla (1902-06) to styl secesyjny z elementami neogotyku. Obecnie mieści się w nim czterogwiazdkowy Astoria Grand Hotel

Jaskrawe kolory, misterne detale

Mamy już za sobą kilka architektonicznych zachwytów, ale dopiero po drugiej stronie rzeki, zobaczymy, na co naprawdę stać było oradejskich twórców.

Zwiedzanie najlepiej zacząć od willi Darvas-La Roche (z 1909 r.), gdzie mieści się jedyne rumuńskie Muzeum Secesji. Wewnątrz obejrzymy zachowane lub zrekonstruowane w pełni wyposażone pomieszczenia z początku XX w., piękne witraże i przykłady strojów z epoki. Fasada ozdobiona jest charakterystycznymi zielono-niebieskimi płytkami oraz ażurowym balkonem.

Oradea zyskała miano rumuńskiej stolicy Art Nouveau, głównie dzięki swojej bogatej historii i położeniu. Jej tożsamość kulturową tworzyło wiele narodowości, które żyły tu obok siebie przez stulecia. Na przełomie XIX i XX w. leżała w granicach Austro-Węgier i była ważnym węzłem handlowym. Mieszkańców było stać na inwestycje i sprowadzanie różnych nowych materiałów, a w architekturze rozwijał się wówczas nowy, rewolucyjny styl.

Wpływ na lokalnych twórców miała secesja wiedeńska cechująca się prostotą formy i geometryzacją ornamentów, ale przede wszystkim jej węgierska odmiana (*szecesszió*). A głównym twórcą tego nowego węgierskiego stylu narodowego był Ödön Lechner. Jego projekty charakteryzowały się falistymi liniami fasad, detalami inspirowanymi sztuką ludową (motywy kwiatowe, folklorystyczne)

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **„MAMAŁYGA NIE WYBUCHA", CZYLI DLACZEGO RUMUNIA JEST INNA?**
• **Alicja Dąbrowska** z „Gazety Wyborczej" rozmawia z **Rolandem Chojnackim,** dyplomatą i menedżerem kultury, dyrektorem Departamentu Dyplomacji Kulturalnej i Promocji Polski MSZ, który w 2001 r. otworzył Instytut Polski w Bukareszcie i kierował nim przez pięć lat.

eprasa.pl c7fd6aa309





• Prawosławny kościół z Księżycem ma na wieży pół czarną, pół złotą kulę. Dzięki systemowi przekładni obraca się ona wokół własnej osi w rytm cyklu Księżyca (29,5 dnia), pokazując przechodniom jego aktualną fazę

• Ikonostas w kościele z Księżycem. Jego budowę rozpoczęto w roku 1784, kiedy wybuchła też rewolucja chłopska w Siedmiogrodzie. Przewodził jej rumuński bohater narodowy Horea. Na łuku nad ołtarzem znajduje się medalion, który go upamiętnia

oraz zastosowaniem kolorowej ceramiki, w tym słynnej majoliki z fabryki Zsolnay w Peczu. Jego uczniami byli m.in. Marcell i Dezso – twórcy Pałacu Czarnego Orła.

Boom budowlany w Oradei przypadł na lata 1900–14. Do dzisiaj zachowało się aż 89 budynków zaklasyfikowanych jako secesyjne. Miasto należy też do prestiżowej Réseau Art Nouveau Network (RANN) zrzeszającej europejskie miasta posiadające bogate dziedzictwo w tym stylu i co roku, 10 czerwca (rocznica śmierci Gaudiego i Lechnera) obchodzi Światowy Dzień Art Nouveau (za każdym razem jest inny motyw przewodni, w 2026 r. były to „Kobiety związane z secesją").

Najpiękniejsze i najbardziej kolorowe secesyjne pałace zobaczymy spacerując deptakiem Calea Republicii i skręcając w boczne uliczki. Do najbardziej rozpoznawalnych należą m.in. pomarańczowy Pałac Rimanóczy Sr, ciemnożółty Pałac Sterna, jaskrawoniebieski Pałac Miksa Moskovitsa czy biały jak śnieg Pałac Apollo. Zachwycają też wesołe Pałace Adorjana (I & II), siedziba Rumuńskiej Diecezji Prawosławnej i Pałac Sztarilla, w którym mieści się Hotel Astoria. Wszystkie są bogato zdobione i jedyne w swoim rodzaju.

W okresie komunistycznym eleganckie pałace – uznawane za przejaw burżuazyjnego zepsucia – zostały znacjonalizowane i zaniedbane. Wiele podzielono na mieszkania socjalne lub przekształcono w sklepy, co spowodowało zniszczenie unikalnych wnętrz i fasad (reżimowe władze stawiały na bloki z wielkiej płyty, na szczęście budowane poza centrum). W ciągu ostatnich 10-15 lat prawie wszystkie pałace zostały odnowione i wpisane do ewidencji zabytków.

Twierdza i luksusowe uzdrowisko

Dalsze zwiedzanie wymaga oddalenia się od centrum.

W północnej części miasta mieści się duży barokowy kompleks z II poł. XVIII w. otoczony parkiem – rzymskokatolicka Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i Pałac Biskupi. W kościele znajdują się monumentalne organy ufundowane przez cesarzową Marię Teresę i relikwie św. Władysława (króla Węgier i założyciela miasta).

Bardziej na wschodzie, znajdziemy Twierdzę Oradei. Jej początki sięgają XI w., ale prawdziwie obronny charakter nadała jej przebudowa w XIII w. (po najeździe tatarskim). Forteca jest klasycznym pięciokątem z narożnymi bastionami, które pozwalały na skuteczny ostrzał, otoczona jest fosą. W tej chwili w środku mieści się miejskie muzeum (dosyć chaotycznie rozplanowane, ale wystawy dotyczące życia codziennego mieszkańców – bardzo ciekawe), warsztaty rzemieślników i kościół. Na dziedzińcu odbywają się wydarzenia kulturalne jak np. lipcowy Festiwal Średniowieczny.

Jeśli macie ochotę pochodzić jeszcze po muzeach, udajcie się bardziej na południe. Muzeum Krainy Kriszana mieści się w zabytkowym gmachu dawnej szkoły kadetów z 1896 r. To duży obiekt, który prezentuje bogate dziedzictwo regionu od czasów neolitu, aż po historię nowożytną. Niedaleko znajduje się też Muzeum Masonów przybliżające lokalną działalność stowarzyszenia.

Zostający w mieście dłużej niż kilka dni, mogą skusić się na wypad do Baile Felix. Oddalone o 8 km od Oradei uzdrowisko jest największym i podobno najbardziej luksusowym tego typu miejscem w Rumunii. Kurort słynie z naturalnych wód termalnych bogatych w wapń, sód, siarkę i fosfor. Specjalizuje się w leczeniu chorób reumatycznych i dermatologicznych.

Pączki z konfiturą i haftowane bluzki

Rumuńska kuchnia podobno stoi *ciorbą* – kwaśną zupą z rozmaitymi dodatkami. Ja jednak postanowiłam spróbować innych potraw.

Tradycyjne dania zjecie np. w Hanul cu Noroc. Restauracja ma biesiadny charakter, ale serwuje pyszne *mititei* (grillowane kiełbaski z mieszanki mięs) i *papanasi* (pączki twarogowe ze śmietaną i kwaśną konfiturą, tutaj porzeczkową). Można zamówić też *sarmale z mamałygą*, czyli tutejsze gołąbki (mniejsze, bardziej kwaśne niż nasze) z gotowaną kaszką kukurydzianą (coś jak polenta) – mnie akurat nie zachwyciło, ale to lokalny przysmak.

Dobrze zjecie też w Tiltott Csíki Sörözo (po węgiersku „Zakazana Piwiarnia Csíki"), restauracji związanej z marką piwa Csíki Sör z Siedmiogrodu. Lokal serwuje kuchnię seklerską (Seklerzy to węgierskojęzyczna grupa etniczna zamieszkująca wschodnią Transylwanię), która łączy tradycje węgierskie, rumuńskie oraz niemieckie. Ich gulasz podawany z lanymi kluskami (*tocanita*) jest wybitny, a porcje bardzo łaskawe. Piwo też smaczne, a do tego ma ciekawą historię.

Browar powstał w 2014 r. w miejscowości Sânsimion. Lokalny przedsiębiorca András Lénárd postanowił robić piwo rzemieślnicze zgodnie z Bawarskim Prawem Czystości (wyłącznie z wody, słodu, chmielu i drożdży). Trunek nazwano Igazi Csíki Sör (Prawdziwe Piwo Csíki), nawiązując do historycznego regionu Csík. Nie spodobało się to koncernowi Heineken, który produkował tam piwo o nazwie Ciuc Premium (Ciuc to rumuńska wersja węgierskiego Csík). Oskarżył Lénárda o naruszenie własności intelektualnej. Spór ten szybko przerodził się z batalii o znak towarowy w międzynarodowy konflikt polityczny z udziałem rządu Węgier. W obliczu kryzysu wizerunkowego koncern odpuścił, a seklerski browar ostatecznie zyskał – konsumenci masowo okazywali wsparcie w barach i pubach.

Mianem miejscowego street foodu określiłabym *placinte* – smażone na głębokim oleju placki z ciasta drożdżowego nadziewane słonym serem (są też inne opcje). Dostaniecie je w Placintarie centru, gdzie robi i prosto z patelni wręcza do ręki, urocza starsza pani.

Rumunia jest jednym z najszybciej rozwijających się rynków kawy speciality, dlatego nie dziwi mnie, że w Oradei jest tak dużo dobrych kawiarni. Ja polecam Street Coffee Roasters (lokalna firma, dużo punktów w całym mieście) i Meron (marka z Transylwanii). W tym drugim dodatkowo zjecie pyszne (choć nie tanie) śniadanie.

Jeśli jesteśmy już przy rekomendacjach – w Pałacu Czarnego Orła mieści się świetny sklep z rumuńskim rękodziełem Artizanat Oradea. Jeśli będziecie mieli szczęście, jak ja, na zmianie będzie sympatyczna pani Elena, która chętnie opowie o wszystkich sprzedawanych przedmiotach. Kupicie tu tradycyjną ceramikę, tekstylia stołowe i ubrania, w tym haftowane bluzki *ia* (sztuka tworzenia takiej koszuli od 2022 r. jest na Liście Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego Ludzkości UNESCO).

Wzór dla innych miast

To, że Oradea zrobiła na mnie pozytywne wrażenie, jest chyba oczywiste. To miasto bardzo nowoczesne, zadbane i czyste. Prawie wszystko w centrum jest odnowione albo właśnie poddawane renowacji. Miasto nie jest duże, ale skala ewidentnie kosztownych inwestycji mnie zaintrygowała.

Doczytałam, że Oradea jest uważana za absolutnego lidera w Rumunii w pozyskiwaniu funduszy unijnych. Podaje się ją jako podręcznikowy przykład wykorzystania dotacji do całkowitej transformacji urbanistycznej. To w dużej mierze zasługa dobrego gospodarza – wieloletniego burmistrza Iliego Bolojana (2008–20), który opracował spójną strategię i jego następcy Florina Birta. Głównym punktem była renowacja architektury secesyjnej, ale też inwestycje w infrastrukturę (m.in. budowa linii tramwajowych) i niezależność energetyczną (np. wykorzystanie wód geotermalnych).

Oradea ma profesjonalny, sprawnie działający od 2008 r. zespół ekspertów od pisania wniosków o dotacje (w ramach struktur Urzędu Miasta). Regularnie przejmuje też niewykorzystane fundusze z regionów, które nie radzą sobie z biurokracją i terminową realizacją projektów. W ciągu 17 lat z powodzeniem pozyskała i wykorzystała ponad 1,2 mld (!) euro ze środków publicznych UE.

Przyjadę tu za jakiś czas, żeby sprawdzić, co jeszcze się zmieniło, a na razie zamierzam dalej odkrywać Rumunię. ●



• Synagoga neologiczna Syjon to trzecia co do wielkości synagoga w Europie. Zbudowana na wzór nieistniejącej już synagogi w Norymberdze. Wnętrze kopuły i całej budowli pokrywają wielobarwne, geometryczne polichromie. Ich autorem był artysta malarz Mór Horovitz z Koszyc

eprasa.pl c7fd6aa309

KULTURA OBYCZAJE

Trzeba pamiętać, o czym się robi film



Jest w tym jakiś paradoks, że za granicą jestem znany jako reżyser „Matki Królów", a w Polsce jako „ten od »Piłkarskiego pokera«".

FOT. MARCIN KLABAN/WYDAWNICTWO MUZA

Z REŻYSEREM
JANUSZEM ZAORSKIM
ROZMAWIA
PIOTR GUSZKOWSKI

Nie myślał pan o kontynuacji „Piłkarskiego pokera"? Przy dzisiejszej technologii i systemie VAR kibice jeszcze chętniej recenzują pracę sędziów, a i afer nie brakuje.

– Nie brakuje, to prawda, natomiast pieniędzy w piłce nożnej od tamtego czasu nawet przybyło. Bywałem w Nyonie, rozmawiałem z ludźmi z UEFA. Tak się zrodził pomysł na film, miał nosić tytuł „Europoker", bohater nazywał się Bardini jako konglomerat nazwisk Blatter i Platini. I wie pan, co się stało? Polska z Ukrainą dostały Euro. A wtedy koniec, już nikt nie chciał dać ani grosza na krytyczny film o piłce, wszyscy się bali.

Innym razem zamierzałem opowiedzieć o fali w wojsku. Dwa tygodnie przed rozpoczęciem zdjęć zniesiono w Polsce obowiązek służby wojskowej...

A to ciekawe, bo częściej przedstawia pan swoją karierę niemal jak scenariusz filmu o młodziaku, który nie mógł narzekać na brak szczęścia.

– Młodo zacząłem, bo od razu poszedłem do drugiej klasy. W szkole było 11 klas. Więc, jak łatwo policzyć, miałem 17 lat, kiedy zdałem maturę. W wieku 21 lat skończyłem studia. Moimi opiekunami byli Stanisław Różewicz i Kuba Morgenstern. Lepiej trafić nie mogłem. Na ostatnim roku Morgenstern powiedział, że zaczyna serial „Kolumbowie" i przyjmie dwóch z nas na asystentów. Zgłosiliśmy się Andrzej Titkow i ja. Andrzej został ostatecznie asystentem u Wajdy przy „Krajobrazie po bitwie", co się zresztą dla niego skończyło fatalnie, bo próbował zaangażować jako statystów Adama Michnika i jeszcze paru kumpli opozycjonistów. Ktoś na niego doniósł, wyle-

Janusz Zaorski

• Urodził się w 1947 r. w Warszawie. Reżyser i scenarzysta. Zaczynał jako asystent Janusza Morgensterna na planie serialu „Kolumbowie". Debiutował w wieku zaledwie 24 lat, pełnometrażowym filmem „Uciec jak najbliżej". Był związany z Zespołami Filmowymi „X" i „Tor". Twórca takich filmów jak „Matka Królów", „Baryton", „Piłkarski poker" czy „Szczęśliwego Nowego Jorku". Laureat najważniejszych nagród na festiwalach w Locarno i Berlinie. Ma na koncie również Złote i Srebrne Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Brat aktora Andrzeja Zaorskiego zmarłego w 2021 roku.

• Najnowszy film Janusza Zaorskiego „Syrenka Picassa" w kinach od 23 października.

eprasa.pl c7fd6aa309

ciał z roboty i właściwie nie miał już szansy na fabułę, zostały dokumenty.

„Kolumbowie" to było pięć godzinnych odcinków i prawie rok pracy. Jako asystent miałem czas, żeby poznać całą ekipę. Kiedy zdjęcia się skończyły, dostałem szansę nakręcić z tymi samymi ludźmi półgodzinny film dyplomowy „Na dobranoc". Więc to wszystko szło jak po płatkach róży.

Właściwie to już przy „Kolumbach" Morgenstern mianował pana reżyserem.
– Z kolegami umówiliśmy się tak, że o ile scena nie będzie wymagać obecności całej naszej trójki, każdy z nas spędzał na planie tydzień i zajmował się wszystkim – od wyboru epizodystów po kostiumy i scenografię. I Kuba dostał zapalenia płuc akurat, jak była moja kolej. Żeby uniknąć przestoju, zapadła decyzja, żebym ja to zrobił. Oglądałem wcześniejsze materiały. Widziałem, że zwłaszcza w serialu Morgenstern był przywiązany do tego, żeby zacząć od detalu – czyli pokazać godzinę na zegarku, zrobić odjazd kamery i przejść do planu ogólnego. Więc nie tyle chciałem reżyserować po swojemu, ile odtwarzać jego styl. Tyle materiału było już nakręcone, że to było jedyne rozsądne wyjście. Serial miał już wypracowany rytm i charakter.

Przypomina to trochę przypadek bohatera Macieja Musiała z „Syrenki Picassa": zuchwałego młodego artysty, który rzuca wyzwanie mistrzowi, odwzorowując jego pracę.
– A wie pan, że zdałem sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy pan to zwerbalizował? Może rzeczywiście coś jest na rzeczy, że można znaleźć w tym chłopaku coś ze mnie. Zresztą mam taką metodę, że zawsze proszę twórców głównych ról, żeby napisali obszerny życiorys tego bohatera czy bohaterki. Co czyta, czego słucha, jakiej muzyki, z kim się przyjaźni, czego nie lubi. I zauważyłem, że to bardzo dobrze działa, bo wiele cech aktora zostaje wtedy przelanych na papier i ten bohater zbliża się do aktora czy aktorki. Zaczynają go lubić, nawet jeśli to szwarccharakter, bo tam pewne cechy występują. I to mi się sprawdza.

Historia Syrenki narysowanej przez Picassa na warszawskim osiedlu dla niektórych brzmi nieprawdopodobnie, ale akurat to w scenariuszu jest prawdą.
– Scenariusz napisał Roman Jarosz. Najpierw zwrócił się do mnie, żebym został opiekunem jego pełnometrażowego debiutu, a kiedy ówczesny dyrektor PISF dał mu do zrozumienia, że nie ma na to szans, poprosił mnie, żebym to wyreżyserował.

Punktem wyjścia jest autentyczne wydarzenie: Picasso, który był członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej, w 1948 roku przyjechał na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju do Wrocławia. Przyjmowany był z wielkimi honorami, w ramach propagandowej wycieczki zobaczył kawał Polski, w tym odbudowującą się Warszawę.

Na Osiedlu Koło niejako w podzięce za gościnę narysował na surowej ścianie jednego z mieszkań Syrenkę. Zamiast miecza miała młot. Pod drzwiami ustawiały się kolejki chętnych zobaczyć dzieło mistrza.

Trzyma się pan jeszcze rady, którą dał panu Stanisław Różewicz? Żeby przed wyjściem z domu napisać na kartce, o czym robi się film.
– Co więcej, ja tę myśl przekazywałem moim studentom. To może być jedno zdanie, czasem wystarczy jedno słowo. Taka dyscyplina jest niezmiernie ważna. Na planie łatwo się rozproszyć. Pojawiają się różne pokusy.
Na przykład aktor z epizodu nagle zaczyna tak grać, że dopisujesz mu dialogi albo oddajesz kwestie innych postaci. Dopiero w trakcie montażu widać zaburzoną równowagę. Pień drzewa gdzieś zboczył, a gałęzie zaczęły rosnąć ukosem. Dlatego trzeba pamiętać, o czym robimy film.

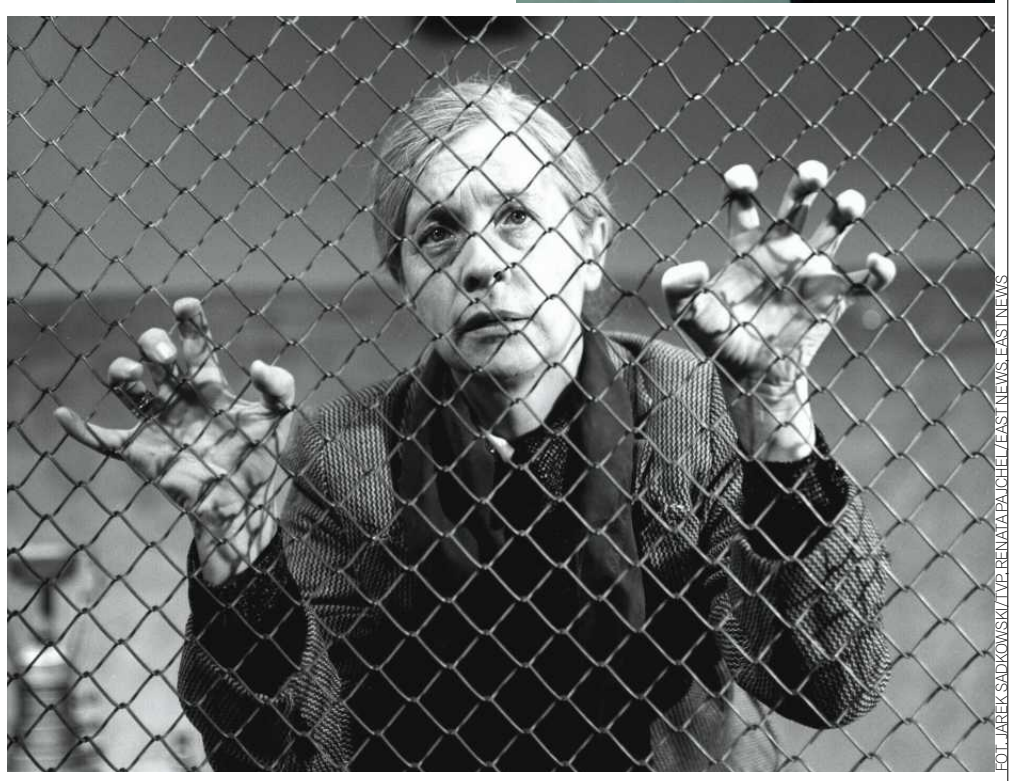




• „Syrenka Picassa", komediodramat inspirowany prawdziwą historią rysunku warszawskiej Syrenki, który Pablo Picasso wykonał w 1948 r. w mieszkaniu na Kole. Zamalowaną pracę współcześnie odkrywa jego nowa właścicielka. W obsadzie m.in. Andrzej Seweryn jako Radomski, emerytowany dziennikarz, oraz Maciej Musiał jako jego młodsza wersja

• „Piłkarski poker" (1989), satyra o futbolu i korupcji w sporcie. Janusz Gajos jako sędzia piłkarski Jan Laguna, który prowadzi „swoją grę" manipulując system rozgrywek ligowych

• „Matka Królów". Dramat polityczny na podstawie powieści Kazimierza Brandysa. Powstał w 1982 r., a premierę miał w 1987 r. Znakomita rola Magdy Teresy Wójcik (praczka Łucja Król), która próbuje ocalić swoich czterech synów w czasach kolejnych totalitaryzmów



FOT. JAREK SADKOWSKI/TVP, RENATA PAJCHEL/EAST NEWS, EAST NEWS

Przy „Syrence Picassa" co pan sobie zapisał?
– Że nigdy nie jest za późno. Co zresztą Mary Becker, stukając się kieliszkiem ze Stefanem Radomskim, wygłasza przy toaście. Zależało mi na tym, żeby ten film niósł nadzieję. W czasach, w których zewsząd napływają złe wiadomości, sam tej nadziei potrzebuję. Czasem nie mam już siły włączać serwisów informacyjnych.

Cała sprawa rysunku Picassa – niezależnie od tego, jak atrakcyjna jest ta anegdota – wydała mi się zresztą drugorzędna. Po pierwsze, chciałem tym filmem przypomnieć, że zawsze można się przyznać do błędu. Nawet po latach. Młodość to zazwyczaj czas, kiedy robimy rzeczy nierozsądne, przydarzają się nam różne porażki i pomyłki. Po drugie, chciałem opowiedzieć o próbie porozumienia. Może jest w tym naiwność? Na pewno chciejstwo. Marzy mi się, żeby ludzie wrócili do rozmowy. Bo rozmowa zbliża, nawet jeśli się między sobą różnimy.

Gdyby mnie pan zapytał, czym się różni robienie filmów, kiedy zaczynałem i teraz, to wcale nie powiedziałbym o taśmie filmowej. Najbardziej brakuje mi tych wielogodzinnych rozmów, jakie prowadziliśmy w zespołach filmowych. Wtedy funkcjonował system reżyserski, wszystkie filmy produkowało państwo. Dzisiaj, jeżeli odmawia ci producent bądź uważasz, że ta współpraca się nie układa, możesz tylko zrezygnować i szukać innego. A my poprawialiśmy sobie nawzajem scenariusze, majstrowaliśmy przy dialogach koleżanek i kolegów, oglądaliśmy razem materiały, pierwsze wersje montażowe. I to naprawdę miało głęboki sens, to pomagało.

A dziś?
– Przyznam, że pierwszy raz festiwal w Gdyni wydał mi się taki interesowny. W kuluarach, które kiedyś mnie radowały, kręcili się naganiacze, którzy rozpowiadali, że ten film dobry, tamten beznadziejny.

Za PRL-u przyjeżdżaliśmy na festiwal, żeby się spotkać z kolegami z innych miast, dowiedzieć, kto nad czym teraz pracuje, podpytać o aktora, którego chciało się zaangażować. Filmy i tak wchodziły potem na ekrany, chyba że cenzura nie puściła. Dziś spora część tytułów z Gdyni nie ma jeszcze dystrybutora, z finansowaniem robi się krucho.

Wspaniale ujął to mój przyjaciel Filip Bajon: „W Szkole Filmowej nie uczyli nas, jak żebrać". A coraz częściej na tym to polega. Dwa razy zdarzyło mi się, że zostałem wykorzystany jako wabik. Na moje nazwisko załatwiono pieniądze, rzekomo na mój projekt, a potem za te pieniądze zrobiono inny film bez mojego udziału. Dopiero po pewnym czasie się zorientowałem. Szkoda gadać.

Miałem okazję rozmawiać niedawno z panią Haliną Prugar-Ketling, wybitną montażystką, z którą pracował pan przy kilku filmach. Wspominała, jak przyszedł pan do niej z „Barytonem" i powiedział, że chce to zmontować „po amerykańsku".
– Taki był pomysł. Pamiętam rozmowę z Piotrem Fronczewskim. Powiedziałem: „Ty w tym filmie powinieneś biegać. Jesteś rzutki, mobilny, załatwiasz właśnie sprawy, chcesz robić karierę, chcesz być dyrektorem opery". I tak to robiliśmy.

Bałem się tylko, że nie znajdę odpowiedniego obiektu. Proszę pamiętać, że to był czas po stanie wojennym, PRL w najbardziej paździerzowej odsłonie, a tu miało być światowo i luksusowo. Rozważałem więc czeską Pragę albo Hotel Gellért w Budapeszcie. W końcu znaleźliśmy odpowiedni obiekt z bezkresnymi korytarzami w dawnym uzdrowisku Bad Salzbrunn, wtedy już Szczawnie-Zdroju, obecnie jednej z dzielnic Wałbrzycha. Inna sprawa, że Fronczewski musiał biegać po tych korytarzach, bo jakby szedł, to by to za długo trwało.

Jak wam się razem montowało?
– Wie pan, z dzisiejszej perspektywy ten film jest normalnie opowiadany. To wtedy wydawało się, że jest szybko pocięty. Ale pani Halinka była po prostu wspaniała. Jak pracowaliśmy razem nad „Jeziorem Bodeńskim" mieliśmy pięć wersji montażowych. Ja ten film pół roku montowałem. Bardzo długo, biorąc pod uwagę, że zwykle montaż mam przemyślany już na planie. Ale piankowa proza Stanisława Dygata była taka, że jeśli zmienić kolejność, nagle inne sensy zaczęły wychodzić. Z kolei jak te didaskalia – bardzo śmieszne – przerobić na dialogi, to już tak dobrze nie brzmią, cholera. Męczyłem się z tym. A przecież „Jezioro Bodeńskie" jest jedną z moich ulubionych książek. Monolog głównego bohatera, który gorzko rozlicza się z polską mitologią i narodowymi frazesami – to wszystko jest tak aktualne, jakby powstało dzisiaj rano. A to dwudziestoparoletni chłopak napisał, jeszcze przed wojną zaczął.

Ostatnia wersja montażowa była taka sama jak pierwsza, ale musieliśmy przejść cały ten proces, żeby sobie udowodnić, że to właściwy wybór. Jaka inna montażystka by się na to zgodziła? Powiedziała: „Przepraszam, panie reżyserze, ale pan jest nieprzygotowany. Pan zaprzecza sobie, tak się nie da pracować". A ona w tę przygodę z chęcią się ze mną rzuciła. Także będę zawsze pełen podziwu dla niej.

Nie milknie narodowa debata wokół „Lalki" i tego, co wolno twórcom adaptacji. Pan tych filmów opartych na literaturze ma w dorobku całkiem sporo.
– Jestem z tego pokolenia, które jeszcze czytało, bo nie było telewizji. Poza tym byłem cho-

eprasa.pl c7fd6aa309

rowitym dzieckiem: od sanatorium do sanatorium, od szpitala do szpitala. Mama ze mną jeździła i ja w wieku pięciu lat już płynnie czytałem i pisałem.

To dlatego od razu wzięli pana do drugiej klasy.
– Pierwszą książką, którą przeczytałem, były „Najdziksze serca" Jamesa Curwooda. Nieślubne dziecko, rozwód i tak dalej – tematy w sam raz dla pięciolatka, prawda? Wcześnie przeczytałem też „Matkę Królów", bo rodzice wydzierali sobie powieść Kazimierza Brandysa. Zrozumiałem, że to musi być coś strasznie ważnego.

I potem, jak kończyłem szkołę filmową, bardzo chciałem w swojej młodzieńczej bezczelności zrobić film, który będzie ważny nie tylko dla mojego pokolenia, ale dla wszystkich w tym kraju. Tyle że wtedy nigdzie nie mogłem tej książki znaleźć. Wreszcie dorwałem „Matkę Królów" w jakiejś bibliotece. A że to były czasy przed ksero, musiałem zapłacić maszynistce.

Pracowałem nad tym filmem dziesięć lat – po to żeby potem trafił na półkę. Z jednej strony, jak pan słyszy i widzi, jestem człowiekiem niecierpliwym, a z drugiej – w sprawach zasadniczych – szalenie wytrwałym.

Zapowiedziałem Brandysowi, że będą dwa wątki. Chciałem przeplatać politykę z tym, co dzieje się w domu Łucji Król. Pierwsza wersja montażowa miała prawie trzy godziny. Ale nie to było najgorsze. Film był tak dołujący, że właściwie nic, tylko do biletu trzeba było sznur dołączyć. Żadnej nadziei, nic. Więc godzinę wyrzuciłem.

„Matkę Królów" grali w jednym kinie.
– W kinie Wars na Nowym Mieście w Warszawie. Ponad pół roku, ludzie z całej Polski przyjeżdżali. Potem mnie władza oszukała. Bo jak dostałem Złote Lwy, ówczesny szef kinematografii obiecał: „Zwiększymy liczbę kopii". Nie zwiększyli. Najwyraźniej, mimo że to już była druga połowa lat osiemdziesiątych, obawiali się, że ten fragment o czasach stalinowskich jest nadal aktualny. Jest w tym jakiś paradoks, że za granicą jestem znany jako reżyser „Matki Królów", a w Polsce jako „ten od »Piłkarskiego pokera«".

To prawda, że scenariusz o kulisach polskiej piłki powstał w dwa tygodnie?
– Ale dlatego, że po prostu nafaszerowałem Janka Purzyckiego rozmowami. Na czym to polegało?

Chodziłem na mecze i przyjaźniłem się z Krzyśkiem Mętrakiem, który miał felieton w „Piłce Nożnej". Poznałem tych wszystkich sfrustrowanych dziennikarzy. Cenzura nie pozwalała im pisać o przekrętach ani pijanych sędziach. Więc szliśmy po meczu na piwo i oni mi to wszystko opowiadali.

Najwięcej Jurek Chromik dopomógł, który potem był konsultantem przy filmie. Jak Jerzy Engel opowiedział mi, jak założyli spółdzielnię, to miałem już kręgosłup całej historii. I nie musiałem się długo zastanawiać. Chciałem, żeby to był film zbliżony do „Wielkiego Szu". No więc zwróciłem się do Purzyckiego. Skontaktowałem go z tymi wszystkimi ludźmi. Więc on dostał to wszystko na tacy. Scenariusz napisał w dwa tygodnie, a potem krył się przede mną, bo myślał: „Jak ja się przyznam, to Zaorski sobie pomyśli, że ja jestem grafomanem. No jak można w dwa tygodnie?".

„Piłkarski poker" to był pana największy komercyjny sukces?
– Trudno ocenić, bo wtedy władze fałszowały wyniki frekwencyjne. Zdarzało się, że dopisywały część widzów do radzieckich filmów. Ale na mój debiut „Uciec jak najbliżej" w latach 70. poszło aż cztery i pół miliona widzów. Piwnica Świdnicka, bigbitowe rytmy, Stan Borys śpiewał. Film okazał się niedojrzały jak jego reżyser i publiczność, która go obejrzała. Najwyraźniej udało mi się złapać porozumienie z moim pokoleniem. Nie policzę, ile osób mi potem opowiadało, że widziało „Uciec jak najbliżej" na wagarach.

Pan to akurat powinien dobrze rozumieć.
– Regularnie spóźniałem się na pierwszą lekcję. Miałem do szkoły 50 metrów, ale nadkładałem drogi, żeby oglądać fotosy i plakaty filmów, które aktualnie wyświetlano w kinie Stolica. To kino, w którym dziś mieści się Iluzjon, na wiele lat stało się moim drugim domem. Kiedyś na wagary chodziło się do kina, dziś dzieciaki częściej szwendają się po galeriach handlowych. Ale może niektóre z nich dotrą na seans na najwyższym piętrze.

W „Syrence Picassa" pokazuje pan, że zmienił się ustrój, ale ludzie, także ci w urzędach, niekoniecznie. A wszystko zaczęło się od kaprysu artysty.
– Który nabazgrał coś węglem na ścianie, a potem wyjechał i zostawił ludzi z problemem. Od razu pojawiła się kolejka chętnych, żeby przy okazji uszczknąć coś dla siebie. Żyjemy w kraju pełnym takich paradoksów. Nieprzypadkowo stąd wywodzą się Gombrowicz, Tuwim, Mrożek. Mam taką śmieszną historię ze Słonimskim. Spotkaliśmy go z rodzicami i bratem, kiedy byliśmy w Nieborowie. Zaczęliśmy z Andrzejem cytować „W oparach absurdu".

[Janusz Zaorski recytuje] „Potrzebny chłopak do podlewania sztucznych kwiatów. Może być mańkut". „Lekcji francuskiego, arytmetyki i łaciny udzielić mogę. Gruntowna metoda, ale nie chcę". „Ogrodnik zrywa melony przechodniom".

I tak dalej, i tak dalej.

A Słonimski na to: „Kurwa, trafiłem pod strzechy!". To moja jedyna rozmowa z Antonim Słonimskim. Chyba do CV powinienem sobie wpisać.

Miałem w życiu za dużo przeprowadzek i gdzieś mi przepadło takie zdjęcie. W Słupsku byłem, patrzę, a za szybą restauracji napis: „Specjalność zakładu: bułka z masłem". Wydaje mi się, że jestem wyczulony, a nawet przeczulony na te nasze paradoksy, zresztą wychowałem się na tych pisarzach, których wymieniłem. Potem zrobiłem film według „Awansu" Edwarda Redlińskiego. Ile tam jest z naszej tradycji prześmiewczej.

Zna pan tę anegdotę, jak zostać pisarzem?

Nie sądzę.
– Zapytałem kiedyś Redlińskiego: „Edek, ty na politechnice studiowałeś, potem dziennikarstwo, a zostałeś pisarzem – jak to się stało?". „No, a tak, że jestem z Frampola". To była osada pod Białymstokiem. Bida, nędza, nie dojadali. Mówił, że pierwszy raz grubego człowieka zobaczył dopiero na początku lat 50. To był rzeźnik. Edek dużo czytał. Raz znajomi zgubili książkę, którą im pożyczył. Gdzieś się zawieruszyła. A mieli regał pełen książek. Więc w ramach rekompensaty mówią: „Bierz, co chcesz". On słyszał o takim pisarzu jak Gombrowicz, ale nic nie czytał. Więc wziął „Ferdydurke". Opowiadał mi potem: „No i przyjechałem do siebie, przeczytałem, potem od razu drugi raz. I siedem razy tak czytałem tę książkę bez przerwy. To trwało ponad dobę, nie jadłem, nie piłem. I olśniła mnie ta książka".

Poprosił wszystkich znajomych, w których gusta wierzył, żeby zrobili listę stu ich zdaniem najlepszych książek. Tak ułożył listę 365 pozycji na cały rok. I wszystkie zdobył. Trochę to trwało: jedne dostał, część pożyczył, inne ukradł. Zapakował do dwóch waliz i czytał. I w ten sposób został pisarzem. Coś fantastycznego, prawda? Taki był Edward właśnie. Jak coś robił, to na całego. Niestety, tak samo miał z piciem.

Moim zdaniem jego błąd polegał na tym, że uwierzył, że Warszawa to metropolia. Po napisaniu „Konopielki" i „Awansu" powinien od razu do Nowego Jorku wyjechać. Widzi pan, straszna gaduła jestem, zbaczam w dygresje i potem muszę przepraszać.

Jak pan tak opowiadał barwnie o Redlińskim, pomyślałem o pana ojcu. Pisarzem co prawda nie został, ale wychował się w podobnym miejscu.
– Boguszyce, poczta Szczepankowo. Byłem tam niedawno na ślubie jednej z moich kuzynek. Wtedy wioska zabita dechami, mieli jedną krowę, jednego kunia, a teraz 26 krów. Nowoczesne gospodarstwo, świetnie wyposażone, czyściutko. A ja pamiętam, że tam nawet prądu nie było. Jak kuzynki do nas przyjeżdżały, to gasiły światło i zapalały, gasiły i zapalały – tak potrafiły przez 15 minut ten fenomen oglądać. Albo wodę: „A tu ciepło, a tu zimno, rany boskie!".

Ojciec miał kilkanaścioro rodzeństwa, a jeszcze kilkoro przy porodzie zmarło. Zawsze mi imponowało, że on przy tak trudnym starcie do czegoś doszedł. A doszedł swoją pracowitością. A że w resorcie kultury pracował, to jeszcze wieczorami wychodził na premiery, czy to teatralne, czy kinowe, zabierał mnie. I tak to się wszystko zaczęło.

Zależało mi na tym, żeby ten film niósł nadzieję. W czasach, w których zewsząd napływają złe wiadomości, sam tej nadziei potrzebuję

Działacz, szef kinematografii, potem minister kultury. Miał pan z tego powodu nieprzyjemności?
– Ależ oczywiście. Przecież w szkole filmowej uznali, że jestem idiotą i tylko dzięki protekcji się dostałem. Było nas trzech. Andrzej Krakowski, którego ojciec był szefem produkcji w Zespole Realizatorów Filmowych „Kamera". Tam powstały „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Nóż w wodzie", „Popioły" – absolutna czołówka. Andrzeja Titkowa ojciec – też wiadomo – wpływowy działacz.

Dziś by powiedzieli „resortowe dzieci".
– Trzymaliśmy się razem, początkowo trochę z musu, bo nas inni lekceważyli.

Jakie ja głupstwa wtedy robiłem, proszę pana, wstyd się przyznać. Wódkę stawiałem starszym kolegom w SPATiF-ie, żeby się wkupić, żeby pokazać, że nie jestem taki frajer.

Dowcipy opowiadałem. Składam to na karb błędów młodości. Z czasem się na mnie poznali, byłem asystentem przy filmach absolutoryjnych kolegów, nawet o kilka lat starszych. Ale początki były straszne.

Nie mówiąc o tym, że jak ogłosili wyniki, pcham się, żeby przeczytać listę, i słyszę taki tekst: „No, Zaorski się dostał, wiadomo!". I wtedy pomyślałem: „Skurwysyny, to ja wam jeszcze pokażę!". Opisałem to zresztą teraz w wywiadzie-rzece, który przeprowadził ze mną Jarek Grzechowiak. Jest wykładowcą w Łódzkiej Filmówce. To się nazywa „Mieszkam w kinie". Będzie tam więcej takich rzeczy, o których tutaj panu opowiadam. Starałem się skracać, a i tak ponad 500 stron wyszło.

Czy miał pan z ojcem moment konfrontacji?
– Przełomowy był rok 1968. Wyrzucili wtedy z uczelni rektora Toeplitza i moich ukochanych wykładowców. Ojciec próbował tonować nastroje. Wtedy pomyślałem: jakim ty jesteś koniunkturalistą. Dziś rozumiem, że dzięki ustrojowi dostał niewyobrażalną szansę. Jak go z dnia na dzień zdymisjonowali, potem trzymali latami w tzw. gotowości, to obserwowałem, jak go to niszczy. Tracił złudzenia.

Wcześniej zdarzało mi się uciekać z domu. Jedną Wielkanoc u braci Zygadłów spędziłem, bo przyjaźniłem się z Tomkiem i Jackiem, a potem też z Tadkiem, ich ojcem. Ale to głównie z matką były konflikty, nie z ojcem. Matka żyła życiem odbitym brata i moim. Wszystkim sąsiadkom opowiadała, jacy to my jesteśmy geniusze. Nas z Andrzejem to drażniło. Staraliśmy się coś jej wytłumaczyć, była niereformowalna po prostu.

Brat przetarł panu szlaki?
– Sporo mi ułatwił, na pewno. Rodzice nie chcieli, żeby zdawał na wydział aktorski, więc wyniósł się z domu. Przychodził tylko kolega z klasy z listą rzeczy, których Andrzej potrzebował. Było tam napisane: plecak, nóż fiński, koszula typu kowbojka, pionierki.

I ja to wszystko pakowałem. W końcu matka pękła i na egzamin przywiozła mu garnitur na ulicę Miodową. Wobec mnie rodzice też mieli inne plany. Posłali mnie do liceum Reytana. Cztery lata męczyłem się z matematyką, fizyką i chemią, bo to mnie w ogóle nie interesowało. Tam założyłem teatr, zacząłem pisać pierwsze teksty. Wiele zawdzięczam polonistce, pani profesor Annie Modrzejewskiej. Do tej pory utrzymujemy kontakt z panią profesor i kolegami, bo to była wówczas męska szkoła. Zbieramy się co roku na święcie szkoły, organizujemy wspólne wyjazdy.

W szkole grał pan jeszcze w tenisa.
– Ale potem tenis przegrał z kinem. Brakowało czasu. Inna sprawa, że nikt gnojkom nie powiedział, żeby nie grali na asfalcie, bo to się źle skończy. Hubertem Hurkaczem, niestety, nie zostałem. Ale zanim mi kolana wysiadły, coś tam jeszcze grałem. Nawet trafiłem kiedyś do rubryki sportowej w „Wyborczej", bo wygrałem turniej debla w parze z Robertem Rozmusem.

Swoją drogą, zrobiłem kasetę „Tenis z Wojtkiem Fibakiem". To był 1988 rok, początki ITI, kiedy dostali koncesję na dystrybucję VHS. Skończyło się to wszystko niezłym chochlikiem. Wojtek przywiózł mi wszystkie swoje mecze, które nagrywał z telewizji. Chodziło o to, żeby pokazać, jak trenuje bekhend, forhend, smecz i tak dalej, a potem gra z McEnroe'em, Connorsem, Borgiem. Tylko że my nie mieliśmy praw do tych materiałów. W 1988 roku można było to jeszcze wariacko zrobić, ale potem Mariusz Walter na gwałt wszystko wycofał z rynku, bo ewentualne roszczenia mogły go doprowadzić do bankructwa.

Z „Europokerem" się nie udało, ale ostatnio wyreżyserował pan dwa spektakle o piłce – „Eziego" dla Teatru Telewizji, w którym dochodzi do spotkania Kazimierza Górskiego z Ernestem Wilimowskim, a kilka tygodni temu z Robertem Talarczykiem wystawiliście widowisko „Łącznik – pieśń o Gerardzie Cieśliku" na Stadionie Śląskim w Chorzowie.
– Osiem tysięcy widzów przyszło to zobaczyć. Doświadczenie niesamowite. Akcja rozgrywa się w czasie meczu Polska – ZSRR w 1957 roku, kiedy Cieślik strzelił dwie bramki Lwowi Jaszynowi. Aktorzy grali po śląsku, z komentarzem Dariusza Szpakowskiego. Przedstawienie zarejestrowała TVP Katowice, teraz decyzja należy do redakcji teatralnej: być może spektakl trafi do ogólnopolskiej emisji z napisami.

Długo gadamy, pora kończyć, ale opowiem panu jeszcze jedną historię związaną z Cieślikiem. Na prapremierę „Piłkarskiego pokera" w katowickim Spodku przyszło wtedy dziesięć tysięcy ludzi. Andrzej Zydorowicz, który to prowadził, najwyraźniej miał gorszy dzień. Na widowni siedzieli kibice GKS-u, a on przedstawił Gerarda Cieślika jako zawodnika Ruchu Chorzów. Został natychmiast wygwizdany. Próbując ratować sytuację, Zydorowicz zaprosił mnie na scenę i zapytał, jaka jest moja ulubiona drużyna. I jak z tego wybrnąć? Nie chciałem się podlizywać śląskiej publiczności, warszawskiego klubu też nie mogłem wymienić, bo źle by się to skończyło. Wypaliłem więc: Osasuna Pampeluna. Zapadła cisza. Tydzień później Jan Urban przeszedł z Górnika Zabrze do Osasuny. Do dziś są przekonani, że maczałem palce w tym transferze, bo wcześniej nikt w Polsce nie słyszał o takiej drużynie. A mnie po prostu spodobała się nazwa. ●

eprasa.pl c7fd6aa309



FOT. SHUTTERSTOCK (2), MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE (2)

Kulturalne weekendy

SZUKASZ ARKADII? JEST NIEDALEKO



Przegrane w karty globusy z Wersalu, dwustuletni platan, klatka schodowa wyłożona holenderskimi kaflami. I jeszcze stado owiec. Krainę szczęśliwości znalazłam pod Łowiczem.

• Muzeum w Nieborowie i Arkadii, godziny otwarcia 10.00-16.00. Zwiedzanie bez pośpiechu to 3-4 godziny
Bilet łączony obejmuje zwiedzanie pałacu i ogrodu w Nieborowie, manufaktury majoliki oraz parku w Arkadii

Emilia Dłużewska

„Czekajcie, muszę wam jeszcze coś pokazać" – to zdanie Monika Antczak powtarza w ciągu pół dnia wielokrotnie. Szefowa Muzeum w Nieborowie i Arkadii pracuje tutaj od 20 lat. Nie sprawia wrażenia, jakby miało ją to znudzić. W końcu nie każdemu dane jest pracować w barokowym pałacu. Najdalej wysunięty na zachód oddział Muzeum Narodowego w Warszawie jest nie tylko malowniczy, ale też fascynujący. To miejsce, w którym odbijają się zmieniające się mody: od baroku po romantyzm, dramatyczne historie XX w. i współczesne wyzwania. My zaczniemy od środka.

Pałac pod kuratelą

Początek lutego 1945 r. Zima jest mroźna, śnieg nie stopniał od tygodni. Pod pałac w Nieborowie zajeżdża rozklekotana ciężarówka. Wysiada z niej łysiejący, niewysoki mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Przed pałacem ustawia tablicę: „Teren Muzeum Narodowego w Warszawie, nieuprawnione wejście grozi śmiercią".

Mężczyzna to prof. Stanisław Lorentz, legendarny muzealnik i wieloletni dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Stanowisko objął jeszcze przed wojną. W czasie okupacji kierował konspiracyjną akcją ochrony dóbr kultury: ukrywał skarby z polskich kolekcji, prowadził ewidencję zagrabionych przez Niemców zabytków i dzieł sztuki. Teraz ma inną misję: ocalić Nieborów przed splądrowaniem i zniszczeniem przez Armię Czerwoną. Lorentza poprosił o to Janusz Radziwiłł, ostatni prywatny właściciel Nieborowa.

W czasie wojny w pałacu stacjonował Wehrmacht. Niemcy pozwolili Radziwiłłom zostać w majątku. Pod nosem żołnierzy syn Janusza, Edmund Radziwiłł, i jego żona Izabella włączyli się w działalność polskiego podziemia – najpierw Batalionów Chłopskich, później AK. Na początku 1942 r. Matylda Getter, przełożona franciszkanek, proponuje Izabeli przyjęcie do Nieborowa dwunastu osieroconych dziewczynek. Wśród nich, o czym Radziwiłłową uprzedza, trzech sierot żydowskich.

Monika Antczak przesyła mi zdjęcia zrobione najpewniej latem tego samego roku, bo dziewczynki są tylko w lekkich sukienkach. Grupa dzieci stoi przy ustawionym w ogrodzie stole i zajada mandarynki z pałacowej oranżerii. – Trwa druga wojna światowa, mieszkańcy Warszawy nie mają chleba, a tu dzieci w promieniach słońca jedzą owoce. To była kraina szczęśliwości – mówi.

Trzy dziewczynki ukrywane w Nieborowie przeżyły wojnę. 1 września 1992 r. Instytut Yad Vashem uhonorował Izabellę Radziwiłłową tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

W styczniu 1945 r. Radziwiłłowie muszą opuścić Nieborów. Przenoszą się do niedalekich Walewic, gdzie aresztuje ich NKWD. Rodzina zostaje wywieziona na Łubiankę, stamtąd do kolejnych więzień i obozu jenieckiego w Krasnogorsku. Do Polski udaje im się wrócić w 1947 r.

Od kiedy we wrześniu 1944 r. PWKN ogłosił dekret o reformie rolnej, wiadomo było, że pałac zostanie znacjonalizowany. Radziwiłł liczył na to, że państwowa kuratela ocali majątek przed rozgrabieniem. W grudniu '44 przysłał Stanisławowi Lorentzowi kartkę świąteczną, w której przypominał o swojej prośbie.

W obliczu spustoszeń czynionych przez Armię Czerwoną plan zabezpieczenia pałacu przez wbicie przed nim tablicy z nazwą muzeum wydaje się szalony. O dziwo, zadziałał. Pałac w Nieborowie to dziś jeden z pięciu najlepiej zachowanych pałaców w Polsce.

▲ Pałac w Nieborowie zbudowano w latach 1695-1697 dla prymasa Michała Stefana Radziejowskiego. Od 1774 do 1945 roku, pałac należał do Radziwiłłów

◀ Rzeźba lwa (jednego z dwóch) przed głównym wejściem. Lwy sprowadził tu w Międzywojniu Janusz Radziwiłł z dawnych dóbr Tyszkiewiczów w Landwarowie pod Wilnem

▼ Globus Nieba, jeden z dwóch barokowych globusów (drugi to Globus Ziemi), które są ozdobą pałacowej biblioteki



Pan książę ma globus

Cudownie ocalała m.in. klatka schodowa, wyłożona kafelkami wyprodukowanymi na początku XVII w. przez manufakturę w Harlingen w Holandii. Biało-niebieskie fajansy, tzw. delfty, na przełomie XVII i XVIII w. miały być tańszym substytutem chińskiej porcelany. Z czasem stały się symbolem Holandii w równym stopniu co tulipany czy wiatraki. Przedstawiające scenki z wiejskiego życia i holenderskie krajobrazy płytki pokrywają klatkę schodową aż po sufit. Najbardziej spostrzegawczy odwiedzający wśród setek fajansów mogą wypatrzyć jeden umieszczony do góry nogami.

To jednak tylko rozgrzewka przed pałacowymi pokojami. Na pierwsze piętro wchodzi się przez Salę Białą, za czasów Radziwiłłów przestrzeń – dosłownie – do tańca i do różańca: pełniącą jednocześnie funkcję sali balowej i kaplicy. To jedno z miejsc, w którym łatwo dostrzec nakładające się na siebie wpływy różnych epok: część wystroju pochodzi z końca XVIII w., część z połowy wieku XIX, a część z dwudziestolecia międzywojennego.

Paradoksalnie eklektyczny styl wynika właśnie z tego, że pałac przetrwał wojnę i przejście frontu w tak dobrym stanie. – Od momentu,

eprasa.pl c7fd6aa309

gdy Nieborów stał się muzeum, wnętrza są zachowane. Ale wcześniej mieszkańcy zmieniali je w zależności od mody i gustu – tłumaczy Monika Antczak.

Zmieniały się też obyczaje. Stąd na pierwszym piętrze pałacu dwie sypialnie: wojewody i księstwa. W pierwszej znajduje się łóżko pojedyncze – z czasów, gdy pary małżeńskie sypiały osobno. W drugiej już łóżko podwójne. Jest nie tylko szersze, ale też pozbawione baldachimu z kotarami, który zapewniał śpiącemu wojewodzie nieco prywatności. I coś, co jeszcze ważniejsze: ciepło. Ogrzanie wielkiej pałacowej przestrzeni to do dziś wyzwanie.

A ogrzewać trzeba nie tylko ze względu na zgromadzone w środku zabytkowe przedmioty. Choć pałac w Nieborowie z końcem listopada na trzy miesiące zamyka się dla zwiedzających, muzealne życie bynajmniej nie zamiera. Zima to nie czas odpoczynku, lecz gruntownych porządków.

– Zdejmujemy i pierzemy kotary, odsuwamy i odkurzamy meble, myjemy okna, pastujemy podłogi – wylicza Antczak. Gości w pierwszych dniach marca witają wnętrza nie tylko lśniące czystością, ale też pachnące miodem, bo w Nieborowie podłogi pielęgnuje się pastą z pszczelim woskiem.

Kiedy Monika Antczak zapowiada, że pokaże nam jeszcze globusy z Wersalu (jeden przedstawia kulę ziemską, drugi mapę nieba), zakładam, że będą piękne. Nie spodziewam się, jakie są ogromne. Umieszczone na masywnych, drewnianych stelażach globy są niemal mojej wysokości. Na kuli ziemskiej wokół Morza Śródziemnego jest aż czarno od nazw portowych miast. Ale już Ameryki opisane są pobieżnie, bo geograf Vincenzo Coronelli stworzył je pod koniec XVII w., posiłkując się mapami handlowymi.

Globusy powstały za czasów Ludwika XVI. Do Polski przyjechały z jego bratem, Ludwikiem XVIII, który podczas Rewolucji Francuskiej uciekł z kraju. Na początku XIX w. przez kilka lat rezydował w Łazienkach. Niefortunnie – przynajmniej dla króla – w Warszawie spotkał Michała Hieronima Radziwiłła. – Panowie zasiedli do gry w karty, król przegrał. A że nie miał czym zapłacić, dług honorowy spłacił globusami – mówi Antczak.

200-letni platan i młode ziemniaki

Przez cały rok można odwiedzać należące do muzeum ogrody: barokowe ogrody w Nieborowie i pobliską Arkadię Heleny Radziwiłłowej.

Różnice między nimi widać na pierwszy rzut oka. Barokowy ogród wokół pałacu zaprojektowany został w stylu francuskim, z równiutko przystrzyżonymi szpalerami drzew, niskimi labiryntami z bukszpanu i symetrycznymi parterami kwiatowymi – tak historycy nazywają niskie, rozciągające się przed budynkami klomby, które z lotu ptaka przypominają perski dywan. Po obu stronach parterów wyrastają ogromne platany klonolistne, zasadzone jeszcze w czasach Stanisława Augusta.

Ponad 200 lat historii nieco je nadwyrężyło. Ale muzealnicy mają sposób i na to. Kiedy po wichurze jedno z sędziwych drzew pękło u podstawy, eksperci od zieleni zdecydowali się wbić przy nim piętnastometrowy pylon, który odciąży pień. Potężne gałęzie podtrzymują gumowe pasy, a platan wygląda nieco jak pacjent z kończynami na wyciągu. Ale żyje.

– Słyszycie, jak skrzypi? – pyta Katarzyna Żak-Zatorska. Profesjonalne ucho wyłapuje więcej. Ja muszę podejść bliżej, dopiero wtedy słyszę, jak pęknięty pień pracuje.

Żak-Zatorska kieruje Działem Zieleni muzeum. To zadanie dużo bardziej odpowiedzialne niż w przypadku zieleni miejskiej. Otaczający pałac park i pobliska Arkadia to jeden z sześciu polskich punktów na Europejskim Szlaku Ogrodów Historycznych.

Oznacza to, że oficjalnie uznany jest za część wspólnego europejskiego dziedzictwa kulturowego. Dbanie o taki ogród wymaga wiedzy nie tylko botanicznej, ale i historycznej, by zachować go w oryginalnej formie.



Klatka schodowa i jej sufit są w całości wyłożone tysiącami biało-niebieskich holenderskich płytek ceramicznych

Wyzwaniem dla ogrodników są wywołane przez kryzys klimatyczny ekstremalne zjawiska pogodowe, które dotykają zabytkowe ogrody tak samo jak resztę polskiej zieleni: długotrwałe susze, fale upałów czy gradobicia.

– Zmiany klimatu są bardzo uciążliwe. Największym zagrożeniem są huraganowe porywy wiatru. Na wysokie czy niskie temperatury jesteśmy w stanie jako zespół reagować, ale nie jesteśmy w stanie utrzymać drzew, które się wyłamią czy powalą. Najważniejsze jest bezpieczeństwo ludzi, więc czasowo zamykamy ogrody, ale przejście trąby powietrznej czy mikrokomórki burzowej w 15 minut może poczynić ogromne zniszczenia – tłumaczy Żak-Zatorska.

Pracownicy Działu Zieleni nie tylko dbają o pałacowe ogrody, ale też przywracają ich historyczne elementy. Ogrodnicy odtworzyli m.in. przypałacową winnicę. Zasadzili w niej szczepy winorośli, które mogły tam rosnąć w czasach Radziwiłłów. Póki co wina nie ma, ale odwiedzający mają radość i z owoców.

Są za to ziemniaki z pola obok parku.
– Dwór był kiedyś samowystarczalny – opowiada Monika Antczak. – Chcemy odtworzyć nie tylko ozdobną zieleń, ale i część upraw. Zasadziliśmy ziemniaki, mamy też zboże.

Co z nimi robią? – Sprzedajemy – odpowiada. A pieniądze zasilają budżet muzeum.

Arkadia w ruinie

Grządki z ziemniakami to niejedyny wiejski akcent. W Arkadii, czyli parku angielskim założonym przez Helenę Radziwiłłową, można natknąć się na stado owiec. Działają jak naturalna kosiarka, tylko lepsza: nie palą benzyny, nie zostawiają za sobą stosów skoszonej trawy. No i hałas, który robią, jest milszy dla ucha.

Owce są zresztą bardzo na miejscu. Arkadia powstała w 1778 r. jako ogród sentymentalny: miejsce, gdzie szlachta mogła pobawić się w „proste życie" (które w praktyce z życiem prostych ludzi miało tyle wspólnego co fantazje klasy średniej o ucieczce w Bieszczady z życiem w Bieszczadach). Takie miejsca zyskały popularność w drugiej połowie XVIII w., wraz z rozpowszechnianiem się koncepcji francuskiego filozofa Jeana-Jacques'a Rousseau, głoszącej potrzebę naprawy ludzkości przez powrót do natury i idącą za nimi powieściami o szczęśliwym życiu blisko natury. Jednym z najbardziej rozbuchanych była wioska założona obok Wersalu dla Marii Antoniny.

Uladzimir Karalenak z Działu Sztuki, specjalista od XVIII-wiecznej architektury, który oprowadza mnie po Arkadii, pokazuje miejsce, gdzie za czasów założycielki ogrodu stało ogrodzenie, na którym powieszone były narzędzia ogrodnicze. Odwiedzający Arkadię goście mogli zdjąć z niego motykę albo grabie i chwilę pogrzebać w ziemi.

– Helena Radziwiłłowa robiła to chętnie. Lubiła tu spędzać czas, nocowała w Arkadii nawet częściej niż w pałacu w Nieborowie – mówi. – Swoich gości potrafiła oprowadzać godzinami, wiemy ze źródeł, że czasem nie mieli już sił, a ona jeszcze nie miała dość.

Co jeszcze zobaczycie w Nieborowie

• **Manufakturę majoliki,**
czyli ceramiki malowanej barwnym szkliwem. Farfurnię, czyli Fabrykę Fajansów Artystycznych i Kafli Piecowych, założył w 1881 r. książę Michał Piotr Radziwiłł, pozytywista. Manufaktura wykorzystywała lokalny surowiec i zatrudniała okolicznych mieszkańców, ale projektowaniem i zdobieniem niektórych obiektów zajmował się również książę. Działała kilkanaście lat, została na krótko wskrzeszona na początku XX w., a później jeszcze raz, w latach 80.

W 2017 r. patronat nad pracownią przejęła założona przez Radziwiłłów Fundacja Trzy Trąby. Na terenie muzeum powstają majolikowe naczynia, kafle i bibeloty w bardziej współczesnej odsłonie. W budynku manufaktury można też zobaczyć wystawę oryginalnej ceramiki wytwarzanej w Nieborowie na przełomie zeszłych wieków.

• **Suknię Barbary Radziwiłłówny**
A konkretnie – suknię, której Radziwiłłówna nie doczekała. Małżonka Zygmunta Augusta zmarła młodo, a o okolicznościach jej śmierci do dziś krążą legendy.
Do 30 listopada w pałacu w Nieborowie można zobaczyć wystawę **„Barbara – królowa z klejnotów"**, która odtwarza garderobę polskiej królowej.

Wśród prezentowanych na wystawie strojów jest m.in. suknia zrekonstruowana na podstawie rachunków, zapisków i listów prywatnego krawca królowej przez specjalistkę od ubiorów historycznych. Suknia powstała w oryginalnych technikach: jej tkanie i szycie zajęło trzy lata. Haftowany wzór wymagał użycia trzech kilometrów złotych nici.

I Arkadia jest świadectwem zmieniających się mód: na przełomie XVIII i XIX w. literackie sielanki tracą popularność na rzecz powieści gotyckiej. A Helena Radziwiłłowa zaczęła przekształcać ogród sentymentalny w romantyczny. Obok klasycyzujących budynków, jak świątynia Diany, zbudowanej z polnych kamieni groty Sybilli czy rustykalnych Chatek Filemona i Baucydy wyrosły te czerpiące z bardziej mrocznych wątków, jak Domek Gotycki czy Grobowiec Złudzeń.

Tak romantyzm, jak wiejska sielanka, są tu starannie zaaranżowane, dekoracyjne. Malowniczy fragment akweduktu nigdy nie służył jako wodociąg, w świątyni Diany nikt się nie modlił, w Grobowcu na Wyspie Topolowej leży tylko rzeźba. – Zwiedzający czasem komentują: co to za ruina. Ale to nie my do tego doprowadziliśmy, to Helena Radziwiłłowa tak zbudowała – śmieje się Karalenak.

Historyk podkreśla jednak, że Arkadia nie była dla Radziwiłłowej jedynie kaprysem. – To był również salon polityczny, w którym mogli spotykać się przedstawiciele arystokracji. Widzimy w listach, że między tematami politycznymi pojawiają się prośby o przesłanie jakiegoś drzewka czy rzeźby do upiększenia ogrodu. To był temat, który łączył. Dla kobiet to była możliwość uczestniczenia w życiu politycznym, ale też stworzenia czegoś od zera, według własnego pomysłu.

„Lalka"? Niejedna

Muzeum na co dzień na brak zwiedzających nie narzeka. Ale gdy odwiedzam je na przełomie września i października, jest ich jeszcze więcej, bo w Polsce trwa szał na „Lalkę". Krążą po ogrodach w poszukiwaniu kanału, nad którym w serialowej „Lalce" spotykają się grająca Izabelę Sandra Drzymalska i wcielający się w Wokulskiego Tomasz Schuchardt. Za chwilę dołączą do nich pewnie fani filmu Macieja Kawalskiego, szturmujący oranżerię, po której przechadzają się Marcin Dorociński i Kamila Urzędowska.

W Nieborowie powstały zresztą nie dwie, lecz trzy „Lalki". Przed Drzymalską i Urzędowską, spacerowała tu Beata Tyszkiewicz, która grała Łęcką w filmie Wojciecha Hasa z 1968 r.

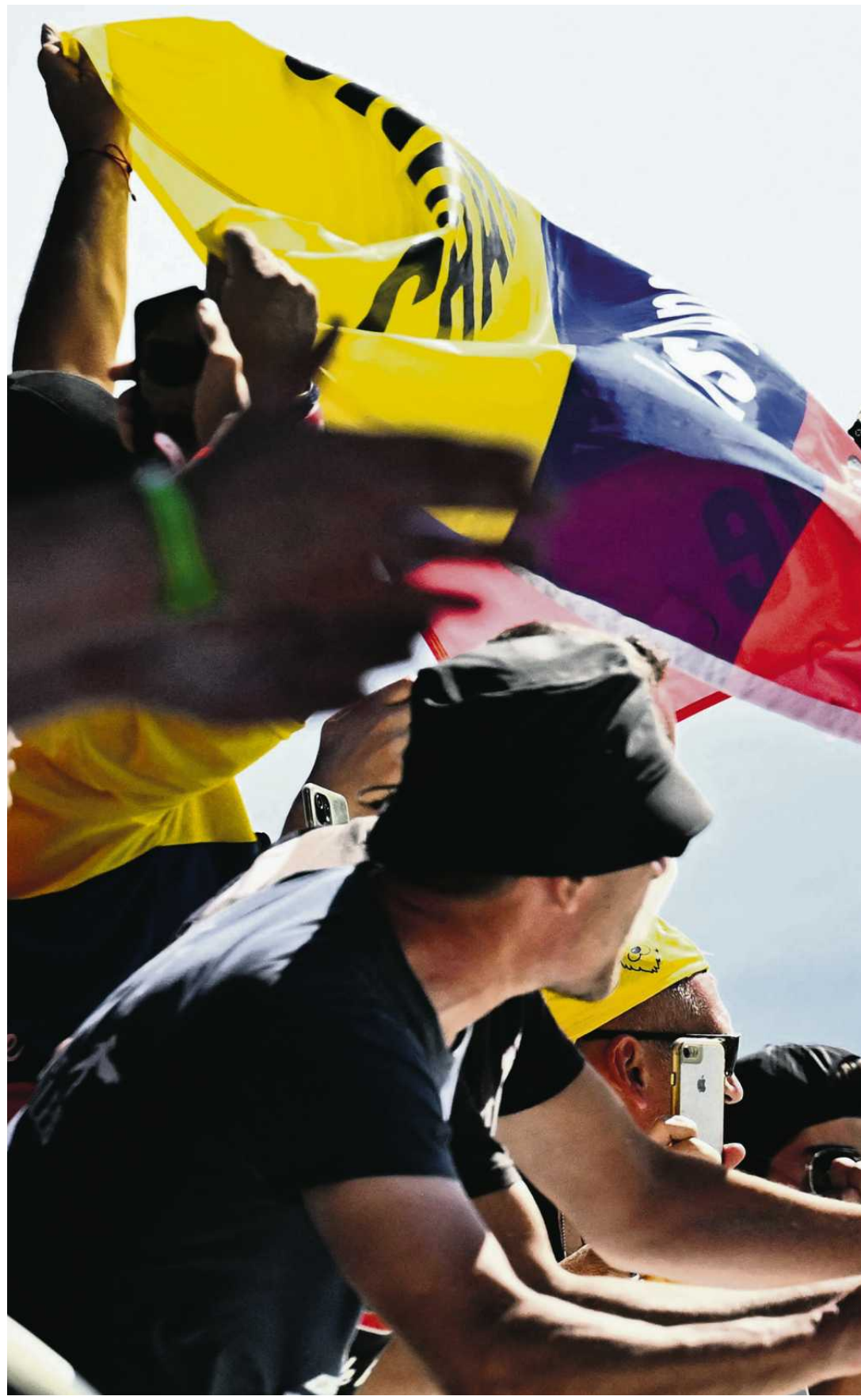
Tyszkiewicz do Nieborowa trafiła po raz pierwszy prywatnie, jako kilkuletnia dziewczynka. W czasie wojny Radziwiłłowie przyjmowali nie tylko sieroty, ale i znajomych arystokratów, szukających schronienia poza Warszawą. W pałacu jednocześnie mieszkali Potoccy, Radziwiłłowie, Braniccy. Ludzi było tyle, że nie starczyło łóżek. Przyszła gwiazda kina sypiała więc na stole bilardowym.

• **Co dwa tygodnie dziennikarze „Wyborczej" są w innym miejscu w Polsce** – w wybranej instytucji kultury, muzeum lub filharmonii. Odkrywają ich zasoby. Opowiadają o ludziach, którzy je tworzą. Odwiedziliśmy już Muzeum Warszawy, Filharmonię Łódzką, a dzisiaj opowiadamy o Nieborowie i Arkadii. Na kolejny odcinek zapraszamy do Muzeum Narodowego w Krakowie
Relacje wideo z tych podróży na Wyborcza.pl

OGŁOSZENIE
Kraj/34452974
Kulturalne WEEKENDY
REKLAMA
ORGANIZATOR
wyborcza.pl
PARTNER PROJEKTU:
PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA
PGE

eprasa.pl c7fd6aa309

Jak mała Słowenia zaplanowała POGACARA, DONCICIA i ROGLICA?



Radosław Leniarski
Dariusz Wołowski

Uroš Križanič, dyrektor szkoły podstawowej w Komendzie pod Lublaną, doskonale pamięta wątłego Tadeja, chłopaka przyjeżdżającego do szkoły na monocyklu, a na lekcjach patrzącego z zamyśleniem w okno. W dali majaczy szczyt góry Krvavec. Widać go z większości klas.

– Matematyka, język, wszystko jedno jaka lekcja. Broda podparta dłonią i wzrok utkwiony w Krvavec. Trochę jakby nieobecny, zamknięty w sobie – mówi dyrektor. – I wiecie co? Pierwszy wyścig kolarski, jaki wygrał, kończył się na podjeździe pod Krvavec. Miał dziewięć lat – kończy triumfalnie dyrektor Križanič. Podrywa się z fotela i mówi: – Chodźcie, coś wam muszę pokazać.

Schodzimy wraz z nim na parter szkoły. Na najdłuższej ścianie widnieje wielka mozaika kolarza w żółtej koszulce lidera Tour de France. Jakieś trzy tysiące kawałków ułożonych w prowansalski krajobraz z cyklistą. Wykonali ją uczniowie szkoły w Komendzie, dumni z jej najsłynniejszego absolwenta.

Właśnie dla niego tu jesteśmy – dla pięciokrotnego triumfatora Tour de France Tadeja Pogačara i fenomenu Słowenii. Chcemy dowiedzieć się, jakim cudem dwumilionowy kraik wielkości województwa podlaskiego wychował prawdopodobnie najlepszego kolarza w historii i jego wielkiego rywala Primoža Rogliča; jednego z najlepszych koszykarzy NBA Lukę Dončicia; cichego generała NHL, dwukrotnego zdobywcę Pucharu Stanleya Anže Kopitara; siatkarzy, którzy biją się z naszymi, przecież najlepszymi na świecie, tak zażarcie, że w meczach o stawkę bilans wynosi 11-9 dla Polski; legendę nart alpejskich Tinę Maze; wybitną biegaczkę narciarską Petrę Majdič; wybitnych skoczków narciarskich, a także najlepsze na świecie skoczkinie, wioślarzy i wspinaczkę sportową.

Billato po cichu

O godzinie 9 rano stawiamy się w klubie kolarskim Rog, w którym po raz pierwszy wsiadł na rower najpierw Tilen, a potem jego młodszy brat Tadej – zasadniczo piłkarz, wówczas. Cały sztab trenerski właśnie wyjeżdża do Chorwacji na „integrację".

– Ktoś musi pilnować domu – mówi kwaśno Miro Mišulin, od blisko 30 lat sekretarz klubu, gdy pytamy, czy i on jedzie.

Rozglądamy się. Szron na rzęsach się nie osadza z wrażenia, choć Tadej cały czas wspiera klub, który go wychował. Mały podjazd, coś jak parking. Kilka wypasionych volvo z dumnymi napisami „Pogiteam". Willa jest nieduża. W środku sklepik. Taras na piętrze. Na balustradzie baner: „Never quit trying and never give up" – nigdy nie przestawaj próbować i nigdy się nie poddawaj. Tam też znajduje się biuro i rower z zieloną ramą „Billato" – jakby dla krasnoludka.

Czy ktoś zna rowery „Billato"? Jesteśmy pewni, że nie. A to idealna paralela do samej Słowenii: po cichu do celu. Billato to rodzinna, włoska firma, która dostarcza ramy dla najlepszych marek kolarskich i do kultowych rowerów Pinarello, Bianchi, Coppi, Legnano. Jako pierwsi robili ramy tytanowe, a potem karbonowe, które wygrywały wielkie wyścigi. No i dostarczyli pierwszy wyścigowy rower dla dziewięcioletniego Pogačara. Właśnie ten, który mamy w rękach.

Dusza jugosłowiańska

Na początku Mišulin udaje zabieganego, zakręconego, zajętego – świat do niego dzwoni, on mailuje, jest taki zapieprz, że nie ma czasu załadować taczki. Pięć minut później zamienia się jednak w gawędziarza. I ma swoje własne zdanie o słoweńskim fenomenie.

– Dusza jugosłowiańska. Została nam w spadku po wojnie. W Jugosławii sport był najważniejszy, bo dusza bałkańska mogła się w nim realizować. Rywalizacja, zaciętość. Mieliśmy nawet wtedy dobrych kolarzy. Jure Pavlič – to był pionier! – mówi Mišulin.

Oczywiście Pavlić, pierwszy słoweński lider wielkiego touru – Giro d'Italia – zaczął trenować właśnie w klubie Rog, który wówczas miał główną siedzibę w centrum Lublany, gdzie stała fabryka rowerów Rog.

– Nieustępliwość mamy we krwi – dodaje Mišulin i opowiada niesamowitą historię o zawziętości. – Pewnego dnia przychodzi do mnie chłopak, miał ponad 20 lat. Mówi tak: „Jestem skoczkiem narciarskim, ale chcę być kolarzem".

– Roglić! – wykrzykujemy.

– Tak. Ale wiecie, panowało przekonanie, że skoczkowie to pijacy. Po co nam pijak? W kolarstwie się nie sprawdzają, kolarstwo jest prawdziwe. No, ale chłopak był uparty. Mówię mu: „Masz tu telefon do trenera Hauptmana" (Andrej, były kolarz, później trener, jeden z „odkrywców" Pogačara). Potem dzwonię do Hauptmana: „No tak, przyszedł – mówi – ale po co nam skoczek? Pewnie pijak. A do tego stary już. Powiedziałem mu: przynieś 3000 euro na sprzęt, to pogadamy". Tak naprawdę to my zapewniamy rower i ubiór, tylko buty trzeba sobie kupić samemu. „No więc – mówił Hauptman – chyba mamy go z głowy".

– I co dalej? – dopytujemy.

– Ha, no właśnie. Następnego dnia Primož sprzedaje swój motocykl i przychodzi z 3000 euro! Jezu, co to było, jak on zaczął jeździć?! Zero techniki, męczył się, przewracał do rowu. Ale jechał. Na tym właśnie polega jugosłowiańska dusza – mówi z dumą Mišulin. – Tak samo Tadej. Kiedyś jako dziecko wyruszył do Francji z mamą, która uczyła francuskiego. Pojechali okrężną drogą, żeby nie płacić za tunel pod Alpami. W Sestriere akurat trwał etap Tour de France z Alberto Contadorem i Andy Schleckiem. Tadej oglądał ten etap, a mama wspominała, że powiedział wtedy: „Ja muszę w tym wystartować!". Następnym razem był we Francji, gdy wygrał swój pierwszy Tour de France w 2020 roku – kończy Mišulin.

Pogačar i Roglić w sumie zwyciężyli w 11 wielkich wyścigach, w tym w pięciu Tour de France, czterech Vuelta a España i dwukrotnie w Giro d'Italia. 18 razy stawali na podium klasyfikacji generalnej. Polski kolarz na podium wielkiego touru był tylko jeden – Zenon Jaskuła, 33 lata temu. Pogačar i Roglić trenowali razem w tym samym klubie Rog przez jakieś dwa, trzy lata, wraz z około 250 innymi kolarzami. To się wydaje wręcz niemożliwe, żeby takie tłumy przewijały się przez ten malutki klub. Teraz jeden bohater – Roglić – kupił dom cztery kilometry stąd i czasami trenuje w pobliżu, a drugi, choć mieszka w Monako, bywa tu niezwykle często. Ostatnio w poniedziałek, czyli dwa dni przed naszą wizytą.

– Siedział sobie i pił kawę, tak jak wy teraz – mówi właściciel baru Sava, tuż przy wjeździe do klubu.

1 RP

eprasa.pl c7fd6aa309



• Tadej Pogačar - słoweński kolarz zespołu UAE Team Emirates – świętuje zwycięstwo 7. etapu 109. edycji wyścigu Tour de France (8 lipca 2022). Od 2025 r. drużyna Pogačara występuje pod nazwą UAE Team Emirates-XRG

FOT. MARCO BERTORELLOAFP/EAST NEWS

Każde słoweńskie dziecko raz w roku przechodzi sprawdzian fizyczny. Tylko że to nie jest bieg na 60 metrów czy rzut piłką lekarską.

– Na tym krześle siedział? Dokładnie na tym? – dopytujemy przekornie, ale i trochę po to, żeby wiedzieć, gdzie usiąść. Właściciel nie żartował: – Dokładnie na tym.

I zaplanowaliśmy sport

Jedziemy do szkoły w Komendzie, bo jednak Mišulin nie do końca przekonał nas, że za wszystkimi sukcesami słoweńskiego sportu stoi wyłącznie bałkańsko-jugosłowiańska dusza. Musi być coś więcej. A przynajmniej coś, co można zmierzyć, zważyć – coś namacalnego, a nie domniemane przymioty charakteru, i to nie jednej osoby, ale całej wielkiej mieszanki etnicznej Bałkanów Zachodnich. Komendę, gdzie znajduje się szkoła Pogačara, Klanec, gdzie mieszkał, i Vikrče, gdzie bazę ma jego klub Rog, dzielą skromne kilometry. Jeździmy z miejsca na miejsce i rozmawiamy.

Dyrektor Križanič uważa, że sprawy z talentem Słoweńców do sportu mają dokładnie odwrotne źródło, niż twierdził Mišulin.

– My, Słoweńcy, wcale nie mamy charakteru bałkańskiego. Jesteśmy raczej chłodni, zdyscyplinowani. Dużo planujemy. Uwielbiamy planować. I zaplanowaliśmy sport – mówi dyrektor.

– Zaraz, zaraz. A hasło „Never give up" z klubu Rog? Idealnie pasuje do bałkańskiej duszy: Nikoli se ne predaj, nigdy się nie poddawaj – pytamy zdezorientowani.

– Źle to rozumiecie. Jak coś nie ma sensu, to lepiej odpuścić. Trzeba myśleć – odpowiada dyrektor.

Według niego głównym źródłem sukcesów słoweńskiego sportu jest zaangażowanie rodziców. – U nas każdy coś w sporcie robi. W naszej szkole 60 procent dzieci z 750–800 uczęszczających uprawia sport na poziomie zawodniczym, juniorskim. Wszyscy robią to dlatego, że ich rodzice są aktywni fizycznie. A my nie tylko nikogo nie zostawiamy, my ich szukamy, a potem popychamy we właściwą stronę. Nie mamy w Słowenii tak wielu dzieci jak wy w Polsce, więc każde jest na wagę złota. Nie można sobie pozwolić na marnotrawstwo. Gdybyśmy tylko na dzieci czekali, to tak dobrze by nie było. Jak myślicie, dlaczego Tadej zaczął jeździć na rowerze? Bo w 2007 roku przyszedł do szkoły trener z trenażerem rowerowym. Każde dziecko wskoczyło na niego, a trener obserwował i namawiał do kolarstwa tych, którym to najlepiej wychodziło.

To słynna historia kolarska. Trener Miha Koncilija w ten sposób obleciał wszystkie szkoły podstawowe pod Lublaną. Wyłowił Tilena Pogačara i o dwa lata młodszego Tadeja, którzy wcześniej trenowali piłkę nożną i koszykówkę (Tilen) oraz samą piłkę nożną (Tadej). Okazało się, że wyłowił diament. Cztery lata później wspomniany Hauptman pojechał na lokalny wyścig. Patrzy, jakiś kolarz jedzie pod stromą górę 100 metrów za grupą ewidentnie starszych rywali. Podobno Hauptman, widząc sytuację, powiedział organizatorom, żeby nakazali grupce uciekinierów zaczekać na odpadającego zawodnika, albo go do niej podciągnąć, inaczej zajedzie się na amen („bo to jeszcze dziecko"). – Nie. To nie dziecko. To Pogačar. Właśnie ich dubluje – mieli odpowiedzieć.

Od razu przypomnieliśmy sobie trenera Zbigniewa Niewiadomskiego, olimpijczyka z Monachium w kajakarstwie, który podobny program przeprowadził w szkołach warszawskiej Ochoty w latach 70. Setki dzieci biegało na 60 i 300 metrów, rzucało piłką lekarską, a Niewiadomski z najlepszych stworzył dwie klasy sportowe w szkole nr 175. Komu to przeszkadzało?

– Bardzo się ucieszyłem, że Tadej przeszedł testy trenera Konciliji, bo widziałem, że ma kolarską naturę – ciągnie dyrektor Križanič. Unosimy brwi ze zdziwienia. – Kolarze są znacznie bardziej zdyscyplinowani wobec siebie i bardziej introwertyczni, niż dzieci uprawiające sporty drużynowe. To się rzuca w oczy.

System Totalny przez duże S i duże T

W tym momencie dzwoni komórka. To Janez Vodičar, profesor nauk o sporcie i legenda słoweńskiego biathlonu, z którym umówiliśmy się w Instytucie Sportu w Lublanie. Jest jego kierownikiem.

– Gdzie jesteście? W Komendzie? Zaczekajcie, będę tamtędy przejeżdżał na zjazd naszego komitetu olimpijskiego – mówi profesor. Wyjaśniamy szybko, że już wiemy, gdzie leży źródło słoweńskich sukcesów w sporcie i skąd wziął się fenomen Pogačara. Geografia, narodowy charakter i rodzina. Ot co!

– Cooo? Ależ skąd! Ja wam wszystko wytłumaczę, tylko się stamtąd nie ruszajcie – mówi profesor Vodičar.

Przyjeżdża pół godziny później – no bo, jak już wspomnieliśmy, Słowenia to kraik wielkości województwa podlaskiego.

– Słuchajcie, sport w Słowenii to ani spadek po Jugosławii, ani odrębność od bałkańskiej gorącej krwi. Wpływ rodziny to przyczyna bazowa, najbardziej podstawowa. Ale tymi cechami mogłyby się pochwalić również inne kraje, a jednak takich sukcesów jak my nie odnoszą – mówi Vodičar.

Argumentuje, że za Pogačarami, Rogličami czy Dončiciami stoi system. Jest to faktycznie System przez duże „S". Imponujący. Totalny.

Słowenia mianowicie przysposabia do pracy w sporcie rzesze instruktorów. W sumie pracuje tu aktywnie 2400 trenerów i instruktorów, a licencje ma znacznie więcej, bo około 4000 osób. Większość nie ma wykształcenia pedagogicznego, więc pracuje w klubach, a nie w szkołach. A to dopiero początek.

– Jeśli zapytacie mnie, jak w Polsce, czy gdzie indziej stworzyć system wychowujący sportowych mistrzów, to powiem, że nie wiem. Ale też opowiem wam, jak my to robimy – mówi Vodičar.

Jedenaście pomiarów rocznie

Vodičar daje wykład, który brzmi mniej więcej tak: Każde słoweńskie dziecko raz w roku – po-

eprasa.pl c7fd6aa309

cząwszy od podstawówki – przechodzi sprawdzian fizyczny. Tylko że to nie jest coś zwyczajnego, jak np. bieg na 60 metrów czy rzut piłką lekarską. Nie. Jest to 11 precyzyjnych pomiarów dokonywanych każdego roku: wzrost, waga, grubość fałdów skórnych (mierzona fałdomierzem, co pozwala określić poziom tkanki tłuszczowej o wiele dokładniej niż wskaźnik BMI); tapping, czyli test szybkości ruchów rąk (uczeń stuka dłonią naprzemiennie w dwie płytki); skok w dal z miejsca; bieg z przeszkodami tyłem – genialny test koordynacji ruchowej i zwinności; brzuszki w czasie 30 sekund; zwis na drążku na ugiętych ramionach, czyli test siły statycznej obręczy barkowej i rąk (mierzy się czas utrzymania pozycji); bieg wahadłowy (cztery razy po 10 metrów); skłon w przód w siadzie prostym jako test elastyczności ciała i gibkości kręgosłupa oraz bieg na 600 metrów. Każde dziecko przechodzi te trzy pomiary i osiem testów corocznie od 6. do 19. roku życia.

Po prostu hardcore! Czy w Polsce do pomyślenia? Wątpliwe.

Vodičar kontynuuje:

Jeśli dziecko zaczyna startować w kategoriach juniorskich, zyskuje prawo do bardzo rozbudowanych testów w Centrum Diagnostyki Sportowej w Lublanie. Dzieci przechodzą zaawansowane testy ergospirometryczne (badanie VO2max – pułapu tlenowego) na bieżniach mechanicznych lub cykloergometrach dopasowanych do ich dyscypliny sportu. Określa się ich progi metaboliczne (aerobowy i anaerobowy). Podczas testów wysiłkowych i bezpośrednio po nich pobierana jest krew (z palca lub żyły). Badany jest poziom kwasu mlekowego (laktatu), kinazy kreatynowej (wskaźnik uszkodzenia mięśni), ferrytyny, czyli wewnątrzkomórkowego białka, które magazynuje żelazo w bezpiecznej, nietoksycznej formie i uwalnia je wtedy, gdy organizm go potrzebuje, żelaza oraz pełna morfologia z profilem hormonalnym. Dzięki temu trener w małym słoweńskim klubie dostaje do ręki gotowy profil biochemiczny i fizjologiczny 14- czy 16-latka. Wie dokładnie, czy młody organizm nie jest przetrenowany, jakie ma braki mikroelementów i na jakich intensywnościach powinien trenować, by nie zniszczyć zdrowia.

To wszystko już na początku drogi sportowej dostarcza trenerom informacji, do jakiej dyscypliny dziecko nadaje się najbardziej.

– Wcześniej to jest zabawa, zachęcamy do niej, zachęcamy do braku specjalizacji. W końcu odsetek tych, którzy odnoszą sukces w sporcie, jest radykalnie niski. Zwykle coś może w tym przeszkodzić – jakaś kontuzja lub inne sprawy. Znacie historię tego skoczka, który został kolarzem? – pyta znienacka Vodičar.

– Roglić! – wykrzykujemy.

– Przyszedł do nas, do Instytutu, gdy złapał koszmarną kontuzję na skoczni. Zbadaliśmy go dokładnie, przetestowaliśmy na wylot i skierowaliśmy do kolarstwa – mówi profesor.

– Aha! – wzdychamy z uznaniem i nie zdradzamy, że znamy tę historię z nieco innej strony, klubowej ze sprzedażą motocykla. Pamiętamy, Roglić przeszedł ze skoków do kolarstwa w wieku 22 lat, czyli w 2011 roku. W 2019 wygrał Vuelta a Espana, pierwszy z czterech swoich hiszpańskich triumfów.

Vodičar mówi dalej:

System działa od 1987 roku. Do dziś baza SLOfit – czyli system monitorowania sprawności fizycznej społeczeństwa – zgromadziła ponad 8,3 milionów indywidualnych, kompletnych raportów z całego roku życia konkretnych uczniów. Naukowcy z Wydziału Sportu Uniwersytetu w Lublanie są w stanie prześledzić rozwój fizyczny całych pokoleń. Tacy sportowcy jak Pogačar, Dončić czy Janja Garnbret – dwukrotna mistrzyni olimpijska i sześciokrotna mistrzyni świata we wspinaczce sportowej – zostali „zmapowani" przez system, zanim jeszcze usłyszał o nich świat, ba, zanim usłyszała o nich Słowenia, a nawet ich właśni rodzice. System natychmiast flaguje dzieci z wynikami w najwyższych percentylach (np. top 1 proc. sprawności w kraju).

Pewnego dnia przychodzi do mnie chłopak, miał ponad 20 lat. Mówi tak: „Jestem skoczkiem narciarskim, ale chcę być kolarzem". – Roglić! – wykrzykujemy

– Czegoś takiego nie ma nikt na świecie, zjeździłem Europę i wiem to na pewno – mówi profesor. – Ten system powstał dlatego, że jesteśmy małym narodem i nie możemy sobie pozwolić na marnotrawstwo (tu dyrektor Križanič kiwa głową, bo przecież używał wcześniej tego samego argumentu). Każdy talent musimy umieć wyłowić. A teraz to nawet wiemy, jak bardzo jest to trudne. Mamy bowiem w bazie coroczne wyniki testów fizycznych oraz coroczne badania wysiłkowe setek tysięcy dzieci. I powiem wam, że tacy jak Pogačar czy Iztok Čop (wioślarz, mistrz olimpijski, podobno zupełnie niebywały egzemplarz człowieka, jeśli chodzi o fizjologiczne zdolności adaptacji do wysiłku) zdarzają się raz na kilka, kilkanaście lat. Zresztą nie wiadomo jak często, bo tak dobre wyniki badań jak u nich jeszcze się nie powtórzyły – kończy Vodičar.

A czy za to się płaci?

Profesor zbiera się do wyjścia, bo jedzie na naradę do Słoweńskiego Komitetu Olimpijskiego. My też schodzimy do wyjścia z dyrektorem. W szkole trwa akurat przerwa. Hałas jak w hamowni silników odrzutowych. O rany! Dzieci nie mają smartfonów – uświadamiamy sobie po chwili. Od czterech czy pięciu lat – dyrektor nie pamięta dokładnie – komórki są deponowane w szafkach zaraz po wejściu dzieci do szkoły. Nikt się nie kłóci, że to zamach na wolność.

Boże, jak to słoweńskie społeczeństwo musi być zdrowe!

Wsiadamy do samochodu, ale zanim ruszamy, sięgamy do internetu. Czytamy: „Wysoka aktywność fizyczna Słoweńców wiąże się z ogromną, ogólnonarodową kulturą sportu wyczynowego. Dzieci od najmłodszych lat są precyzyjnie monitorowane. Choć dla wielu jest to motywacja, u części młodzieży rodzi to potężną presję". Dalej: „W kraju, gdzie rówieśnicy i dorośli odnoszą spektakularne sukcesy, poprzeczka oczekiwań w szkole i klubach sportowych wisi niezwykle wysoko".

Czytamy dalej: „Badania Uniwersytetu w Lublanie dowodzą, że Słowenia ma jedne z najsprawniejszych i najzdrowszych fizycznie dzieci w Europie. Pod tym względem system odnosi gigantyczny sukces". I to jeszcze: „Oficjalne badania nad zdrowiem psychicznym słoweńskich sportowców wyczynowych (m.in. publikowane w MDPI / Repozytorij UL) potwierdzają, że w tej grupie wskaźniki lęku, depresji oraz specyficznych zaburzeń (np. odżywiania u kobiet czy impulsywności u mężczyzn) są tak samo wysokie jak w ogólnej populacji, co obala mit, że sport wyczynowy automatycznie chroni psychikę".

Jednym zdaniem: jadą na limicie. Jak podrasowany na maksa samochód z podmiejskiego warsztatu w wiecznym wyścigu z bolidem ze stajni Mercedesa.

Co pozostaje nam? Ruszamy 13-letnim volvo w kierunku ojczyzny, w której sukces sportowy bywa sensacją. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

W SOBOTĘ 31 PAŹDZIERNIKA W „WYBORCZEJ"
SPECJALNY DODATEK

Wspominamy tych, którzy odeszli

Andrzej Wielowieyski, Andrzej Morozowski, Wanda Traczyk-Stawska, Wiesław Myśliwski, Łukasz Litewka, Harald V, Brigitte Bardot, Jan Frycz, Michał Urbaniak, Stanisława Celińska, Dolly Parton, Magda Umer, Andrzej Olechowski, Jan Turnau i inni



1 RP

eprasa.pl c7fd6aa309

POLECA ADAM MICHNIK

RZEŹ WOŁYŃSKA *nie spadła z nieba*



FOT. REPRODUKCJA. / FORUM

Żniwa na Wołyniu, okolice Kowla, 1922 rok.

Polska opowieść o niesieniu na Wschód zachodniej cywilizacji jest wyssana z palca.
Nie znalazłem żadnego świadectwa, by chłopi odczuwali dobrodziejstwo tej rzekomej misji

Z **PROF. DANIELEM BEAUVOIS*** ROZMAWIA **RADOSŁAW KORZYCKI**

Obchodzimy Rok Jerzego Giedroycia. Czy redaktor paryskiej „Kultury" był jedynie wydawcą i patronem pana badań, czy także intelektualnym przewodnikiem? Co dostrzegł wcześniej niż większość polskich historyków?
– Przed habilitacją, przed 1977 r., nie miałem z Giedroyciem bezpośredniego kontaktu. Ukończyłem wówczas wielką pracę o Uniwersytecie Wileńskim. Krzysztof Pomian zwrócił na nią uwagę Redaktora, a ten zainteresował nią także Czesława Miłosza. Plan prezentacji podczas 400-lecia uniwersytetu przekreśliły jednak napięcia między profesorami litewskimi i polskimi.

„Kulturę" znałem wcześniej jako czytelnik. Prenumerowałem ją, kierując Ośrodkiem Kultury Francuskiej w Warszawie, więc jej myślą przesiąkłem, zanim poznałem Giedroycia. Początkowo tylko korespondowaliśmy. Wydanie pracy liczącej niemal 900 stron przekraczało możliwości finansowe oficyny, dlatego polska publikacja musiała poczekać 13 lat.

Współpraca zacieśniła się, kiedy przesunąłem zainteresowania z Litwy ku Ukrainie. W 1984 r. opublikowałem po francusku pierwszą część późniejszego „Trójkąta ukraińskiego", a Giedroyc wydał „Polaków na Ukrainie" w Bibliotece „Kultury". W pewnym sensie dopiero wtedy stałem się polskim autorem.

Dlaczego jubileuszowe wydanie „Trójkąta..." zadedykowałem „wielkim cieniom paryskiej »Kultury«"? Giedroyc był patronem moich badań, ale nie nazwałbym go ich jedynym przewodnikiem. Silnie oddziaływała na mnie myśl Juliusza Mieroszewskiego. Czerpałem z całego środowiska redakcji, z całej tradycji „Kultury".

Mieroszewski pisał, że Polacy mogą żądać od Rosjan wyrzeczenia się imperializmu dopiero wtedy, gdy sami wyrzekną się własnego. Czy Polska wykonała tę pracę? Jesteśmy w 2026 r. Może pogodziliśmy się z utratą terytoriów, ale czy w wyobraźni zachowaliśmy dawną hierarchię narodów?
– Piszę o tym szeroko w nowym wstępie do jubileuszowego wydania „Trójkąta ukraińskiego". Niestety Polska tej pracy nie wykonała, a przynajmniej nie do końca.

Pewna zmiana jednak zaszła. Moje badania w archiwach Ukrainy i Rosji podjęło wielu polskich badaczy, zmienił się też stosunek części opinii publicznej do Ukrainy. Stefan Kieniewicz, Juliusz Bardach, a później Jan Sowa, Andrzej Leder czy Maria Janion pozytywnie odnieśli się do tego, co znalazłem. Tego punktu widzenia nie można już ignorować, choć nadal odrzuca go wiele osób poważnych i wpływowych.

Nie dawajcie chłopom wolności!

Spróbujmy go przybliżyć czytelnikowi, który nie zna pana prac. Jak wyglądało położenie ukraińskiego chłopa na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie?

Zajmuję się zawodowo Stanami Zjednoczonymi, dlatego chciałbym zapytać o analogię z niewolnictwem na amerykańskim Południu. Co łączyło los chłopów na Ukrainie z losem afroamerykańskich niewolników na plantacjach bawełny: przymus pracy, kary cielesne, zakaz odejścia, rozdzielanie rodzin, warunki życia, dieta, doświadczenie głodu?
– To porównanie pojawiało się już w XIX wieku. W 1847 r. Honoré de Balzac, przebywający u Eweliny Hańskiej na Ukrainie, napisał krótki tekst, „List o Kijowie", opublikowany znacznie po jego śmierci, bo w 1927. Porównywał w nim sytuację ukraińskich chłopów z niewolnictwem na amerykańskich plantacjach.

Ostrzegał wręcz polskich właścicieli, by nie dawali chłopom wolności, bo po uwłaszczeniu mieliby się upijać i doprowadzić majątki do ruiny. Widział ich położenie w Wierzchowni [u Hańskiej] i uważał, że przymus pracy, kary cielesne i brak swobody są niezbędne do funkcjonowania pańszczyzny.

Nie utożsamiałbym obu porządków, ale analogia pozostaje mocna i pomaga zrozumieć stosunki społeczne na Ukrainie.

eprasa.pl c7fd6aa309

Gdzie kończy się jej ścisłość? Co różniło Podole czy Wołyń od Georgii i Karoliny Północnej?
– Analogia nie przestaje być trafna, choć nie mamy do czynienia z identycznymi porządkami prawnymi i społecznymi. Pozostaje użyteczna przez cały badany przeze mnie okres, od II rozbioru Rzeczypospolitej do I wojny światowej.

Na tych ziemiach nakładały się dwie hegemonie. Polscy właściciele od początku przedstawiali chłopstwo jako barbarzyńskie. Stanisław Trembecki w „Zofiówce" (1805) ukazywał rezydencje szlacheckie jako wyspy szczęśliwości pośród barbarzyństwa. Splatają się tu poddaństwo, pańszczyzna, niewolnictwo i kolonializm.

Najchętniej mówiłbym jednak o feudalizmie. Stosunki społeczne w XIX wieku były w dużej mierze przedłużeniem porządku z XVI i XVII. Pogardę wobec chłopa utrwaliły już statuty litewskie, których kolejne redakcje prawnie umacniały nierówność stanową i poddaństwo, szczególnie drugi wariant, zwany Statutem Wołyńskim (1566).

Ciągłość tę widać w literaturze: od Samuela Twardowskiego i Guillaume'a Le Vasseura de Beauplan [„Déscription d'Ukranie" – „Opis Ukrainy"; ważne zachodnioeuropejskie świadectwo o Kozakach, chłopach, obyczajach i stosunkach społecznych na ziemiach RP], przez „Zamek kaniowski" Seweryna Goszczyńskiego (1827), po Kraszewskiego i anonimową „Historię Rusów" wydana w Moskwie po rosyjsku w 1846 r. Ten ostatni utwór łączył tradycję buntów kozackich z losem chłopstwa, a ideę ukraińskiej ojczyzny z pamięcią społecznego oporu.

Generał-gubernator Dmitrij Bibikow próbował od 1839 r. poprawić położenie chłopów, aby przeciągnąć ich na stronę rosyjską. Udokumentował okrucieństwo polskich sądów ziemskich: za zabicie chłopa właścicielowi mogło grozić kilka dni pokuty w kościele.

Administracja rosyjska przedstawiała się więc jako obrońca chłopstwa, choć zarazem zależała od polskich właścicieli, którzy pobierali podatki i pomagali zarządzać tymi ziemiami. Była to nienawistna współpraca obu elit kosztem ukraińskiego chłopa.

To właśnie podwójne poddaństwo ukraińskiego chłopa. Rosyjska administracja mogła występować jako jego obrońca, choć współpracowała z polskimi właścicielami. Jak z perspektywy chłopa wyglądała wielka polska opowieść o niesieniu na Wschód zachodniej cywilizacji?
– Jest wyssana z palca. Nie znalazłem żadnego świadectwa, by chłopi odczuwali dobrodziejstwo tej rzekomej misji.

Nie mieli o niej pojęcia, bo w ich życiu nic jej nie potwierdzało. Cywilizacja była przeznaczona dla panów. W pierwszych trzech dekadach po rozbiorach Uniwersytet Wileński sprawował kulturalną zwierzchność nad oświatą na ziemiach zabranych przez Rosję, ale edukacja była zarezerwowana dla warstw uprzywilejowanych. Dotyczyło to zarówno porządku rosyjskiego, przeznaczonego dla szlachty, jak i polskiego dziedzictwa Komisji Edukacji Narodowej.

Zachód kwitł w rezydencjach: w porcelanie, książkach i dziełach sztuki. Nie oznaczało to cywilizowania ludności. To wygodna wizja podtrzymywana przez marzycieli i polską literaturę. Z niej wyrasta kresomania.

Nieśli im cywilizację? Wróć!

Zatrzymajmy się przy edukacji. Tak subtelni polscy intelektualiści jak Ryszard Przybylski jeszcze w XXI wieku opisywali wielkie osiągnięcia Liceum Krzemienieckiego. Opowieść o polskiej misji oświatowej pozostaje żywa. Pan pokazuje jednak, że awans społeczny wymagał polonizacji. Czy droga do oświecenia wiązała się z przemocą asymilacyjną? Jak brak dostępu do edukacji, a później wymóg polonizacji albo rusyfikacji wpłynęły na rozwój ukraińskiej świadomości narodowej?
– Ryszard Przybylski niestety całkowicie mylnie opisuje dorobek Tadeusza Czackiego i Liceum Krzemienieckiego. Do powstania listopadowego Uniwersytet Wileński rzeczywiście nadzorował szkolnictwo średnie i podstawowe na terenach anektowanych przez Rosję. Tyle że cały ten porządek nie był przeznaczony dla chłopów. W szkołach właściwie ich nie było.

Najsłynniejszym człowiekiem wywodzącym się z poddaństwa, który zdobył wykształcenie, był Taras Szewczenko. Stało się to możliwe dopiero po jego wykupieniu. Zarówno w porządku polskim, jak i rosyjskim chłop pozbawiony wolności osobistej nie miał prawa do nauki.

Paradoksalnie analfabetyzm pomógł ukraińskiemu chłopstwu zachować własny język. Gdyby chłopi trafili do szkół, zapewne podlegaliby polonizacji, a po 1831 r. przede wszystkim rusyfikacji. Wtedy językiem szkolnictwa i urzędów stał się rosyjski. Polscy ziemianie próbowali prowadzić tajne szkoły, ale do czasu.

Trudno więc mówić o niesieniu chłopom cywilizacji. Wizja harmonijnego współżycia została w znacznej mierze wymyślona później.

Po przemianach XX wieku i „prześnionej rewolucji", by użyć określenia Andrzeja Ledera, większość współczesnych Polaków wywodzi się z chłopstwa. Dlaczego ich pamięć tak chętnie zamieszkuje w dworkach i pałacach? Czy mamy do czynienia z klasowym przebraniem, w którym potomkowie ludzi pracujących na pańskim polu utożsamiają się z właścicielami majątku? Skąd kresomania?
– Zmagam się z tym pytaniem od początku badań i piszę o nim w nowym wstępie do „Trójkąta ukraińskiego". Być może kresomania rzeczywiście jest klasowym przebraniem chłopów za panów, próbą utożsamienia się z właścicielami. Nie mam jednak pewnej odpowiedzi. Najpewniej pochodzi to z programów polonistycznych w szkołach z obowiązkowym zachwytem wobec poetyckich uniesień Mickiewicza lub Słowackiego, a może więcej jeszcze wobec rycerskich przygód z powieści Sienkiewicza.

Naród w 90 proc. chłopski żywi ogromną sympatię do obrazu świata niezgodnego z historyczną rzeczywistością. Być może w ten sposób symbolicznie się uszlachcha.

Prof. Stanisław Nicieja [historyk, były rektor Uniwersytetu Opolskiego] nazywał mnie „kresożercą" i oskarżał o atakowanie ludzi pochodzących z Kresów. Nie rozumiem ani gwałtowności tych ataków, ani potrzeby obrony świata, który nigdy nie istniał w przedstawianej dziś postaci.

IPN to ośmiornica

Jakiego określenia używać zamiast słowa „Kresy", aby rozstawać się z romantyczną legendą?
– „Ziemie litewsko-ruskie". Używałem go w pracy o Uniwersytecie Wileńskim i oświacie na tych terenach. Obejmuje ono ziemie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i obszary zabrane przez Rosję. Sama „Ruś" pomijałaby etnicznie litewską część tego obszaru. „Ziemie litewsko-ruskie" pozwalają objąć całość bez polonocentrycznego anektującego pojęcia Kresów.

Panowie pozostawili pałace, pamiętniki, korespondencję i rodzinne archiwa. Chłopi pozostawili znacznie mniej świadectw. Czy nierówność społeczna przeszłości zamienia się w nierówność pamięci, a potem przenika do podręczników i państwowej polityki historycznej? Co pan sądzi o samym pojęciu takiej polityki?
– Już pierwsza część pytania wywołuje mój opór. „Nierówność pamięci" może sugerować, że istnieje pamięć wyższa i niższa. Ukraińska pamięć jest w dużej mierze chłopska, polska zaś, niesłusznie, pozostaje szlachecka. Nie znaczy to, że jedna kultura jest wyższa od drugiej. To odmienne kultury, wynikające z innych doświadczeń. Każda zasługuje na szacunek.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Dmitroca*

* * *

chleb nasz powszedni
hejt nasz powszedni

z sutą omastą
wytrawnych bredni

hejt pospolity
z nizin po szczyty

małe i duże
mdłe gównoburze

czcze licytacje
na święte racje

piątek i świątek
rzeź niewiniątek

zrobisz wyjątek?



***Zbigniew Dmitroca** – ur. w 1962 r., poeta, tłumacz, satyryk, prozaik i dramaturg. Autor siedmiu tomików wierszy i ponad 70 książek dla dzieci. W ostatnich latach wydał m.in. powieść „Ostatnia okazja", miniatury prozatorskie „Lekcje (nie)obecności", tomik wierszy „Deklaracja niepodległości" i przekład próz Igora Pomierancewa „Mój pierwszy schron".

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie chodzi mi o pamięć wyższą i niższą, lecz o nierówną siłę przebicia. Jedni zostawili archiwa, literaturę, pałace i instytucje, drudzy znacznie mniej dokumentów, więc ich doświadczenie łatwiej usunąć z oficjalnej opowieści.
– W tym znaczeniu nierówność oczywiście istnieje, chociaż Ukraińcy jednak potrafili zbudować własną solidną pamięć. Problem zaczyna się, gdy państwo próbuje pamięć porządkować, hierarchizować i zamieniać w obowiązującą wykładnię. Widzę tu wyraźny wpływ Instytutu Pamięci Narodowej. Ukraina również ma swój IPN i mechanizm bywa podobny.

Samo pojęcie polityki historycznej jest dla mnie szokujące. Politycy nie powinni rozstrzygać, jak rozumieć historię. W Polsce dzieje się to często, w Ameryce również; we Francji, dzięki Bogu, nie doszliśmy jeszcze tak daleko.

Polski Sejm uchwałami rozstrzygał kwestie historyczne, decydował o nazwach ulic i ustanawiał oficjalnych bohaterów, m.in. tzw. żołnierzy wyklętych. Tak niszczy się historię jako dziedzinę krytycznego namysłu. IPN stał się ośmiornicą.

Polacy na Kresach kwitli w rezydencjach: w porcelanie, książkach, dziełach sztuki. Nie oznaczało to cywilizowania ludności. To wygodna wizja podtrzymywana przez marzycieli i polską literaturę. Z niej wyrasta kresomania

Ona zdaje się doszła już do Pałacu Prezydenckiego. Mamy prezydenta, który przyszedł prosto z IPN-u i jest polityczną emanacją tej instytucji: jej języka, hierarchii pamięci i przekonania, że państwo powinno rozstrzygać spory historyczne.
– Właśnie. To najlepszy obraz wpływu tej fatalnej polityki historycznej.

Daleko od harmonii

Można krytykować polską dominację, a zarazem widzieć w dawnej Rzeczypospolitej tradycję wielu narodów, religii i kultur.

Oczywiście możemy dyskutować, kogo w XVI i XVII wieku obejmowała wolność i jak sytuacja na wschód od Odry czy Łaby różniła się od tego, co działo się na Zachodzie podczas wojen religijnych i wojny 30-letniej. Czy z idei jagiellońskiej naprawdę niczego nie da się dziś ocalić? Gdzie kończy się krytyczny patriotyzm, a zaczyna mit harmonijnego współżycia pod polskim przewodnictwem?
– Rzekoma tradycja harmonijnego współżycia wielu narodów, religii i kultur jest częściowo sfałszowana. Owszem, dawna Rzeczpospolita obejmowała wiele narodów, wyznań i kultur. Nie oznacza to, że żyły spokojnie i na równych prawach. Wystarczy przypomnieć konflikty dotyczące ludności żydowskiej lub problemy z ludnością prawosławną.

Nie widzę ani równości kultur, ani harmonii, którą później przypisano Rzeczypospolitej. Z idei jagiellońskiej można ocalić niewiele. Jest konstrukcją związaną z romantyzmem oraz wizjami Mickiewicza i Słowackiego, idealizującą przeszłość i pomijającą konflikty oraz warunki tego współżycia.

Czy zamiast mówić o polskim kolonializmie nie wystarczyłoby mówić o wyzysku stanowym, narodowym i religijnym?
– Wyzysk stanowy, a dokładniej feudalny, dobrze streszcza główny charakter epoki.

Jak w takim razie czytać dziś Pawła Jasienicę? Czy nadal powinien mieć miejsce w polskiej edukacji historycznej? Jestem właśnie po lekturze jego książki o wojnie domowej w Wandei. To u nas niemal nieznany temat: Wandea i spór o ludobójczą przemoc czasu rewolucji francuskiej. Ale zostańmy przy Polsce. Jak czytać Jasienicę opowiadającego o epoce jagiellońskiej?
– Jasienica również w pewnym stopniu ulega romantyzmowi, choć może mniej niż autorzy, o których mówiłem. Nie odrzucałbym jego książek, ale trzeba je czytać krytycznie, ze świadomością ograniczeń jego perspektywy.

Przeciwnicy nazywania polskiej dominacji kolonializmem przypominają, że ziemianie nie przybyli na Ukrainę zza oceanu. Wiele polskich rodów wywodziło się z miejscowych elit ruskich, które uległy polonizacji. Co zyskujemy, opisując ich dominację jako kolonialną?
– Ruskie pochodzenie części elit i ich późniejsza polonizacja są niezaprzeczalne, ale nie potwierdzają opowieści o harmonijnym współżyciu. Elity polonizowały się, by korzystać z przywilejów polskiej szlachty, i same stawały się grupą wyzyskującą. Sanguszkowie, Branicy, przede wszystkim Czartoryscy, są przykładami przejścia do kultury polskiej połączonego z wyzyskiem miejscowego chłopstwa, czyli ludzi, z którymi łączyło ich wcześniejsze pochodzenie.

Adam Jerzy Czartoryski wierzył, że można uratować związek Polski z Ukrainą. Podczas wojny krymskiej wydawał odezwy w języku ukraińskim, lecz drukowane alfabetem łacińskim. Jest w tym coś znamiennego: próbował przemawiać do Ukraińców, a zarazem tracił

eprasa.pl c7fd6aa309

kontakt z ich rzeczywistością. Większość polskich właścicieli ziemskich nie zgadzała się na rzeczywistą zmianę stosunków pańszczyźnianych po zniesieniu ich przez carat w 1861 r.

Jaka jest droga od pańszczyzny, niezrealizowanej reformy rolnej i polskiego osadnictwa do mordowania polskich sąsiadów w 1943 r.? Mówi pan językiem szkoły Annales i jej kategorii długiego trwania. Jest mi ona szczególnie bliska: Marc Bloch, Lucien Febvre, Fernand Braudel, ale też ważny dla mnie Georges Duby, który łączył struktury społeczne z mentalnością, wyobraźnią i codziennym doświadczeniem ludzi. Co ta metoda pozwala zobaczyć na Wołyniu?
– Trzeba rzeczywiście odwołać się do długiego trwania. Szkoła Annales, stworzona jeszcze przed II wojną światową przez historyków takich jak Febvre i Bloch, zmieniła sposób patrzenia na historię. Bloch został zresztą niedawno uhonorowany wprowadzeniem do francuskiego Panteonu.

Braudel, później Duby czy François Furet, szukali przyczyn wydarzeń w odległej przeszłości i analizowali trwałe struktury. Dzieło Braudela o Morzu Śródziemnym w epoce Filipa II łączy geografię, gospodarkę, społeczeństwo, politykę i mentalność.

Polacy mają własnego prekursora takiego myślenia: Joachima Lelewela. Jego rola jest niedoceniona. Znacznie wcześniej zapowiadał metodę Annales i uważał historię za syntezę wszystkich nauk społecznych. Miała uczyć obywateli rozumowania i badania przyczyn, a nie produkować piękne mity. Lelewel widział w niej szkołę myślenia, nie zbiór budujących opowieści.

Głód ziemi i strach ziemian

Przejdźmy do tych głębszych struktur. Co wydarzyło się w Ukrainie w XIX wieku?
– Trzeba wrócić do sytuacji chłopów podczas znoszenia poddaństwa. Wtedy szczególnie dobrze widać, że polskie ziemiaństwo nie było gotowe na likwidację dawnego porządku. Polscy właściciele należeli do najbardziej zdecydowanych przeciwników zmian w całym Cesarstwie Rosyjskim. Świetne „Pamiętniki" Tadeusza Bobrowskiego doskonale to dokumentują.

Kiedy zapadła decyzja o zniesieniu poddaństwa, wybuchły liczne bunty. Całe wsie występowały przeciwko właścicielom. Na tym doświadczeniu budowała się później społeczna pamięć narodu ukraińskiego.

Pod koniec XIX wieku ludność ukraińska niemal się potroiła, a ziemi nie przybywało. Właściciele ograniczali też serwituty, czyli tradycyjne prawa chłopów do wypasu stad, zbierania drewna i korzystania z lasów pańskich. Narastały głód ziemi i strach ziemian przed chłopstwem.

Podzielała go administracja rosyjska. Minister spraw wewnętrznych Iwan Durnowo doprowadził do przywrócenia kar cielesnych dla chłopów. Trudno uwierzyć, że w 1885 r. ponownie wprowadzono taką represję. Gubernatorzy organizowali na prośbę polskich ziemian ekspedycje karne przeciwko buntującym się wsiom i ludziom, którzy nie godzili się na faktyczne przedłużanie pańszczyzny.

Jak polskie ziemiaństwo opisywało wtedy ukraińskich chłopów?
– Znamienny jest język polskiej prasy. Wydawany w Petersburgu „Kraj" pisał w latach 90. XIX wieku o otoczeniu ziemiaństwa przez „wrogi żywioł", ukraiński i chłopski. Chłopów porównywano do „dzikich koni w tabunie": niebezpiecznej, niekontrolowanej masy. Pojawiły się też tzw. bunty babskie. Kobiety bardzo czynnie uczestniczyły w wystąpieniach chłopskich. Można w tym widzieć narodziny pewnej formy wiejskiej feministycznej emancypacji.

Te wszystkie siekiery i pale zapowiadają późniejszą sytuację wołyńską. Rzeź z 1943 r. nie spadła z nieba. Traktowanie ludzi jak zwierząt powoduje ich zezwierzęcenie.

Wszystko było gotowe do wybuchu

Mówił pan o „pierwszym powstaniu 1905 r.". Zatrzymajmy się przy tym słowie. Czy rewolucję 1905 r. na polsko-ukraińsko-rosyjskim pograniczu rzeczywiście należy nazywać powstaniem?
– W pewnym sensie tak. Było to wielkie powstanie społeczne, łączące wystąpienia chłopów i narodów podporządkowanych Cesarstwu Rosyjskiemu. Nie mieści się w tradycyjnym polskim obrazie powstania, ponieważ nie było wyłącznie walką narodową prowadzoną przez szlachtę albo inteligencję. Ta zresztą w latach 1905-07 uciekała do Galicji, przeważnie do Krakowa.

Powinniśmy więc przywrócić je polskiej pamięci jako ważne polskie powstanie, choć inne od listopadowego czy styczniowego: robotnicze, chłopskie, społeczne, obejmujące pogranicze imperium?
– Oczywiście. Było ważnym zrywem regionalnym, a zarazem częścią wielkiej rewolucji wspólnej wielu narodom. Dlatego tradycyjna historiografia miała trudność z jego przyswojeniem. Nie było jednorodne narodowo ani społecznie i nie dawało się wpisać w romantyczny schemat.

Reforma Stołypina [z 1910 r.] wzmacniała większe gospodarstwa, lecz dla najbiedniejszych oznaczała ryzyko utraty ziemi. Potem przyszły znowu bunty I wojny światowej i rewolucji 1917 r., kolejne żakerie oraz armia anarchistyczna Nestora Machny. Materiał społeczny był gotowy do wybuchu.

Czy polskie elity II RP rozumiały skalę zagrożenia?
– Część rozumiała. Polska prasa międzywojenna, także środowisko „Buntu Młodych" redagowanego przez Jerzego Giedroycia, ostrzegała przed wielką rewoltą ludową.

W 1923 r. Konferencja Ambasadorów uznała wschodnią granicę Polski, obejmującą Wołyń i część Podola. Dla ukraińskiego chłopstwa oznaczało to powrót tych samych panów. Wiele dworów już wtedy poszło z dymem. Kiedy ziemie te ponownie znalazły się w Polsce, wrócili dawni właściciele.

Doszła do tego fatalna polityka państwa: osadnictwo wojskowe i próba odtworzenia warstwy drobnej polskiej szlachty. Na ziemi, której brakowało miejscowym chłopom, pojawiali się osadnicy uprzywilejowani przez państwo.

Sytuacja była gotowa do kolejnego wybuchu. Rzeź wołyńska w 1943 r. była moim zdaniem szczytowym momentem wielowiekowej walki o ziemię.

Tu pojawia się różnica między pańskim wyjaśnieniem a podejściem Grzegorza Motyki. Pan akcentuje długie trwanie konfliktu społecznego i walkę o ziemię. Motyka mocniej podkreśla ideologię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, radykalizację podczas okupacji oraz świadome decyzje kierownictwa UPA. Czy oba wyjaśnienia da się połączyć? Jak mówić o długim trwaniu krzywdy społecznej, nie rozmywając odpowiedzialności organizatorów i wykonawców czystki?
– Grzegorz Motyka ma rację, podkreślając znaczenie ideologii OUN. Jego rozumowanie jest jednak szczególnie użyteczne w odniesieniu do Galicji, gdzie ukraińska myśl polityczna rozwijała się inaczej niż na Wołyniu. Na Wołyniu wpływy nacjonalistyczne i faszystowskie były początkowo słabsze, m.in. z powodu wysokiego analfabetyzmu. W zachodniej Galicji nacjonalizm ukraiński był już znacznie bardziej skrystalizowany.

Jarosław Hrycak i inni historycy zwracają uwagę na kontakty bardziej rozwiniętej politycznie Galicji ze słabiej zorganizowanym Wołyniem. Przypomina to proces opisany przez historyka Eugena Webera w książce „Peasants into Frenchmen": szkoła, wojsko i nowoczesne instytucje przekształcały chłopów w członków narodu. Kontakty z Galicją mogły podobnie przyspieszać ukraińską politycyzację Wołynia. Z badań Motyki wynika jednak, że jej skutki okazały się w 1943 r. tragiczne.

Dla mnie brak zachowanego centralnego rozkazu nie oznacza, że nie można mówić o zorganizowanej czystce. Chyba muszę wejść w rolę adwokata diabła i zapytać, czy można również stopić wszystkich wykonawców w anonimowym „chłopstwie"? W mordach uczestniczyły oddziały UPA, lokalne struktury organizacyjne i część mobilizowanej ludności.
– Nie twierdzę, że nie było organizacji. Mówię, że odpowiedzialność centralnego kierownictwa nie została dotąd w pełni udowodniona źródłowo. Nawet Motyka nie znalazł jednoznacznego rozkazu kierownictwa UPA nakazującego przeprowadzenie całej rzezi wołyńskiej.

Być może taki dokument istniał i gdzieś się znajduje, ale dotąd go nie odnaleziono. Nie chodzi o rozmywanie odpowiedzialności, tylko o rygor historyka. Musimy ustalać, kto podejmował decyzje na poszczególnych poziomach, organizował akcje i je wykonywał.

Tradycja harmonijnego współżycia wielu narodów, religii i kultur dawnej RP jest częściowo sfałszowana. Owszem, obejmowała ona wiele narodów, wyznań i kultur. Ale nie oznacza to, że żyły na równych prawach

Rozumiem rygor źródłowy, lecz zachowałbym ostrożność wobec stwierdzenia, że odpowiedzialność organizatorów nie została udowodniona. Brak jednego centralnego rozkazu nie dowodzi braku planu. Materiał pośredni pozwala, moim zdaniem, mówić o działaniu zorganizowanym. Pan mocniej podkreśla granice tego, co wiemy.
– Tak. Pan kładzie nacisk na rekonstrukcję organizacyjnego sprawstwa, ja na granice zachowanych dowodów i społeczne podłoże przemocy. Te perspektywy mogą się uzupełniać, ale nie są tym samym.

Jak najdalej od Putina

Nauczyłem się wsłuchiwać w cudze opowieści o traumie. Za sporem, o jakim rozmawiamy, stoją konkretni zabici. Rodziny ofiar mają prawo do pamięci, ekshumacji i godnego pochówku. Jednocześnie Wołyń coraz częściej służy jako argument przeciwko pomocy napadniętej Ukrainie. To dla nas kluczowe w 2026 r.

Jak oddzielić obowiązek wobec zmarłych od politycznej transakcji: „pomożemy wam, jeśli przyjmiecie naszą wykładnię historii"? Jakiego namysłu nad OUN i UPA wolno oczekiwać od społeczeństwa walczącego o przetrwanie?
– Nie można wymagać od rodzin, by zapomniały o okropnościach. Ludzie byli zabijani siekierami, nabijani na pal, mordowani w straszliwy sposób. Świadkowie i potomkowie ofiar mają prawo zachować pamięć. To naturalny, ludzki odruch. Historyk musi jednak uwzględniać wszystkie składniki wydarzeń, również ich długie społeczne i polityczne podłoże.

Formuła „pomożemy wam, jeśli przyjmiecie naszą wykładnię historii" brzmi jak szantaż. Nie można uzależniać pomocy napadniętemu krajowi od PiS-owskiego punktu widzenia na historię.

Jestem mniej spokojny niż pan. Taki szantaż nie stał się oficjalną doktryną państwa, ale działa już w polskiej debacie. Wołyń bywa przedstawiany jako dług, który Ukraina ma spłacić deklaracją, ustawą albo zgodą na polską hierarchię pamięci. Niektórzy wprost łączą pomoc wojskową z historycznymi żądaniami.
– Tym bardziej trzeba się temu sprzeciwiać. Nie znaczy to, że nie wolno oczekiwać od Ukraińców namysłu nad OUN i UPA. Społeczeństwo ukraińskie wykonało już pewną pracę. Wielu Ukraińców przyznaje, że OUN i UPA dopuściły się okropności.

Niemcy również musieli zmierzyć się ze swoją historią, co nie przeszkodziło Niemcom i Francuzom zbudować współpracy. Ukraińcy i Polacy powinni postąpić podobnie: szukać nowego horyzontu, współpracować, a zarazem pozwolić Ukrainie bronić własnej tożsamości w walce z Putinem.

Rozmawialiśmy o błędach polskiego patrzenia na przeszłość: kresomanii, micie harmonijnej Rzeczypospolitej i protekcjonalności wobec Ukraińców. Ta protekcjonalność nie zniknęła. Widać ją także w sposobie, w jaki bywają traktowani Ukraińcy mieszkający w Polsce. Jak budować wspólną europejską przestrzeń między równymi partnerami, a nie między gospodarzem i wiecznym gościem, opiekunem i podopiecznym?
– Ostatnie lata pokazały, że Polacy potrafili dokonać kopernikańskiej rewolucji w stosunku do Ukraińców. Ogromny ruch pomocy po rosyjskiej napaści dowodzi, że najgorsze historyczne schematy nie są przeznaczeniem. Zresztą Ukraińcy są i gospodarczo potrzebni Polsce.

Powinniśmy iść dalej w tym kierunku. Nie wolno przyjmować imperialnej logiki Putina. Trzeba uznać, że Ukraińcy mają prawo do własnej ziemi, tożsamości i państwa.

Tylko we wspólnej Europie taka przyszłość będzie możliwa. Zbrodnie Putina pokazują, do czego prowadzi przekonanie, że silniejszy naród ma prawo decydować o słabszym. Polska i Ukraina powinny budować relację opartą na równości i współpracy. ●

Rozmawiał Radosław Korzycki
Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza"


FOT. IWONA BURDZANOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Daniel Beauvois

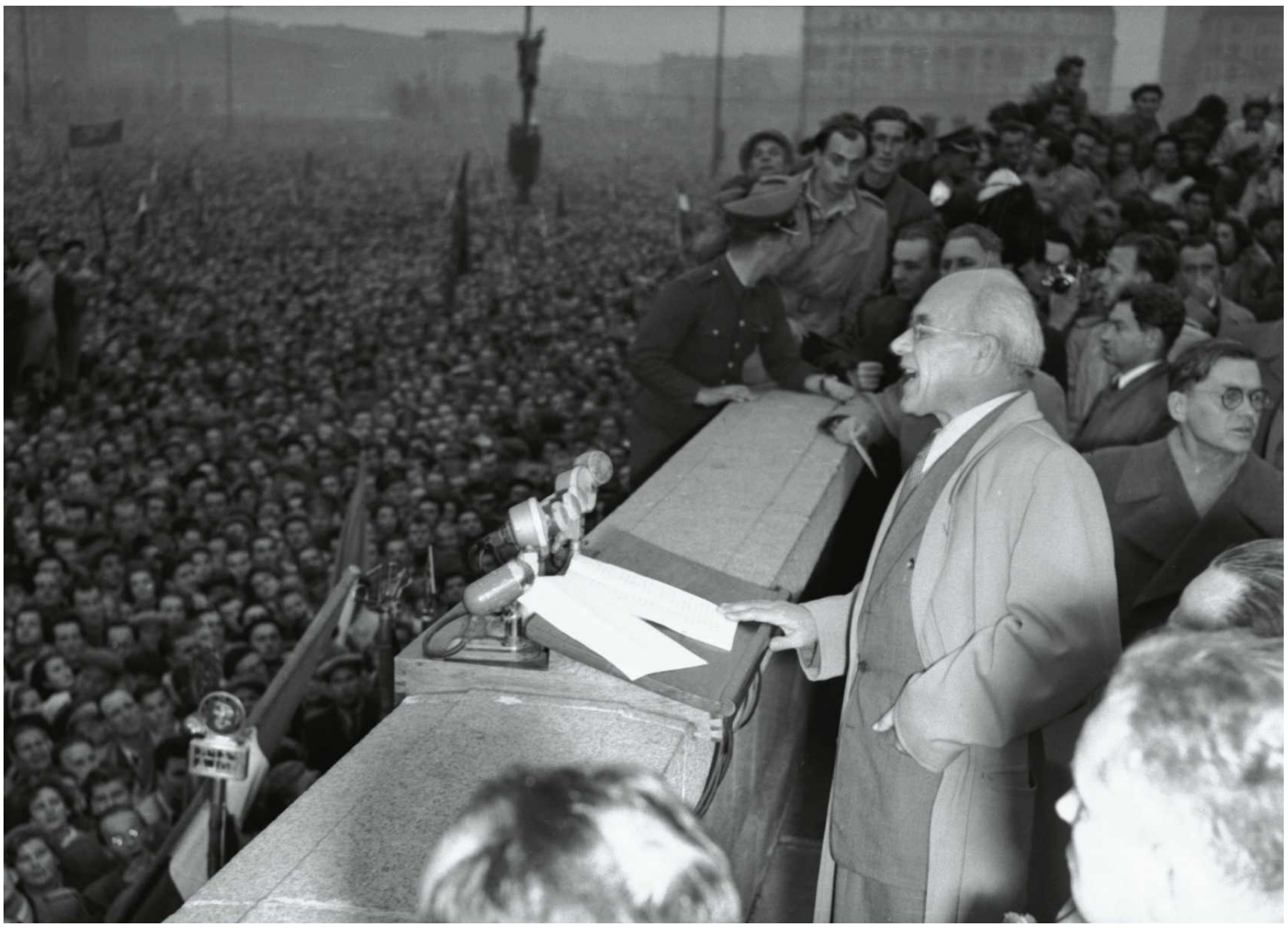
• Rocznik 1938, francuski historyk i slawista. Z Polską związany od końca lat 60. W latach 1970-72 kierował Ośrodkiem Kultury Francuskiej przy Uniwersytecie Warszawskim, później m.in. prowadził Ośrodek Badań Kultury Polskiej na Uniwersytecie Lille III. Współpracował z Jerzym Giedroyciem i paryską „Kulturą". Jego najnowsze publikacje po polsku: ósme wydanie „Trójkąta ukraińskiego" (Wyd. UMCS 2026) i „Podwójne poddaństwo i problem ziemi w Ukrainie 1793-1920" (Instytut Europy Środkowej w Lublinie 2025).

• Znacznie dłuższa nota o autorze: **Wyborcza.pl/magazyn**

eprasa.pl c7fd6aa309

Październik ’56

CZOŁGI JADĄ NA WARSZAWĘ



• **Władysław Gomułka wygłasza słynne przemówienie na Placu Defilad w Warszawie, 24 października 1956 roku**
FOT. PAP / JERZY BARANOWSKI

W czasie negocjacji z Chruszczowem Gomułka był na bieżąco informowany o postępach sowieckich wojsk. Były to więc rozmowy, podczas których jedna strona położyła na stole rewolwer.

eprasa.pl c7fd6aa309

Z **DR. PAWŁEM SASANKĄ***
ROZMAWIA **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

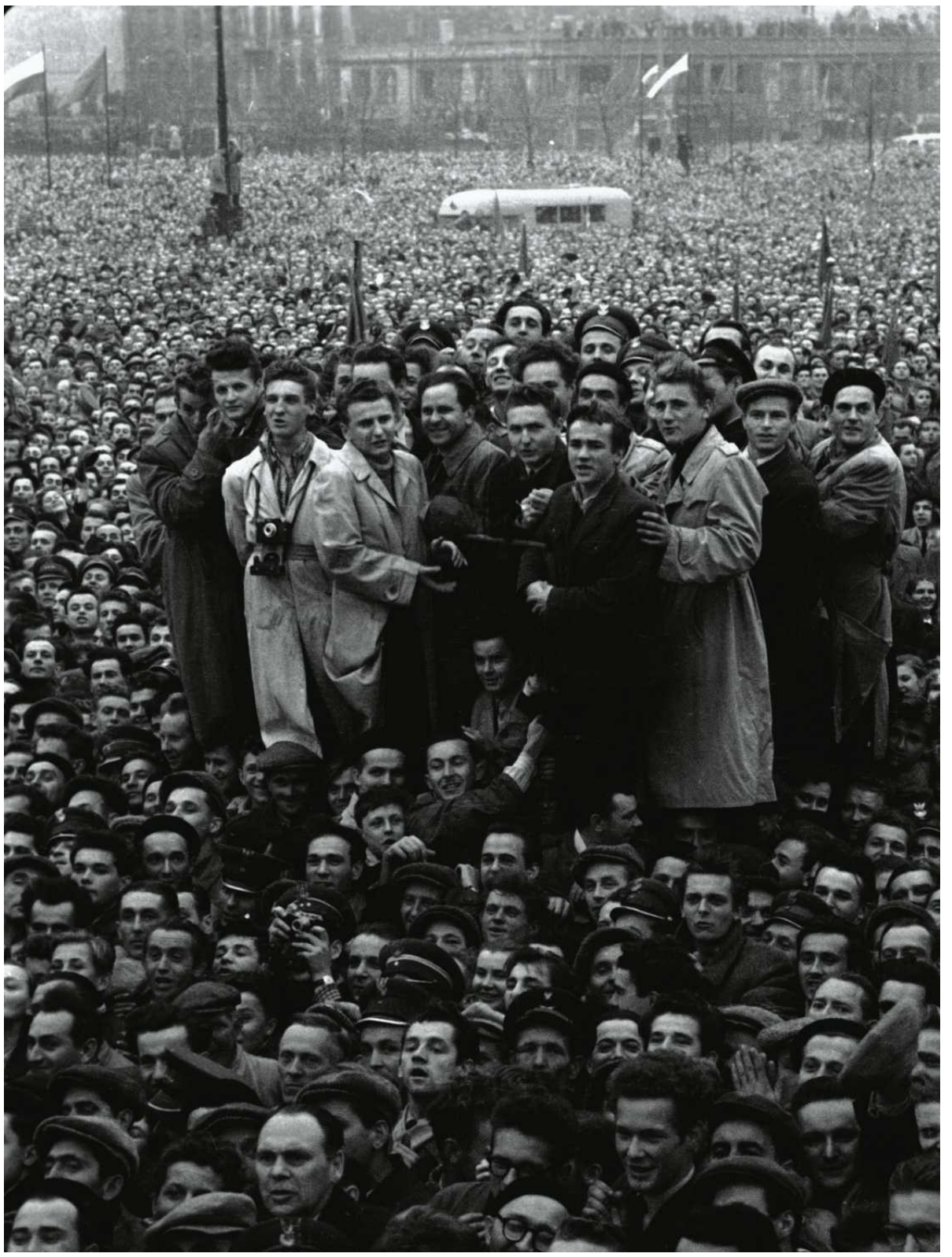
ANDRZEJ BRZEZIECKI: Gdy na Kremlu dowiedziano się, że w Polsce kroi się powrót do władzy Władysława Gomułki na VIII Plenum, zdecydowano się wezwać polskich towarzyszy na dywanik i domagać się od nich przesunięcia plenum. Polacy 17 października odmówili. Czy Nikitę Chruszczowa bardziej zaniepokoiła demonstracja samodzielności czy też sama osoba Gomułki, który już 12 października zapowiadał koniec z dominacją Moskwy?
DR PAWEŁ SASANKA: Moskwa z uwagą obserwowała kryzys w Polsce, który gwałtownie zaostrzył się po buncie Poznania, ferment wśród intelektualistów i dziennikarzy, podziały w elicie PZPR, w której uformowały się koterie Natolińczyków i Puławian. Kreml już obchody święta 22 lipca wykorzystał, by zamanifestować zaniepokojenie i wywrzeć presję na polskich towarzyszy. Wysłał wyjątkowo silną delegację z premierem Nikołajem Bułganinem i marszałkiem Gieorgijem Żukowem, którzy przez kilka dni odbyli tournée po kraju i wygłosili przemówienia, w których wyrazili zaniepokojenie zamętem ideologicznym. Nie było wątpliwości, kogo wspierają, u boku Bułganina przemówił Zenon Nowak, czyli lider „Natolina”. Gdy więc Natolińczycy i sowiecka ambasada zaalarmowali Moskwę, że polscy towarzysze zamierzają bez żadnej konsultacji wynieść do władzy Gomułkę, usunąć z kierownictwa PZPR jej „przyjaciół” z marszałkiem Konstantym Rokossowskim i zastąpić działaczami, wobec których Sowieci mieli ogromne obiekcje, wszystko to jawiło się Chruszczowowi jak próba zerwania z ZSRR. Moskwa po 1953 roku chciała zwiększyć zakres samodzielności państw satelickich, ale w praktyce Bierut wciąż jeździł na Kreml niczym uczeń po wytyczne. Tymczasem nagle się okazało, że PZPR w sprawie tak fundamentalnej jak wybór przywódcy chciała decydować sama!

Gdy Polacy się postawili, Chruszczow sam zdecydował się przylecieć do Warszawy, i to z niemal całym radzieckim kierownictwem. Brał wtedy pod uwagę interwencję zbrojną?
– Wylatywał z Moskwy rankiem 19 października przekonany, że musi zatrzymać wybór Gomułki. Wydał też polecenie, aby czołgi ruszyły na Warszawę, i w tym sensie możemy mówić, że interwencja zbrojna się rozpoczęła. W praktyce, dopóki nie przekroczyły granic stolicy, było to potężne narzędzie szantażu, Chruszczow zachowywał jednak furtkę do odwrotu. Rozmowy w Belwederze przebiegały w akompaniamencie doniesień o marszu radzieckich kolumn.

Gdyby doszło do rozlewu krwi, byłaby to pierwsza taka interwencja w bratnim kraju?
– Po tym jak w czerwcu 1953 roku Moskwa nakazała przywódcy NRD Walterowi Ulbrichtowi z dnia na dzień złagodzić kurs i przyznać się do błędów. W czasie „przyspieszonej budowy socjalizmu” wybuchło powstanie we wschodnich Niemczech. Iskrą zapalną okazało się odrzucenie przez władze postulatów robotników budowlanych z Berlina wschodniego domagających się wycofania podwyżek norm. Szacuje się, że w strajkach i demonstracjach, które przerodziły się w powstanie, wzięło udział około miliona osób. Kierownictwo komunistyczne partii SED ewakuowano do kwatery głównej Armii Radzieckiej w Karlshorst, skąd mogło tylko bezczynnie przyglądać się temu, jak Rosjanie tłumią powstanie przy pomocy 17 dywizji pancernych i piechoty zmechanizowanej, co skądinąd zupełnie zniszczyło legitymizację tamtejszych komunistów, pokazując ich pełną zależność od Moskwy. Nie jest możliwe podanie ostatecznej liczby ofiar śmiertelnych, było to 40-50 zabitych i setki rannych. Przy okazji rzuca się w oczy różnica pomiędzy powstaniem w NRD a zrywem w Poznaniu w czerwcu 1956 roku. Znane zdjęcia z Berlina, które przedstawiają młodych ludzi rzucających kamieniami i butelkami z benzyną w radzieckie czołgi, są mylące o tyle, że tego typu ataki stanowiły absolutny margines. W Berlinie wschodnim nikt nie strzelał do policji czy wojska z broni odebranej pojedynczym policjantom, choć atakowano ich i bito, na skutek czego trzech zmarło. W Magdeburgu doszło do szturmu na kompleks budynków sądu, było to jednak zdarzenie wyjątkowe. Z tej perspektywy wyraźnie widać radykalizm buntu Poznania, w którym bojownicy długo ostrzeliwali budynek UB, udało im się też przejąć kilka czołgów. Zapewne jakieś znaczenie miało to, że w NRD w czołgach siedzieli Rosjanie. W Poznaniu, gdy już rozpoczęła się pacyfikacja miasta, krążyły plotki, że również biorą w niej udział, ale przebrani w polskie mundury.

Czemu w Polsce w 1953 roku, czyli zaraz po śmierci Stalina, było spokojnie?
– Proces biskupa Czesława Kaczmarka i aresztowanie kardynała Stefana Wyszyńskiego we wrześniu 1953 często przywołuje się jako dowody tego, że stalinizm w Polsce trwał w najlepsze. Tymczasem wiosną tego roku Bolesław Bierut, Jakub Berman i Hilary Minc musieli obserwować z niepokojem wydarzenia w Czechosłowacji i NRD oraz nagłe zwroty polityki Kremla. Podczas pobytu w Moskwie na pogrzebie Stalina Bierut zaproponował uderzenie w Kościół, ale ku jego zaskoczeniu Ławrentij Beria i Gieorgij Malenkow się sprzeciwili. Bierut nie wiedział, że było to częścią szerszego planu Berii. Niechętnie podporządkował się poleceniom: wstrzymał przesłuchania biskupa Kaczmarka, a nawet rozpoczął przygotowania do jego zwolnienia, choć jednocześnie demonstrował w Moskwie gotowość, by wrócić do sprawy. Wrócił do niej po upadku Berii, gdy Kreml dużo ostrożniej wprowadzał nowy kurs w Europie Środkowej. Gdyby to towarzysze z Polski zostali wezwani do Moskwy w czerwcu 1953 roku wraz z przywódcami Węgier i NRD (zamiast Albanii), zapewne otrzymaliby polecenie pilnego wdrożenia radykalnej wersji nowego kursu. Historia odwilży w Polsce potoczyłaby się wówczas inaczej. Ich audiencję w Moskwie zaplanowano jednak w drugim rzucie na początek lipca i nie doszła do skutku po powstaniu w NRD i aresztowaniu Berii. W ten dość przypadkowy sposób Warszawę ominęły wstrząsy spowodowane gwałtownymi zwrotami środkowoeuropejskiej polityki Kremla wiosną

▶ **Nowego I sekretarza PZPR według niektórych szacunków słuchało pół miliona ludzi**
FOT. PAP / WIESŁAW PRAŻUCH



▼ **Trzy lata po dramatycznej wizycie w Warszawie Nikita Chruszczow odwiedził Polskę po raz drugi, tym razem atmosfera była przyjazna. Sowiecki przywódca nabrał już zaufania do Gomułki, który 14 lipca 1959 roku na Okęciu nieomal rzucił mu się w ramiona**
FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl c7fd6aa309

1953 roku. Mimo nawrotu represyjności jesienią 1953 roku rozpoczęło się niekonsekwentne odchodzenie od masowego terroru i cywilizowanie funkcjonowania aparatu represji. Odczuły to w pierwszej kolejności jego ofiary: stopniowo ograniczono najbardziej brutalne metody śledcze, poprawiły się warunki w więzieniach, a część skazanych uniknęła śmierci.

Głębsze zmiany zaczęły się od 1954 roku i prowadziły polskich komunistów na kurs kolizyjny z Moskwą. We wrześniu 1956 roku Edward Ochab był w Pekinie, gdzie starał się pozyskać Chiny w rozgrywce z Kremlem. Miał realne szanse, aby coś przekazać Chińczykom? Teresie Torańskiej mówił, że cały czas miał na karku nielojalnego Franciszka Jóźwiaka i radzieckiego ambasadora.
– A jednak zdołał coś Chińczykom powiedzieć. Partie polska i chińska poznawały się od 1954 roku, kiedy do Pekinu polecieli Bierut z Bermanem. Tam zresztą dowiedzieli się o ucieczce na Zachód Józefa Światły – oficera bezpieki – który zaczął ujawniać fakty z jednej strony uzmysławiające tysiącom ludzi, że to terror był fundamentem władzy komunistycznej, z drugiej – kompromitujące samego Bieruta i jego klikę. Na XX Zjeździe KPZR w lutym 1956 roku Chruszczow ogłosił, że każdy kraj ma prawo zmierzać do socjalizmu swoją drogą. Robił to na potrzeby zbliżenia z Jugosławią i Chinami, ale w Polsce deklaracja ta obudziła nadzieję. Nie wiem, czy pozyskanie Chin do rozgrywki z Kremlem to nie za duże słowa, ale niewątpliwie Ochab dążył do nawiązania bezpośredniej relacji z Pekinem, bez pośrednictwa Moskwy. Zależało mu na zbliżeniu z suwerennym państwem komunistycznym. Na neutralność, już nie mówiąc o wsparciu ze strony państw satelickich, jak NRD czy Czechosłowacja, w obliczu zbliżającego się przełomu politycznego nie mógł liczyć. Rzeczywiście w Pekinie na karku miał ambasadora radzieckiego, czym był zniesmaczony, ale zdołał sprytnie Chińczykom dać do zrozumienia, że chciałby z nimi omówić kilka spraw na osobności.

Zepsuł się jego samolot...
– Dzięki czemu mógł na lotnisku porozmawiać w cztery oczy ze Zhu De, wiceprzewodniczącym KC KPCh. Wedle relacji starał się nie zdradzać napięć z Kremlem. Mówił, że w Polsce pojawiły się nastroje antyradzieckie, co jednak nie oznacza, że Polska zamierza zerwać sojusz z ZSRR. Chciałaby tylko samodzielnie rozwiązać swe problemy zgodnie z zasadami socjalizmu. Takie słowa w Chinach padały na podatny grunt, Mao boleśnie odczuwał to, w jaki sposób traktował go Stalin, i teraz nadarzyła się okazja, by wyrazić sprzeciw wobec tego, co w Pekinie nazywano radzieckim szowinizmem wielomocarstwowym. Cała ta historia pokazuje Ochaba jako całkiem zręcznego polityka.

Wróćmy do wizyty szefostwa KPZR. Gdy Chruszczow wylądował na Okęciu, zaczął od wygrażania pięścią Polakom.
– Przybył na czele licznej delegacji złożonej z członków Prezydium KC oraz kilkunastu wojskowych z marszałkiem Iwanem Koniewem, dowódcą sił zbrojnych Układu Warszawskiego, na czele. Taki skład miał oczywistą wymowę. Obecność Łazara Kaganowicza, Anastasa Mikojana i Wiaczesława Mołotowa, przeciwników Chruszczowa w Prezydium KC, można interpretować różnie. Mogła nie tylko służyć demonstracji jedności radzieckiego kierownictwa, ale też świadczyć o osłabieniu pozycji Chruszczowa. Możliwe, że zabrał ze sobą swych oponentów, by współodpowiadali za podejmowane decyzje i nie mogli później wykorzystać ich przeciw niemu. Gdy wysiadł, najpierw przywitał się z radzieckimi generałami, a dopiero potem z Polakami, co było jawnym afrontem na oczach wielu świadków. Machając pięścią, rzucił w stronę polskich towarzyszy: „Ten numer wam nie przejdzie!”.



W Sypniewie w okolicy Wałcza pod radziecki czołg wpadł siedmioletni chłopiec i w nocy okoliczni chłopi zbierali się z butelkami z benzyną, by kolumnę zaatakować, do czego szczęśliwie nie doszło

Wtedy Gomułka miał powiedzieć, że nie będzie w takiej atmosferze rozmawiał, i zaproponował spotkanie w Belwederze. Jako kto właściwie witał radzieckich?
– Jako szeregowy członek partii. Dopiero po rozpoczęciu obrad VIII Plenum Ochab zaproponował dokooptowanie go do Komitetu Centralnego – został desygnowany do objęcia stanowiska I sekretarza.

Rozmowy zaczęły się w Belwederze, a w stronę Warszawy z Legnicy i z Pomorza Zachodniego jechały dwie dywizje czołgów. Dokąd dotarły?
– Polscy negocjatorzy byli na bieżąco informowani o ich postępach. Były to więc rozmowy, w których jedna strona położyła na stole rewolwer. Trasę zrekonstruował Krzysztof Persak na podstawie dokumentów dotyczących refundacji za drogi zniszczone przez gąsienice czołgów. Główne siły dotarły w okolice Łodzi i Włocławka, awangarda do Łowicza i Sochaczewa.

Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego Chruszczow chciał być w Warszawie w momencie ewentualnej interwencji. Znalazłby się z całym kierownictwem w bardzo trudnej sytuacji – tkwiłby w Belwederze, gdy na ulicach zapanowałby chaos.
– Trafne spostrzeżenie, na które chyba nie ma dobrej odpowiedzi. Skłania do snucia fantastycznych scenariuszy: co mogłoby się wydarzyć, gdyby czołgi wkroczyły do Warszawy. Czy radziecka delegacja w Belwederze mogłaby nawet zostać wzięta jako zakładnicy? Trudno znaleźć w historii analogiczną sytuację, która pomogłaby rozwikłać tę zagadkę. Ostatecznie tylko sam Chruszczow mógłby wyjaśnić, co nim kierowało. Być może klucza do zrozumienia jego decyzji należy szukać w jego impulsywnym usposobieniu.

Czy Chruszczow mógł być pewny postawy Wojska Polskiego? Niby kontrolował je marszałek Rokossowski, ale...
– Radzieccy oficerowie wciąż byli na kluczowych stanowiskach w wojsku, ale to już nie był ten stopień kontroli co w 1953 roku. Następcy Stalina uznali, że koszty panowania i pełnej kontroli nad krajami obozu są zbyt duże i muszą zmniejszyć własne obciążenia. Stopniowo redukowano liczbę doradców w aparacie bezpieczeństwa i armii. Rokossowski już w 1953 dostał polecenie odsyłania radzieckich oficerów do Związku Radzieckiego i w 1956 roku pozostało ich już niewielu na kluczowych stanowiskach. Armia nie była więc już tak nasycona tzw. popami – pełniącymi obowiązki Polaka – ale trudno spekulować co do jej postawy w obliczu interwencji.

Zwłaszcza że później na Węgrzech tamtejsze wojsko także było bierne wobec inwazji.
– O ile mi wiadomo, tylko pojedynczy żołnierze przechodzili na stronę powstańców.

Dla Kremla to Gomułka był problemem, a dla Polaków właśnie Rokossowski stanowił kłopot.
– W wymiarze praktycznym i symbolicznym. Praktycznym, ponieważ Rokossowski podlegał bezpośrednio Moskwie, z którą łączyły go kanały zupełnie niezależne od PZPR. Ministerstwo Obrony Narodowej, zbrojenia – to było jego królestwo, w którym nawet Bierut nie miał wiele do powiedzenia. Za pośrednictwem Rokossowskiego Moskwa mogła być pewna, że to ona, a nie Warszawa kontroluje polską armię. W wymiarze symbolicznym, gdyż dla polskiego społeczeństwa radziecki marszałek na czele Wojska Polskiego był symbolem utraty suwerenności i podporządkowania Związkowi Radzieckiemu. Gomułka doskonale rozumiał, że odwołanie Rokossowskiego pozwoli na zwiększenie zakresu jego autonomii, a zarazem będzie ukłonem w stronę społeczeństwa.

I to on postawił na nogi także polskie jednostki, które szły na Warszawę z Zambrowa i Ostrowi Mazowieckiej. Po co to zrobił?
– Napływały informacje o polskich czołgach zbliżających się do Warszawy z Legionowa czy ruchach jednostek stacjonujących w Kazuniu i Modlinie. Gdy zaczęły napływać meldunki o ruchach wojsk radzieckich oraz niektórych jednostek Wojska Polskiego, Rokossowski tłumaczył, że to od dawna zaplanowane manewry, ale polskie kierownictwo poleciło mu się skontaktować z marszałkiem Gieorgijem Żukowem, radzieckim ministrem obrony narodowej, w celu odwołania tych ćwiczeń. Niewątpliwie oddziały uruchomione przez Rokossowskiego także miały być elementem presji militarnej czy też wspierać interwencję.

A przeciw nim, wedle legendy, miały stanąć jednostki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dowodzone przez generała Wacława Komara.
– To jedna z legend Października ’56. W rzeczywistości chodziło o zapobieżenie rozruchom w związku z ogromnym napięciem społecznym. Oddziały KBW obsadziły obiekty strategiczne: Polskie Radio, mosty, lotnisko, centralę telefoniczną, gmachy publiczne, zaczęły patrolować ulice. Grupę oficerów skierowano do gmachu Urzędu Rady Ministrów, gdzie obradowało VIII Plenum. Nie można jednak wykluczyć, że znaczenie miała polityczna wymowa tych działań. Jednostki KBW nie podlegały Rokossowskiemu, dowodzili nimi oficerowie opowiadający się za Gomułką. Mogło to dawać reformatorom poczucie bezpieczeństwa czy też przewagi psychologicznej. Być może brał to pod uwagę Chruszczow. Nie znajdują natomiast potwierdzenia słowa Stefana Staszewskiego, że jakoby robotnikom FSO na Żeraniu rozdawano broń.

Gomułka wymógł na Chruszczowie wstrzymanie ruchu wojsk. Przekonywał go, że Polska nie zamierza wyjść z Układu Warszawskiego, bo tylko Związek Radziecki gwarantuje nasze zachodnie granice.
– Zrobił wtedy na Chruszczowie duże wrażenie, które wciąż przebija z jego dyktowanych po latach wspomnień. W pewnym momencie

eprasa.pl c7fd6aa309

tak się zapamiętał, że nieświadomie przeszedł z rosyjskiego na polski i bardzo szybko mówił dłuższą chwilę. Dopiero po pewnym czasie się zorientował, że jego rozmówcy słuchają go bezradni. W kącikach ust pojawiła się ślina. Do Chruszczowa dotarło, że ma przed sobą człowieka zdeterminowanego, co zapewne miało znaczenie, gdy decydował o zatrzymaniu wojsk. Gomułce udało się go wówczas przekonać, że stoi na straży sojuszu Polski ze Związkiem Radzieckim – jedynym gwarantem polskiej granicy zachodniej. Zauważmy jednak, że Chruszczow nakazał jedynie wstrzymanie ruchu wojsk, które jednak pozostały na stanowiskach aż do 23-24 października.

I tu na arenę historii wchodzi Jan Dzierżyński, syn Feliksa, który w radzieckiej delegacji był tłumaczem oraz robił notatki. Ich opublikowanie w 2007 roku było nie lada sensacją.
– Tak. Do tej pory na podstawie relacji polskich uczestników negocjacji polscy historycy przyjmowali, że Chruszczow zaakceptował wybór Gomułki i obie strony doszły do porozumienia. Obecnie wiemy, że tak nie było. Wręcz przeciwnie: z nieformalnego zapisu przebiegu Prezydium KC, które odbyło się 20 października, wynika, że podjęto decyzję „o skończeniu z tym, co się dzieje w Polsce", jej odroczenie było możliwe pod warunkiem pozostawienia na stanowisku Rokossowskiego. Dopiero dzień później, gdy Prezydium KC zbierało się dwa razy, zdecydowano o zrezygnowaniu z interwencji zbrojnej.

Stalin nie najechał na Jugosławię, gdy Tito mu się postawił, a Chruszczow na Polskę mógłby?
– Górzysta Jugosławia leżąca na peryferiach obozu to jedno, a nizinna Polska będąca zwornikiem radzieckiej sfery wpływów, przez którą przechodziły szlaki komunikacyjne do potężnego zgrupowania Armii Radzieckiej w NRD, to drugie. Jak wspomniałem, pacyfikując powstanie w NRD w 1953 roku, Kreml dowiódł, że w obronie swojej strefy interesów nie zawaha się przed użyciem brutalnej siły ze wszystkimi tragicznymi konsekwencjami.

Choć wojska stanęły kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, wciąż mogła polać się w Polsce krew?
– Niewiele brakowało, bo panowało ogromne napięcie. Być może nie doszło do tego ze względu na traumę po drugiej wojnie światowej, w tym ofiarę powstania warszawskiego. W Sypniewie w okolicy Wałcza pod radziecki czołg wpadł siedmioletni chłopiec i w nocy okoliczni chłopi zbierali się z butelkami z benzyną, by kolumnę zaatakować, do czego szczęśliwie nie doszło. Było wiele incydentów. 24 października w Ostródzie obrzucono kamieniami pociąg z radzieckimi żołnierzami. Tam, gdzie były radzieckie koszary, odbywały się demonstracje. Atakowano pomniki wdzięczności, niszczono gablotki propagandowe, zrywano czerwone flagi.

I tu dopiero przydały się chińskie kontakty.
– W 2006 roku chińscy badacze Shen Zhihua i Li Danhui na podstawie dokumentów zgromadzonych w tamtejszych archiwach wykazali, że informacja o wydarzeniach w Polsce wysłana 19 października przez chińską ambasadę dotarła do Pekinu 20 października, ale odszyfrowano ją dopiero o godzinie 17. Czyli Chruszczow w Warszawie nie mógł znać stanowiska Mao Zedonga, który jeszcze nie wiedział o tym, co dzieje się w Warszawie. Dowiedział się najprawdopodobniej z zagranicznych depesz.

Po powrocie do Moskwy Chruszczow zaprosił do siebie delegacje innych partii, by naradzić się, co robić z Polską. Mao 21 października zwołał posiedzenie chińskiego kierownictwa politycznego w poszerzonym składzie, na którym omówiono sytuację nad Wisłą. Podjęto decyzję o wysłaniu delegacji, której celem miała być mediacja. Chińczycy uważali, że należy Polakom pozwolić na podejmowanie decyzji samodzielnie, a Gomułka powinien pozostać u władzy. Jedną z wytycznych było krytykowanie rosyjskiego szowinizmu. To był główny cel Chińczyków, którzy doskonale pamiętali, jak byli traktowani przez Stalina: pokazać Moskwie, że musi się liczyć z innymi. Po posiedzeniu Mao całą noc rozmawiał z radzieckim ambasadorem Pawłem Judinem, który po tej rozmowie telefonicznie przekazał Chruszczowowi jego opinie. Oznacza to, że Chruszczow poznał chińskie stanowisko dopiero 22 października, co niewątpliwie miało wpływ na sposób rozwiązania przez Moskwę kryzysu.

Dzień później wybuchło powstanie w Budapeszcie.
– I uwaga Chruszczowa szybko skupiła się na Węgrzech. W tym sensie można powiedzieć, że w 1956 roku Węgrzy uratowali Polaków. Dopiero 23-24 października jednostki radzieckie zaczęły wracać do baz.

> Decyzję o uwolnieniu kardynała Stefana Wyszyńskiego Gomułka podjął pod wrażeniem okrzyków ludzi domagających się tego w czasie słynnego wiecu 24 października na Placu Defilad

To były dwie dywizje. Z późniejszej interwencji na Węgrzech wiemy, że Moskwa potrzebowałaby znacznie więcej, aby zbrojnie interweniować i stłumić bunt.
– Podobnie w NRD, gdzie powstanie pacyfikowało 17 dywizji, a Polska jest przecież krajem znacznie większym od Niemiec wschodnich. Zatem siły uruchomione przez Chruszczowa w Polsce nadawały się przede wszystkim do hazardowego, militarnego szantażu.

Gdy na Węgry wjechały czołgi, Pekin nie protestował.
– Ba, Chińczycy należeli do tych, którzy opowiedzieli się za interwencją. Skorzystali z nadarzającej się okazji, jaką był kryzys w Polsce, by zaznaczyć swą pozycję jako partnera, a nie satelity Moskwy. Natomiast próba opuszczenia przez Węgry bloku socjalistycznego, kontrrewolucja – to było z perspektywy Pekinu niewybaczalne.

Mówi się, że Węgry uratowały Polskę, ale chyba też były gorzką lekcją politycznego realizmu.
– Efekt mrożący drugiej sowieckiej interwencji z 4 listopada 1956 roku był potężny. Tak się złożyło, że dokładnie tego dnia w Warszawie zostały wygłoszone dwa przemówienia. Gomułka przemawiał do partyjnego aktywu i pojednał się z nim. Wiedział, że władza musi polegać na aparacie partyjnym, a ten był zdezorientowany i rozchwiany.

Autorem drugiego przemówienia był kardynał Stefan Wyszyński, który wygłosił bodaj pierwsze po zwolnieniu z internowania kazanie w warszawskim Kościele św. Krzyża, podczas którego powiedział m.in.: „Przeżywamy chwile niebywałych trudności w naszym narodowych życiu. Przynajmniej na razie mniej musimy mówić o naszych prawach, a więcej o naszych obowiązkach. Musimy pokonać wybujały indywidualizm tkwiący w naszym narodowym charakterze, także indywidualizm grupowy. Musimy go pokonać w duchu tej miłości, która budzi wieczną gotowość do poświęceń. Łatwiej umrzeć w chwale, aniżeli żyć, walcząc przez całe lata z trudnościami, brakami i znosić cierpienia".

To rzadko przypominane słowa, ale myślę, że dobrze oddają filozofię przyświecającą prymasowi Polski do końca życia. W momentach kryzysów wstrząsających PRL-em, obawiając się przelewu krwi, w imię polskiej racji stanu dążył nie do eskalowania, ale do tonowania nastrojów. Tak było zarówno w grudniu 1970 roku, jak i po strajkach sierpniowych i powstaniu „Solidarności".

Polacy, widząc tragedię Węgrów, tłumnie oddawali krew. Piękny gest solidarności wobec ofiary, ale zarazem sprzeciwu wobec agresora, czyli Moskwy. Taka akcja musiała mieć przyzwolenie władz.
– Gomułka autentycznie uważał, że musi respektować emocje społeczeństwa. Nie mógł zablokować tej akcji. Wiele podejmowanych wówczas przez niego decyzji wychodziło naprzeciw oczekiwaniom ludzi. Jak wynika z relacji, decyzję o uwolnieniu kardynała Wyszyńskiego podjął, będąc pod wrażeniem okrzyków ludzi domagających się tego w czasie wiecu 24 października. Trudno ocenić, czy wcześniej przemyślał, jak ułożyć relacje państwa z Kościołem.

Gdy na Węgrzech polała się krew, Polacy tłumnie ruszyli do stacji krwiodawstwa, w czym także wyrażali swój stosunek do Związku Radzieckiego. Warto zauważyć, na co zwrócił już uwagę prof. Andrzej Paczkowski, że po 4 listopada antysowietyzm odegrał rolę piorunochronu i dawał ujście społecznym emocjom na polskich ulicach, a równocześnie emocje te znajdowały ujście wewnątrz instytucji, w fabrykach, z których gorączkowo wywożono na taczkach stalinowców czy zakładano rady robotnicze.

Oddawanie krwi było chwalebnym sposobem wyrażania solidarności z Węgrami i emocji. Ale na okres kilku tygodni po drugiej interwencji Związku Sowieckiego przypadła też kulminacja innego rodzaju aktywności, wszelkiego rodzaju wystąpień przeciw porządkowi publicznemu, na przykład w czasie festynów lub imprez sportowych. Dane liczbowe uzmysławiają, że po poznańskim Czerwcu Polska przypominała beczkę prochu. Już w pierwszym półroczu 1956 roku liczba tego rodzaju zajść była o 20 procent wyższa niż w analogicznym okresie poprzedniego roku. Od lipca 1956 szybko rosła agresja, która obracała się na przykład przeciw milicjantom, umundurowanym przedstawicielom władzy. Jeśli od stycznia do czerwca 1956 roku bito średnio 256 mundurowych miesięcznie, to w lipcu pobito ich już 492, w sierpniu 357, we wrześniu 428, w październiku 466, a listopadzie aż 662. To oznacza, że w listopadzie codziennie bito ponad 20 mundurowych!

Kto bił?
– Tłum. Przed buntem Poznania społeczeństwo aktywnie pomagało zwalczać różnorakie przejawy chuligaństwa – a poziom bezpieczeństwa w całym kraju był wówczas zatrważający, bardzo łatwo było stracić nie tylko portfel, ale także zdrowie i życie. Po Czerwcu atak na umundurowanego przedstawiciela władzy najwyraźniej zaczął być postrzegany jako akt patriotyczny, o czym świadczą przywołane powyżej liczby. Mundurowych atakowano na przykład wtedy, gdy interweniowali na imprezach sportowych, weselach, zatrzymywali pijanych itp. Incydenty z udziałem osób nietrzeźwych i wyrostków niekiedy przeradzały się w demonstracje polityczne – przybierały antypaństwowy, antysemicki albo religijny charakter.

Kulminacja nastąpiła w listopadzie, po radzieckiej interwencji na Węgrzech. W Poznaniu podczas demonstracji studenci szli z flagami narodowymi, wznosili okrzyki antysowieckie, domagali się rozwiązania bezpieki. Tysiąc osób przeszło obok koszar. Tłum wreszcie został rozpędzony.

W kolejnych dniach w Bydgoszczy zniszczono zagłuszarkę, w Szczecinie tłum wdarł się do konsulatu sowieckiego, w Płocku przez kilka godzin oblegał posterunek. Gdy w centrum Warszawy milicyjny gazik, którym przewożono zatrzymane przedstawicielki najstarszego zawodu świata, zderzył się z taksówką, milicjanci zostali zaatakowani przez ludzi. Musieli się schronić w Hotelu Polonia, gdzie przez godzinę byli oblężeni przez kilkusetosobowy tłum. Z opresji uratowało ich dopiero przybycie posiłków.

Wszystko to uzmysławia, jak sądzę, ogrom wybuchowego potencjału. Gdyby doszło do masowych antysowieckich wystąpień, nie sposób przewidzieć, jakie miałyby konsekwencje. Napięcie jednak w końcu opadło, ludzie uwierzyli Gomułce, że Polska będzie socjalistyczna, ale będzie to „socjalizm po polsku", bardziej swojski.

Bo wciąż w dużej mierze akceptowali ten ustrój?
– Nie tyle akceptowali, ile zdawali sobie sprawę z trwałości jałtańskiego podziału świata. Polska była po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, a Związek Radziecki w ciągu trzech lat – w 1953 i 1956 – dwukrotnie spacyfikował zrywy Niemców i Węgrów i niemal interweniował zbrojnie także w Polsce. W tych warunkach musiało jakoś żyć, uczyć się, pracować kilka pokoleń Polaków. A jednocześnie bardzo wiele się zmieniło, enklawy swobody nie były małe, bez porównania większe niż w innych krajach bloku wschodniego.

Dziś często nie docenia się skali zmian nie tylko w sferze polityki, ale też polityk społecznych, przemian obyczajowych, kulturalnych, jakie zaszły w okresie odwilży i jej kulminacji w 1956 roku. Zwłaszcza bezpośrednio po Październiku, mniej więcej gdzieś do 1958 roku. Dla wielu ówczesnych Polaków październikowy przełom był tak ważny, jak dla kolejnych pokoleń rok 1980, a nawet, co może zaskakiwać, rok 1989. Październik oznaczał życie od nowa, życie z godnością.

Zaledwie kilka lat później przyszło gorzkie rozczarowanie siermiężnością i autorytaryzmem socjalizmu gomułkowskiego i październikowa nadzieja poszła w zapomnienie. W społecznej pamięci rok 1956 nie przetrwał jako moment nadziei, odważnego sprzeciwu i próby odzyskania podmiotowości, lecz rozpłynął się w historii komunizmu jako moment legitymizowania reżimu Gomułki, rzekomego „manewru" komunistów, którzy przez unarodowienie systemu zdołali go ustabilizować i wydłużyć trwanie. W badaniach CBOS z 2016 roku za jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Polski XX i XXI wieku uznał go zaledwie 1 proc. respondentów. Na liście, na której wymieniono 19 znaczących wydarzeń, zajął przedostatnie miejsce, wyprzedził tylko utworzenie PKWN w 1944, co jasno wskazuje, jak jest dziś postrzegany – o ile ktokolwiek o nim jeszcze pamięta.

Paweł Sasanka

• (ur. w 1976 r.) – adiunkt w Ośrodku Badań nad Totalitaryzmami w Instytucie Pileckiego. Badacz dziejów politycznych i społecznych PRL. Autor prac dotyczących kryzysów politycznych, mechanizmów władzy komunistycznej oraz protestów robotniczych. Autor pierwszej całościowej monografii Czerwca '76. Finalizuje pracę nad książką na temat odwilży, przełomu 1956 roku i popaździernikowej normalizacji w Polsce na tle Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl c7fd6aa309



AKTORKA, KTÓREJ NIE ZNOSIŁ BRANDO

Kirk Douglas: „Była miłą dziewczyną, ale aktorką – żadną”.
We wspomnieniach hollywoodzkich gwiazd Bella Darvi nie wypada najlepiej.

Marta Górna

Przypomina w nich karykaturę młodej aktorki, która zrobi wszystko, by zaistnieć.

Robert Wagner, aktor i producent: „Zrobiła w Hollywood trzy filmy, wszystkie kiepskie. Spotkałem ją na planie i od razu dała mi do zrozumienia, że chciałaby mieć ze mną prywatne spotkania, które nie miałyby nic wspólnego z aktorstwem. Nigdy nie uważałem jej za piękność, ale miała niezwykłą prezencję, której nie oddawała kamera”.

Richard Widmark jej nie cierpiał, a scenariusz ich wspólnego filmu „Piekielna misja” (1954) uważał za „gówniany”.

Marlon Brando również jej nie znosił. Przez nią zrezygnował z tytułowej roli w kostiumowym hicie „Egipcjanin Sinuhe” (1954), ekranizacji powieści Miki Waltariego.

W tym filmie Bella Darvi wcieliła się w Nefer, babilońską kurtyzanę, kobietę złą do szpiku kości. Na ekranie prezentuje się zjawiskowo, nawet w peruce, która wygląda jak zrobiona z łańcuchów choinkowych. Darryl F. Zanuck, hollywoodzki gigant, jej kochanek i protektor, sprawił, że w wyścigu po tę rolę pokonała m.in. Avę Gardner i Marilyn Monroe.

Reżyser „Egipcjanina...”, Michael Curtiz, wspominał, że Darvi miała ciężki, europejski akcent i minę, jakby ciągle męczyła ją migrena. Był strasznym chamem, na planie powiedział: „Wiecie, na co cierpi ta dziewczyna? Na brak faceta. Potrzebuje kochanka. Jacyś ochotnicy?”. Kiedy zapadła niezręczna cisza, ciągnął: „Ustawcie się w kolejce za mną”.

Za rolę Nefer Darvi dostała Złoty Glob dla najlepszej nowej gwiazdy. Zanuck zainwestował w nią fortunę, lecz po kilku latach przyznał, że pragnienie, by uczynić z niej gwiazdę, było wyrazem egomanii.

W „Egipcjaninie...” Darvi występuje u boku Jean Simmons, Gene Tierney i Petera Ustinova, ale błyszczy najjaśniej. Nie można od niej oderwać wzroku, imponuje charyzmą, jej głos jest pewny, uwodzicielski.

eprasa.pl c7fd6aa309

Casey Robinson, scenarzysta filmu, wspominał, że miała nad Zanuckiem władzę hipnotyzerki. Amatorka, mówiąca z akcentem, którego nie dało się zrozumieć, przejęła w jego studio władzę, która była niewyobrażalna i niezrozumiała. Casey zrezygnował z pracy nad filmem z powodu relacji tej dwójki. Aktor Tony Randall pisał, że nikt w Hollywood nie rozumiał jej wpływu na Zanucka.

Jednak w latach 50. pisały o niej największe amerykańskie dzienniki. „Chicago Tribune” uznał Bellę za jedną z najpiękniejszych twarzy kina, „Los Angeles Times”, gdy podpisała kontrakt z wytwórnią Zanucka, 20th Century Fox, nazwał ją „francuską pięknością”.

Bella Darvi zostawiła w Hollywood kilka ról uznawanych za drewniane. Przez historyków kina traktowana jest jak plama na życiorysie Zanucka – wyrachowanakobieta, która doprowadziła do ruiny wielkiego człowieka.

W Polsce jest ciekawostką – polską Żydówką, która jako jedna z nielicznych aktorek znad Wisły zrobiła w Hollywood karierę.

BIOGRAFIA PODKOLORYZOWANA

Bajla Węgier z domu Zigelbaum urodziła się 23 października 1928 roku w Sosnowcu. Według portalu Twoje Zagłębie jej matka, Chaja Zigelbaum, nie wiedziała, kto jest ojcem Bajli i nie wpisała jego nazwiska do aktu urodzenia. Kiedy wyszła ponownie za mąż, Bella przyjęła nazwisko ojczyma.

Tuż przed II wojną światową rodzina wyjechała do Francji, gdzie urodziła się czwórka jej rodzeństwa. W czasie wojny Bajli została oddzielona od matki, trafiła do więzienia w Tuluzie. Jej dalsze wojenne losy nie są jasne. W amerykańskich mediach opowiadała, że trzy lata spędziła w obozie koncentracyjnym. Nie mówiła, w którym.

Leonard Mosley, biograf Zanucka, pisze, że najpierw znalazła się w Osnabrück w Dolnej Saksonii, a potem w Auschwitz. Magdalena Boczkowska, krytyczka i badaczka losów Belli, mówi mi, że Darvi, w jednym z wywiadów, wspominała o Drancy – obozie przejściowym dla francuskich Żydów osadzanych tam przed wywózką do obozów zagłady.

– Nie ma żadnych dowodów na to, że było to Auschwitz. To bardzo mało prawdopodobne. Najpewniej została aresztowana w Tuluzie i internowana w jednym z obozów na południu Francji. Warunki były ciężkie, panował głód, choroby, a deportacje wisiały nad więźniami jak wyrok – mówi Boczkowska. – W 1943 roku Bajla została zwolniona, co uratowało jej życie. Po wojnie, w Hollywood, jej historia została przekształcona w bardziej dramatyczną opowieść, a Zanuck nie miał oporów, by sugerować Auschwitz, ponieważ brzmiało to „bardziej filmowo”.

Do końca wojny przetrwała na lewych papierach. Potem przyjechała do Paryża, gdzie zaczęła żyć pełnią życia – brała udział w konkursach piękności i bawiła się na Montparnasse. W 1950 roku w Monako wyszła za biznesmena Albana Cavalade, ale małżeństwo zakończyło się już po trzech latach.

Boczkowska: – Bella i Zanuck mogli koloryzować jej wojenne doświadczenia, aby stworzyć atrakcyjniejszą narrację dla amerykańskiej prasy. Jej wojenne losy były przedstawiane w Hollywood w sposób uproszczony, dramatyczny i medialny, co pasuje do strategii wizerunkowej Zanucka, jednego z największych manipulatorów PR-u w historii kina. Postać Belli w prasie była opisywana zgodnie z hollywoodzkimi mechanizmami promocji lat 50. ubiegłego wieku. Dziennikarze przedstawiali ją jako tajemniczą ocalałą, polskiego Kopciuszka, nową Gretę Garbo, a jednocześnie jako postać skandaliczną i niebezpiecznie pociągającą – wszak pozbawiła roli boską Marilyn.

W latach 90. Derek Ford i Alan Selwyn w książce „Casting Couch” o dekadach patologii hollywoodzkich studiów filmowych, pisali, że Darvi była kochanką jakiegoś Niemca, a przed śmiercią ocaliła ją uroda. Sama Bella w 1954 roku „Los Angeles Times” enigmatycznie stwierdziła, że jej wojenna historia „jest bardzo długa i niełatwo opowiedzieć ją w krótszej wersji”.



◀ Na stronie obok: **Bella Darvi, czyli Bajla Zigelbaum (1928-71), jako Nefer, babilońska kurtyzana w filmie „Egipcjanin Sinuhe” z 1954 roku**
FOT. DONALDSON COLLECTION / GETTY IMAGES

• **Bella Darvi z Kirkiem Duglasem zagrała w filmie „The Racers” z 1955 roku**
FOT. DONALDSON COLLECTION/GETTY IMAGES

NIE BAJLA, LECZ BELLA

Darryl F. Zanuck był producentem i współzałożycielem systemu wielkich wytwórni Hollywood, zdobywcą Oscara za najlepszy film za „Wszystko o Ewie” z Bette Davis.

Po upadku Harveya Weinsteina w 2017 roku na fali ruchu #MeToo serwis The Daily Beast dowodził, że Zanuck był twórcą „kanapy castingowej” (ang. „casting couch”), a więc wymuszania od aktorek seksu w zamian za role. Trzy lata później „New York Times” dorzucił, że producent, nieproszony, pokazywał aktorkom genitalia. Biografka Zanucka Marlys Harris twierdziła, że nigdy nie traktował kobiet poważnie, a jedynie użytkowo – jak grę w polo albo przerwę na lunch.

Margaret Hinxman w czasopiśmie „Picturegoer”, kpiła z Belli: „Gdyby czytała na głos książkę telefoniczną, mielibyśmy lepsze rozeznanie”

Mosley przedstawia początki relacji Belli i Zanucka tak: „Po rozwodzie Bella stała się znana wśród stałych bywalców festiwalu w Cannes. Przesiadywała w barach dla krytyków ubrana w obcisłe białe spodnie, czerwoną bluzkę i sandały. Mówiła po polsku, francusku, niemiecku i włosku, wiedziała, jak prowadzić rozmowę i dbać o swoje interesy. Spała z wieloma znanymi krytykami”.

Jednak swoim kochankom nie ufała, ale wypytywała ich o plotki na temat znanych i wpływowych ludzi ze świata kina.

Mosley pisze, że w czasie przyjęć przemierzała prywatne sale dla bogaczy jak polujący drapieżnik. Długo przyglądała się bogatym mężczyznom. Zanucka, którego wcześniej widywała w kasynach Monako, jednak omijała. Zaprzyjaźniła się za to z jego żoną Virginią. Chodziły razem na zakupy i lunche i w końcu Virginia postanowiła wymóc na mężu obietnicę, że da jej przyjaciółce szansę.

Ale on spotykał się z nią już od tygodni, spłacał jej długi karciane.

Bella poleciała do USA w 1952 roku, Virginia zaprosiła ją do rezydencji Zanucków w Santa Monica, a Darryl zorganizował zdjęcia próbne.

Wymyślili jej nowe nazwisko – „Darvi” to połączenie pierwszych liter imion jej dobroczyńców. A Bella to imię oczywiste, dla każdego, kto spojrzy jej w twarz.

Bella wspominała: „Dla każdej francuskiej dziewczyny wyjazd do Hollywood to spełnienie marzeń. Moi przyjaciele mówili mi, że będę grała w filmach, ale ja nie mogłam w to uwierzyć. Nie mówiłam po angielsku!”.

JAK ZAKOCHANY UCZNIAK

W głośnej książce „Hollywood Babylon” zawierającej najbardziej ohydne plotki z Fabryki Snów filmowiec Kenneth Anger pisał, że Zanuck zapadł przy Darvi na „szaleństwo maczo w średnim wieku” i zachowywał się „jak zakochany uczniak”.

Na jednym z hollywoodzkich rautów, by udowodnić, że wciąż jest sprawny, opuścił spodnie i, nagi od pasa w dół, zaczął robić fikołki. Był chorobliwie zazdrosny. Aktor George Raft wspominał, że zatrudnił go do nieistniejącego filmu z Bellą Darvi, by ona miała zajęcie, a Raft miał ją na oku. Gdyby zwietrzył romans, miał od razu raportować.

Syn Zanucka, Richard, po latach komentował zachowanie ojca: „Zwykle był rozsądny, miał świetne wyczucie tego, co sprzeda się w kinach. Ale kiedy zakochiwał się w tych dziewczynach, zdrowy rozsądek go opuszczał. Wierzył i przekonywał je, że są największymi aktorskimi odkryciami w historii”.

„Piekielna misja”, jej pierwszy film z 1954 roku, był umiarkowanym sukcesem kasowym. Jego reżyser Samuel Fuller wspominał Bellę w swojej autobiografii: „Była piękna i bystra. Wiedziałem o niej tyle, że w czasie wojny była w obozie koncentracyjnym i jest protegowaną Zanucka. Powiedziałem mu, że nie zatrudnię jej, jeśli mi się nie spodoba. Ale dobrze wypadła na zdjęciach próbnych, była profesjonalna i przekonująca. Na planie świetnie się bawiliśmy”.

DREWNIANA? NIEKONIECZNIE

Prasa skupiała się na braku doświadczenia Darvi i tym, że debiutantce powierzono główną rolę w dużym filmie. „Variety” oceniło jej debiut jako „interesujący”, ale Margaret Hinxman w czasopiśmie „Picturegoer”, kpiła: „Gdyby czytała na głos książkę telefoniczną, mielibyśmy lepsze rozeznanie”. Bez entuzjazmu pisano też o jej kolejnej roli, w „Egipcjaninie...”.

Darvi mówiła w wywiadach o nauce języka i wymowy, kreując wizerunek kobiety ciężko pracującej. Podkreślała, że sukces wymaga dyscypliny, bo jeśli aktor nie przygotuje się do roli, kamera natychmiast to pokaże.

Czy gdyby nie romans z Zanuckiem, jej odbiór byłby w Hollywood inny? Możliwe. Nie była najlepszą aktorką na świecie, ale w „Egipcjaninie...” jest najbardziej wyrazista. Nie tylko dlatego, że gra kobietę złą z gruntu i dla zabawy; miała być ponętna i seksowna, i taka była. Czy grała jak drewno, co zarzucała jej prasa? Nie. Słychać było jej akcent, ale nie była jedyną aktorką w Hollywood, która go miała. Mówiła podobnie do Francuzki Leslie Caron, nominowanej w 1954 roku do Oscara za rolę w filmie „Lili”.

Bella, jako oczko w głowie Zanucka, oceniana była ostro, musiała starać się bardziej i obronić się talentem, a nie nazwiskiem kochanka. Z powodu urody dostawała jednak role dekoracyjne. W „Piekielnej misji”, jako urodziwa fizyczka nie wchodzi na pokład okrętu podwodnego po to, by coś zagrać, lecz by w scenariuszu znalazł się romans. Kamera pokazuje ją zresztą oczami marynarzy: najpierw nogi na stopniach drabinki okrętowej, łydki w pończochach ze szwami, potem pupa, a na końcu twarz.

W swoim ostatnim hollywoodzkim filmie „The Racers” z Kirkiem Douglasem, grała dziewczynę głównego bohatera: piękną baletnicę, która oklaskiwała ukochanego kierowcę rajdowego z trybun w wielkim finale. Nie dostawała ról, które pozwoliłyby jej zabłysnąć.

Po trzech latach wróciła do Europy.

ODKRĘCIŁA GAZ...

Romans doprowadził Zanucka do rozwodu. „W końcu podpisałam ugodę majątkową, aby zabezpieczyć swoje interesy. Był związany z tą Bellą Darvi” – opowiadała z Virginia

Zaś „ta Bella Darvi” chętnie rozmawiała z prasą. Henrego Kahna z „Picturegoera” zapewniła, że nie jest rozgoryczona. „Znosi to wszystko z wdziękiem i spokojem” – pisał Kahn, z którym rozmawiała na planie kolejnego filmu „Je reviendrai à Kandara”. Jednego z jej kilkunastu europejskich filmów, który, jak i pozostałe, przeszedł bez echa.

Może bez sukcesów, ale opromieniona hollywoodzkim blaskiem, Bella znów bywała w Monako i Cannes. I znów grała w kasynie. Zanuck do niej przyjechał: „Wciąż byłem zadurzony albo po prostu opętany seksem” – tłumaczył.

W 1956 roku „Washington Post” pisał, że Darvi przegrała tysiąc dolarów w zaledwie dwie minuty. I 65 tysiecy w kolejne dwa dni. Zanuck spłacał jej długi, a ona wciąż żyła w blasku dawnej sławy. W czasie festiwalu w Cannes w 1958 roku pływała łódką z Alainem Delonem i pozowała z nim do zdjęć. W 1961 roku „Chicago Daily Tribune” doniósł, że „gra w kasynie jak szalona, ale wciąż stroi się w futra i klejnoty”.

Rok później prasę obiega informacja o jej pierwszej próbie samobójczej. Przedawkowała barbiturany – udało się ją uratować. Kolejną nieudaną próbę podjęła w 1968 roku. W końcu w 1971 roku skutecznie – w swoim mieszkaniu w Monako odkręciła gaz. Ciało znaleźli policjanci. Leżało od tygodnia. Amerykańskie media w krótkich depeszach przypominały jej najważniejsze role i to, że została odkryta przez Zanucka.

Pod koniec lat 90. na łamach „Rhode Island Herald” o Belli Darvi napisał Mike Fink, zainspirowany ponownym seansem „Egipcjanina”: „Patrząc na te porozrzucane okruchy czasu, na migotliwe obrazy i dźwięki płynące z telewizora, uświadomiłem sobie, że Bella Darvi, zarówno jako człowiek, jak i aktorka, zasługuje na coś więcej niż plotkarską notkę. Zasługuje na elegię. To historia kobiety, która przetrwała. Ale po co?”. ●

eprasa.pl c7fd6aa309

NA ŻYDÓW MÓWIŁO SIĘ TU „RUSCY”

– Może się pan zdziwi, ale ja mogę w każdej chwili wyjść na ulicę w Buenos Aires w kipie na głowie – mówi mi miejscowy rabin, gdy pytam go o argentyński antysemityzm.

Maciej Stasiński

Kiedy w 1492 roku królowie katoliccy wypędzili z Hiszpanii Żydów, a 30 lat później Portugalia poszła w ich ślady, Żydzi rozproszyli się po znanym wówczas świecie – od Niderlandów i Włoch po Bałkany i tureckie krańce Morza Śródziemnego oraz Afrykę Północną. Niespełna 100 lat później niektórzy dotarli do Nowego Świata, który dzieliły między siebie Hiszpania i Portugalia.

Pisarz argentyński Luis Franco ustalił, że w 1619 roku do Buenos Aires, wówczas niewielkiego portu Wicekrólestwa Peru, zawinęło kilka statków z żydowskimi pasażerami. Szybko wtopili się w społeczność miejską, żenili się z córkami i wnuczkami pierwszych hiszpańskich osadników, trudnili się handlem i rzemiosłem.

Ci pierwsi przybysze śladów dokumentalnych nie zostawili, bo w hiszpańskich koloniach podobnie jak w metropolii Żydzi nie mieli prawa się osiedlać, chyba że przeszli na katolicyzm. Swoją żydowskość musieli ukrywać. Inkwizycja ścigała przy tym fałszywych chrześcijan. W 1638 roku spalono na stosie w Limie Francisca Maldonada da Silvę, żydowskiego lekarza osiadłego w Tucuman.

Jednak nazwiska starych rodzin osiadłych w Buenos Aires od przełomu XVI i XVII wieku noszą ślady tej pierwszej sefardyjskiej imigracji, to: Arana, Argañaraz, García, Zabala, Irala, Torres, Pereda, Insiarte, Gaete, Garrigós, Ezcurra, Beláustegui, Otolora, Pereyra, Ramos, Sáenz Valiente, Acevedo, Cueto, Piñeiro, Vidal, Fragueiro, Pinto, Pacheco, Rocha etc.

– Przed połową XIX wieku nie ma świadectw potwierdzających obecność Żydów w hiszpańskim Wicekrólestwie La Platy czy potem już w niepodległej Argentynie. Zapewne byli, ale dokumentów brak – mówi mi Diego Elman, dyrektor ośrodka żydowskiego Mishkan oraz rabin w synagodze Heijal Hakodesh w Buenos Aires.

AKCJA BARONA HIRSCHA

Dwaj pierwsi zaświadczeni Żydzi spotkali się przypadkowo pod pewnym drzewem w parku w stolicy Argentyny w 1861 roku. Louis Brie i Henri Joseph przyjechali z Francji. Jednak pomodlić się razem nie mogli, bo nie było ich wystarczająco dużo. Minyan, czyli kworum modlitewne, musi liczyć 10 mężczyzn powyżej 13 lat. Ale już w 1862 skrzyknęło się ich wystarczająco na modlitwie przebaczenia Jom Kipur. Pierwszym rabinem został Henri Joseph, założyli wspólnotę Congregación Israelita de la República Argentina, później Templo Libertad (świątynia wolności).

W następnych latach zaczęli napływać Żydzi z Europy – pierwsi aszkenazyjczycy z Alzacji oraz sefardyjczycy z Maroka. Ci ostatni założyli osobne zgromadzenie w San Telmo w Buenos Aires. – Kiedy mój pradziadek, który pochodził z ukraińskiego sztetla Polnoje, dotarł do Buenos Aires, sefardyjczycy z San Telmo nie chcieli go przyjąć – opowiada rabin Elman.

Konstytucja Argentyny z 1853 roku gwarantowała wolność wyznania, w 1871 rząd zarejestrował urząd rabina, a kolejne rządy wspierały imigrację z Europy z zamiarem zasiedlenia ogromnego obszaru kraju.
W latach 1880-1890 ruszyła coraz szersza fala aszkenazyjskich Żydów uciekających przed prześladowaniami i nędzą sztetli w carskiej Rosji i Europie Wschodniej, głównie z ziem polskich i ukraińskich. Potocznie nowych przybyszów nazywano ruskimi (rusos).

Ta nowożytna masowa imigracja, zarówno aszkenazyjczyków ze wschodu Europy i Niemiec, jak i sefarjdyjczyków z Maroka, jest już dobrze udokumentowana w Muzeum Żydowskim. Patronem tej emigracji był niemiecki Żyd, baron Maurice de Hirsch, który w 1891 roku założył Stowarzyszenie Kolonizacji Żydowskiej. Skupiło od rządu 600 tysięcy hektarów ziem i oddawało ją przybyszom. Żydów chcących jechać do Argentyny było wielu. Baron Hirsch finansował im podróż i zakup ziemi na miejscu – osiedlali się w Rio Negro, Santa Fe, Chaco i Entre Rios. Sprzyjało im prawodawstwo wspierające imigrację.

W 1889 roku 120 rodzin ortodoksyjnych Żydów z Podola dotarło do Buenos Aires przez Niemcy na pokładzie parowca SS „Weser”, kolejnych 50 przypłynęło parowcem SS „Bremer”. Osiedlili się w prowincji Santa Fe i kolonii Aronsville. W ciągu następnych pięciu lat przybyło ponad 2 tysiące Żydów.

JAK SIĘ ZOSTAJE ŻYDOWSKIM KOWBOJEM

Po śmierci barona jego dzieło kontynuowała wdowa Clara Bischoffshiem Hirsch. W 1889 roku ze składek oraz dotacji przy ulicy Wolności w Buenos Aires kupiono działkę pod budowę pierwszej synagogi – kamień węgielny pod nią wkopano w 1897.

Diego Elman tłumaczy, że ci pierwsi żydowscy osadnicy, w większość biedni aszkenazyjczycy z Europy Wschodniej, drobni handlarze, rzemieślnicy, nie mieli pojęcia o uprawie roli, ale osiedlali się na ziemi i zostawali rolnikami i hodowcami. Według rabina to bodaj jedyne takie zjawisko, bo Żydom przez wieki w krajach, w których żyli, ziemi rolnej nie wolno było posiadać.

Tam, gdzie się osiedlali, byli intruzami, musieli walczyć z indiańskimi tubylcami i w taki sposób zostawali żydowskimi gauchos – wolnymi pasterzami, kowbojami. Dziś istnieją w Entre Rios i innych prowincjach ich muzea i synagogi. Ich unikalną historię opisał Alberto Gerchunow, a pierwsze wydanie „Gauchos Judios” można obejrzeć w Muzeum Żydów w Buenos Aires.

W następnych latach przyjeżdżali Żydzi sefardyjscy z Syrii – z Aleppo, Damaszku i Libanu – oraz z Bałkanów, Salonik i z Turcji. Byli wprawnymi kupcami, więc w Buenos Aires zaczęli się trudnić handlem obwoźnym. Mówili po arabsku i w ladino – starym hiszpańskim przechowanym przez wieki przez Żydów wypędzonych z Hiszpanii po 1492 roku.
Z Buenos Aires przenosili się dalej na północ, do Tucuman i Jujuy. Osiedlali się w zwartych społecznościach według krajów pochodzenia i tak też kultywowali swoje tradycje, kuchnię, obyczaje, muzykę.

Strumień imigrantów żydowskich przybrał na sile po 1890 roku, kiedy rząd Argentyny ogłosił plan osiedleńczy dla imigrantów z Europy. Jego częścią były darmowe bilety na podróż. W latach 1891-1896 z Rosji, Litwy, Polski, Ukrainy, Rumunii i Bessarabii przyjechało ponad 20 tysięcy Żydów, którzy osiedlali się głównie w Santa Fe i Entre Rios, ale także w Mendoza i na Ziemi Ognistej. Zostawali właścicielami winnic, agronomami, przemysłowcami i inżynierami.

OD ZAPROSZENIA DO POGROMU

Kolejny przybór żydowskiej imigracji nastąpił po 1906 roku, nie bez związku z pogromami w Rosji w czasie i po rewolucji, do której doszło rok wcześniej. W ciągu następnych kilkunastu lat przyjeżdżało do Argentyny około 13 tysięcy Żydów rocznie, głównie z Europy Wschodniej, ale także z Maroka i Imperium Otomańskiego. Przede wszystkim byli to biedni aszkenazyjczycy: robotnicy, rzemieślnicy, handlarze, ale także ludzie wolnych zawodów, młodzi, przejęci ideami lewicy i socjalizmu.

Ci już nie zostawali rolnikami, lądowali masowo w Buenos Aires, zakładali kluby, szkoły, teatry. Tworzyli rozbudowane sieci wspólnotowe, mieszali się z przybyszami z Włoch, Hiszpanii i Niemiec, nie mieszkali w gettach, współistnieli z innymi, chodzili do tych samych szkół publicznych. Byli liberalni, świeccy, otwarci na świat. Na przełomie wieków powstała żydowska prasa w jidisz: „Der Idisher Fonograf” (El Fonógrafo Hebraico), „Víder Col” (El Eco) czy „Di Folks Shtime” (La Voz del Pueblo).



• **Wnętrze synagogi Templo de la Libertad w Buenos Aires. Kamień węgielny pod nią wkopano w 1897 roku, dzisiejszy kształt zyskała po rozbudowie w 1932** FOT. MACIEJ STASIŃSKI (4)

eprasa.pl c7fd6aa309

W 1920 spis wykazał, że w Argentynie osiedliło się 150 tysięcy Żydów. Synagoga Templo de la Libertad w Buenos Aires została gruntownie przebudowana i rozbudowana w 1932 roku. Mieści dziś również Muzeum Żydowskie skrzętnie dokumentujące dzieje osadnictwa i życia diaspory.

Masowy napływ obco wyglądających, obco brzmiących, w większości biednych przybyszów z ogarniętego wojną i rewolucjami drugiego końca świata, w dodatku przywożących ze sobą kosmopolityczne, jeśli nie wręcz wywrotowe idee społeczne, wywoływał opór i sprzeciw miejscowych „patriotów”.

W 1919 roku z poduszczenia rządu Hipolito Yrigoyena pod hasłem „śmierć Żydom” doszło do pierwszego pogromu. W odpowiedzi na strajk generalny rzekomo wywołany przez Żydów w „polowaniu na ruskich” w dzielnicy Once w Buenos Aires wzięły udział policja, wojsko i cywilne bojówki. Zabito około stu Żydów, niszczono ich domy i własność, palono książki. Dziennikarz Pinie Wald, który był aresztowany i torturowany, ale pogrom przeżył, zostawił jego świadectwo pt. „Koszmar” (Pesadilla) opublikowane w 1929 roku.

„UTRUDNIĆ TEJ RASIE PRZYJAZD”

Z końcem lat 20. XX wieku, a zwłaszcza po objęciu władzy przez Hitlera w 1933 roku, fala uchodźców z Niemiec ponownie przybrała. Tym razem trafiła na opór rządu, który pod wpływem doniesień z Europy, m.in. antysemickich zachęt argentyńskiego konsula w Gdańsku Carlosa Saavedry Lamasa, wprowadził ograniczenia w przyjmowaniu żydowskich uchodźców. „Należałoby utrudnić tej rasie przyjazd. Żydzi w Polsce to wrogowie chrześcijaństwa gotowi do wszelkich wybryków” – pisał Saavedra w depeszy w 1937 roku.

W 1938 tajną dyrektywą dyplomatyczną rząd Argentyny nakazał konsulom w Europie odmawiać wiz wjazdowych „niepożądanym elementom”.

Mimo tej politycznej bariery w latach 1933-1945 do Argentyny i tak przyjechało z Europy 45 tysięcy Żydów, więcej niż do jakiegokolwiek kraju na zachodniej półkuli. Tyle że teraz co najmniej połowa, jeśli nie więcej, nielegalnie. „Dekowali się na statkach jako pasażerowie na gapę, przekupywali strażników na granicy, szmuglowali się przez Paragwaj” – opowiada rabin Elman.

Faszyzujący i pogromowy antysemityzm odżył w późnych latach 50. i w czasie dyktatury Juana Carlosa Onganii (1966-1970), gdy grupa uczniów i studentów inspirowanych hiszpańską Falangą i katolickim integrystycznym nacjonalizmem francuskich ideologów, m.in. księdza Julia Meinviellego i Jacques’a de Mahieu, założyła Ruch Narodowy „Tacuara”. Młodzi kadeci, zwolennicy nacjonalizmu wywodzący się z wyższych warstw społecznych, głosili wojujący katolicyzm, zwalczali demokrację, liberalizm, kapitalizm, lewicę oraz oczywiście Żydów.

Tacuaryści napadali na nich, bili, torturowali, wycinali swastyki na skórze, profanowali cmentarze, dewastowali własność, nakładali haracze na żydowskich właścicieli itd. Wzmogli swoją działalność po uprowadzeniu przez izraelskie służby w 1960 roku ukrywającego się w Argentynie nazistowskiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna.

Tacuara sama się rozwiązała wskutek wewnętrznych sporów i podziałów, ale integrystyczny katolicki, antysemicki i faszyzujący nacjonalizm zakorzenił się w argentyńskiej armii i służbach specjalnych. Członkowie rządzącej w latach 1975-1983 junty gen. Jorgego Videli podziwiali nazizm. W latach dyktatury generałów nieproporcjonalnie wielu Żydów padło ofiarą terroru państwowego wymierzonego przeciw komunistom, peronistom, lewicowcom i wszelkim elementom „wywrotowym” i „antynarodowym”.

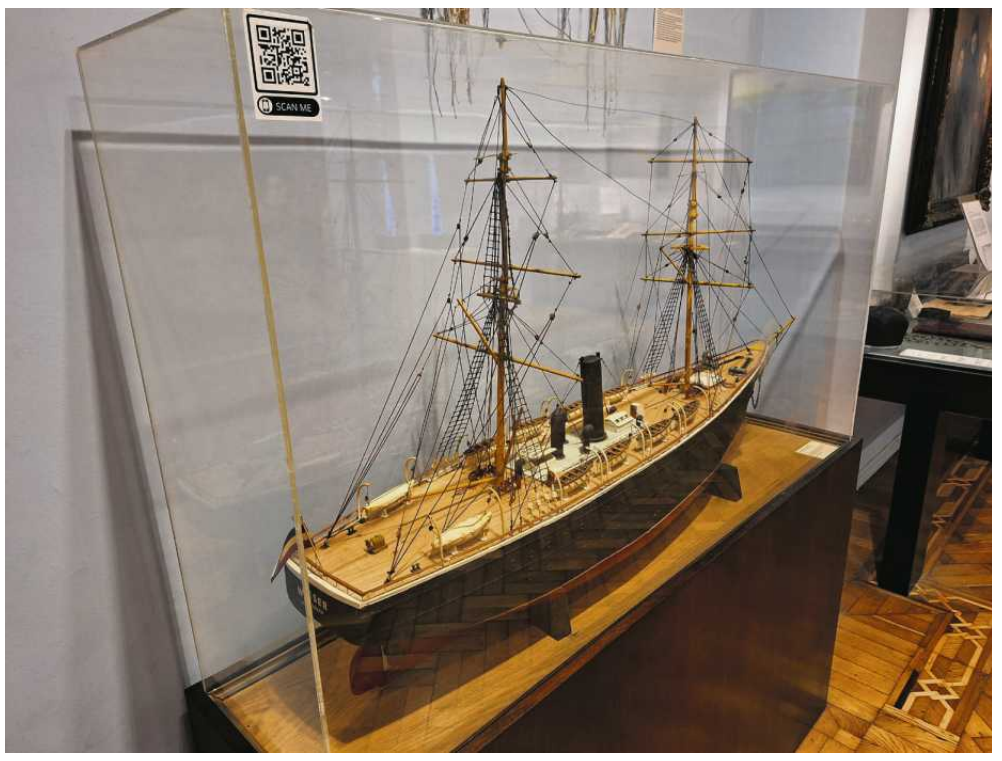
Rabin Elman przypomina, że wśród około 9 tysięcy zamordowanych i zaginionych bez wieści ofiar junty Żydzi stanowili 8-10 procent, choć ich udział w ludności Argentyny nie przekraczał 1-2 procent.



• **Obraz pochodzącego z Warszawy żydowskiego malarza Marcelego Minkowskiego w Muzeum Żydowskim w Buenos Aires. Minkowski przyjechał do stolicy Argentyny w 1930 roku na wernisaż swojej wystawy i zginął w wypadku samochodowym, miał 49 lat**



• **Jeden z eksponatów w Muzeum Żydowskim – obraz przedstawiający twarze młodych Żydów**



• **Na wystawie można tez zobaczyć makietę statku, którym przybyli do Argentyny Żydzi**

JAVIER MILEI WIELBI IZRAEL

Cezurą w dziejach argentyńskich Żydów stały się zamachy terrorystyczne w Buenos Aires w 1992 i 1994 roku. W pierwszym – na ambasadę Izraela w Buenos Aires – zginęło 29 osób, a 242 zostały ranne. Dwa lata później eksplozja furgonetki wyładowanej materiałami wybuchowymi zaparkowanej przed siedzibą AMIA (Stowarzyszenia Izraelsko-Argentyńskiego), najważniejszej instytucji kulturalnej żydowskiej diaspory zrzeszającej 200 tysięcy członków, zabiła 85 osób, a rannych zostało ponad 300. Zamach na AMIA przeprowadzono w 100. rocznicę jej założenia.

Zamachy nie były dziełem rodzimych faszystów czy antysemitów. Jak wykazało długie śledztwo, oba przeprowadził Iran przy pomocy Hezbollahu. Sprawcy wciąż pozostają bezkarni. Międzynarodowe listy gończe rozesłane za nimi, w tym za dygnitarzami irańskiego reżimu, nie przyniosły skutku.

– Te zamachy były dla mnie przełomem życiowym. To wtedy postanowiłem zostać rabinem – mówi Diego Elman, który dołączył do wspólnoty Mishkan jako rabin w 2016 roku. – Ale ta rana jest niezagojona. Nie możemy tej strony zamknąć, póki sprawcy pozostaną bez kary.

Prezydent Argentyny Javier Milei jest ostentacyjnym filosemitą i wielbicielem Izraela. Czasem nawet przebąkuje, że chętnie przeszedłby na judaizm

Antysemityzm wciąż w Argentynie istnieje, ale nie przybiera zorganizowanych form i Żydzi czują się w tym kraju bezpiecznie. Nowy prezydent Javier Milei jest ostentacyjnym filosemitą i wielbicielem Izraela. Czasem nawet przebąkuje, że chętnie przeszedłby na judaizm. Na wszelki wypadek ośrodki żydowskie, jak synagogi, Muzeum Żydów czy Muzeum Holocaustu w Buenos Aires, są dyskretnie strzeżone.

Po zbrodni dokonanej 7 października 2023 roku przez hamasowców, którzy zamordowali 1200 bezbronnych Żydów, a 251 uprowadzili jako zakładników, armia izraelska zaatakowała Strefę Gazy. W wielu krajach oburzenie na Izrael za śmierć tysięcy cywili przyćmiło krytykę zbrodni dokonanych przez palestyńskich terrorystów i stopniowo obudziło dotąd uśpiony lub utajony antysemityzm. Slogan „Wolna Palestyna od rzeki do morza”, lansowany przez tysiące demonstrantów na całym świecie, nie budzi sprzeciwu, choć to hasło ludobójcze wzywające do unicestwienia Izraela. Natomiast wojna Izraela przeciw Hamasowi, kryjącemu się w Strefie Gazy za plecami cywili, uznawana jest – także przez wiele rządów – za ludobójczą, zmierzającą do unicestwienia Palestyńczyków jako narodu. Przez miasta całego świata przetacza się wrogość nie tylko wobec rządu Izraela, ale także samych Żydów. Bojkot i napaści dotykają sportowców, artystów, publicystów, pisarzy i intelektualistów. Nie mogłem o to nie zapytać rabina Elmana.

– Może się pan zdziwi, ale ja mogę w każdej chwili wyjść na ulicę w Buenos Aires w kipie. Nawet jak się owinę flagą Izraela, nic mi się raczej nie przytrafi. W każdym razie się nie boję. ●

eprasa.pl c7fd6aa309

Wczoraj, czyli dziś

Gdy kelner zostaje katem

Niegdyś publiczne egzekucje nie podlegały krytyce, w ich obronie występowali nawet duchowni.

Beata Maciejewska

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej"



Kat we fraku i w berecie, sto tysięcy ludzi wokół szubienicy, dziennikarze, kamery, nastrój pikniku. Ale pętla jest źle zawiązana i skazaniec długo kona. Przez Polskę przechodzi fala krytyki, więcej publicznych egzekucji w kraju nie zobaczymy.

Egzekucje przez wieki gromadziły tłumy, teraz śmierć możemy oglądać kilka razy dziennie na monitorach. Spowszedniała, choć nieudana egzekucja Christy Pike, skazanej za zamordowanie koleżanki z klasy, i zapowiedź transmisji na żywo rozstrzelania Nidala Hasana (na szczęście odwołana), winnego zabicia 13 żołnierzy w Forcie Hood, rozpętała w USA dyskusję, czy i jak zabijać.

Bo skoro kat spartaczył robotę i zastrzyki nie zadziałały, to może ułaskawić Christę Pike – jak chcą jej prawnicy – a może wybrać skuteczniejszą metodę i wyciągnąć z lamusa krzesło elektryczne, jak marzy się republikańskiej senatorce Marshy Blackburn. I czy transmisja egzekucji Hasana byłaby „równoznaczna ze stosowaniem tortur", jak ostrzega ONZ, czy może miałaby walor odstraszający, jak przekonuje sekretarz obrony USA Pete Hegseth.

Nic nie wskazuje na to, że publiczne egzekucje kiedykolwiek odstraszały, za to na pewno zaspokajały potrzebę zemsty i miały walor mocnego horroru. Takim widowiskiem była z pewnością egzekucja, którą w 1654 roku wykonano w podwrocławskiej Oleśnicy. Skazany Melchior Hedloff przyznał się do uśmiercenia co najmniej 251 osób, jego arkebuz z nacięciami upamiętniającymi zabitych jest w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego. Morderca budził postrach na całym Śląsku, nic więc dziwnego, że egzekucja przed oleśnickim ratuszem zgromadziła tłumy.

Kat wyrwał najpierw skazańcowi wszystkie palce u rąk, a potem szarpał ciało gorącymi obcęgami. W każdym rogu rynku wyrywał kawałek. W końcu Hedloffa zawleczono na miejsce straceń znajdujące się poza miastem. Kilka tysięcy ludzi obserwowało, jak na specjalnie wzniesionym pomoście kat łamał Melchiora kołem. Następnie poćwiartował ciało i wystawił na czterech drogach wjazdowych do miasta. Przy szczątkach umieszczono tabliczki miedziane z wykazem okrutnych zbrodni, których się dopuścił.

Publika z uznaniem przyjmowała takie widowiska pod warunkiem, że kat nie zawiódł. Amatorów nikt nie chciał oglądać, a błędy okrutnie karano.

Gdy w 1626 roku na szafocie we Wrocławiu stanęła dzieciobójczyni, tłum wypełnił cały dzisiejszy Plac Kościuszki, oczekując dobrego widowiska. Pijany kat Andreas Thienel jednak tak nieumiejętnie zabrał się do roboty, że dopiero za trzecim razem pozbawił skazaną głowy. Rozwścieczony tłum postanowił go ukarać, a choć kat uciekał, został pochwycony w pobliżu Bramy Świdnickiej i zabity ciosem siekiery w głowę.

W XIX-wiecznej prasie śląskiej powtarzają się opisy egzekucji i reakcji widzów, którzy głośno wyrażali uznanie lub dezaprobatę wobec oprawców. W 1810 roku też chciano zlinczować kata z Legnicy, który we Wrocławiu kilkakrotnie ponawiał próby ścięcia skazańca. W końcu musiał go wyręczyć miejscowy fachowiec. Mimo to publiczne egzekucje nie podlegały krytyce, w ich obronie występowali nawet duchowni, uznając, że mają walor „odstraszającego przykładu".

Ostatnia publiczna egzekucja w Polsce odbyła się zaledwie 80 lat temu i też miała odstraszający walor – odstraszyła chętnych do organizowania następnych widowisk śmierci. 21 lipca 1946 roku na wzgórzu poznańskiej Cytadeli powieszony został znienawidzony namiestnik Kraju Warty Arthur Greiser. Widowisko zgromadziło stutysięczny tłum, sprzedawano lody, napoje, atmosfera jak na pikniku. „Wstęp na miejsce egzekucji dostępny jest dla każdego. Wzywamy jednak społeczeństwo do zachowania należytej powagi i wstrzymania się od wszelkich demonstracji swych uczuć w stosunku do zbrodniarza. Nie należy również przyprowadzać na miejsce stracenia dzieci i młodzieży" – zapowiadał w nadzwyczajnym dodatku „Głos Wielkopolski".

Dzieci jednak przyprowadzono, bawiły się później na podwórkach w „wieszanie Greisera".

Kat podobno nie był fachowcem, nie znamy jego nazwiska, w dokumentach występuje pod pseudonimem „Walenty Góra". Opowiadano, że pracował jako kelner w restauracji „Smakosz" – posiadał frak i bardzo chciał powiesić hitlerowskiego zbrodniarza. Tak zawiązał pętlę na szyi Greisera, że miała za krótki tzw. skok. W efekcie skazanie dusił się w mękach przez kilkanaście minut zamiast umrzeć natychmiast po przerwaniu rdzenia kręgowego.

Krążyły opowieści, że publiczność wydzierała sobie kawałki sznura, władza uznała, że nie można w ten sposób dawać upustu uczuciom największej nawet krzywdy. „My, Polacy, nie byliśmy, nie jesteśmy i nie chcemy być narodem oprawców" – pisała Ewa Szelburg-Zarembina. „Jeśli zemsta zagóruje nad karą, wówczas cały sens procesu (i egzekucji) zostanie wypaczony" – przestrzegał „Tygodnik Powszechny". Następnych publicznych egzekucji już nie było. ●

Stare dobre czasy

Wojowniczki

W obliczu wojny odwieczne role płciowe stawały się mniej istotne niż obrona społeczności.

Anna Brzezińska

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka



Jeden z przywódców Konfederacji „Wolność i Niepodległość" pokpiwał ostatnio z policjantek, które jakoby nie poradzą sobie ze zorganizowaną przestępczością. Co ciekawe, postulował też przywrócenie poboru, czyli powszechnej służby wojskowej. Mamy teraz sąsiada, argumentował, który poważnie rozważa zaatakowanie nas. Trzeba więc jak Finlandia, Szwecja, Estonia, Litwa i Łotwa szkolić wszystkich młodych mężczyzn, choćby po to, by mieli większą szansę przeżycia, gdy zostaniemy zaatakowani przez Rosję.

Z pozoru owo jakże odmienne nastawienie do mężczyzn i kobiet z bronią wydaje się wyrastać z przeszłości, z tradycyjnego modelu, w którym mężczyźni narażali życie na wojnach, kobiety zaś w izbie porodowej. Nie jest to jednak całkiem oczywiste. W obliczu wojny odwieczne role płciowe stawały się bowiem mniej istotne niż obrona społeczności. Wprawdzie przez długie wieki powtarzano za Arystotelesem, że kobiety nie nadają się na żołnierzy, ale już Piotr Czcigodny przekonywał Heloizę, że w wyjątkowych okolicznościach zdarza się wśród śmiertelników, że kobiety chwytają za broń i towarzyszą mężczyznom w bitwie jak na przykład Pentasilea czy biblijna Debora.

Zwyczajni ludzie, mniej oczytani niż opat z Cluny, nie debatowali o Amazonkach i prorokiniach. Zgadzali się natomiast, że każda matka ma prawo – a nawet obowiązek – bronić swoich dzieci, a żona władcy pod nieobecność męża może kierować obroną jego ziem i zamków. Potem nastała nowożytność, wojna się sprofesjonalizowała, a role płciowe przedefiniowano, przy czym słaba płeć stała się jeszcze słabsza. Ale wojna i zagrożenie nadal wiele zmieniały.

W 1615 roku książę Fryderyk Ulryk uderzył na wolne miasto Brunszwik. Mieszczanie okazali się nieskorzy do rezygnacji ze starożytnych wolności oraz przywilejów i zatrzasnęli przed swoim panem bramy. Odpowiedzialność za obronę miasta spoczywała wtedy na milicji, na dorosłych, zdrowych obywatelach, którzy byli w stanie nosić broń. Z obowiązku tego wyłączano duchownych, kobiety, dzieci i starców, choć nie było całkiem jasne, kto był starcem, a dzieciństwo kończyło się wcześniej niż dzisiaj. Ponadto wojskowe przepisy zakazywały żołnierzom wdawania się w zwady z kobietami, duchownymi, chorymi czy dziećmi – w przekonaniu, że walka z nimi jest dla wojaków poniżająca.

O ile jednak podczas zamieszek czy tumultów kobiety miały się chować po domach, gdy niebezpieczeństwo zagrażało całemu miastu – podczas pożarów czy zbrojnych napaści – oczekiwano od nich zaangażowania. Właśnie dlatego w 1615 mieszkanki Brunszwiku z pełną aprobatą bliższych i dalszych sąsiadów rzuciły się do obrony. We współczesnym druku ulotnym z Lubeki napisano, że pobiegły na mury z fartuchami pełnymi kamieni. Niestrudzenie rzucały nimi w napastników i obsługiwały armaty. Walczyły z całą mocą i wszelką bronią, wrzącą wodą i gorącą smołą.

Trwało to trzy miesiące, aż wreszcie Brunszwik odparł swojego księcia.

Wśród obrońców szczególnie wsławiła się niejaka Gesche Meiburg, córka stolarza i panna mimo osiągnięcia zaawansowanego w tamtych czasach wieku lat 34, a zatem niezbyt oczywista kandydatka na bohaterkę. Zrazu przedstawiano ją jako dziewicę broniącą swojego honoru przed hordami napastników, którzy chcieli ją zgwałcić, oczywiście po sforsowaniu murów. Wkrótce stała się znana i w kolejnych przekazach stopniowo upodabniała się do Dziewicy Orleańskiej. Ukazywano ją, jak z bronią w ręku – muszkietem i mieczem lub toporem bojowym – walczy na murach. Na rycinach stała wprawdzie w spódnicy, ale też z marsową miną, pokaźnym muszkietem w ręku oraz w hełmie.

Podkreślano, że Gesche Meiburg raniła wielu, ale jej samej nie dosięgnęła żadna kula. Bóg wyposażył ją w męstwo, przekonywano. Bóg dał jej serce i rozum, by rycersko broniła swego miasta.

W ten sposób prosta córka stolarza stała się wcieleniem kobiecej cnoty i godności, a zarazem metaforą wolności i miasta, którego nie można pokonać. W trzy lata później wybuchła wojna trzydziestoletnia. Wizerunki Gesche Meiburg kolportowano, wzywając do walki z najeźdźcami.

Nie wyśmiewałabym więc pochopnie dolnośląskich policjantek, choć oczywiście mam nadzieję, że za parę lat nie obudzimy się w środku nowej wojny trzydziestoletniej. Niemniej warto pamiętać, że w obliczu zagrożenia nawet tradycyjne społeczności zwykły doceniać odwagę swoich kobiet – jak również umiejętność obsługi muszkietów. Szanujmy tę piękną tradycję! ●

eprasa.pl c7fd6aa309

Jubileusz ojca Ludwika Wiśniewskiego

Naziemny personel Pana Boga

To fascynujące, że nie skupia się ani na swych sukcesach, ani na swych porażkach, lecz z młodzieńczą pasją myśli o przyszłości. W niedzielę kończy 90 lat.

Ks. Alfred Marek Wierzbicki

Jest jednym z najbardziej znanych polskich duchownych, który przez 65 lat jest po prostu duszpasterzem. Jako dominikanin powołany do życia w drodze zmieniał co kilka lat klasztor, ale ludzie, którzy go spotkali w swoim mieście, potrafili utrzymywać z nim kontakty, gdy był już gdzie indziej.

Z Gdańska przyjeżdżali do Lublina, potem z Gdańska i Lublina do Wrocławia, a potem wszyscy razem i zewsząd jeździli za Ludwikiem do Krakowa, St. Petersburga, Małego Cichego, Szczecina i znowu do Lublina. Były spływy kajakowe, rekolekcje i okazjonalne spotkania. Stworzyło się wielopokoleniowe duszpasterstwo międzymiastowe, a nawet międzynarodowe.

Zwierzał się ostatnio, że wraca do niego, zwłaszcza podczas pobytów w szpitalu, pytanie: jak głosić Ewangelię? Mogłoby się wydawać, że tak bogate doświadczenia, jakimi dysponuje o. Ludwik, dają przesłanki do rozbudowanej odpowiedzi. Ale w jego niepokoju odczytuję nie tylko świadomość kryzysu Kościoła, konieczność przewartościowania dotychczasowego modelu duszpasterstwa, ale też przede wszystkim przeczucie, że Ewangelia i świat są ciągle tak nowe i świeże, że muszą się wzajemnie usłyszeć.

To fascynujące, że o. Ludwik nie skupia się ani na swych sukcesach, ani na swych porażkach, lecz z prawdziwie młodzieńczą pasją myśli o przyszłości. Opublikował książkę „Moim Wnukom i Prawnukom”. Owszem, jest w niej sporo o minionych latach, bo jej autor uczestniczył w wielu ważnych sprawach w Kościele i w Polsce. Ale jej zasadniczym tonem jest wyznanie wiary w więź między pokoleniami.

Głosi, że „w każdym człowieku jest boża iskra, która sprawia, że człowiek jest kimś bezcennym, niepowtarzalnym i posiada wielką godność”. Zwraca się do ludzi młodych, bo wierzy, że wszystkie pokolenia przeżywają ten sam głód sensu: mają pragnienie transcendencji oraz miłości.

Sekretem jego działalności duszpasterskiej jest zaufanie do człowieka, stawia na sumienie i wolność. „Moje duszpasterstwo miało nie tylko otwierać młodych na Pana Boga, przygotowywać ich do małżeństwa i do uczestnictwa w życiu Kościoła, ale także przygotowywać ich do budowy sensownego społeczeństwa i wolnej Polski”.

Czasem przedstawia się go jako opozycjonistę w PRL. Sam uważa, że nie da się jego aktywności duszpasterskiej sprowadzić do polityki. Miał głęboką świadomość patologii ustroju komunistycznego, nie szczędził mu krytyki. Nauczył się odróżniać politykę od metapolityki, ale – jak przyznaje – w rzeczywistości wypowiedzi metapolityczne – etyczne i religijne – musiały mieć również wydźwięk polityczny.

Wiązanie o. Ludwika ze światem polityki ma jednak podstawy. Dość liczny zastęp jego wychowanków zasilał szeregi opozycji demokratycznej, a potem niektórzy z nich stawali się wpływowymi politykami w III RP. Ludwik sam nie robił polityki, ale dawał ludziom



FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ojciec Ludwik Wiśniewski urodził się 25 października 1936 roku we wsi Skierbieszów na Zamojszczyźnie

formację, która budziła i umacniała ich podmiotowość społeczną.

W Gdańsku, w kręgu uczestników prowadzonego przezeń duszpasterstwa akademickiego, ukształtowało się środowisko Ruchu Młodej Polski, a w Lublinie wychodziły poza cenzurą „Spotkania” będące pierwszym pismem w drugim obiegu. W obydwu tych inicjatywach do świadomego udziału w polityce prowadziły krystalizacje ideowe dojrzewających w latach 70. młodych chrześcijan i obywateli.

Można by ułożyć antologię głośnych listów, apeli i komentarzy Ludwika Wiśniewskiego w sprawach życia publicznego i kościelnego. W swej książce do wnuków i prawnuków dość skromnie pisze o swej roli. Bez jego głosu nasze życie w ciągu kilku ostatnich dekad byłoby jeszcze bardziej zakłamane i skundlone. Jeszcze bardziej by nas zalewała brzydka fala nienawiści do obcych i do siebie samych.

Ludwik stał się punktem odniesienia dla bardzo wielu ludzi poszukujących mądrej, przyjaznej, zatroskanej twarzy wśród „naziemnego personelu Pana Boga”. Stary zakonnik zawsze odnosił się z prawdziwym szacunkiem do hierarchów, liczył na ich wsparcie i czasem je otrzymywał, czasem nie.

Czytając jego najnowszą książkę, nie znajduję w niej skarg, ale głęboko mu współczuję, że jako młody zakonnik musiał drżeć przed prymasem Wyszyńskim, do którego donoszono na żywego, mało konwencjonalnego dominikanina. Już w dojrzałych latach pisał listy do wszystkich biskupów w Polsce, lecz tylko jeden coś mu tam odpisał.

Nikt nie jest prorokiem wśród swoich? Czy w pokoleniach jego prawnuków i praprawnuków zakorzeni się Kościół synodalny, w którym większe znaczenie będzie miała mądrość starego zakonnika? Dałby Bóg!

W książce adresowanej do ludzi raczej młodszych ode mnie najbardziej wzruszają mnie obrazki z dzieciństwa jubilata. Widzę go, gdy buja się na huśtawce w stodole i stopami dwulatka dotyka brody starego Żyda, sąsiada we wsi Skierbieszów. Podziwiam mądrość ojca uczącego szacunku dla ludzi. Gdy ojciec pokłócił się z sąsiadem, przestał mówić mu „dzień dobry”, ale gdy kilkuletni syn chciał się solidaryzować z ojcem, dostał reprymendę: „Tobie nasz sąsiad nic nie zrobił, masz go pozdrawiać”. Kiedy indziej, gdy synek ukradł z ogrodu sąsiadów kilka kolb kukurydzy, ojciec kazał mu je odnieść i przeprosić.

Ojciec uczył go chodzić po ziemi. W dzieciństwie i później. W anegdocie jakby wprost z żywotów starożytnych ojców pustyni, a może z kwiatków św. Franciszka odnajduję piękno osobowości o. Ludwika. Odwiedził rodziców zaraz po święceniach. Ojciec chciał uczcić to kieliszkiem wódki. Młody kapłan najpierw odmówił, bo wcześniej złożył ślub abstynencji. Ale gdy zobaczył zawiedzioną twarz ojca, zrozumiał, że rodzinna wspólnota więcej znaczy niż formalizm idealisty. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



SZCZEPAN TWARDOCH: Jaka jest nowa powieść laureata Nike?

O czym pisze **OLGA TOKARCZUK** w „Świata jest za dużo”? Inga Iwasiów o nowej powieści noblistki i „pisaniu o ziemioodzyskaniu”

JAROSŁAW KURSKI: Jak pisałem książkę z Michnikiem?

Co nowego napisali John Irving, Margaret Atwood, Julian Barnes, George Saunders czy Douglas Stuart. Kto zachwyca, a kto rozczarował?

Spotkanie Książkowego Klubu Książki, targi, festiwale książkowe oraz przegląd jesiennych nowości

W sprzedaży, również z bezpłatną dostawą do paczkomatu

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

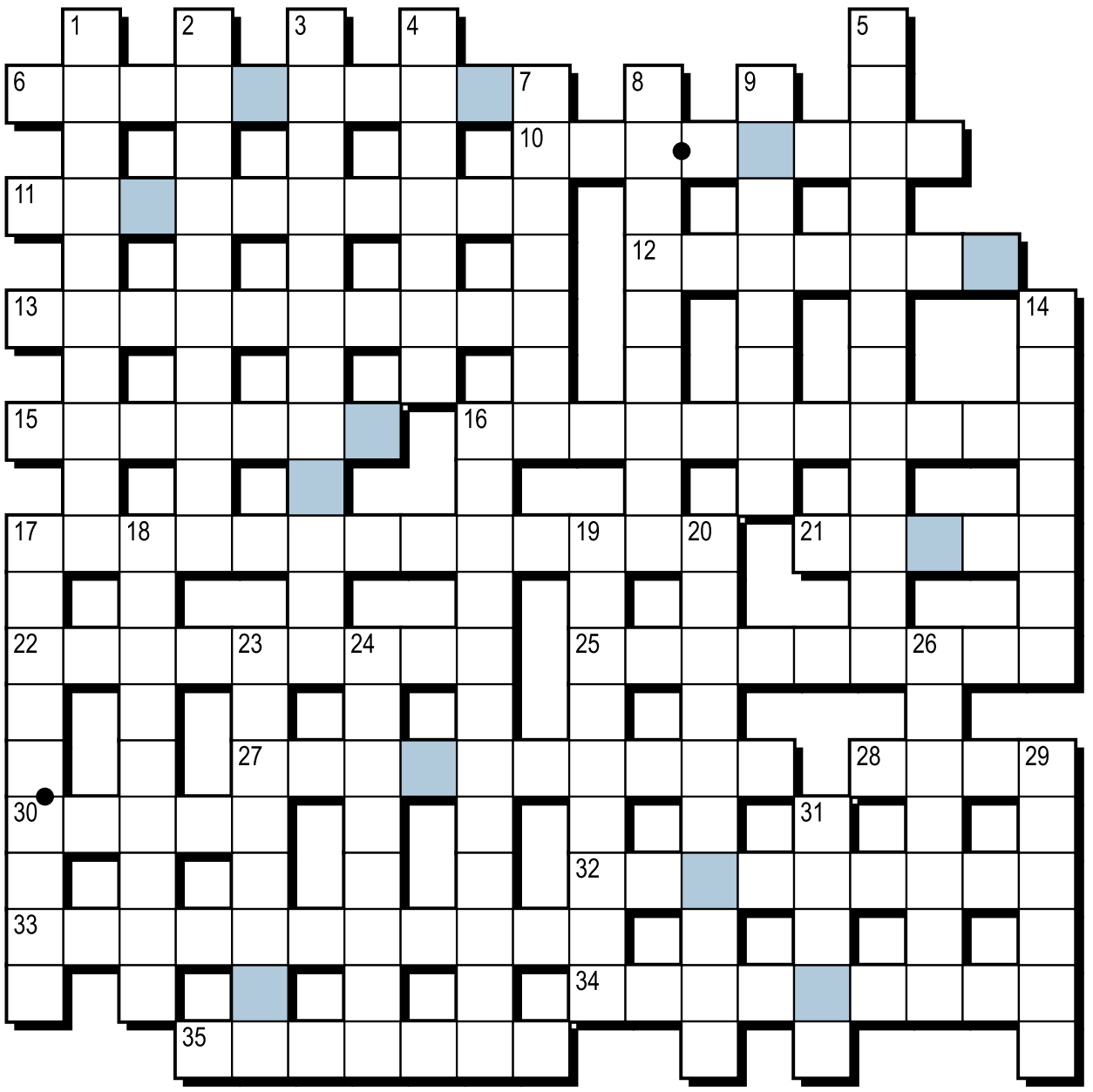
Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

2 RP

34458210

eprasa.pl c7fd6aa309

weekendówka nr 221



KRZYŻÓWKA OSOBOWA

Odgadywane hasła to nazwy osób. Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) oprowadzi nas po Luwrze lub po warszawskiej starówce
10) gwiazda piłki nożnej z Argentyny
11) zwołała radę pedagogiczną
12) Whitney, nagrała piosenkę „I'm Every Woman"
13) zastępuje szefa spółki
15) Brindisi – Włosi, Tbilisi – ?
16) pływak specjalizujący się w stylu motylkowym
17) mieszkaniec stolicy Izraela
21) bracia z klasztoru
22) „..., który pomylił swoją żonę z kapeluszem", tytuł powieści Olivera Sacksa
25) inni niż wszyscy; dziwak
27) turysta, obieżyświat
28) „Chodź, przytul, przebacz" – Piasek, „Po prostu bądź" – ?
30) mazgaj
32) nazwisko reżysera filmu „Indiana Jones i ostatnia krucjata"
33) mieszkaniec francuskiego regionu nad kanałem La Manche
34) wyprowadzeni przez Mojżesza z niewoli egipskiej
35) kierownik oddziału w kopalni

Pionowo:
1) z koszami poszli w las
2) Marek, zagrał w serialu „Janosik"
3) policjant pełniący stale służbę w danej jednostce
4) nikt ich tu nie chce
5) mieszkaniec miasta wojewódzkiego nad Łyną
7) wśród pracowników na planie filmowym
8) lizusi
9) fachowo poprawi jakość zdjęcia
14) zdjął miarę z klienta
16) sportsmenka z maczugami, piłką, wstążką lub obręczą
17) bohater filmu „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości"
18) radiesteta
19) Wiktor w obsadzie ekranizacji powieści „Ogniem i mieczem"
20) przyjął zamówienie na marmurowe parapety
23) żartobliwie o osobie rozpoczynającej obrady, konferencję
24) flora – botanicy, fauna – ?
26) Indianie inspirujący punkowców
29) Karol III lub John Cleese
31) Woody, reżyser filmu „O północy w Paryżu"

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 226 z 17 października (krzyżówka Więcej światła)

POZIOMO:
5) miganie 7) Stanisław 8) halogen 12) oprawki 13) Amerykanin 14) pieśń 15) jasność 21) Małgorzata 22) elektryka 23) lampka 24) wykręcenie 27) czołówka 29) królewicz 30) biurko 32) kineskopy 35) ulica 36) szkło 37) prędkość

PIONOWO:
1) kilowat 2) reflektory 3) ksenon 4) płomień 6) argon 9) krypton 10) świeczka 11) desa 16) sztormówka 17) ćma 18) słoneczko 19) jaskrawość 20) oliwa 25) ciemnia 26) bomby 28) wzrok 29) koniak 31) luks 33) snop 34) prąd

HASŁO: Kinkiety solarne

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34454980



1 RP

eprasa.pl c7fd6aa309

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

10 / Vigdis Hjorth
Dlaczego zrywamy kontakty z rodzicami

24 / Być rodzicem
Jak rozmawiać z dzieckiem o dojrzewaniu



BARBARA WYPYCH

Aktorka spełniona

– rozmowa Justyny Grochal

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 42 (1413) SOBOTA – CZWARTEK, 24-29 PAŹDZIERNIKA 2026

eprasa.pl c7fd6aa309

Zerwane więzy



ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

Jest powiedzenie „Matka jest tylko jedna". Idzie za nim myśl, że nie da się jej zastąpić. A co jeśli matka nie spełnia swojej roli, nie widzi swojego dziecka, nie chroni, jest zimna, stosuje przemoc albo na przemoc wobec niego nie reaguje? To samo dotyczy oczywiście ojców. Czy uzasadnione jest zerwanie z nimi kontaktu, czy jest nam to potrzebne? – Czasem nie ma się wyboru, jeśli chce się przetrwać – mówi Vigdis Hjorth, norweska pisarka, z którą rozmawiamy w „WO". Jej książki są o przemocy, konflikcie między członkami rodziny, zrywaniu kontaktu. W Polsce to temat tabu. Najgorszy rodzic jest lepszy niż żaden. Podejście do tego, co można mówić i pisać publicznie o rodzinie, wygląda jednak inaczej w Norwegii. – Norwescy autorzy od dziesięcioleci piszą o własnym życiu, nazywając to fikcją. I oczywiście jest to fikcja, bo w powieści nie da się opowiedzieć całej prawdy – mówi Hjorth.

Pisarka podejmuje temat zerwania kontaktu z matką i ojcem w kilku powieściach. „Spadek", który czytałam wiele lat temu, zrobił na mnie ogromne wrażenie – że można tak otwarcie pisać o czymś, o czym nam w Polsce nawet trudno jest pomyśleć. A przecież bywa, że w pewnym momencie życia orientujemy się, że nasze dzieciństwo nie było takie, jakie powinno być, wyłażą z zakamarków umysłu wspomnienia i nie dają spokoju. – Jeżeli latami ktoś jest źle traktowany, to w końcu wybuchnie – mówi Vigdis. – To, że dziecko przemocowych rodziców jest zagniewane, jest najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. Takie są bohaterki Hjorth. To, że matka jest jedną z najważniejszych osób w życiu człowieka – tą, od której na początku zależy nasze życie, powoduje, że tak trudno podjąć decyzje o zerwaniu tej więzi.

– Przy czym zerwanie z rodziną wcale nie oznacza, że będziemy wolne – podkreśla Hjorth. Ludzie myślą, że to jest pójście na łatwiznę. A nie przewidują ciężaru, jaki dźwiga osoba, która się na to decyduje. Nigdy się nie uwalniamy, zawsze będziemy czekać. Na telefon, na list, będziemy myśleć o tym, co by pomyślała, jakby się zachowała. Dopóki my żyjemy, żyje matka.

Badania mówią, że coraz więcej osób przyznaje, że zrywa kontakt ze swoimi rodzicami w wieku dorosłym (częściej z ojcami). O zrywaniu więzów z rodziną (family estrangement) dwa lata temu pisał „The New Yorker" – Anna Russell pyta w tekście: „Dlaczego tak wiele osób decyduje się na zerwanie kontaktu z rodzicami? Czy coraz popularniejszy ruch dąży do zniesienia piętna związanego z zerwaniem więzi rodzinnych. Czy jest to potrzebna zmiana, czy niepokojąca tendencja?" Ten sam temat podjął w sierpniu 2026 r. „The Wall Street Journal". W maju 2025 r. BBC donosiło o amerykańskich badaniach na 8,5 tys. osób, obserwowanych przez 24 lata, z których wynika, że aż 26 proc. dorosłych zerwało kontakt z ojcem, a 6 proc. oddaliło się od matki; najczęstszą przyczyną zrywania lub ograniczania kontaktów są przemoc i krzywda emocjonalna, fizyczna, seksualna lub finansowa. Decyzja o zakończeniu kontaktu nigdy nie jest nagła, jest najczęściej ostatecznością. ▲

Jeśli chcesz podzielić się swoją historią z redakcją, napisz:
aleksandra.lubanska-czubak@wyborcza.pl

| **Aleksandra Lubańska-Czubak** – redaktorka „Wysokich Obcasów"



NOWE „WYSOKIE OBCASY EXTRA" LISTOPAD 2026

- **TEMAT NUMERU:** Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?
- **NA OKŁADCE:** Florence Pugh o akceptacji dla ciała i miłości do jedzenia
- **PSYCHOLOGIA:** Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może.
- **URODA:** Czy krem z nazwiskiem lekarza na etykiecie gwarantuje skuteczność?

Numer dostępny z książką lub magazynem „Psychologia. Żyć lepiej".

Kup w punkcie sprzedaży prasy lub zamów online z darmową dostawą na:
https://prenumerata24.pl/pl/c/Wysokie-Obcasy-Extra/32

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 42 (1413)
NA OKŁADCE:
BARBARA WYPYCH
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl c7fd6aa309

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

Temat numeru:
Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?

Herstoria:
Dla Mary Cassatt niezależność była jak Gwiazda Polarna, która prowadziła ją przez życie

Psychologia:
Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może



Zamów na prenumerata24.pl
z dostawą do domu
lub z bezpłatną
dostawą
do paczkomatu



Numer dostępny **z książką**
lub magazynem **„Psychologia. Żyć lepiej”**

eprasa.pl c7fd6aa309



BARBARA WYPYCH

– aktorka filmowa i teatralna; ma wykształcenie muzyczne; ukończyła PWSFiT W Łodzi. Od dziesięciu lat należy do zespołu Teatru Współczesnego. Gra w filmach i serialach, m.in. w „Matkach pingwinów". Drugi sezon ma premierę 21 października w serwisie Netflix

eprasa.pl c7fd6aa309



BARBARA WYPYCH

Czuję wreszcie *spokój*

Długo myślałam, że się nie nadaję. Gdzie ja? Z małego miasta. Nie znałam w tej branży nikogo, nie pochodzę z rodziny artystycznej. Czułam się najgorsza i najbrzydsza. Syndrom oszustki z biegiem lat się wycisza, ale podejrzewam, że nigdy nie opuści mnie na zawsze

eprasa.pl c7fd6aa309

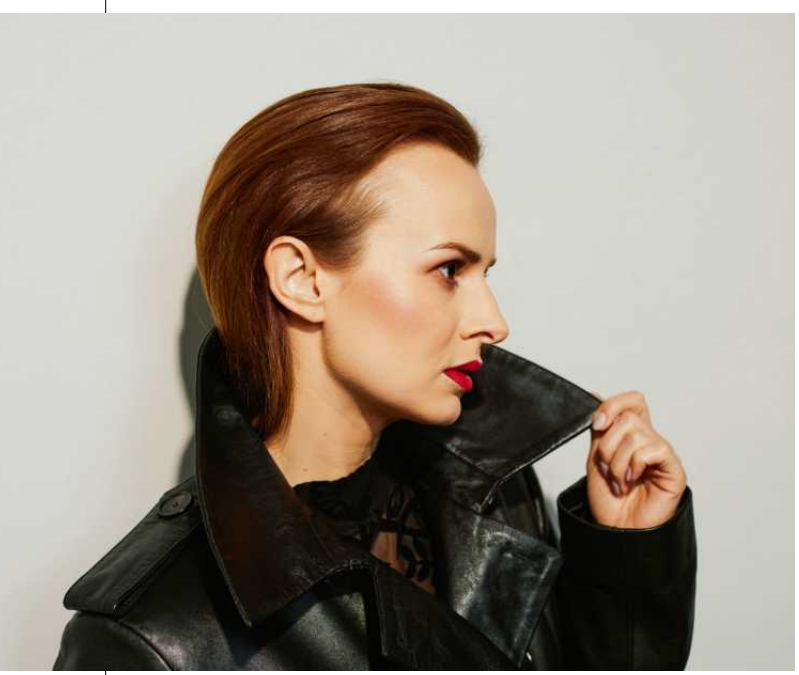
Z **BARBARĄ WYPYCH**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **JUSTYNA GROCHAL**
ZDJĘCIA **MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL**

W

Wracacie z drugim sezonem „Matek pingwinów". Jest presja?
– Jest, ale czuję się spokojna. Scenariusze odcinków zainteresowały mnie już od pierwszych stron. Uważam, że to ciekawa kontynuacja. Możemy pokazać bohaterów w nowym świetle i pod innym kątem. Drugi sezon był dla mnie na pewno bardziej wymagający. Ula Wojtal, bohaterka, którą gram, jawi się bardziej dramatycznie niż komediowo. Miałam więc szansę użyć innych środków aktorskich, które szerzej ją eksponują. Powrót na plan i ponowne spotkanie z ekipą to była euforia, tym bardziej że byliśmy w rękach wybitnych reżyserek.

Jak myślisz, dlaczego ludzie pokochali ten serial?
– Myślę, że wiele rodzin przejrzało się w historiach naszych bohaterów, odnajdując w nich zrozumienie i empatię. „Matki pingwinów" podejmują temat atypowości w sposób lekki. Myślę, że dzięki temu udało nam się wpłynąć na inne postrzeganie osób z niepełnosprawnością, dostrzeżenie ich, pozbycie się niepotrzebnego lęku czy onieśmielenia. Ten serial uwrażliwia, zachęcając do większej otwartości i serdeczności wobec siebie nawzajem, a już na pewno wobec osób z niepełnosprawnościami, od których jednak często odwracamy wzrok.

Gdy odwracamy wzrok, czują się niewidzialne.



– I wykluczone. Prezentujemy w serialu historię uniwersalną – opowiadamy głównie o macierzyństwie, rodzicielstwie, rodzinie – a wpisany w nią temat neuroróżnorodności, atypowości i niepełnosprawności trafia do głównego nurtu i rezonuje z szeroką publicznością. Zaczęliśmy jako społeczeństwo rozmawiać na ten temat, i to jest wspaniałe.

Z jakimi reakcjami spotkałaś się po premierze pierwszego sezonu?
– Dostałam sporo miłych wiadomości od prawdziwych „Matek pingwinów", które doceniały, że serial podejmuje ich temat, że mają swoich reprezentantów na ekranie, na tak popularnej platformie. Było też kilka spotkań, którym towarzyszyły wzruszenia i szczera radość. To, jaką skalę osiągnęła oglądalność serialu oraz jakie rozmowy i efekty wywołała, było naprawdę zaskakujące.

W nowym sezonie poszerzył się zakres tematów, o których opowiadacie.
– Pierwszy sezon był o akceptacji diagnozy i radzeniu sobie z nią. Drugi jest o tym, jak na tę diagnozę i potrzeby dzieci reaguje otoczenie. Jest też między innymi o dojrzewaniu naszych bohaterów, i to nie tylko tych najmłodszych – pojawia się ciekawość swojego ciała i relacji, a u dorosłych bohaterów dojrzewają pewne decyzje, postawy i potrzeby. W wątku rodziny Uli uwaga kieruje się na pierworodnego syna, Franka. Podejmujemy tu temat „niewidzialnego dziecka", czyli tego, którego emocje i obecność spychane są na dalszy plan z powodu skupienia się rodziny na przykład na wychowaniu dziecka z niepełnosprawnością lub atypowością. Moja bohaterka pomija potrzeby Franka, ma wysokie wymagania, nie jest świadoma, jak ogromny ciężar jej dziecko ma na swoich ramionach. Jest też więcej o ojcostwie. Dołącza do serialu Mateusz Damięcki, który wciela się w rolę nowego partnera Kamy i wzbogaca historię o perspektywę ojca samodzielnie wychowującego córkę.

Co cię łączy z Ulą?
– Drugi sezon to dla niej czas poważnej przemiany. Myślę, że tu odnajduję punkt wspólny. W ostatnim czasie wydarzyło się w moim życiu wiele przełomowych rzeczy, które upodmiotowiły mnie jako kobietę i aktorkę. Podobnie jak Ula jestem osobą ambitną, która ma dobre intencje. Jest między nami także wiele różnic, ale na pewno nauczyłam się od niej, że nawet z najtrudniejszej sytuacji jest kilka możliwości wyjścia. To mnie napędza do kolejnych wyzwań. Myślę, że otrzymuję od tej bohaterki siłę i sprawczość i czuję to szczególnie po tym sezonie.

Uważasz tę rolę za przełom w karierze?
– Bez wątpienia, to game changer. Pod względem możliwości dla mnie jako aktorki, ale też tematu, jaki podejmujemy. To piękne doświadczenie, które nie tylko przyniosło mi przyjaźnie, ale też pozwoliło spojrzeć na wiele spraw przez inny pryzmat. Uprawiam sztukę bycia wdzięczną za wszystko, co mi się przytrafia, zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Dzięki serialowi zdałam sobie sprawę, że możliwość realizowania bez ograniczeń swoich marzeń i pasji to ogromny przywilej. Nie wszyscy tę możliwość mają.

eprasa.pl c7fd6aa309



Co było dla ciebie najważniejszym odkryciem w kontakcie z rodzicami dzieci z niepełnosprawnościami?
– Wysłuchałam wielu historii rodzin, które umożliwiły mi podejście do zagrania roli w pełny i zniuansowany sposób, za co jestem ogromnie wdzięczna. Doceniam tę otwartość, bo jako aktorka, która nie ma dzieci, wiele rzeczy muszę sobie wyobrazić. Szersze konteksty pozwalają lepiej zrozumieć wielowymiarowość rodzicielstwa, szczególnie jeśli ono dotyczy dzieci z większymi potrzebami.

Nie zdawałam sobie sprawy, że diagnoza dziecka bywa dla rodziców tak złożonym procesem akceptacji. Niektórzy nazywają to okresem żałoby i czasem godzenia się z tym, że odtąd życie będzie wyglądało zupełnie inaczej, niż zakładali. Ale potem przychodzi jakiś rodzaj supermocy, który daje tym ludziom taką siłę, że są nie do zatrzymania. To jest niezwykle inspirujące.

Jakim ty byłaś dzieckiem?
– Bardzo pogodnym i uśmiechniętym. Rodzice wspominają, że jak tylko pojawiałam się wśród innych dzieci, wszystkie do mnie lgnęły i cieszyły się na mój widok.

Byłam dzieckiem, które żyło w świecie fantazji. Intuicyjnie tworzyłam alternatywny świat, w którym poruszam się do dziś. Moim ulubionym zajęciem było nagrywanie się na puste kasety i rozmowa z publicznością. Opowiadałam historie wyimaginowanym słuchaczom z mojego codziennego podwórka.

Czyli byłaś podcasterką, zanim to się stało modne.
– Trochę tak, ale nikt mnie tego nie uczył. Nie pochodzę z rodziny artystycznej. Mama pracuje w urzędzie miasta, jest sekretarką, a tata zajmował się renowacją fortepianów i pianin.

To pewnie kocha muzykę.
– Tak, amatorsko grywał na gitarze. Myślę, że trochę spełniam jego marzenia. Zabrakło mu motywacji, by być na scenie, a uważam, że byłby świetny.

Ostatnio zapytałam mamę, jak wyglądała ich pierwsza randka. Podobno ojciec z pasją opowiadał o filmach, pokazywał książkę ze zdjęciami aktorów i aktorek. Lubi kino, jest na bieżąco z nowościami. Zdarza się, że dzwoni do mnie tylko po to, żeby powiedzieć, że moi koledzy aktorzy świetnie w czymś zagrali. Myślę, że jest dumny, że należę do tego świata. Uważam, że to niesamowite, że znajomość moich rodziców zaczęła się od rozmów o kinie. Sądzę, że artystyczną duszę i emocjonalność mam w dużej mierze bardziej po tacie.

Od dziecka ciągnęło cię na scenę, ale nie od razu na teatralną.
– Tak, marzyłam, żeby być śpiewaczką operową. Szczęśliwie stało się inaczej *(śmiech)*. Nie żałuję. Gra na instrumentach nie dawała mi takiej przyjemności jak mówienie wierszy czy śpiewanie. Może dlatego, że wymaga ona większej precyzji, wy-

eprasa.pl c7fd6aa309



FOT. KAROLINA GRABOWSKA/NETFLIX

pracowania technik, dla których zabrakło mi pasji. Potrzebowałam więcej wolności.

Ale w szkole muzycznej wytrzymałaś długo.
– Tak, 11 lat. Pierwszy stopień skończyłam w klasie fortepianu, drugi chciałam kontynuować w klasie wokalnej. Nie przyjęli mnie. Wszyscy mnie namawiali, żebym nie rezygnowała z tej muzycznej ścieżki. Uległam i kontynuowałam naukę w klasie fletu poprzecznego. Myślałam o studiach muzycznych jako o moim planie B, gdyby nie powiodło mi się na egzaminach do szkół teatralnych.

Dostałam się do PWSFTViT w Łodzi za pierwszym razem. Dyplom w szkole muzycznej wciąż był jednak moją opcją awaryjną. Miałam niskie poczucie własnej wartości i myślałam, że raczej będę jedną z pierwszych, którą wyrzucą ze szkoły filmowej. Pierwszy rok był najtrudniejszy – czułam się jak jedna z najgorszych i najbrzydszych – ale na drugim zaczęło mi się coraz bardziej podobać.

Z czego wynikało to niskie poczucie własnej wartości?
– Myślę, że z wychowania w duchu krytyki. Mama zwykle większy potencjał widziała w moich rówieśnikach ze szkoły muzycznej niż we mnie. Nie wierzyła, że może mi się udać. Pewnie chciała mnie ochronić przed rozczarowaniem. Ale opłaciła wszystkie koszty związane z egzaminami do szkół teatralnych, mimo że nie było to dla niej łatwe. Jestem jej za to bardzo wdzięczna.

Myślę, że mama ma w sobie dużo lęku o przyszłość. Mnie też ta obawa momentami towarzyszy, ale coraz skuteczniej udaje mi się ją ujarzmić. Na pewno mam więcej w sobie odwagi, a lęk działa na mnie też motywująco.

Długo czułam, że się nie nadaję. Gdzie ja? Przecież jestem z małego miasta. Nie znałam w tej branży nikogo, kto mógłby mnie wesprzeć, doradzić czy uspokoić.

Więcej komplementów i potwierdzenia, że dobrze wybrałam, dawali mi profesorowie, nauczyciele czy reżyserzy. Ale mimo że uczciwie pracuję na swoje sukcesy, zawsze towarzyszy mi myśl, że mogłabym pewne rzeczy zrobić lepiej.

Czyli syndrom oszustki?
– To też konsekwencja tego, że jako dziecko zderzałam się z wątpliwościami, czy aby na pewno sobie poradzę. Miałam poczucie, że wciąż mam czegoś za mało. Przynajmniej tak to zapamiętałam. Cały czas czułam, że na coś nie zasługuję. Ale potem zaczęłam pracować nad sobą na psychoterapii. To była ulga.

Myślę, że mój wewnętrzny krytyk to te głosy z dzieciństwa. Otrzymywałam nagrody, pracowałam i pracuję z wybitnymi twórcami, występuję na warszawskich scenach, czekam na premierę serialu w Netflixie, siedzimy w centrum Warszawy i rozmawiamy dla magazynu „Wysokie Obcasy", a ja wciąż nie potrafię uwierzyć, że to wszystko się wydarza. Syndrom oszustki z biegiem lat się wycisza, ale podejrzewam, że nigdy nie opuści mnie na zawsze.

Grasz w teatrze, w serialach, filmach, wzięłaś udział w programie rozrywkowym „Twoja twarz brzmi znajomo". Ta różnorodność zadań pcha cię do przodu?
– Jak najbardziej. Mam ogromną satysfakcję z tego, co robię. Cieszę się, że te propozycje przychodzą i nie są z jednej szuflady. Widzowie mogli mnie poznać jako bohaterkę, która się zmienia pod wpływem czasu, jako agresywną policjantkę czy bezczelną sekretarkę. Nie zostałam w żaden sposób zaetykietowana, a to się zdarza.

Trudniej jest grać osobę bardzo różną od siebie czy bardzo do siebie podobną?
– Myślę, że role, które są bliższe nam, to dużo większy koszt, bo zahaczają o prywatne sfery. Sięgamy po różne wspomnienia, nie zawsze te miłe, by lepiej zrozumieć i przekazać emocje postaci. Ale zauważyłam, że role, które są w kontrze do mojego emploi, sprawiają mi dużo przyjemności. Mogę wyrazić wcześniej nieuwolnione negatywne emocje, z których nikt mnie nie rozliczy.

Byłam wychowywana na grzeczną dziewczynkę, której nie wypada okazywać nieuprzejmości. Teatr i film są przestrzenią, gdzie mogę bezkarnie pozwolić sobie na rodzaj ekspresji, na który nie pozwoliłabym sobie w życiu prywatnym. Jest to dla mnie bardzo uwalniające.

Jeszcze jako studentka zostałaś obsypana nagrodami i komplementami podczas Festiwalu Szkół Teatralnych. Co się dzieje w głowie tak młodej dziewczyny, gdy nagle, u progu życia zawodowego, spadają na nią same pochwały i laury?
– Z jednej strony to była wielka radość i potwierdzenie, że dobrze wybrałam zawód, z drugiej – jak opadły emocje, wylał się na mnie kubeł zimnej wody. Bo wydawało mi się, że otworzą się przede mną wszystkie drzwi. A tak się nie stało. Dostałam propozycję etatu w Teatrze Nowym w Poznaniu, ale poza tym i jednym zastępstwem nie wydarzyło się później nic ciekawego. Szczęśliwie długo nie czekałam na kolejną pracę – rola, za którą zostałam nagrodzona na festiwalu, została mi zaproponowana ponownie w Teatrze Współczesnym – u tego samego reżysera, ale z inną obsadą. Ale zrozumiałam wtedy, że ten zawód będzie kapryśny. Niezależnie, jakie nagrody po drodze dostanę, czekają mnie wzloty i upadki. Trzeba to po prostu oswoić.

Myślę też o tym, że już w szkole aktorskiej słyszymy różne przepowiednie dotyczące naszej przyszłości w tym zawodzie.

Co słyszałaś na swój temat?

MAKIJAŻ I WŁOSY: ANNA CZUBAK; STYLIZACJA: NATALIA LISTOWSKA. DENIMOWA KOSZULA MARELLA, JEANSY MARELLA, OKULARY SAFILO, KOSZULA W KRATĘ BSB JEANS, CZARNE BODY FRACOMINA, CZARNY SKÓRZANY PŁASZCZ LIVIANA CONTI. PODZIĘKOWANIA DLA TEATRU WSPÓŁCZESNEGO ZA UDOSTĘPNIENIE WNĘTRZ DO SESJI

eprasa.pl c7fd6aa309

– Wielokrotnie słyszałam: „Ja się o ciebie nie martwię, ty dasz sobie radę. Będziesz grać”.

I jak to na ciebie działało? Usypiało czujność i ambicję?
– Z jednej strony działało motywująco, bo potrzebowałam takiego potwierdzenia, z drugiej – kiedy traciłam pewność twórczą i nie wszystko szło po mojej myśli, czułam się sfrustrowana, że przepowiednia się nie spełnia, że zawiodłam samą siebie.

To trudne, kiedy nie dostaję ról, o których marzę, a w teatrze zdarzają się spektakle, których nie lubię grać. W takich chwilach przypominam sobie tamte głosy i myślę, że wolałabym tego nie słyszeć.

Żyjemy w czasach portali społecznościowych i wielkiej autopromocji. Wciąż się porównujemy do innych, a chyba chodzi o to, żeby doceniać swoją oryginalność i wyjątkowość, bo każdy ją ma.

Momenty zwątpienia zdarzają się często?
– Miałam taki przed pierwszym sezonem „Matek pingwinów”. Poważnie zastanawiałam się nad zmianą zawodu. Nie cieszyły mnie projekty, w których brałam udział. Czułam, że zawód, który do tej pory był moją pasją, staje się przykrym obowiązkiem. Pomyślałam wtedy: to jest już mój koniec.

Musiałam po prostu odpocząć, nabrać dystansu. Wróciłam potem do pracy z radością i ekscytacją, którą pamiętam z czasów, gdy byłam świeżo upieczoną aktorką. Ale co jakiś czas miewam poczucie, że może coś się wyczerpało, może powinnam robić coś innego. Albo być bardziej niezależna, zacząć pisać coś swojego, stworzyć spektakl jako reżyserka, producentka czy aktorka. Myślę jednak, że w momentach tej niewygody najwięcej się uczymy. To naprawdę może być najbardziej ożywczy i transformujący dla nas okres. Jak jest miło i przyjemnie, też się oczywiście rozwijamy, ale to nie tak intensywna praca jak wtedy, gdy człowiek się zastanawia: no dobrze, ale co teraz?

Jak sobie radzisz w tych okresach zwątpienia czy wypalenia?
– Snuję plany. Próbuję oderwać się od tego, co mnie przytłacza, projektuję najbliższą przyszłość, szukam alternatyw. Coraz częściej odpuszczam, nie zmuszam się do czegoś, co mi nie służy. Czas zwątpień to czas nowych zasiewów. To czas ładowania baterii, napełniania się nowymi inspiracjami.

Dzisiaj czujesz, że dobrze wybrałaś?
– Tak. Przede mną ciekawe role w teatrze, kończę projekt, który mnie bardzo cieszy. Na horyzoncie kilka niewiadomych. Odczuwam spokój, na który składają się wypełniona miłością domowa przestrzeń, stabilizacja w Teatrze Współczesnym w Warszawie, w którym czuję się doceniona, spokój finansowy i spełnienie. Jestem w gronie aktorów, którzy nie powinni narzekać. Chciałabym utrzymać to tempo rozwoju. Z ciekawością i spokojem będę wyczekiwać nowych wyzwań, z niezmienną uczciwością robić swoje.

Myślę, że małymi łyżeczkami też można się najeść. ▲

OGŁOSZENIE





VIGDIS HJORTH

– ur. w 1959 r., jedna z najbardziej znaczących pisarek współczesnej literatury norweskiej. Studiowała filozofię, literaturę i nauki polityczne. Ma na swoim koncie ponad 20 książek dla dorosłych. Po polsku ukazały się m. in. „Czy matka nie żyje" i głośna powieść „Spadek"

Jedna bitwa po *drugiej*

Głos matki i ojca, który tkwił w mojej głowie od wielu lat, nagle ucichł. Byłam wolna. Ale zerwanie kontaktu z nimi to nie była moja decyzja

eprasa.pl c7fd6aa309

Z **VIGDIS HJORTH**, NORWESKĄ PISARKĄ, ROZMAWIA **AGATA PYZIK**

W wielu swoich książkach poruszasz kwestie dotyczące własnej rodziny, piszesz o sprawach najtrudniejszych: przemocy, zrywaniu kontaktu, konflikcie między członkami rodziny, ale też o miłości. Podejście do tego, co można mówić i pisać publicznie o rodzinie, wygląda inaczej w Norwegii, skąd pani pochodzi, a inaczej w Polsce. Jesteśmy nadal dość konserwatywnym krajem i zerwanie kontaktów z rodzicami to wciąż u nas duże tabu. A jak przyjęto książkę „Czy matka nie żyje" w Norwegii?

– „Matka" była kolejną moją książką po „Spadku", który wywołał o wiele większe kontrowersje i był bestsellerem. Opisałam w nim, jak rodzina konsoliduje się przeciwko bohaterce, zwłaszcza kiedy ma dojść do podziału spadku po śmierci ojca. Prasa obsesyjnie szukała podobieństw między pogrzebem ojca w książce a pogrzebem mojego ojca. Dziennikarze podkreślali, że to, co jest w książce, to historia mojej rodziny jeden do jednego. Obsesyjność tego zainteresowania wydobyła coś nieprzyjemnego i konserwatywnego z Norwegów, a przecież nie jesteśmy ani trochę katoliccy i nie lubimy o sobie myśleć, że jesteśmy konserwatywni. Byłam więc bardzo zaskoczona.

Także dlatego, że norwescy autorzy od dziesięcioleci piszą o własnym życiu, nazywając to fikcją. I oczywiście jest to fikcja, bo w powieści nie da się opowiedzieć całej prawdy – życie jest zbyt skomplikowane. W przypadku „Spadku" sensacyjność tego rodzinnego splotu wzięła górę. W porównaniu z tym historia Johanny, bohaterki „Czy matka nie żyje", która zerwała kontakty z rodziną, wydawała się lekka. Ona już nie budziła niezdrowych emocji.

Moim wytłumaczeniem tego jest fakt, że Norwegia jest tak mała. Jest nas niewielu – zaledwie cztery miliony. W pewnym sensie wszyscy się tu znamy. Gdy więc o czymś piszesz, ludzie od razu myślą: To na pewno jej rodzina. Musi pisać o sobie. Plotkują o tym. W kontekście literatury cała Norwegia przypomina wioskę.

Od początku kariery literackiej w każdej książce – po polsku wyszły m.in. „Spadek", „Gdyby tylko", „Niech żyje trąbka pocztyliona" i „Czy matka nie żyje?" – jest kobieca bohaterka, która robi coś, co niebywale wkurza jej otoczenie. I istnieje ciągłość między twoim życiem a książkami. Kiedy byłaś młoda, pisałaś o swoim doświadczeniu porzucenia męża dla kochanka i bycia piętnowaną za to. Stałaś się nową twarzą norweskiej literatury, ale pewnym kosztem. W prasie ukazywały się twoje wielkie zdjęcia akcentujące twój wygląd.

– Zaczynałam od pisania o skomplikowanych relacjach między kobietą a mężczyzną. Pisałam o tym, z czym musiałam się mierzyć w swoim życiu. A kiedy chce się poddać analizie seksualność, zwłaszcza męską seksualność, i zmierzyć się z nią jako młoda kobieta, trzeba pisać też sceny erotyczne. Miałam wtedy jakieś 24 lata, była połowa lat 80., kolorowe magazyny podchwyciły ten wątek i teksty ilustrowały np. moim zdjęciem z odsłoniętymi udami. Oczywiście jeśli byłeś mężczyzną, pisarzem, zwłaszcza młodym, traktowano cię bardzo poważnie: robili ci zdjęcia w garnitu-

W książkach możesz zrobić to, *na co nie odważyłabyś się w życiu*

rze, z kieliszkiem wina, przedstawiali cię jako poważnego artystę.

Tak jak Karla Ove Knausgårda, autora bestsellerowej wielotomowej autofikcji.

– Bardzo cenię Knausgårda, bo opisał wyraźnie, jak niezwykle konieczna była przemiana norweskiego mężczyzny, który też powinien doświadczać znoju rodzicielstwa. Ale prawda jest taka, że podkradł gatunek pisarkom feministycznym. To miałam na myśli, mówiąc, że pisanie o swoim życiu jest u nas tradycją. Noblistka Sigrid Undset zaczyna swoją powieść od słów „zdradziłam męża". To było w 1907 r. Były też Torborg Nedreaas piszącą o nielegalnej aborcji oraz Herbjørg Wassmo, która opisała kazirodztwo z perspektywy dziecka. Dzięki nim mamy dziś w Norwegii stosunkowo równe społeczeństwo. Choć wciąż niewystarczająco.

A ja pisałam o życiu młodych kobiet w latach 80.. Ochrzczono mnie z tego powodu pisarką erotyczną, podczas gdy ja pisałam raczej o tym, jak związki miłosne są trudne i ile potrafią przysporzyć kobiecie bólu. Wtedy byłyśmy raczej na straconej pozycji. Było o wiele trudniej o partnerskie relacje w życiu czy w łóżku. Nikt nie rozumiał, że piszę o tym, bo to trudne i dlatego fascynujące, a nie dlatego, że mam obsesję na punkcie seksu.

Musiałam skończyć 40 lat, żeby zaczęto mnie traktować poważnie jako pisarkę. Staram się wyciągać z tego wszystko, co najlepsze, i nie chowam urazy. Wiem, że nic nie dostałam za darmo. A wielu młodych mężczyzn coś pisze i nazywa się ich od razu nowym Hamsunem czy Ibsenem. Ja musiałam toczyć jedną bitwę po drugiej. To dało mi pewien bagaż doświadczeń.

Gdyby ludzie od początku mnie uwielbiali i gdybym nie napotkała oporu wobec mojej twórczości, może nie odważyłabym się napisać „Spadku" czy „Czy matka nie żyje". Nie miałabym, z czego czerpać.

Zgadzam się, ale kiedy czytałam „Gdyby tylko" - które jest bezkompromisowe - to czuję twoje cierpienie i jestem zła. Bo to była mizoginia.

– Ta książka, gdzie opisuję płomienny, ale toksyczny romans kobiety z kolegą ze środowiska literackiego, który ją zwodzi i źle traktuje latami, nie wywołała skandalu. Ludzie zaczęli ją czytać dopiero po wyjściu „Spadku". Moje książki o związkach były zbywane przez krytykę jako opowieści o degeneratach i alkoholikach ze środowiska artystycznego. Nie uznawano tego za dobrze napisaną powieść.

Czyli traktowali cię jako autorkę chick lit [lekceważące określenie na literaturę kobiecą], i to jeszcze zanim w ogóle ukuto to określenie.

– Tak, tak. Bo napisała to młoda kobieta i była tam mowa o seksie. O piciu. Były sceny erotyczne. Przemoc. Pisząc, wiedziałam, że tak będzie, ale nic mnie to nie obchodziło. Bo wiedziałam też – miałam wtedy w sobie taką pewność siebie – że ktoś to dostrzeże. I ktoś dostrzegł. Dlatego jedyne, co możemy robić jako pisarki, to iść dalej. I wiesz, dopiero teraz, gdy nie jestem już atrakcyjną, seksowną kobietą, doceniają tę książkę. Ludzie mówią o niej od jakichś dziesięciu lat.

Skąd bierzesz siłę, by oddzielić siebie – osobę, która doświadcza tych zdarzeń – od pisarki, która to opisuje? Jak znajdujesz dystans? W każdej powieści jest postać, która doznaje upokorzenia, ale nie pozwala, by to upokorzenie ją definiowało.

– Myślę, że jeśli ma się za sobą złe doświadczenia, przelanie ich na papier – w taki czy

FOT. STEIN J BJOERGE / AFTENPOSTEN / PAP / NTB

eprasa.pl c7fd6aa309

inny sposób – może pomóc. Od zawsze pisałam dziennik, więc wiedziałam, jaką ulgę daje odnalezienie słów na opisanie trudnych doświadczeń. Jednak kiedy decyduję się napisać powieść o czymś bolesnym, najtrudniejsze jest odnalezienie głosu – powieści i samej osoby, która pisze. Muszę znaleźć głos, który udźwignie moje doświadczenia.

W pewnym sensie każdy pisarz czerpie z własnego życia. Kiedy zdałaś sobie sprawę, że to właśnie twoje życie i osobiste doświadczenia są tym, co najważniejsze? Zwłaszcza, że kobietom mówi się, że ich problemy są trywialne.

– Mój punkt wyjścia jest inny. Wszystkie moje powieści są w pewnym sensie polityczne. Uważam też, że kwestie kobiecości, rodziny, molestowania seksualnego, którymi się zajmuję, również mają wymiar polityczny. Tylko dzięki temu piszę – bo zdałam sobie sprawę, że nie chodzi o mój smutek albo o to, że tylko mnie źle potraktował mężczyzna. Chodzi o mechanizm, który jest wszędzie. Wtedy nabieram odwagi, by wykorzystać to doświadczenie, ale muszę opisać je tak, by ukazać mechanizm relacji między płciami – między mężczyzną a kobietą, między pragnieniem a niszczeniem, który istnieje powszechnie.

To mechanizm, z którym każdy musi się zmierzyć. I wiesz, w pewnym sensie cała literatura kobieca i feministyczna – zwłaszcza w Norwegii, a pewnie i na całym świecie – właśnie tak się zaczynała. Autorki próbowały pisać o tym, jak to jest cierpieć na depresję, ale nie o samej depresji, lecz także o byciu ofiarą społeczeństwa, które różnicuje ludzi ze względu na płeć. Tak właśnie dzieje się zmiana społeczna i polityczna.

Twój głos, kiedy piszesz o kobietach i mężczyznach, brzmiał nowocześnie. Odnalazłam w „Gdyby tylko" cząstkę siebie, swoje często upokarzające doświadczenia z mężczyznami. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie to, że zaczęłaś pisać o rodzinie, co było jeszcze trudniejsze. Co takiego się wydarzyło?

– Mogę mówić tylko za siebie, ale uważam, że to ma związek z byciem w mniejszości. A kobiety w świecie literatury nią są. Zaczynałam od książek dla dzieci – typowa droga dla pisarek, które szukają odwagi. Społeczeństwo patrzy podejrzliwie na kobietę pisarkę, która chce pisać o sobie i kalać rodzinne gniazdo. Na odwagę zdobywałam się stopniowo, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi wokół spraw najbardziej bolesnych. W Norwegii mówi się, że do miejsca, które „parzy", do źródła najgłębszego bólu, trzeba zbliżać się powoli. Długo przygotowywałam się na ten właściwy moment. Zanim napisałam „Spadek", nie widziałam mojej rodziny 15 lat. Ale zerwanie kontaktu to nie była moja decyzja. Natomiast dzięki temu zyskałam swobodę pisania. Nie musiałam się zastanawiać, co powiedzą ani jak zareagują. Głos matki i ojca, który tkwił mi w głowie od wielu lat, nagle ucichł. Byłam wolna.

Ale głos słyszy bohaterka „Czy matka nie żyje", Johanna. Powiedzmy w końcu, dlaczego doszło do tego zerwania. W „Spadku" i w „Powtórzeniu" dokonujesz rozrachunku z rodziną – albo dokonuje go twoja bohaterka, nie chcę tego przesądzać – w której doszło do nadużycia seksualnego przez ojca wobec córki, kiedy ta jest dzieckiem. Potem nikt jej nie wierzy, ona opuszcza dom rodzinny i całe życie czeka na rodzaj przyznania się przez nich do tego, co się stało. Dlatego też nie przyjeżdża na pogrzeb ojca. To absolutnie straszne i porażające.

„Czy matka nie żyje" jest i nie jest kontynuacją „Spadku". Usunęłaś aspekt molestowania z tej historii. Johanna zerwała z rodziną kontakt 30 lat wcześniej, wyjechała do Ameryki, oni ją wyklęli, natomiast ona, choć nowoczesna i utalentowana – jest awangardową malarką – bez przerwy roztrząsa, co matka by powiedziała albo zrobiła. Czy matka o niej myśli. Jest zakładniczką.

– Tak, jest absolutną zakładniczką. W „Spadku" bohaterka zrywa z rodziną, ponieważ przez lata była poddawana manipulacji psychicznej, to tzw. gaslighting. Robi to dla własnego zdrowia. W „Czy matka nie żyje" sytuacja jest mniej napięta. Johanna decyduje się porzucić rodzinę, może męża, którego nie kochała, i rzucić się w wir nowego doświadczenia. I za to musi zostać ukarana. W „Czy matka nie żyje" staram się przede wszystkim opisać, jak silna pozostaje ciekawość, co dzieje się z rodzicem, nawet kiedy on zawiedzie nasze zaufanie i nauczymy się żyć bez niego. To jest najgłębsze pragnienie poznania. Nawet jeśli nie utrzymywałam kontaktów z matką, wciąż chciałam ją zrozumieć. W przeciwieństwie do bohaterki jednak ja nie musiałam jechać pod jej dom, czatować pod drzwiami, ja to zrobiłam już w książce. W książkach możesz zrobić to, na co nie odważyłabyś się w życiu.

W „Czy matka nie żyje" wszyscy zachowują się tragikomicznie. Często tak bywa albo jest to jedyny sposób, by poradzić sobie z rodziną. Zwłaszcza jeśli to nieszczęśliwa rodzina. Dlaczego bohaterka obsesyjnie tworzy wersje życia matki, zamiast się z nią skonfrontować?

– Myślę, że to dlatego, że matka jest najbardziej tajemniczą osobą w życiu każdego człowieka. Nigdy nie poznaje się jej do końca. Jest zagadką. Kiedy czasem podpisuję egzemplarze książki, piszę, że pytanie brzmi raczej: czy matka może umrzeć? Odpowiedź: Nie, nie może. Zawsze będzie żyła w tobie. Tak naprawdę matka nie może umrzeć, dopóki żyjesz ty.

Przychodzisz na świat, wydostajesz się z ciała matki i trafiasz w jej objęcia, kładą cię na jej piersi. Na poziomie biologicznym czujesz, że jeśli ona się tobą nie zaopiekuje, umrzesz. Jako dzieci jesteśmy od matek całkowicie zależne. To więź, w której stawką jest życie lub śmierć.

– Matka ma tak wielką moc. Jest osobą o największej władzy nad twoim życiem. Choć tradycyjnie kobiety wcale nie cieszyły się władzą w społeczeństwie, rodzina była obszarem, w którym tę władzę posiadały. I niektórym z nich ta władza sprawiała przyjemność. Pomyśl tylko: dlaczego rezygnować z tego jednego skrawka władzy?

Właśnie dlatego równość płci jest i była niezbędna. Oczywiście wciąż nie mamy pełnej równości, wciąż żyjemy w patriarchacie, ale nie jesteśmy już tak dyskryminowane i bezsilne, jak kiedyś. Mamy jakąkolwiek władzę nad naszym życiem. Nie musimy już wykorzystywać jej wobec dzieci. Właśnie na tym polega dorosłość.

Widzę to u moich przyjaciółek. A mamy już po 67 lat. Nasze matki wciąż żyją. Mają po 90, 100 lat. I wciąż chcą mieć władzę, wydawać rozkazy. Pewnie będą takie do końca. Bo w innych sferach, w relacjach z mężami czy w społeczeństwie, były jej całkowicie pozbawione. Wciąż traktują dzieci nierówno, lubią rozpieszczać synów i traktować swoje córki jak niewolnice. Mam przyjaciółkę, która chodzi do matki bez przerwy, gotuje, robi u niej wszystko. A w zamian słyszy tylko przykre słowa.

Jest zakładniczką, ale w inny sposób niż Johanna.

eprasa.pl c7fd6aa309

– Właśnie dlatego powinniśmy dążyć do społeczeństwa opartego na równości. Dbać o tych, którzy są w trudnej sytuacji. Jeżeli latami ktoś jest źle traktowany, to w końcu wybuchnie. Ludzie cierpiący na depresję nie są mili. To powoduje gniew. Wywołuje destrukcję. To, że dziecko przemocowych rodziców jest zagniewane – o ile nie zabito w nim całkowicie woli – jest najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

Cenię zagniewane bohaterki. Bo, jak mówisz, gniew jest naturalny w pewnych okolicznościach! Nie dlatego, że to zdrowa emocja. U ciebie ten gniew wywołuje katharsis.

– Moje bohaterki muszą stawiać opór. Rodzina ciągle próbuje im wmawiać: „Dlaczego jesteś taka zła? Dlaczego po prostu nie robisz tego, co ci każą?" Dlaczego nie możesz się dostosować, tak jak wszyscy inni? A one nie chcą się dostosować.

Ale zarazem bardzo cierpią.

– Mogę to powiedzieć również o sobie. Czasem nie ma się wyboru, jeśli chce się przetrwać. Robi się to, co musi się zrobić. Jedni będą tęsknić, inni wciąż chodzić na rodzinne uroczystości. Tak, jakby nic się nie stało. Moim zdaniem branie w tym udziału jak gdyby nigdy nic, z ludźmi, którzy cię skrzywdzili, to rodzaj samobójstwa. Więc kiedy moi bohaterowie muszą się z tym zmierzyć, decydują, żeby nie utrzymywać kontaktu. Matka Johanny tak do tego podeszła. Uznała, że nie chce mieć kontaktu z córką.

To może przynieść ulgę wszystkim zainteresowanym. Choć pozostaje ciekawość. Co się stanie, kiedy dostanę telefon, że ona nie żyje.

Twoje bohaterki są outsiderkami, bo doświadczyły przemocy. Były w konflikcie z rodzinami. Ludzie myślą: Zerwę z nimi kontakt i będę wolny. Ale nigdy nie przewidują ciężaru, jaki dźwiga osoba, która się na to decyduje.

– Który jest niemal równie dotkliwy. A czasem nawet gorszy. I nigdy się go nie pozbywasz. Niesiesz na swoich plecach. Nigdy nie jesteśmy wolni. Możemy być co najwyżej wolni pod pewnymi względami – np. nie przychodzimy już na spotkania rodzinne, na które nie mamy ochoty. Taka jest między innymi lekcja dorosłości.

Doświadczenia, o których piszesz, są specyficzne dla losu kobiet. I zastanawiałam się, czy pisanie o tym ci pomogło? Bo że czytelnikom pomaga, mogę potwierdzić.

– Pomaga w ten sposób, że zyskuję pewną jasność spojrzenia. Potwierdzenie z zewnątrz samej siebie. Ale jest to coś zupełnie innego niż pójście do terapeuty. Z jednej strony używasz wciąż samego siebie, mówisz o sobie, ale w literaturze wymyślam inny głos. To nie ja mówię. Wymyślam inną historię. Inną kobietę, która ma podobne doświadczenia. Fikcja jest też lepsza, ponieważ pozwala nam dostrzec mechanizmy, których nie pokaże reportaż, ani nawet zapis na kozetce u psychoanalityka. Ponieważ fikcja rozgrywa się w swoim własnym świecie, a on ma swoje konsekwencje. I jako pisarz masz obowiązek pokazać kilka racji i kilka perspektyw. Tworzę więc pewien dystans. A ten dystans sprawia, że zbliżam się bardziej. Pisząc, szukałam odpowiedzi, dlaczego zerwałam kontakt, co się wydarzyło. Znajduję właściwe słowa i zyskuję pewną jasność, której wcześniej nie miałam. Jeśli żyjesz w chaosie spraw i uczuć, to jest swego rodzaju oczyszczenie.

Czy matka może umrzeć?
Nie. Zawsze będzie żyła w tobie.
Matka nie może umrzeć,
dopóki ty żyjesz

Musiałaś znaleźć też odwagę. W reakcji na „Spadek" twoja siostra Helga napisała książkę przeciwko tobie. „Wolna wola" pokazuje rodzinę jako ofiarę twojej krzywdy i zniesławienia. Ona też stała się bestsellerem. Czy po „Spadku" i „Czy matka nie żyje" ofiary nadużyć przychodzą lub piszą do ciebie?

– Tak, bardzo wiele. Ofiary wysyłają e-maile. Nie zniosłabym telefonów od płaczących ludzi, to byłoby zbyt wiele. Nie mogę zacząć wczuwać się w każdą historię, nigdy bym się z tego nie podniosła. Ale odpisuję na każdą historię, chociaż jedno lub dwa zdania. Dziękuję im za to, czym się podzielili. Bo ofiarom chodzi przede wszystkim o uznanie.

A czy ktoś przyszedł do ciebie i powiedział, że jesteś złą osobą?

– Nie, takie osoby nie piszą do mnie, ale na portalach społecznościowych. Tam mogą sobie ulżyć. Trzymam się od tego z daleka, a moi redaktorzy filtrują to dla mnie. Bo po „Spadku" to była ogromna fala. Nie mogłabym kontynuować pracy, gdybym się w to włączyła. W przeciwieństwie do tego, co wielu sądzi, nie jestem wściekła, nie zionę nienawiścią wobec rodziców. Moje podejście jest chłodne. To dlatego, że od zawsze wiedziałam, że najpierw jako młodą, a potem starszą kobietę będą chcieli mnie stłamsić. Słucham więc siebie i nikogo innego. Trzeba unicestwić w sobie głos rodziców. Kiedy piszę, zależy mi tylko na tym, żeby napisać coś, co jest poruszające i prawdziwe, nic innego. Staram się czytać swój tekst tak, jakby napisał go ktoś inny.

Dla mnie w posiadaniu problematycznej rodziny najtrudniejsze jest to, że ich nie kochamy. Nawet nie kwestia przebaczenia.

– Oczywiście, że ich nie kochamy. Dlaczego mielibyśmy ich kochać? Byłoby szaleństwem kochać ludzi, którzy cię zranili albo chcieli cię zniszczyć.

Kiedy dorastałam i zaczęłam mówić, jak również wypowiadać się publicznie, przy ludziach, mogłam dostrzec, że moja matka zaczęła się mnie bać. Nie chciała, żebym była zbyt pewna siebie. Bo jeśli jest się pewnym siebie, to jest niebezpieczeństwo, że zacznę mówić.

Zaczęła mi mówić, że jestem głupia. Teraz wiem, że to dlatego, że się mnie bała. Wtedy byłam po prostu smutna, nie rozumiałam, dlaczego ona jest ciągle na mnie wściekła.

Miała obsesję, że w moim życiu jest seks albo cokolwiek, co się do niego odnosi. Wtedy byłam dumna z uwagi, którą mi poświęcała. Potem zrozumiałam, że to nie była miłość, ale kontrola.

W domu miałam nieustanne wrażenie, że chodzę po potłuczonym szkle. Dziś nie jest mi jej żal. Jej nie interesuje to, co ja mam do powiedzenia. Tak zdecydowała. Odkreśliła mnie grubą kreską. Nie jest w stanie się przez to przebić. Ale jeśli kiedyś do mnie zadzwoni, powie, że umiera, że to koniec i chce porozmawiać, zrobię to i porozmawiam z nią. Nie dlatego, że jej wybaczę, ale dlatego, że za bardzo chcę wiedzieć, co się wtedy wydarzy. ▲

eprasa.pl c7fd6aa309

Psikusy Suzanne

Treister tworzyła cyfrowe prace w czasach, kiedy ludzie wierzyli, że komputery przejmą władzę. Jej znajomi bali się, że maszyna ją „pochłonie”

TEKST **IZABELLA ADAMCZEWSKA**

Rosalind Brodsky, badaczka Instytutu Militroniki i Zaawansowanej Interwencyjności Czasowej w Londynie, próbuje zmienić bieg historii. Chcąc ocalić dziadków przed Holocaustem, omyłkowo trafia na plan filmowy „Listy Schindlera”. Jest skuteczniejsza niż Lara Croft i ma smykałkę do biznesu. Podróże w czasie finansuje ze sprzedaży autorskiej linii luksusowych wibratorów przedstawiających Marksa, Freuda, Emmę Peel z brytyjskiego serialu szpiegowskiego „Rewolwer i melonik” czy prominentne budowle (Big Ben, Kreml).

Rosalind to fikcyjne alter ego Suzanne Treister, brytyjskiej artystki o polskich korzeniach, pionierki sztuki cyfrowej. Jej prace można oglądać teraz w Muzeum Sztuki w Łodzi. 9 października 2026 r. otworzyła się wystawa „Suzanne Treister: Prorocze śnienie”.

Znacie żydowski futuryzm? Nie? To posłuchajcie. Nie byłoby Rosalind Brodsky, gdyby nie ojciec Polak Treister i jego wojenne historie.

MAŁA POLSKA NAD TAMIZĄ

Wsiadamy w wehikuł czasu i lądujemy w londyńskiej enklawie polskości po II wojnie światowej. Wówczas okolice Kensington i Earls Court nazywano polskim korytarzem – kto nie chciał (albo nie mógł) wrócić do ludowej ojczyzny, trafiał właśnie tam. Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka londyńskich „Wiadomości”, wspominała w „Mieszkam w Londynie” (1994): „Gdy mieszka się między Earls Courtem a South Kensingtonem, można nie wydawać pieniędzy na autobus. W promieniu mili czy półtora ma się wszystko, co emigrantowi potrzebne do życia [...]. Robi się tu ubrania u polskich krawców, wyrywa zęby u polskich dentystów, w polskich sklepach kupuje maszyny do pisania (z polskimi czcionkami), u Polaków naprawia się radia i zegarki, żeluje buty, robi ondulację, sprawia nowy kapelusz i zamawia instalację elektryczną do nowego domu, który się kupiło przez polskiego agenta przy pomocy polskiego adwokata. [...] Nawet pochować się można za polskim pośrednictwem i spoczywać pod nagrobkiem, wykonanym polskimi rękami”.

Pięcioletnia Suzy przesiaduje z bratem słynnym w Ognisku Polskim. The Polish Hearth Club w South Kensington (działa do dziś, w 2025 za patriotyzm nagrodził je IPN) otwierał w 1940 r. Jerzy Windsor, brat króla Jerzego VI i diuk Kentu. Obecni byli: prezydent Władysław Raczkiewicz, premier gen. Władysław Sikorski i szef brytyjskiego MSZ hrabia Halifax. W klubowej restauracji często siadywał gen. Władysław Anders – jego córka Maria wspominała, że grywał w karty z wojennymi bohaterami i przysłuchiwał się występom żony, a skamandryta Marian Hemar, który występował w teatrze na pierwszym piętrze, pokpiwał, że jest córką „karciarza i szansonistki”.









FOT. MATERIAŁY PRASOWE MSŁ (4), CLAUDIA MARCELLONI

eprasa.pl c7fd6aa309



Zestaw 12 kadrów z filmu „ROSALIND BRODSKY TIME TRAVEL RESEARCH PROJECTS/OPERATION SWANLAKE (2028-2029)". Copyright Suzanne Treister, courtesy Annely Juda Fine Art, London and P·P·O·W Gallery, New York



SUZANNE TRIESTER

– rocznik 1958, artystka o polskich korzeniach, urodzona w Wielkiej Brytanii; pionierka sztuki cyfrowej, internetowej i nowych mediów. W swoich pracach obnaża relacje łączące technologię, sieci globalnej inwigilacji, społeczeństwo, władzę, naukę i mistycyzm. W centrum jej zainteresowania jest pytanie, jak ocalić świat dla przyszłych pokoleń

Charles Saatchi kupił jej prace w 1987 r. Tate Modern cztery lata temu

POLAŃSKI WPADA NA GULASZ

Ojciec zabierał Suzy i Richarda również do Daquise – najstarszej polskiej kawiarnio-restauracji w Londynie. Otworzył ją Tomasz Dakowski, były pilot myśliwców RAF-u, pochodzący z przedwojennej warszawskiej rodziny restauratorów i cukierników. Serwowano tam babki, makowiec, sernik, a w czwartki i niedziele świeże pączki. Kiedy w grudniu 2023 r. Transport for London dostał zgodę na przebudowę stacji South Kensington, portal MyPolska.uk żegnał Daquise wspaniałym zbiorem anegdot. Na przykład taką: „W archiwach Dziennika Polskiego zachowała się kuriozalna notatka z 1958 r.: Złodziej ukradł kasę, ale nie tknął ciastek. To kwintesencja ducha Daquise'a – nawet kryminaliści mieli tu swoje zasady".

Żegnał przedwcześnie – restauracja się ostała. Na stronie internetowej chwali się starymi bywalcami z przeszłości: szpiegami KGB, Romanem Polańskim wpadającym na pierogi i gulasz podczas kręcenia „Wstrętu". „Edward Raczyński, Prezydent RP na uchodźstwie, uczynił z Daquise swoją nieoficjalną siedzibę i przy naszych stolikach planował liczne działania mające na celu obalenie komunistycznego reżimu".

Tak się rodzą legendy. I takich opowieści Treister nasłuchała się od ojca mnóstwo. – Nie nauczył mnie polskiego, bo był zawsze zajęty i nie rozumiał, że to może być dla mnie ważne. Ale od dzieciństwa byłam otoczona polskimi uchodźcami – żołnierze i byli jeńcy rezydowali w naszym salonie. Różnili się od ludzi, których widywałam w Londynie. Bywała u nas siostrzenica Sama Goldwyna, słynnego producenta filmowego, która przeszła przez obóz w Kazachstanie – opowiada artystka.

DROGA DO LONDYNU

Maksymilian Treister urodził się w 1912 r. w galicyjskiej wiosce w okolicach Tarnopola (dzisiaj Ukraina). Najmłodszy z rodzeństwa, miał siostrę i dwóch braci. Dzieciństwo spędzili w Dębinie oraz Iławczach. Był bardzo zżyty z matką. Rodzina była postępowa – Maks wyjechał do Lwowa studiować prawo. Tam zaprzyjaźnił się z Janem Karskim. Przeniósł się do Paryża, a kiedy wybuchła wojna, wstąpił do francuskiego ruchu oporu. Przed nazistami uciekł do Portugalii, a z Lizbony wysłano go z polską armią do Irlandii. Stamtąd trafił do Szkocji, był spadochroniarzem w Polskich Siłach Zbrojnych. Następnie pracował w Londynie dla rządu RP na uchodźstwie. W 1951 r. Maksymilian pozna June Mary Scott, przyszłą matkę Suzanne. Ślub wezmą w 1957 r.

WENUS NA TELEWIZORZE

Suzy malowała i rysowała, od kiedy pamięta. W 1978 r. zaczęła studia w St Martin's School of Art, naukę kontynuowała w Chelsea College of Art and Design w Londynie. Zaczęła wystawiać w połowie lat 80. i początkowo jej twórczość wpisywała się w renesans nowego malarstwa figuratywnego. Wystawę w Muzeum Sztuki w Łodzi otworzy „Wenus na telewizorze" – niewielki obraz z 1986 r. Wenus, jak z obrazu dawnego mistrza, spogląda na widza z masywnego telewizora z lat 80., chwiejącego się na powierzchni Księżyca.

Kiedy Damien Hirst otwierał głośną wystawę „Freeze" – założycielską dla grupy Young British Artists – Treister przygotowywała już pierwszą retrospektywę w Icon Gallery, która w latach 1990-91 objechała Anglię. – W tym wieku pięć lat to cała wieczność. Moje pokolenie zostało zepchnięte na margines – opowiada. – Pojawili się YBA, wszyscy kończyli Goldsmiths [University of London], więc to środowisko było mocno związane z konkretną uczelnią. Tworzyli paczkę, świetnie się znali. Anglia nie miała dotychczas sceny arty-

eprasa.pl c7fd6aa309

stycznej, nie było zbyt wielu galerii. Działał jeden kolekcjoner, Charles Saatchi, który kupił moje prace w 1987 r. To nie był żaden rynek, nie było pieniędzy, ludzie jeździli na targi do Bazylei, Nowego Jorku czy Kolonii. Londyn był bardzo prowincjonalny, ale kiedy pojawili się YBA, nagle stał się miejscem o znaczeniu międzynarodowym. Przestało chodzić o sztukę, a zaczęło o bycie gwiazdą. Nigdy nie odnajdywałam się w tym modelu celebryckim, traktowałam sztukę poważnie. Wyobrażałam sobie, że będę częścią środowiska intelektualnego: że będziemy wspólnie pracować, snuć wielkie wizje i zmieniać świat na lepsze, a nie tylko zarabiać pieniądze i obracać się w towarzystwie bogaczy. Wizja takiego życia była dla mnie koszmarem.

Treister postanowiła się wycofać. Kupiła Amigę i zaczęła tworzyć pionierskie prace cyfrowe.

– Do dziś pamiętam rozmowę z jednym z kolekcjonerów, który kupował moje prace. Powiedział mi: „Suzy, zdajesz sobie sprawę, że gdybyś nadal malowała tak jak dawniej, wyprzedałabyś całą wystawę? Ale skoro tworzysz takie obrazy jak teraz... cóż, nie sprzedamy nic". Oboje się wtedy roześmialiśmy. Nie wiedziałam, jak zapłacę czynsz, ale byłam pewna, że muszę robić to, co czuję.

Kiedy w ogromnym studiu Treister pojawiła się Amiga, przyjaciele pytali: „Na pewno używasz go tylko do szkiców pod obrazy, prawda?". Odpowiadała: „A skąd! To jest teraz moja twórczość". Przez pół roku pracowała wyłącznie na komputerze.

MARTWA NATURA Z EKRANEM

Zaczęło się od salonów gier. Z ówczesnym chłopakiem chadzała do Soho, bo lubił gry wideo. Suzanne napatrzyła się na Tetrisa i facetów naparzających w strzelanki i zaczęła dumać nad nową technologią. Komputery kojarzyły jej się dotąd z edycją tekstu: mały, zielony ekranik, migający kursor. A tu na ekranie można toczyć wirtualne bitwy, zabijać przeciwników. Jak to się rozwinie? Jaki będzie miało wpływ na społeczeństwo?

Postanowiła, że napisze książkę i nawet podpisała umowę z Routledge, ale pochłonęła ją praca twórcza. Najpierw, w latach 1989-91, martwe natury „Videogame Paintings" (Piccasoidy albo Tetris Fiction), potem – już na komputerze – kadry z fikcyjnych gier tworzone w programie Deluxe Paint II, fotografowane z ekranu. Pikselizacja kojarzyła jej się z haftem krzyżowym. Cykl „Software" (1993-94) to z kolei malowane pudełka z dyskietkami – fantazjowanie na temat futurystycznych aplikacji („Etyczne halucynacje", „Wstęp do sypialni wirtualnego zamku").

– Ludzie obawiali się, że maszyna mnie pochłonie – wspomina. – W tamtym czasie funkcjonowało pojęcie sztuki generowanej komputerowo. Panowało przekonanie, że to komputer faktycznie tworzy dzieło. To bardzo przypominało dzisiejsze lęki związane ze sztuczną inteligencją. W 1991 r., gdy komputery dopiero wchodziły do powszechnego użytku, ludzie obawiali się, że maszyny przejmą wszystko. A przecież komputery w tamtym czasie właściwie niewiele potrafiły.

W każdym razie robiłam takie psikusy. Mój komputer potrafił mówić – można było zaprogramować zdanie w stylu: „Cześć Adrian, jak się dzisiaj masz?", czy coś w tym guście. Zapraszałam Adriana do mojego studia, naciskałam przycisk, a komputer mówił: „Cześć Adrian, jak się dzisiaj masz?".

PÓŁPOLKA W AUSTRALII

W 1992 r. wyprowadziła się do Australii. Na całe dziesięć lat, z miłości do męża. Poznali się na Węgrzech, gdzie przygotowywał wystawę. On wrócił do Australii, ona do Londynu, pisali listy po dwadzieścia stron. W końcu Suzanne postanowiła: wyjeżdżam. Zorganizowała w Londynie ostatnią wystawę – prac tworzonych na komputerze – i wsiadła do samolotu. – To było dziwne uczucie: nagle zniknęłam z londyńskiej sceny artystycznej – wspomina.

W Australii odkryła nie tylko internet, ale także podwójną tożsamość.

– W kraju, w którym wszyscy, poza Aborygenami, mają obce korzenie, było inaczej niż w Londynie, w którym, choć pochodziłam skądinąd, nikt tego nie dostrzegał, bo przecież tam się urodziłam. To swego rodzaju rasizm na odwrót: nie przyjmują do wiadomości twojej skomplikowanej tożsamości, chyba że jesteś czarnoskóry. Traktują cię z wyższością, ale jeśli jesteś w połowie Polką i tak słyszysz: „Nie, nie, nie, jesteś Angielką". Wydaje im się, że wyświadczają ci przysługę, a tak naprawdę negują część ciebie. W Australii mieszana tożsamość była czymś zupełnie normalnym. Zaczęłam obsesyjnie myśleć o wyprawie do wioski ojca – opowiada Suzanne.

MAXIMILIAN IV

Na dziewięćdziesiątkę Suzanne zrobiła ojcu prezent – cykl akwarel zatytułowanych „Maximilian IV". Żeby je namalować, musiała jechać z bratem do Tarnopola.

– To nie był jeszcze moment, w którym swobodnie opowiadał o rodzinie. Historie z wojska, owszem, ale o tym, że stracił matkę i ojca, ciotki i wujków w obozach koncentracyjnych, dowiedzieliśmy się późno. Ale mój brat był uparty. Nie było jeszcze internetu, więc poszedł do Biblioteki Brytyjskiej i zrobił kserokopię – wielką jak obrus – mapy Galicji. Przyniósł ją na obiad do moich rodziców i kazał ojcu wskazać rodzinną wieś.

Spędzili tydzień w Krakowie, a potem pojechali pociągiem do Tarnopola.

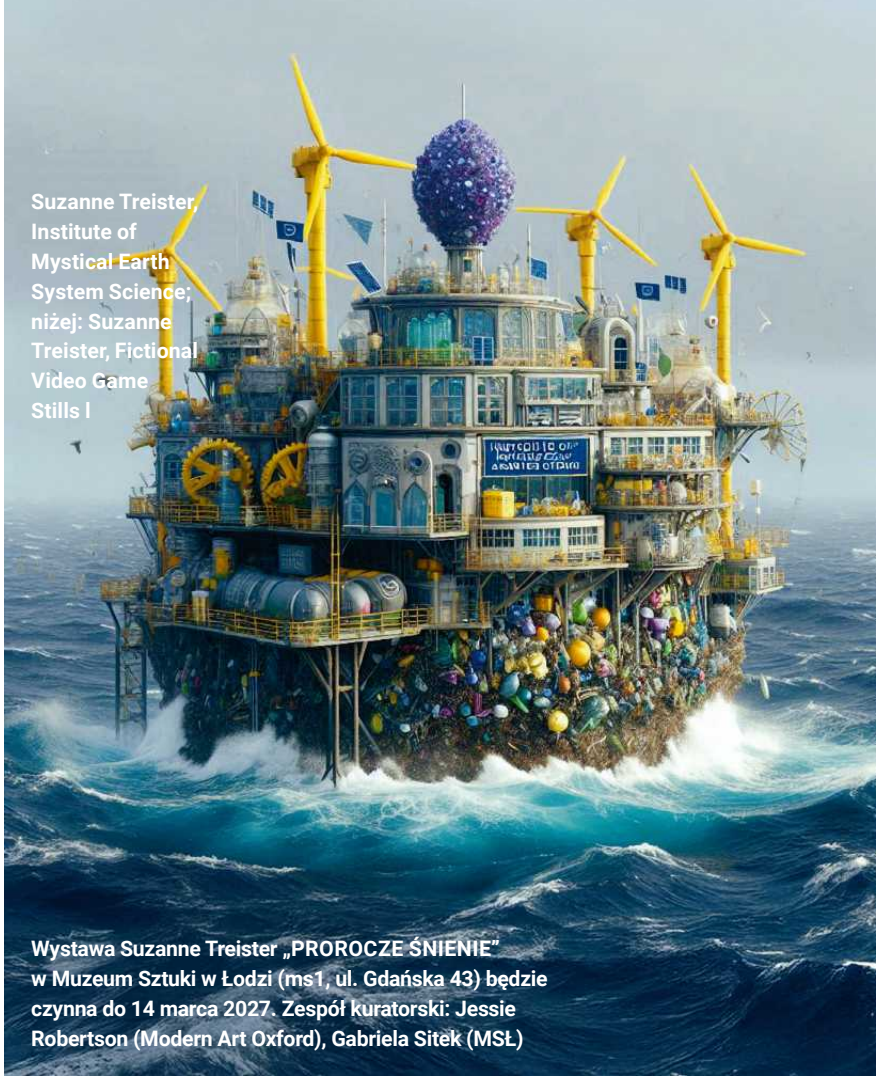
– Zatrzymaliśmy się w takim dziwnym hotelu – wieżowcu. Kobieta w recepcji ewidentnie nas nie polubiła, chyba myślała, że jesteśmy tymi Żydami, którzy chcą odzyskać swój dawny majątek – śmieje się Treister. – Na szczęście spotkaliśmy pewnego Amerykanina, który załatwił nam kierowcę i tłumacza. To oni zawieźli nas do wioski. Pamiętam wielkie, srebrne drogowskazy – trafiły potem do opowieści o Rosalind Brodsky. I ta szara mgła... Dorastając w Londynie, myślałam o świecie za żelazną kurtyną jak o jakiejś magicznej krainie. Domu nie mogliśmy znaleźć i kiedy już traciłam nadzieję, zaczepiłam mężczyzn na wozie z sianem. Wyobraź sobie, że wiedzieli, gdzie mieszkali Treisterowie!

ALTERNATYWNE ŻYCIE BABCI SUZANNE - ROSALIE BLUM

W Adelajdzie narodziła się Rosalind Brodsky (1995-2006), której imię i nazwisko nawiązują od personaliów babki Suzanne – Rosalii Blum.

– Zawsze marzyłam o tym, by cofnąć się w czasie i uczynić z babci artystkę. Czułam z nią więź. Nigdy jej nie poznałam, bo zginęła przed moim urodzeniem, ale prześladowało mnie pytanie, co by było, gdybym ją spotkała... Zachowało się tylko jedno jej zdjęcie z późniejszego okresu życia. Zapytałam ojca, co oznacza odręczny napis na słupie, przy którym stoi. Odpowiedział, że to informacja o wystawie. Domyśliłam się, że pojechała ze swojej polskiej wsi na jakąś wystawę... Wyobrażałam sobie podróż w czasie i to, jak zmieniam ją w artystkę. I tak doszło do tego, że wymyśliłam Rosalind Brodsky: to było jak reinkarnacja babci, by dać jej alternatywne życie.

eprasa.pl c7fd6aa309



Suzanne Treister, Institute of Mystical Earth System Science; niżej: Suzanne Treister, Fictional Video Game Stills I

Wystawa Suzanne Treister „PROROCZE ŚNIENIE" w Muzeum Sztuki w Łodzi (ms1, ul. Gdańska 43) będzie czynna do 14 marca 2027. Zespół kuratorski: Jessie Robertson (Modern Art Oxford), Gabriela Sitek (MSŁ)



Rosalind Brodsky – fikcyjna podróżniczka w czasie, urodzona w 1970, a zmarła w 2058 r. – jest bohaterką filmów i performansów Treister. W Muzeum Sztuki w Łodzi będzie można zobaczyć m.in. jej kostiumy. Powstała też autorska gra komputerowa. „Czasami szukam swoich przodków w wirtualnej rzeczywistości. Przebieram się za nich. To chyba pewna forma cross-dressingu" – mówi Rosalind Brodsky.

Rosalind mieszka w zamku Neuschwanstein w Bawarii – naziści byli tam wybitnie aktywni. Przejęcie tego miejsca na własność to rekolonizacja historii. W alternatywnej rzeczywistości Brodsky zamek zajęli neonaziści, a ona uwięziła ich w torcie. Taki eksperyment technologiczny.

Wymyślona przez Treister badaczka zgłębia również temat sztucznego życia („Golem/Loew: Artificial Life", 2001-02). Dobrze gotuje, więc golema robi z mąki i z mleka, a nie z gliny. Przygody Brodsky zostały opisane w książce i umieszczone na CD: „No Other Symptoms: Time Travelling with Rosalind Brodsky".

ŻYDOWSKI FUTURYZM

Interwencyjne podróże w czasie Rosalind to nic innego jak kosmiczna naprawa (Tikkun Olam). W projektach spod znaku kabalistycznego futuryzmu technologia nie służy destrukcji, lecz staje się narzędziem uzdrawiania wszechświata, mądrego zarządzania zasobami na Ziemi oraz projektowania etycznych technologii międzyplanetarnych.

– Zainteresowałam się afro- i indofuturyzmem. Zaczęłam zgłębiać wizje przyszłości wywodzące się z różnych kultur. Zafascynowały mnie wizualizacje przyszłości nie z perspektywy głównego nurtu czy punktu widzenia zdominowanego przez kulturę białą. A do tego zawsze bardzo interesowała mnie kabała. Jako nastolatka czytałam na ten temat różne książki, bo to część mojego własnego dziedzictwa – mojego osobistego dziedzictwa mistycznego, które zawsze mnie fascynowało. Wykorzystywałam w tym celu gematrię, czyli hebrajską numerologię, w której każdej literze alfabetu hebrajskiego przypisana jest liczba, co pozwala łączyć znaczenia poprzez przekładanie słów na liczby – wyjaśnia Treister. – Kabała i mistyka od zawsze stanowiły istotny element wielu moich projektów. Zaczęłam czytać Zohar i natrafiłam na wiele informacji o tym, że współczesne teorie naukowe, jak choćby teoria Wielkiego Wybuchu czy inne koncepcje, znajdowały odzwierciedlenie w tekstach kabalistycznych i mistyce. Nauka opiera się na teoriach, ale co kryje się poza nią? Obszary, w które nauka może w przyszłości wkroczyć, obejmując zjawiska, które dziś uznajemy za paranormalne czy niewiarygodne. Fascynuje mnie ta granica i pytanie, czy różne teksty mistyczne – wywodzące się z rozmaitych tradycji religijnych – nie kryją w sobie prawdy, której

eprasa.pl c7fd6aa309

jeszcze nie udowodniliśmy, nie odkryliśmy ani nie zrozumieliśmy. Pomyślałam więc, że chcę stworzyć własną wizję nawiązującą do kabały. Napisałam obszerny, 47-stronicowy manuskrypt, a potem przeniosłam jego treść – akapit po akapicie – do akwarelowych rysunków przedstawiających Kabalistyczne Drzewo Życia.

OJCIEC KOCHAŁ POLSKIE LASY

Rosalind Brodsky ma smykałkę do interesów. Podróże w czasie są bardzo stresujące, a w XXI wieku psychoanaliza podupadła. Żeby położyć się na kozetce Freuda czy Melanie Klein, Rosalind musi się cofać o stulecie. Na eskapady potrzebne są fundusze. Żeby zarobić, opracowuje luksusową autorską linię wibratorów – z główkami Freuda, Junga i Marksa oraz z nakładką Kremla i Big Bena.

Ten zmysł biznesu zdecydowanie odróżnia Rosalind od Maksymiliana Treistera. W Londynie nie mógł być prawnikiem, bo nie miał angielskiego dyplomu. Przerabiał czołgi na maszyny rolnicze. – Miałam z tym spory problem, bo jestem pacyfistką i tematyka wojskowa jest mi obca – mówi Suzanne. – Ale ojciec, człowiek, który przetrwał wojnę, w której wróg był wyraźnie określony, postrzegał kwestie wojskowe inaczej niż my dzisiaj. To była walka ze złem, całkiem jednoznaczna.

Mit romantycznego wojownika? – Pewnie tak – zamyśla się Treister. – Działał we francuskim ruchu oporu, służył w polskiej armii, ratował świat.

Potem handlował elektroniką. Założył firmę British Sarozal – nazwaną po zamordowanych w Holocauście rodzicach, Samuelu i Rozalii. Pracował w niej do 93. roku życia.

– W sumie w tej branży można się dorobić dużych pieniędzy, ale ojciec nie był biznesmenem. Kompletnie się do tego nie nadawał i nie wiedział, jak prowadzić interesy. Za każdym razem, gdy próbował przeprowadzić jakąś sprytną transakcję, robił to na opak. Zawsze kończyło się katastrofą. Ale nie chciał sprzedawać firmy za bezcen ze względu na pamięć o rodzicach – opowiada Treister.

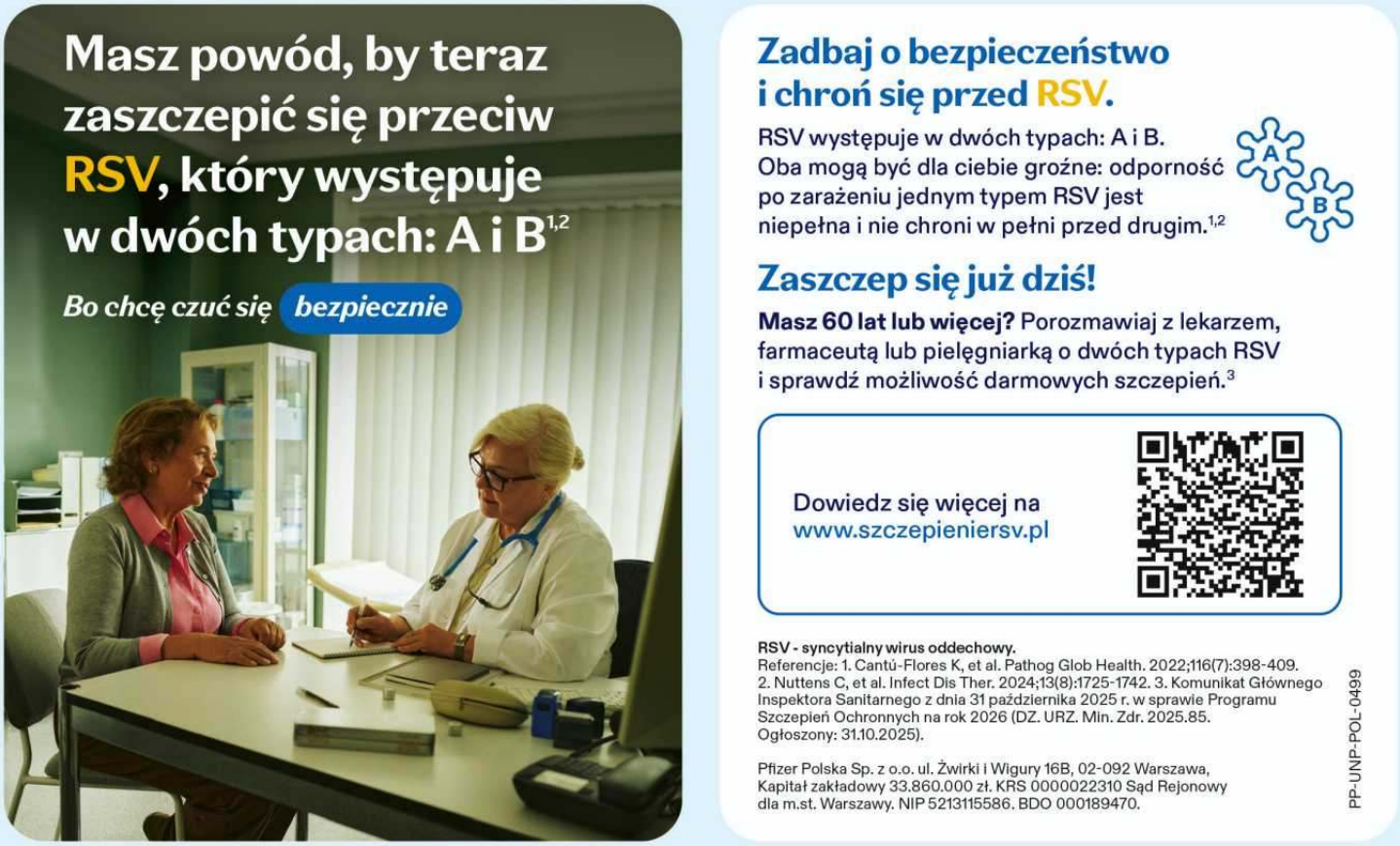
Jednym z genialnych pomysłów ojca były lampy służące jako nawilżacze powietrza, z wykorzystaniem sosnowych olejków.

– Miał obsesję na punkcie polskich lasów: zbierania grzybów, jazdy konnej. Nawet w Anglii musieliśmy chodzić na grzyby – śmieje się Treister. – Esencję wlewało się do wody w filtrze i powietrze w pomieszczeniu pachniało jak las sosnowy. Ojciec wymyślił ogromny, cylindryczny klosz w stylu lat 60.. Piękna, duża lampa z nawilżaczem i zapachem sosny: to był moment, w którym wykazał się największą kreatywnością. Pojechaliśmy do lokalnej fabryki, która miała dla niego produkować te klosze. Nawilżacze zamierzał sprowadzać z Niemiec, a filtry z Malibu. To właśnie na tych filtrach miał się wzbogacić, bo działałyby jak wkłady do drukarek – ludzie musieliby ciągle kupować nowe. Kiedy wracał samolotem z Kalifornii, wybuchł wielki pożar w Malibu i fabryka spłonęła. I to był koniec.

MAG NA LSD

Ostatnim neuronaukowym projektem Rosalind Brodsky był „Hexen 2039" (2002-06). Fikcyjna badaczka powiązała teorie spiskowe z historią szpiegostwa w Europie Wschodniej, światem Hollywo-

OGŁOSZENIE



eprasa.pl c7fd6aa309

od oraz spekulacjami dotyczącymi hipnozy podprogowej, wykorzystywanej w amerykańskich filmach XX wieku do rozmaitych celów politycznych czy religijnych. W tym cyklu okultyzm spotyka się z katastrofą w Czarnobylu, a magia z działaniami Dowództwa ds. Spraw Cywilnych i Operacji Psychologicznych (PSYOP).

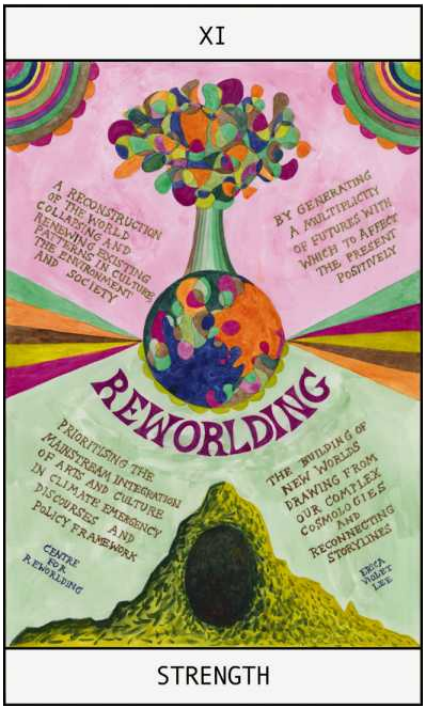
Porzuciwszy Brodsky, Treister kontynuowała ten wątek. W cyklu „Hexen 2.0" (2009-11) zgromadziła autorskie diagramy alchemiczne i karty tarota, pokazując powiązania między historią rozwoju cybernetyki, militarnymi korzeniami internetu oraz powstawaniem nowych systemów globalnej manipulacji i kontroli.

– Początki internetu były pasjonujące. Wydawało się, że oddolne działania wspólnotowe mogą doprowadzić do spłaszczenia struktur władzy i hierarchii. To przestrzeń, w której każdy miał mieć głos – wspomina Treister. – Około 2000 r. to wszystko się załamało. Miało się poczucie, że rząd przejmuje kontrolę. Powstawały nowe organizacje mające nadzorować i monitorować internet. Sieć stała się interaktywna, a wszelkie informacje zaczęły krążyć w pętlach zwrotnych, które z czasem stały się mechanizmami kontroli. Zaczęłam być sceptyczna, a ostatecznym ciosem było pojawienie się portali społecznościowych.

W zaprojektowanej przez Treister talii tarota Głupiec to Aldous Huxley, autor „Nowego wspaniałego świata" i „Drzwi percepcji", Mag – Timothy Leary, pionier badań nad LSD, Śmierć – broń masowej zagłady i plany militaryzacji kosmosu, a Ósemka Mieczy – Dowództwo Operacji Cybernetycznych USA (US Cyber Command). Co ma tarot do algorytmów?

– Algorytm narzuca kontrolę, podczas gdy tarot otwiera nieskończone możliwości, nie jest nakazowy – wyjaśnia artystka. – Możesz losowo wybrać pięć kart i przyjrzeć się każdej z nich w kontekście pozostałych, dostrzegając nieoczekiwane powiązania. W kontekście przeszłości, teraźniejszości i przyszłości oraz analizy tego, jak może wyglądać przyszły świat, te pięć bardzo różnych aspektów może zainspirować cię do nowej myśli czy zmiany paradygmatu.

O ile „Hexen 2.0" analizował dziedzictwo cybernetyki w kontekście Web 2.0 i systemów kontroli, o tyle jego kontynuacja, „Hexen 5.0" (2023-25) bada znaczenie cybernetyki dla systemów obejmujących całą Ziemię. Nadzieją dla świata jest etyka troski – budowanie oddolnych społeczności i kontynuowanie pozytywnych tradycji kontrkultury.



HEXEN 5.0/TAROT/Major Arcana – XI STRENGTH – Reworlding, 2023-25

NIE O WSZYSTKIM PISZĄ

Po „Hexenie" zaczęto nazywać Treister teoretyczką spiskową i (między wierszami) – wariatką.

– Kiedy sugerowano mi, że mnożę teorie spiskowe, odpowiadałam: sprawdź dokumentację. Nie o wszystkich programach wojskowych piszą w „Guardianie" – opowiada artystka. – Projekt „Hexen 2039" powstał, bo zaczęłam wyobrażać sobie, jak mogłaby wyglądać najnowocześniejsza technologicznie wojna psychologiczna; po to, żeby takiemu scenariuszowi zapobiec. To trochę tak jak w science fiction, gdzie często ukazuje się przerażającą, dystopijną przyszłość, wywołując panikę, ale pełni to funkcję sygnału ostrzegawczego. Aby to zrealizować, musiałam zgłębić historię kontroli umysłu – od czasów Rasputina, przez amerykański program MKUltra, aż po programy rosyjskie, węgierskie i inne tego typu inicjatywy. Ludzie czasem mówią: „Wymyśliłaś to wszystko, to jakaś wielka teoria spiskowa". A ja na to: „Nie jestem aż tak bystra".

TO FAKTY HISTORYCZNE

Kiedy Suzy powiedziała ojcu, że zamierza zdawać na malarstwo, odpowiedział: „Odcinam cię od pieniędzy".

Nigdy nie pogodził się z tym, że została artystką. Chciał, żeby poszła na medycynę. – To ironia losu, bo jego rodzice też widzieli w nim lekarza. Myślę, że to było typowe dla Żydów, którzy nie wiedzieli, czy będą musieli opuścić kraj i co ich czeka: medycyna to zawód, który można wykonywać wszędzie. Ojciec wybrał prawo, więc dziadek przestał go utrzymywać. A potem to samo ojciec zrobił mnie. Powtarzał: „Suzy, jeśli tak zrobisz... będziesz biedna. Nie będziesz miała przyjemności w życiu". I chyba miał rację – śmieje się Treister. "

Dwa dni przed śmiercią ojca Treister montowała kuratorowaną przez siebie wystawę w galerii Raven Row. Nosiła tytuł „The Real Truth a World's Fair".

– Zrobiłam zdjęcia wystawy i pokazałam je ojcu. Bardzo się zainteresował, pewnie dlatego, że miała polityczny charakter, a on najbardziej pragnął być politykiem.

ALTERNATYWNE ŻYCIE MATKI

Kiedy zmarł ojciec (a dożył setki), Suzanne zrobiła z matki artystkę.

W szkole June malowała na szarym papierze pakowym, ale tak, że nauczyciele wieszali jej prace na ścianie. Rodzice nie pozwolili jej pójść do szkoły plastycznej. Zapisała się na kurs dla sekretarek, jak wiele kobiet urodzonych w 1927 r. W Londynie poszła na rozmowę o pracę – i została sekretarką Maksymiliana Treistera.

– Była nią do momentu, w którym ojciec skończył 93 lata, a ona – 78. Nigdy tak naprawdę nie miała okazji zająć się czymś innym. Raz zapisała się na wieczorny kurs ceramiki, ale jemu się to nie spodobało – opowiada Treister. – Ojciec był typowym polskim romantykiem. Matka, jak to Angielka, była bardziej stonowana, nigdy nie potrafił jej do końca rozgryźć. Zawsze myślał, że coś ukrywa, bo sam był otwarty jak księga. Dlatego nie spuszczał jej z oczu.

Przed śmiercią ojciec poprosił Suzanne, żeby zajęła się matką: – Pomyślałam, że muszę jej znaleźć jakieś hobby. Zachęciłam ją do malowania i rysowania. Pierwsza rzecz, którą stworzyła, była genialna – byłam w szoku. Mocno ją do tego namawiałam, mój mąż też. Odwiedził nas pewien kurator z Tate, więc zapytałam go: „Ile punktów na sto byś temu dał?". Odparł, że jakieś 90. Powiedziałam o tym mamie... Stworzyłam potwora. Uwierzyła, że jest geniuszem. Teraz ciągle pyta: „Suzy, kiedy Tate kupi moje prace?". A przecież oni kupili MOJE prace dopiero cztery lata temu. ▲

eprasa.pl c7fd6aa309



Wszyscy mają *lepiej*

Często porównujemy swoje kulisy z cudzą sceną. Mamy dostęp do swoich najgorszych momentów i jednocześnie do najlepszych momentów osoby, którą oglądamy

eprasa.pl c7fd6aa309

Z **DR JOANNĄ GUTRAL**, PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **KAMILA SZCZEŚNIAK**

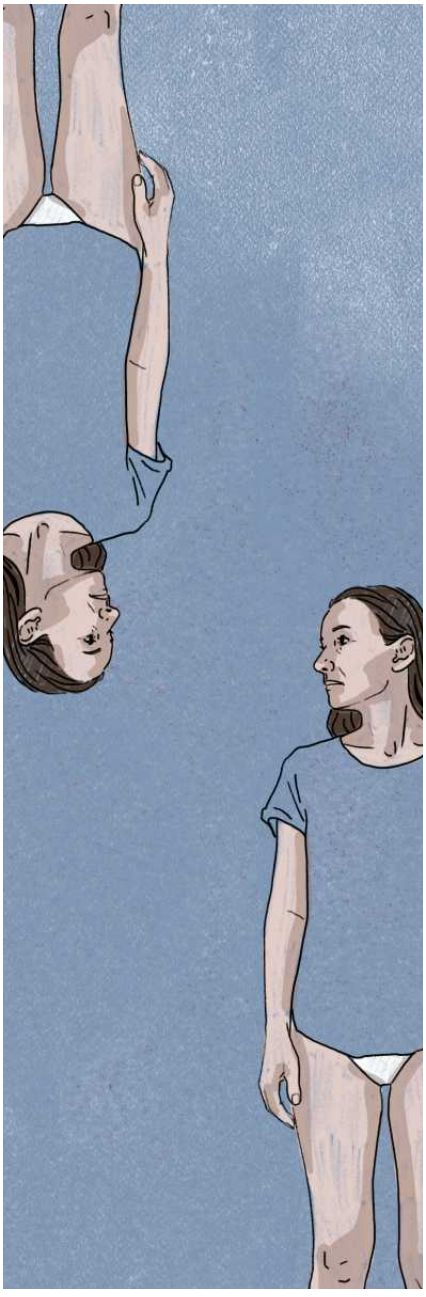
Przychodzi do pani pacjentka i mówi: „Wszyscy mają lepiej ode mnie”.
– Zapytałabym, co dokładnie ma na myśli, w jakim zakresie „mają lepiej”. To, że istnieją ludzie bogatsi od niej, piękniejsi, szczęśliwsi? Pewnie są. Ale dlaczego jej zależy na tym, żeby być „naj”? W takich sytuacjach najczęściej okazuje się, że wcale nie chodzi o „naj”, tylko o zaspokojenie jakichś konkretnych potrzeb. Dlatego jedną z moich ulubionych technik poznawczych jest „pytanie o cud”.

Na czym polega?
– Pytamy: „Gdyby w nocy miał wydarzyć się cud i obudziłaby się pani w takim życiu i w takim świecie, w którym nie potrzebuje pani terapii, to co by się zmieniło? Po czym by pani poznała, że ten cud się wydarzył?” I wtedy pojawiają się konkrety: miałabym większe mieszkanie, urlop zagraniczny, partnera, dobrze płatną pracę, lepsze relacje z przyjaciółmi, więcej motywacji do działania, mniej lęku. Kiedy już wiemy, o co tak naprawdę chodzi, możemy się zastanowić, na które obszary ten ktoś ma wpływ, a na które nie.

A nie mówiłaby jej pani, że nie warto porównywać się z innymi?
– Nie, bo nie jest to możliwe i nawet nie byłoby dla nas dobre. Porównywanie się z innymi niesie ze sobą także korzyści, bo to sposób na pozyskiwanie informacji o sobie i innych. Wyobraźmy sobie, że idę do opery, w której nigdy nie byłam, nawet nie wiem, czym ona jest. Wchodzę do niej i obserwuję, jak zachowują się inni, jak są ubrani. Sprawdzam, czy moje zachowanie jest adekwatne do sytuacji. Ci „inni” są dla mnie ważnym punktem odniesienia. Zarówno w tym, jakie normy obowiązują, ale i w jakim stopniu się w nie wpisuję.

Mogę się do nich dostosować.
– Ale nie muszę. Mam prawo wybrać, czy następnym razem ubiorę się do opery elegancko, czy nie. Mogę złamać normę, mając jednocześnie świadomość, że to może wywołać krytyczne spojrzenia i komentarze. Zamiast więc mówić komuś: „Nie porównuj się”, powiedziałabym raczej: „Zastanów się, dlaczego to robisz i co ci to daje? Jakie informacje wyciągasz z tych porównań? Bo to, że będziesz się porównywać jest pewne”.

Jak taka analiza mogłaby wyglądać?
– Wyobraźmy sobie, że wczoraj zaczęłam biegać i porównuję się z kimś, kto zaczął biegać dziś. Jesteśmy w podobnym wieku. Okazuje się, że na określonym dystansie jestem od niego szybsza o niecałą sekundę. Mogę poczuć satysfakcję z powodu swojej kondycji. Można powiedzieć, że wybrałam adekwatny standard porównań. Jeżeli jednak porównałabym swój czas z kimś, kto też dopiero zaczyna, ale jest ode mnie dużo starszy i w dużo gorszej kondycji, a jego czas byłby gorszy od mojego, to dokonałam porównania w dół – okazałabym się lepsza. To porównanie niejako świadczy na moją korzyść.



Mogłoby to być dość przyjemne.
– Ale jeśli porównałabym się z kimś, kto biega regularnie od dwóch lat, jest w lepszej kondycji, dzięki czemu osiąga lepszy czas ode mnie, dokonałabym porównania w górę. Mogłabym poczuć żal i smutek: „Też bym tak chciała”. Jednak oprócz tych trudnych emocji miałabym też szansę poczuć większą motywację. Bo jeśli wiem, jaką ten biegacz przeszedł drogę, jak ćwiczy, jaki miał czas na początku, mogę nabrać nadziei, że dzięki odpowiedniemu treningowi za dwa lata będę biegać tak szybko jak on.

Oczywiście ważny jest też cel, który chcę osiągnąć. Jeśli chodzi mi o zachowanie sprawności fizycznej, to pewnie dopóki będę widzieć swój postęp, będę zadowolona. Gorzej jeśli chciałabym być najszybsza na świecie. Ten cel dla 35-latki, która dopiero zaczyna biegać, jest mało realny.

Ciągła frustracja gwarantowana.
– Dlatego cele i standardy warto urealniać. Jest to łatwiejsze, jeśli są one mierzalne tak jak w przypadku biegania. Tu mamy czas i dystans wyrażone w obiektywnych jednostkach. Gorzej, jeśli dążymy do sukcesu czy atrakcyjności. Oczywiście możemy sobie tworzyć jakieś ich miary. I dobrze jest to robić – starać się odpowiedzieć sobie na takie pytania, jak: „Co byłoby dla mnie sukcesem zawodowym?”, „Czym jest dla mnie atrakcyjność?” Im mniej precyzyjnie określony cel, tym większe ryzyko, że przyjmę nierealistyczne standardy. Będę np. porównywać się z life'stylową influencerką z Instagrama.

Zazdroszcząc jej atrakcyjnego życia.
– A wyobraźmy sobie jeszcze, że ja pracuję na etacie i mam trójkę dzieci, a ona jest singielką i zarabia, tworząc life'stylowy kontent. Żyje z tego, że pokazuje, co je, gdzie się ubiera, dokąd podróżuje i jakie ćwiczenia wykonuje. Jeśli sobie nie uświadomię, jak odmienne są nasze sytuacje, będę się tylko frustrować tą różnicą między nami. Do niczego mnie te porównania nie zmotywują. Pewnie okaże się, że nie mam tyle czasu i pieniędzy, żeby ćwiczyć tak dużo jak ona i tak często podróżować. Zobowiązania życiowe nie pozwolą na równie szybkie zmiany planów, czy elastyczność.

eprasa.pl c7fd6aa309

Ale z tego, że chciałabym żyć tak jak ona, mogę wyciągnąć także coś wartościowego, jeśli tylko zastanowię się, czego jej właściwie zazdroszczę, jakie potrzeby i wartości za tym stoją. Może to jest sygnał, że brakuje mi spontaniczności w życiu? Może mogę coś w tym zakresie zmienić, np. zacząć od umówienia się wieczorem z koleżanką?

A może – jeśli trudno uniknąć porównywania się z innymi – trzeba unikać sytuacji i miejsc, które sprzyjają nierealistycznym standardom, np. portali społecznościowych?

– Rzeczywiście człowiek wykształcił mechanizm porównań społecznych, by czerpać wiedzę o sobie i chociaż te zwierciadła, w których się przeglądał, bywały zniekształcone, to nie aż tak jak teraz, w czasach portali społecznościowych. To one sprawiają, że często porównujemy swoje kulisy z cudzą sceną. Mamy dostęp do swoich najgorszych momentów i jednocześnie do najlepszych momentów osoby, którą oglądamy.

Na dodatek często podrasowanych.

– Problemem nie jest autoprezentacja. To naturalne, że chcemy pokazać się światu z wybranej strony i stosujemy w tym celu różne strategie. Mogę np. nałożyć koszulkę z logotypem ulubionego zespołu muzycznego. Ktoś na przystanku może z jej powodu poczuć do mnie sympatię lub wręcz przeciwnie. Kiedy idę na rozmowę o pracy, staram się strojem i sposobem wypowiadania się pokazać, że jestem najlepszą kandydatką na dane stanowisko. Problem w tym, że dziś między innymi przez serwisy społecznościowe mamy nadreprezentację osób, które widzimy tylko z tej lepszej strony – zawsze uśmiechniętych, ładnie ubranych, przebywających w pięknych miejscach. Nie mamy dostępu do innych informacji na ich temat, więc zaczynamy myśleć, że całe ich życie jest równie atrakcyjne. A jeszcze jeśli oglądamy ich, kiedy mamy gorszy dzień, np. siedząc z gorączką w brudnym dresie na kanapie, to ten dystans pomiędzy nimi a nami bardzo się powiększa. Daje mylny obraz, że inni żyją pięknym życiem i tylko nam się nie udaje.

Czyli jednak lepiej te portale społecznościowe omijać.

– To zależy od tego, co nam one dają. Nie chodzi o to, by unikać sytuacji, w których czujemy trudne emocje. Ja np. czuję je po każdym wystąpieniu na konferencji. Zawsze sądzę, że wszyscy inni mieli lepsze wystąpienie niż ja. Nie chodzi o to, że czuję się gorsza, ani nie uważam się za gorszą specjalistkę, tylko że gorzej poradziłam sobie z występem niż moi koledzy i moje koleżanki. I nie ma w tym nic złego, bo to mnie motywuje do tego, by na następną konferencję mieć coś lepszego, o ile faktycznie jest to coś dla mnie ważnego. Zastanowię się, czy przygotowałam się wystarczająco solidnie, żeby osiągnąć standard, na którym mi zależy. Jeśli tak, to może znaczyć, że na takich konferencjach standardy są wyższe niż moje. I jeśli chcę im dorównać, może powinnam włączyć dodatkowy element do przygotowań, np. próbę z koleżanką – poprosić ją, żeby mnie wysłuchała i dała informację zwrotną.



DR JOANNA GUTRAL

– psycholożka i psychoterapeutka poznawczo-behawioralna. Pracuje na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. W obszarze jej zainteresowań naukowych są m.in. zagadnienia związane z porównaniami społecznymi. Psychoedukatorka i popularyzatorka wiedzy na temat zdrowia psychicznego, autorka podcastu Gutral Gada

Chyba że jesteśmy w dołku psychicznym. Wtedy trudniej jest znosić porównania w górę.

– Czasem tak rzeczywiście jest. Myślę, że kiedy np. spotykamy się z przyjaciółką i ona opowiada o swoich sukcesach w pracy, a my akurat przechodzimy kryzys zawodowy, czujemy się niedowartościowane, nie mamy satysfakcji z tego, co robimy, możemy poprosić o zmianę tematu. Natomiast to, że ona go rozpoczęła, nie oznacza, że jest mało wrażliwa. To nie jest wymierzone w nas.

A to, że nie chcemy słuchać o jej szczęściu, nie znaczy też, że jesteśmy gorszą przyjaciółką.

– Nie. Natomiast wiele zależy od tego, czy to jest zazdrość, czy zawiść. Zawiść jest połączona z niechęcią do drugiej osoby.

Z destrukcją.

– Trochę tak. Zazdrość natomiast jest w stanie nas zmotywować. Po spotkaniu z przyjaciółką mogę stwierdzić: „Już czas coś zrobić z tą pracą". Pod warunkiem oczywiście, że jest to możliwe. Jestem przeciwna zrzucaniu całej odpowiedzialności na jednostkę. Uważam, że mówienie komuś: „Ty się nie porównuj, jesteś wyjątkowa, wszystko w twoich rękach, sky is the limit", jest nie fair. Mamy jeszcze gospodarkę, sytuację społeczną, relacje rodzinne. Najprościej jest powiedzieć: „Jak cię boli, że koleżanka jest szczęśliwa w pracy, a ty nie, to zmień pracę".

Ale my nie znamy dobrze sytuacji tej osoby. Może jest samotną matką z kredytem i rzucenie przez nią pracy mogłoby doprowadzić do poważnych strat na innych polach? Jeśli jest źle, to jest źle i nie ma co nikogo namawiać, żeby się uczył pływać w szambie, ale może nie musi sobie dokładać. Wystarczy, że postara się jak najłagodniej przejść przez to, co go spotkało.

Są osoby, które o wiele częściej niż inne porównują się w górę. To kwestia osobowości?

– Cechy osobowości mogą to różnicować. Wiadomo, że wysoki poziom neurotyczności sprzyja porównaniom w górę.

Co może zrobić ktoś, kto robi tak bardzo często i cierpi z tego powodu? Można jakoś małymi krokami zmienić swoją postawę i podejście do własnych sukcesów?

– Możemy się starać częściej świadomie dokonywać porównań temporalnych, czyli nie z innymi, ale ze sobą np. sprzed roku. Może jestem lebiegą i źle biegam, wypadam istotnie gorzej od ludzi, z którymi trenuję, ale to nie jest jedyna miara, którą mogę się posłużyć. Mogę też skoncentrować się na tym, jaki postęp zrobiłam. I to także może dawać satysfakcję i działać motywująco. Być może zależało mi na tym, by być najlepszą w grupie – niestety, nie jestem, ale to nie znaczy, że nic mi się nie udało. Tymczasem częste jest podejście: „Jeśli nie mam tego, o czym marzę, to nie mam nic". Jeśli więc coś takiego przychodzi nam do głowy, warto to przeanalizować, zastanowić się np., czy jeśli nie stać nas na zagraniczne wakacje, to znaczy, że nie stać nas na wakacje? Czy jeśli nie pojechałam nad jezioro, to znaczy, że nigdzie nie byłam? Życie nie jest idealne. Możemy tylko starać się je uczynić najlepszym, jak to tylko możliwe. ▲

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl c7fd6aa309

Nie oceniaj, *nie komentuj*

Nastolatek nie musi kochać swojego ciała. Właściwie dobrze byłoby nawet zdjąć z niego taką presję. Wystarczy, żeby nie traktował go jak wroga

Z **HUBERTEM SZYMCZAKIEM**, PSYCHOLOGIEM, ROZMAWIA **AGATA GOŁĄBEK-POLUS**



Okres dojrzewania jest dla wielu nastolatków bardzo trudnym momentem pod względem akceptacji własnego ciała. Co dzieje się wtedy z samooceną i obrazem siebie samego?

– Dojrzewanie jest trudne między innymi dlatego, że ciało potrafi się zmieniać szybciej, niż nastolatek zdąży się do tych zmian przyzwyczaić. To niezwykle trudny moment także dlatego, że wielu młodych ludzi nikt na te zmiany nie przygotowuje. I nagle młody człowiek doznaje szoku, bo w krótkim czasie zmieniają się jego sylwetka, głos. Pojawia się owłosienie. To wszystko często dzieje się niesymetrycznie, więc czasem przez jakiś czas może mieć wrażenie niedopasowania. Biodra mogą się wydawać zbyt szerokie, a nos za duży i niepasujący do twarzy.

Dojrzewanie nie ma jednego harmonogramu. W tej samej klasie jedna osoba może wyglądać jeszcze bardzo dziecięco, a druga już niezwykle dojrzale. Łatwo wtedy o wzajemne porównania. I łatwo dojść do wniosku, że „coś jest ze mną nie tak".

W tym wieku rośnie bowiem znaczenie tego, jak wyglądamy w oczach innych. Nastolatek może mieć poczucie, że wszyscy widzą każdą krostę, każdy niezręczny ruch i każdą zmianę sylwetki. Dorosłym łatwo wtedy powiedzieć: „Przecież nikt na to nie zwraca uwagi". Tylko że dla młodej osoby to nie jest przesada, tylko realne przeżycie.

Jak rozmawiać z nastolatkiem o zmieniającym się ciele, żeby go nie zawstydzić? Jakich słów i komunikatów dorośli powinni unikać, a jakie mogą być wspierające?

– Najprostsza zasada? Ciało nastolatka nie powinno być publicznym tematem ani nawet tematem rodzinnych rozmów. Właściwie żadne ciało nie powinno być publicznym tematem rozmów. Myślę, że każdy z nas ma jakąś nieprzyjemną historię z komentarzami na temat wyglądu. Nawet pozornie pozytywne komentarze w stylu: „ale zrobiłaś się kobietą" czy „widzę, że pojawił ci się pierwszy wąs", mogą być dla dorastających osób niezwykle krępujące. Szczególnie wtedy, gdy rzucane są na forum.

Jeśli już naprawdę musimy o tym porozmawiać, nie róbmy tego przy innych, nawet w gronie rodziny. Nastolatkowi lepiej zaproponować rozmowę na osobności. Dla nas to drobna różnica, a dla młodego człowieka coś bardzo ważnego. Daje mu sygnał, że ma prawo do swoich granic, prywatności i własnego ciała. A jeśli odpowiada „nie", przyjmijmy to. Nawet jeśli jako rodzicowi trudno nam się z tym pogodzić.

Nie ma też sensu zmuszać nastolatka do zachwytu nad własnym ciałem. Hasło „pokochaj siebie" brzmi pięknie, ale w praktyce może być kolejnym obowiązkiem, którego nie da się spełnić. Czasem znacznie bardziej realistycznym celem jest neutralność. Nie muszę kochać swojego nosa, ud ani skóry. Wystarczy, że przestanę traktować je jak osobistego wroga.

Dlatego zamiast: „Nie przesadzaj, przecież świetnie wyglądasz", lepiej powiedzieć: „Widzę, że naprawdę ci to przeszkadza. Co jest w tym dla ciebie najtrudniejsze?" Nie chodzi przecież o to, żeby wygrać z nastolatkiem dyskusję na temat jego wyglądu i przekonać go, że obiektywnie jest atrakcyjny. Chodzi o to, żeby dowiedzieć się, co właściwie dzieje się w jego głowie.

I jeszcze jedno: rodzic nie musi być terapeutą. Gdy czujemy, że potrzebna jest pomoc, to ją zaoferować. A czasem najlepsze, co możemy zrobić, to zostawić przestrzeń, jeśli ktoś nie jest gotowy na rozmowę.

Czy rodzice, nawet nieświadomie, dokładają cegiełkę do kompleksów swoich dzieci? Jakie pozornie niewinne komentarze dotyczące wyglądu mogą być dla nastolatka szczególnie obciążające?

– Bardzo często niestety dokładają taką cegiełkę swoimi komentarzami i to zazwyczaj kompletnie bez złej intencji.

Mówią np.: „Rosną ci boczki", „Naprawdę chcesz dokładkę?", „Świetnie wyglądasz, wreszcie schudłaś". Dla dorosłego, który je wypowiada, to może być żart albo nawet komplement. Dla nastolatka zostaje z te-

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl c7fd6aa309



go prosty komunikat: moje ciało jest obserwowane i oceniane.

Nawet pochwała za schudnięcie może zabrzmieć jak ocena. Bo w głowie nastolatka może rodzić pytania. „Skoro teraz wyglądam lepiej, to znaczy, że wcześniej wyglądałem gorzej? A jeśli znowu przytyję?" Tak z niewinnego komentarza rodzi się presja.

Dużo mówi też przykład dorosłych. Rodzic, który ciągle narzeka na brzuch, liczy kalorie i mówi, że „musi się za siebie wziąć", uczy dziecko, że ciało trzeba nieustannie poprawiać. A kiedy przy stole komentujemy cudzą wagę czy wygląd, nastolatek zapamiętuje przede wszystkim jedno: ludzie patrzą i oceniają.

Co zrobić, kiedy nastolatek zaczyna porównywać swoje ciało z rówieśnikami i uważa, że rozwija się nieodpowiednio? Jak reagować, żeby nie bagatelizować jego emocji, ale jednocześnie nie wzmacniać lęku?

– Rzucone na szybko hasło: „każdy rozwija się inaczej", czasem brzmi sensownie tylko dla dorosłego. Dla nastolatka może zabrzmieć jak: „nie przesadzaj".

Dużo lepiej najpierw nazwać to, co przeżywa. Możemy powiedzieć na przykład: „Rozumiem, że trudno ci patrzeć, jak koledzy już się zmienili, a ty jeszcze na to czekasz". Dopiero potem można mówić o tym, że dojrzewanie zaczyna się w różnym wieku, trwa kilka lat i często przebiega nierówno. A dzisiejsza różnica między dwoma trzynastolatkami nie mówi jeszcze prawie nic o tym, jak będą wyglądać za kilka lat. Dojrzewanie to proces, który warto dobrze przedstawić dziecku.

A jeśli młody człowiek naprawdę mocno martwi się swoim rozwojem, można po prostu skonsultować to z lekarzem. Bez atmosfery: „coś jest z tobą nie tak". Raczej: „chodź, sprawdzimy, żebyś nie musiał/musiała się sam/sama nakręcać".

Jak dużą rolę w powstawaniu kompleksów odgrywają dziś serwisy społecznościowe, filtry i nierealistyczne wzorce

eprasa.pl c7fd6aa309



wyglądu? Jak rozmawiać z młodym człowiekiem o tym, co widzi w internecie?
– Problem polega raczej na tym, że widzimy tam bardzo wyselekcjonowaną rzeczywistość: najlepszy kąt, światło, napięta sylwetka, makijaż, filtr. A jeśli człowiek ogląda tego dużo, po jakimś czasie zaczyna traktować wyjątek jak normę.

Do tego dochodzą algorytmy, które szybko uczą się naszych upodobań. Jeśli ktoś interesuje się sportem, na jego feedzie będą przede wszystkim wysportowane sylwetki. Treści beauty mogą z kolei podsuwać kolejne, często nierealistyczne, standardy piękna. Zatrzymujesz się przy materiałach o odchudzaniu, sylwetce albo skórze i nagle dostajesz ich coraz więcej. Po pewnym czasie może się wydawać, że wszyscy wyglądają w określony sposób. Tylko ja nie.

Z social mediów też trzeba się nauczyć korzystać, bo niezwykle łatwo wpaść w zastawioną przez nie pułapkę. I warto mieć z tyłu głowy, że nie uchronimy dzieci przed każdym błędem. Możemy jednak być uważni na ich potrzeby i przede wszystkim otwarci.

I tu dochodzi jeszcze jedna rzecz, chyba nawet ważniejsza niż samo scrollowanie. Z badań wychodzi bardzo ciekawa zależność: to wcale nie samo przeglądanie cudzych profili powoduje największy chaos w głowie. Znaczenie ma też to, co młody człowiek robi z własnymi zdjęciami. Niektóre z badań wskazują, że intensywne poprawianie fotografii i duże skupienie na tym, jak wypadniemy w internecie, wiążą się z większym niezadowoleniem z wyglądu.

Nastolatek siada z telefonem i przez kwadrans w aplikacji upiększającej powiększa kadr na maksa, żeby tu wygładzić krostę, tu zwęzić nos, tam poprawić linię szczęki czy rozjaśnić cień pod okiem. Aparaty w naszych telefonach są obecnie bezlitosne, ekrany też pokazują w HD każdą niedoskonałość, a dojrzewający nastolatek dosłownie rozbiera swoją twarz na piksele i szuka w sobie wad czy chociażby zwyczajnych niedoskonałości, na które nikt nie zwróciłby uwagi.

I potem przychodzi zderzenie ze ścianą. Bo w telefonie zostaje wygładzona, idealna wersja, a w lustrze widzi znowu... siebie, żywego człowieka z porami na skórze i niesymetrycznymi brwiami. Nie oznacza to jednak, że każdy filtr szkodzi ani że edytowanie zdjęć samo w sobie powoduje zaburzenie. Wyretuszowane zdjęcie może stać się jednak punktem odniesienia, któremu rzeczywisty wygląd nie odpowiada.

Niepokojące jest przede wszystkim zajmowanie się wyglądem do tego stopnia, że nie tylko pochłania coraz więcej czasu, ale i wywołuje cierpienie albo prowadzi do unikania szkoły, spotkań czy zdjęć bez filtra. W takiej sytuacji warto skonsultować się ze specjalistą.

Czy istnieją różnice między tym, z czym mierzą się dorastające dziewczęta i chłopcy? Jakie obszary wyglądu i dojrzewania są dla nich szczególnie źródłem wstydu lub niepewności?
– Dziewczęta częściej zderzają się z presją szczupłej, ale jednocześnie odpowiednio kobiecej i wysportowanej sylwetki. A dojrzewanie robi dokładnie to, czego część z nich zaczyna się bać: zmienia biodra, uda, piersi i ilość tkanki tłuszczowej. Do tego dochodzą miesiączka, trądzik, owłosienie czy asymetria piersi.

U chłopców częściej pojawia się porównywanie wzrostu, wielkości barków, wyćwiczenia mięśni, gęstości zarostu czy tonu głosu. Późniejsze dojrzewanie potrafi być szczególnie trudne, kiedy ktoś fizycznie odstaje od grupy. Mało mówi się też o przejściowym powiększeniu gruczołów piersiowych u chłopców, które potrafi wywołać ogromny wstyd. Garbienie się, kilka warstw ubrań, unikanie basenu czy szatni nie biorą się wtedy znikąd.

Tylko dobrze nie zakładać z góry, że „dziewczyna przejmuje się tym, a chłopak tamtym". Lepiej zapytać. Bo każdy nastolatek ma swoje własne przemyślenia.



HUBERT SZYMCZAK

– psycholog, psychoterapeuta poznawczo-behawioralny w trakcie certyfikacji. Pracuje z dziećmi, nastolatkami i dorosłymi

eprasa.pl c7fd6aa309

Jak reagować, kiedy nastolatek zaczyna ukrywać ciało, unikać sytuacji związanych z wyglądem albo obsesyjnie kontrolować wagę, dietę czy wygląd? Kiedy można mówić już nie tylko o typowych kompleksach, ale o sygnałach wymagających profesjonalnego wsparcia?

– To, że nastolatek czasem narzeka na wygląd, przebiera się pięć razy przed wyjściem albo nie lubi basenu, jeszcze nie oznacza problemu. Kto z nas nie chce dobrze wyglądać wśród innych? Niepokój powinien się pojawić wtedy, gdy wygląd zaczyna organizować coraz większą część życia.

Dziecko wycofuje się z kontaktów, nie chce chodzić do szkoły, stale zasłania ciało, nie je przy innych, godzinami sprawdza się w lustrze, często się waży albo mierzy. Pojawia się pomijanie posiłków, eliminowanie kolejnych produktów, napady objadania, wymioty, środki przeczyszczające albo ćwiczenie mimo kontuzji i wyczerpania.

U chłopców może to przybierać formę obsesyjnego budowania masy mięśniowej, sztywnej diety, suplementacji czy sięgania po środki anaboliczne. I tu ważna rzecz: nie trzeba czekać, aż dziecko będzie wyglądało na chore.

Z chłopcami jest jeszcze jeden podstępny problem. Zaburzenia potrafią świetnie kamuflować się pod przykrywką sportowego trybu życia. Kiedy dziewczyna nagle przestaje jeść, otoczenie zwykle szybciej zapala czerwoną lampkę. Jeśli jednak chłopak z zegarmistrzowską precyzją waży kurczaka z ryżem, instaluje aplikację do liczenia makroskładników, pije odżywkę białkową i codziennie ćwiczy, rodzic może być wręcz dumny, myśląc: Ależ on ma samozaparcie.

Silny lęk lub poczucie winy po zmianie posiłku albo opuszczeniu treningu, rezygnowanie ze spotkań z powodu diety oraz ćwiczenie mimo kontuzji czy wyczerpania mogą wzbudzić czujność, szczególnie gdy tym zachowaniom towarzyszy sztywność i przymusowość. Samo ważenie jedzenia, korzystanie z aplikacji czy regularny trening nie oznaczają zaburzenia. Mogą budować również fajne i zdrowe nawyki. Warto patrzeć na to, ile swobody zostaje młodemu człowiekowi i jaki koszt ponosi jego zdrowie oraz codzienne życie. Warto też pamiętać, że zaburzenia odżywiania mogą się pojawić przy każdej masie ciała. Czasem znacznie więcej mówi nagła zmiana zachowania niż sam wygląd.

Co rodzic może zrobić na co dzień, aby budować u dziecka zdrową relację z własnym ciałem, nie tylko poprzez rozmowy o wyglądzie, ale też własnym przykładem? Co pomaga nastolatkowi przejść przez dojrzewanie z większą akceptacją siebie?

– Najwięcej robi klimat, jaki panuje w domu. Czy pojawia się presja wyglądu? Czy ciała i wygląd są tam ciągle komentowane? Nie mówię tu tylko o ciałach domowników, ale nawet podczas zwykłego oglądania telewizji. Czy rzucamy komentarze, że dana aktorka się roztyła, a aktor postarzał?

Warto też przyjrzeć się temu, jak wygląda nasza relacja z jedzeniem. Czy przy stole rozmawiamy? Czy rozliczamy się z każdego kęsa? Czy jesteśmy wiecznie na diecie? Dobrze, gdy rodzice trenują dla zdrowia i dobrego samopoczucia, a nie tylko po to, by lepiej wyglądać.

Wszystko, co obserwuje nastolatek na co dzień, zostaje w jego głowie. Wiadomo, nikt z nas nie jest idealny, ale warto zrobić sobie rachunek sumienia i zastanowić się, czy my sami biegamy za obecnymi standardami piękna. Te i tak się zmienią, a jeśli w głowie rodzica jest obsesja na punkcie swojego wyglądu, to samemu warto udać się do specjalisty.

Należy rozszerzać dziecku samoocenę poza wygląd. Zauważać jego poczucie humoru, ciekawość, lojalność, odwagę, wysiłek, zainteresowania, empatię.

Nie chcę powiedzieć, że komplementowanie wyglądu zupełnie nie jest w porządku. Tylko niech nie będzie jedyną walutą uznania. I nie każdy nastolatek musi kochać swoje ciało, ale pokażmy mu, jak budować atmosferę akceptacji wobec tego, co się dzieje z naszymi ciałami.

Warto też uświadomić, że rodzic nie ochroni dziecka przed każdą uwagą rówieśników ani każdym internetowym komentarzem. Może za to zrobić jedną bardzo ważną rzecz: sprawić, żeby dom nie był kolejnym miejscem, w którym ciało jest wystawiane na ocenę. ▲

OGŁOSZENIE



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

eprasa.pl c7fd6aa309


GEBERIT
ŁAZIENKA, KTÓRA
ZBIERA KOMPLEMENTY.
TUTAJ.
TUTAJ.
I TUTAJ.
DESIGN
MEETS
FUNCTION
Geberit oferuje innowacyjne rozwiązania i szeroką gamę wzorów, dzięki którym stworzysz łazienkę na własnych zasadach. Lepiej. Dla Ciebie.